

UMYSŁOWY ROZWÓJ CZŁOWIEKA.

CZĘŚĆ II.

316643

UNIVERSITY MICROFILMS

SERIALS

ROZDZIAŁ X.

S a m o w i e d z a.

W rozdziale tym starać się będę wykazać co następuje. Jeżeli protoplazma znakowania rozwiniętą jest do stopnia, któryśmy *denotacyjnym* nazwali; jeżeli dalej protoplazma zdolności sążenia jest tak dalece uorganizowana, że stoi na stopniu, na którym może wypowiedzieć jakiś fakt, na którym atoli umysł nie jest jeszcze dostatecznie rozwiniętym, aby był świadomym samego siebie, jako obiektu myślenia, a zatem, aby mógł konstatować fakt jako taki—to przez zlanie się tych dwóch elementów protoplazmowych, następuje akt zapłodnienia, który natychmiast pociąga za sobą ukazanie się następujących procesów umysłowej organizacyi i bardzo szybko umysł dosięga możności rozróżniania pomiędzy subjektem a obiektem.

W tem miejscu, dla uniknienia wszelkiej dwójznaczności, zaznaczę, że we wszystkich moich rozumowaniach następnych, nie będę się zajmował filozofią nastąpionej zmiany, lecz tylko jej historją. Odnośnie do stroiny filozoficznej nikt nie może mieć większego odemnie szacunku dla kwestyi samowiedzy, nikt bowiem nie może być głębiej odemnie przekonany, że kwestya a

z tej strony rozważana nie może mieć rozwiązania. Innemi słowy, co się tyczy tej strony kwestyi, zupełnie się zgadzam z najzaciętszymi idealistami. Utrzymuję, że z samowiedzą, którą każdy z nas posiada, nietylko daną nam jest ostateczna znajomość rzeczy, t. j. ta, która jest jedynie *prawdziwa* dla nas, lecz jeszcze ta forma istnienia, którą jedynie umysł ludzki pojmować może, jako istnienie, a zatem i ta, która stanowi *conditio sine qua non* możności istnienia świata zewnętrznego. Nie będę się atoli zajmował tą stroną kwestyi. Zupełnie tak samo, jak zadanie embryologa polega na tem, aby rejestrował jedynie historję zmian, zachodzących w organizmie podczas rozwoju, nie troszcząc się wcale o głębsze pytanie, odnośnie do tego, jak się odbywa życie i dlaczego ono się tak odbywa, tak też i ja szukam jedynie dróg, po których stępując samowiedza, oddzieliła się od innych stopni życia umysłowego, pomimo, że nie jestem w stanie wyjaśnić natury wewnętrznej tej historii rozwoju. Dziś zupełnie tak samo, jak za czasów Salomona prawdziwym jest orzeczenie: „Tak samo jak nie znasz dróg wiatru i nie wiesz, jak w łonie matki powstają kości noworodka, tak też nie znasz dróg ducha“.

Jeżeli przyjmiemy, że tylko u człowieka napotykaemy samowiedzę, to jasną też będzie rzeczą, że tylko u człowieka mamy szukać faktów, odnoszących się do jej rozwoju. Ponieważ wiemy, że tylko podczas pierwszych lat niemowlęctwa normalna istota ludzka pozbawioną jest samowiedzy, przeto tylko psychologia dziecka może nam dostarczyć potrzebnych do badania faktów. Ponieważ dalej na początku tego rozdziału twierdziłem, że samowiedza powstaje ze zlania się protoplazmy zdolności sądzenia z protoplazmą zdolności

znakowania (stosownie do znaczeń tych wyrazów, które już podałem), przeto muszę się tego bliżej wytłomaczyć, opierając się na faktach, zaczerpniętych z badań nad psychologią dziecka. Nim atoli przystąpię do jądra tej kwestyi, sądzę, że niebyłoby bez korzyści jeszcze raz rzucić okiem na te zdolności umysłowe, które napotykamy zarówno u dziecka, jak i u zwierzęcia, i które w dziecku wyprzedzają ukazanie się samowiedzy a mojem zdaniem torują jej nawet drogę.

Sądzę, że w każdym razie przyznać trzeba, iż samowiedza polega na tem, że na procesy wewnętrzne, czyli psychiczne, zwracamy taką samą uwagę, jaką zwykle zwracamy na procesy zewnętrzne, czyli fizyczne, stosując do subiektywnych zjawisk te same zdolności postrzeżenia, jakie stosujemy do obiektywnych. Stopnie wielkości tej uwagi mogą być zarówno w pierwszym jak i w drugim przypadku bardzo rozmaite, lecz okoliczność ta nie może mieć żadnego wpływu na moje określenie psychologiczne samowiedzy.

Dalej przyznać należy, iż w umyśle zwierzęcia, jak w umyśle dziecka, zawiera się cały świat wyobrażeń, zastępujących zewnętrzne przedmioty i jedyna przyczyna, dla której te wyobrażenia zostają niepostrzeżone aż do momentu wywołania ich przez zmysłowe kojarzenia, dostarczane przez przedmioty im odpowiadające, polega na tem, że umysł nie jest jeszcze w stanie porzucić gruntu kojarzeń podobnych, dla swobodnego poruszenia się w wyższym i delikatniejszym ośrodku myśli introspektywnej. ¹⁾ Pomimo to jednak, wyobrażenia te są do-

¹⁾ Patrz rozdziały II i IV.

wodem czynności wewnętrznej, która niezupełnie zależną jest od kojarzeń zmysłowych, dostarczanych z wewnątrz. Chcę przez to powiedzieć, że jedno wyobrażenie wywołuje drugie, drugie—trzecie i t. d., chociaż, jakiem już zaznaczył, nie może to być wynikiem aktów uwagi wewnętrznej, albo samoświadomego zastanawiania się nad obrazami, uznanemi jako takie. Pomimo to jednak mamy dowody, że taki wewnętrzny albo bezzamiarowy proces myślenia rzeczywiście ma miejsce w umyśle zwierząt, niezależnie od kojarzeń bezpośrednich, dostarczanych przez przedmioty, pod zmysły podpadające. Tak np. procesy marzeń sennych, halucynacyj, tęsknota za domem, żal za utraconym przyjacielem i t. p. objawy, które obszernie opisałem w poprzednim moim dziele, mogą jedynie być wytłumaczone, przyjmując, że u zwierząt odbywa się akt wewnętrzny tworzenia idei. ¹⁾ Otóż uważam za konieczne zanotować, że taki proces wewnętrzny tworzenia idei jest nawet możliwym i przy braku samowiedzy, a to dlatego, że niektórzy autorowie, bez żadnej przyczyny racjonalnej, twierdzą, że dopóki idei nie rozważamy zamiarowo jako takich, dopóty ukazanie się ich jest w zupełności zależnem od kojarzeń, dostarczanych przez przedmioty pod zmysły podpadające. Nie wątpię, że istota, która zamiarowo może przeciwstawiać jedną ideję drugiej, jako oddzielny przedmiot, jest też w stanie posunąć się znacznie dalej, niż zwierzę, w kierunku, w jakim jedną ideję wyprowadza z drugiej, bez udziału jakiegokolwiek bodźca zewnętrznego. Obecne moje stanowisko sprowa-

¹⁾ „Mental Evolution in Animals”; rozdział „Wyobrażenia”.

dza się jedynie do uwagi, że tworzenie idei u zwierząt nie jest wyłącznie zależnem od bodźców zewnętrznych, lecz że ono w skromnych granicach jest w stanie wytworzyć szeregi niezależne wyobrażeń z własnego świata wewnętrznego.

Drugi punkt, na który chciałem zwrócić uwagę odnośnie do procesu tworzenia idei u zwierząt jest ten, że proces ów nie jest prostym procesem reprodukcji pamięci o przedmiotach szczegółowych wrażeń zmysłowych, lecz, jakiesmy to obszernie rozwinęli w rozdziale III, może uleść temu opracowaniu umysłowemu, który ja oznaaczyłem nazwą procesu poznaniowego.

Co więcej, podwalina samowiedzy silnie się opiera na fakcie, iż organizm stanowi zespoloną całość, wszystkie części której zostają ze sobą w związku jedności czucia osobnikowego. Każdy bodziec z zewnątrz pochodzący, każdy ruch wewnątrz powstający—nosi na sobie piętno zależności, od tego co czuje i co się porusza. Z tego to powodu, zarówno zwierzę jak i dziecko młode uczy się rozróżniać własne członki i całe ciało od innych przedmiotów; umieją one unikać cierpień i szukać źródła przyjemności, wiedzą też, że osobliwe ruchy pochodzą od aktów szczegółowych woli i w związku z takimi ruchami ciągle doznają tych samych wrażeń mięśniowych. Prawda, że takie doświadczenia i takie wiadomości należą do rzędu poznaniowych, lecz to wcale nie przeszkadza, aby one odgrywały ważną rolę przy zakładaniu podwalin świadomości o indywidualności. ¹⁾

¹⁾ Według mniemania Wundta najważniejszym warunkiem genezy samowiedzy jest zmysł mięśniowy.

Nakoniec ostatni i najważniejszy punkt naszej kwestyi polega na tem, że znaczna liczba poznań zwierząt nie odnosi się ani do przedmiotów pod zmysły podpadających, ani nawet do czucia mięśniowego, lecz do *stanu umysłowego innych zwierząt*. Chcę przez to powiedzieć, że logika poznań nawet i u zwierząt wystarcza, aby umysł uczynić zdolnym do ustanawiania analogij pomiędzy stanami własnymi (choćby stany te nie są przedmiotem oddzielnej uwagi, albo tem co możemy nazwać znajomością subiektywną) i odpowiedniami stanami innych umysłów. Nie mam potrzeby dłużej się rozwodzić nad tym przedmiotem, gdyż uważam jako rzecz ogólnie znaną i powszechnie obserwowaną, że zwierzęta bardzo dokładnie *tłumaczą sobie* stany umysłowe innych zwierząt i że one dobrze wiedzą, iż inne zwierzęta nie mniej dokładnie znają *ich własne stany*; czego najlepszym dowodem są często przez nie praktykowane podstępny, sztuki ukrywania się, obłuda i t. p. ¹⁾ Ztąd dochodzimy do wniosku ogólnego, że zwierzęta inteligentne poznają zarówno świat ejektów jak i świat obiektów; istności duchowe znane im są ejektynie, chociaż musimy się zgodzić na to, że nigdy nad tem poznaniem subiektywnie nie myślą. ²⁾ Musimy też koniecznie zazna-

¹⁾ Porównaj „Animal Intelligence“ str. 410, 443, 444, 450, 452, 458, 494.

²⁾ Jednym z najlepszych przykładów myślenia ejektynego zwierząt jest następujący, zaczerpnięty z dzieła Quatrefage'a „Rodzaj ludzki“ (przekład ang. str 20, 21). „Pozwoli czytelnik przytoczyć wspomnienia walk moich z buldogiem czystej krwi, który, lubo zupełnie dorosły, zachował jednak charakter młodego bardzo szczeniaka. Byliśmy ze sobą w przyjaźni i często bardzo bawiliśmy się. Ilekroć przybierałem postawę obronną, za-

czyć, że w tej fazie umysłowego rozwoju osobnik, czy to zwierzęcy, czy dziecienny, tak dalece poznaje indywidualność swoją, że za pomocą logiki poznań dochodzi do świadomości, iż stanowi *jedność swojego rodzaju*. Nie chcę przez to twierdzić, że zwierzę jest w stanie ocenić własną lub cudzą indywidualność jako takie, lecz pragnę jedynie zaznaczyć, że w tej fazie rozwoju poznaje onofakt swego istnienia jako jedności wśród wielu innych, podobnych lub odmiennych form życia. Zarówno w walce, jak i przy współubieganiu się, jakoteż w poczuciu, że zasługuje na karę lub zemstę i t. p., zwierzę ciągle jest świadomem swej indywidualności odrębnej. Fakt ten przyznać należy i wtedy nawet, gdy się na to zgodzimy, że zwierzę nigdy nie jest w stanie rozmyślać nad sobą, jako nad osobnikiem. W taki sposób powstaje pewien rodzaj „samowiedzy zewnętrznej“, która tem się różni od samowiedzy prawdziwej, czyli wewnętrznej, że brak jej uwagi skierowanej na wewnętrzne stany umysłowe, jako na takie. Zewnętrzna

wsze buldog rzucał się na mnie ze wszystkimi oznakami gniewu, chwytając zębami moje ramię, które służyło mi za tarczę. Wprawdzie przy ataku pierwszym zapuścił zęby dość głęboko w owe ramię, lecz nigdy tak znów głęboko, aby to sprawiło mi ból. Bardzo często chwyciłem dolną jego wargę ręką, lecz nigdy mnie nie ugryzł, chociaż w następnej zaraz chwili głęboko zapuścił zęby swoje w kawałek drzewa, który starałem się wyrwać mu z pyska. Zwierzę oczywiście doskonale wiedziało co robi, gdy udawało uczucie, będące w zupełnej sprzeczności ze stanem rzeczywistym jego duszy. Nawet w stanie rozdrażnienia, wywołanego zabawą, pozostawało ono panem swoich ruchów, unikając czynności, które mogłyby mi ból sprawić. Brało udział w komedyi, czego bez świadomości o niej uczynićby nie mogło^a.

ta samoświadomość jest nam wszystkim znana, gdyż w naszych czynnościach życia codziennego bardzo rzadko tylko zastanawiamy się nad procesami umysłowymi, których czynności te są wyrazem. Jeżeli zaś rzeczy tak stoją, to przynajmniej przy naszej analizie samowiedzy spotykamy się z koniecznością przeprowadzenia takiego samego rozróżnienia, jakieśmy ustanowili w poprzednich rozbiorach innych zdolności umysłowych, t. j. zmuszeni jesteśmy przyjąć, że istnieje samowiedza poznaniowa i samowiedza pojęciowa. Nie ulega wątpliwości, że tylko do ostatniego rodzaju samowiedzy wyłącznie, nazwa ta da się zastosować ściśle, zupełnie tak samo, jak tylko do mianowania pojęciowego, czyli do orzeczenia pojęciowego słowo „sąd“ daje się ściśle zastosować. Pomimo to jednak, zarówno w tym przypadku jak i w poprzednim, nie możemy zaniedbywać ważnej dziedziny ducha, dlatego jedynie, że ona dotychczas nie została zbadaną. ¹⁾ Samowiedza po-

¹⁾ Należy jednak zaznaczyć, że niektórzy badacze zwrócili uwagę na tę dziedzinę. Tak p. Chauncey Wright z całą jasnością poznał istnienie tego, co ja samowiedzą poznaniową nazywałem. Patrz jego „Education of Selfconsciousness“. Zdaje się, że i Darwin poznał różnicę zasadniczą pomiędzy świadomościami, wyrażając się w sposób następujący: „Możemy śmiało przyjąć, że żadne zwierzę nie jest samoświadomem, jeżeli przez samoświadomość zechcemy oznaczyć rozmyślanie nad takimi kwestyami, jak nad tem, z kąd istota żywa pochodzi, dokąd dąży, czym jest życie i śmierć, i tym podobnymi kwestyami. Lecz w jaki sposób możemy twierdzić, że pies stary, mając doskonałą pamięć i obdarzony pewną zdolnością imaginacyjną, ujawniającą się w jego snach nigdy nie rozmyśla nad przeszłymi przyjemnościami lub cierpieniami, doznawanymi na polowaniu? I to może być pewną formą samowiedzy“ („Descent of Man“ stron. 83).

znaniowa, czyli zewnętrzna, jest to praktyczne poznanie swego „ja”, jako czynnika działającego i czującego; samowiedza zaś wewnętrzna, czyli pojęciowa polega na *introspektywnem* poznanii swegoja, jako przedmiotu poznania, a zatem jako subjektu. Pierwsza zatem forma samowiedzy różni się od drugiej tem, że ona jest tylko obiektywną, nigdy zaś subiektywną. ¹⁾

Przyjmuję zatem jako rzecz dowiedzioną, że prawdziwa, czyli pojęciowa samowiedza polega na zwracaniu tego samego rodzaju uwagi na procesy wewnętrzno-psychyczne, jaką zwykle zwracamy na zewnętrzne, fizyczne procesy; że w umyśle zwierząt i dzieci, jest cały świat obrazów, służących jako znaki dla przedmiotów zewnętrznych, chociaż obrazy te mogą być wywołane drogą skojarzeń zmysłowych; nakoniec możemy uważać jako rzecz pewną, że na tym stopniu rozwoju umysłowego, logika poznań obejmuje zarówno świat

Wiem, że psycholog mógłby stawiać pewne zastrzeżenie odnośnie do wyrazu *rozmyślać* użytego w poprzednim ustępie; lecz że taki rodzaj poznaniowego rozmyślenia odbywa się u psów, najlepiej dowodzą fakty tęsknoty za domem i zmartwienia z powodu utraty przyjaciela, o których to faktach wyżej wspomnieliśmy.

¹⁾ W tem miejscu przytoczę trafny ustęp z dzieła Wundta „Vorlesungen über Thier und Menschenseele”, t. I str. 287. Jeżeli skazani jesteśmy na to, aby czucie uważać jako punkt wyjścia całego szeregu rozwoju, to i początki rozróżniania jaźni, od przedmiotów, muszą już tkwić w czuciu. Na zarzut zaś, że nie może istnieć myślenie, bez znajomości myślenia, Wundt odpowiada że nim następuje jakakolwiek znajomość o myśleniu, musi istnieć taki rodzaj myślenia, jakim jest akt postrzeżenia, poprzedzający pojawienie się samoświadomości, t. j. musi istnieć idea poznaniowa o przestrzeni, nim jeszcze mamy jakakolwiek świadomość pojęciową o tej idei, jako takiej.

ejektywny, jak i świat przedmiotowy i że mamy tu do czynienia z poznaniem indywidualności, o ile ono polega na tak nazwanej samowiedzy zewnętrznej, czyli na świadomości o sobie, jako o czynniku czującym i działającym, bez świadomości jednak o sobie, jako o przedmiocie myśli, a zatem jako o subjeckie. Poznawszy tym sposobem warunki umysłowe, poprzedzające pojawienie się samowiedzy prawdziwej, zwrócimy się teraz do dziecka podrastającego, w celu otrzymania dowodów wykazujących następne fazy rozwoju tej zdolności umysłowej. Wszyscy badacze zgadzają się na to, że długo jeszcze po momencie, kiedy dziecko umie używać wyrazów dla oznaczania idei, ono nie objawia jeszcze śladu najmniejszego samowiedzy. Lecz rozpoczynając badanie nasze w peryodzie jeszcze wcześniejszym, widzimy, że dziecko jednoroczne nie jest jeszcze w stanie uznawać własnego swego organizmu, nawet jako części siebie samego, albo wyrażając się ściślej, jako czegoś, będącego w związku z jego czuciem. Prof. Preyer zauważył, że chłopczyk jego mając przeszło rok wieku gryzł własne ramię, jak gdyby ono było ciałem obcym; tak, że o tem dziecku powiedzieć możemy, iż miało ono mniejszą świadomość o jednym ze swoich członków, niż papuga Buffona, która, żądając od samej siebie podania sobie własnego pazura, uczyniła zadość temu żądaniu, kładąc go w dziób i to w sposób zupełnie podobny do tego, w jaki zwykła była podawać go tym, którzy ją w tych samych wyrazach o to prosili.

W następstwie, gdy opisana wyżej samowiedza zewnętrzna rozwinęła się już, widzimy, że dziecko zupełnie tak samo jak i zwierzę nauczyło się kojarzyć własny organizm ze swojemi stanami umysłowemi w

taki sposób, że poznaje, iż ciało jego w szczególny sposób zależy od jego „ja“ o tyle, o ile to „ja“ może być poznaniem za pomocą logiki poznać. Tę fazę rozwoju napotykamy też i u zwierząt. Zaraz potem dziecko zaczyna mówić, jak tego można się było spodziewać; te pierwociny objawu logiki poznania wykazują, że dziecko nie *posiada* jeszcze samowiedzy *wewnętrznej*, lecz jedynie zewnętrzną, dziecko bowiem nie *zwraca uwagi* na własne stany umysłowe. Odpowiednio do tego widzimy, że dziecko przemawia do siebie jak do przedmiotu, t. j., przemawiając do siebie, używa własnego imienia lub przemawia w trzeciej osobie. Oznacza to, że dziecko nie jest w stanie przeciwstawiać siebie wszystkim innym przedmiotom zewnętrznym, włączając tu i wszystkie inne osoby, lecz uważa siebie jako jeden pojedynczy przedmiot wśród wielu innych ¹⁾. Przejście frazeologii dziecka od wyrażania się o sobie jako o przedmiocie do wyrażania się o sobie jako o podmiocie

¹⁾ Sully. loc. cit. str. 376. Patrz także Wundt loc. cit. str. 289, I. Uczony ten wykazuje, że sposób mówienia o sobie w trzeciej osobie nie jest wynikiem „naśladownictwa, lecz raczej pozostaje z niem w zupełnej sprzeczności. „Tysiąc razy dziecko słyszy, że rodzice jego nie w taki sposób o sobie mówią“. Dziecko słyszy, że otoczenie mówi o niem w trzeciej osobie i pod tym względem je naśladowuje. Lecz takie naśladownictwo, z jakim się tu spotykamy, dowodzi jedynie, że dotychczas dziecko nie nauczyło się jeszcze rozróżniać pomiędzy swoim „ja“ jako przedmiotem, a swoim „ja“, jako podmiotem. Dopiero później, gdy świtać zaczyna w jego umyśle takie rozróżnienie, dziecko drogą naśladownictwa zaczyna stosować do siebie pierwszą osobę zupełnie tak samo, jak to czynią inui (już znani teraz dziecku jako tacy).

w rzadkich tylko wypadkach następuje wcześniej, niż w trzecim roku życia. Gdy zmiana ta nastąpiła, mamy dotykalne dowody pojawienia się samowiedzy prawdziwej, lubo ta znajduje się jeszcze w stanie zaczątkowym. Jest nawet bardzo wątpliwem, czy taka zmiana mogłaby już nastąpić w trzecim roku życia, gdyby na to nie wpływało otoczenie towarzyskie. Gdyż już Sully zauważył „stosunek *ja do nie ja* włącznie ze stosunkiem *ja do ty*, ciągle się narzuca uwadze dziecka wskutek rozmowy osób otaczających je“¹⁾). Lecz obserwując tę wielką zmianę podczas tego peryodu życia, gdy ona rzeczywiście się rozwija, postarajmy się zbadać fazy jej rozwoju.

Jestem przekonany, że wszyscy się zgadzają na to, iż przynajmniej do chwili, kiedy dziecko mówić zaczyna, nie posiada ono zaczątków nawet samowiedzy prawdziwej, czyli introspektywnej; nikt też nie zaprzeczy, że kiedy samowiedza świtać zaczyna, mowa używa dziecku ważnej pomocy we wszystkich dalszych jego fazach rozwoju. Otóż widzieliśmy, że na długo przedtem, nim zaczęły się ukazywać wyrazy, będące wskaźnikami początku nawet świadomości o własnem „ja“, dziecko tak dalece już się posunęło w używaniu mowy, że jest w stanie formować zdania uwikłane. Lecz niechcąc, aby mnie posądzono o stronność w mojem rozumowaniu, jeszcze raz powołam się na świadectwo Sully'ego, który w materyi natury czysto psychologicznej jest zarazem sędzią bezstronnym i wielką powagą naukową.

Gdy słyszymy, jak dziecko osmnastomiesięczne widząc psa woła *bowo*, lub biorąc pokarm woła „ot“

¹⁾ Sully. Loc. cit. str. 377.

(hot, gorący), lub opuszczając swą zabawkę mówi *dow* (down, na dół), śmiało twierdzić możemy, że formuje ono zdania w sposób uwikłany. *To jest pies, To mleko jest gorące, Moja zabawka upadła.* Te pierwsze zdania uwikłane odnoszą się do przedmiotów szczególnych. Dziecko spostrzega jakąś zmianę niespodziewaną i dziwną w przedmiocie i wynikiem tego spostrzeżenia jest zdanie. Tak np. wspomniany już wyżej kilkakrotnie chłopczyk uformował pierwsze swoje zdanie, mając dziewięć miesięcy wieku, mówiąc „*Dit kei*“ (sister is crying, siostra płacze). Te pierwsze zdania odnosiły się przeważnie do pokarmu dziecka, albo też do innych rzeczy, mających dla niego ważność pierwszorzędną. Pierwsze próby układania wyrazów w zdania wyrażały się w sposób następujący: *ka in milk* (nieczystość w mleku), *milk dare now* (w filiżance pozostało jeszcze trochę mleka). Ku końcowi drugiego roku życia, chłopczyk układał już liczne zdania, wyrażające własności szczególne przedmiotów, które zwracały jego uwagę lub robiły na nim wrażenie, jak np. zmiany miejsca w przestrzni itp. Do takich zaliczyć też należy następujące: *dat a big bow-wow* (to jest duży pies), *dit naughty* (siostra niegrzeczna), *dit dowga* (siostra jest na dole). W miarę potęgowania się zdolności obserwacyjnej dziecka i wzrastania jego zainteresowania się przedmiotami, powiększała się też liczba zdań przez nie używanych. Następnie, gdy się rozwinęła zdolność oddzielania stosunków, wymawiania i łączenia wyrazów, dziecko próbowało sił swoich i na zdaniach bardziej rozwiniętych jak np.: *mama naughty say dat* (mama powiedziała to na dole) ¹⁾.

¹⁾ Loc. cit. str. 435, 436.

Jeżeliby to było potrzebnem, mógłbym wszystkie wyżej przytoczone przykłady potwierdzić spostrzeżeniami własnymi nad rozwojem zdolności umysłowych dziecka, lecz dla przyczyn wyżej już przytoczonych przekładam fakty podane przez świadków bezstronnych, a to tembardziej, że fakty te mają znaczenie pierwszorzędne dla przedmiotu przez nas badanego, jak to zaraz zobaczymy. Mamy zatem niezbity dowód na to, że dziecko, dorastając, posiada zdolność nietylko tworzenia lecz i wyrażania zdań przedpojęciowych na długo przedtem, nim ono wykazuje najmniejszy nawet zaczątek samowiedzy wewnętrznej, czyli prawdziwej lub pojęciowej. Inemi słowy, musimy przyjąć jako fakt, że na długo przedtem, nim umysł ludzki jest dość rozwinięty, aby mózg spostrzegać stosunki jako takie lub konstatować fakty jako takie, może on już spostrzegać stosunki i konstatować fakty. Logika poznań ma w tym razie do czynienia z temi wyższemi sądami poznaniowemi, które ja przedpojęciowemi nazwałem i zdolną jest wyrażać je znakami słownemi, nie potrzebując uciekać się do pośrednictwa prawdziwej, czyli wewnętrznej samowiedzy. Należy sobie przypomnieć, że ja utworzyłem te wszystkie terminy różne, w celu uchylecia możliwego zarzutu, że nie może być sądu prawdziwego bez samowiedzy prawdziwej. Nie przypisuję zresztą znaczenia wielkiego temu, jakich używać należy terminów dla oznaczenia różnych, kolejno po sobie następujących stopni rozwoju, które teraz zamierzam wyłożyć. Chciałem tylko wykazać jaknajjaśniej, że mamy tu do czynienia z *rozwojem*, albo z nieprzerwanym postępowaniem odnośnie do stopnia, który jest zupełnie odmiennym od różnicy gatunkowej.

Przedewszystkiem musimy zauważyć, że te zdania zaczątkowe stanowią już znaczny postęp w porównaniu z tem co napotykamy u zwierząt. U dziecka bowiem, pomiędzy drugim a trzecim rokiem życia, napotykamy te zaczątkowe zdania, które nietylko zostały uformowane za pośrednictwem logiki poznań, lecz są jeszcze wyrażone za pomocą logiki przedpojęciowej w taki sposób, że od prawdziwych zdań różnią się tylko brakiem samowiedzy. *Dit dow ga* (siostra jest na dole, na trawie) jest pod każdym względem zdaniem zupełnem, z wyjątkiem chyba braku łącznika, który, jakieśmy to już wyżej wykazali, nie ma znaczenia psychologicznego. Dziecko w tym przypadku spostrzega pewien fakt i konstatuje to spostrzeżenie wyrazami, w celu *udzielenia informacyi o tym fakcie innym umysłom*, zupełnie tak samo jak w podobnych okolicznościach zwierzę używa gestu lub znaku głosowego. Lecz dziecko tak samo jak i zwierzę nie jest w stanie zamiarowo udzielać umysłowi własnemu relacyi, którą innym umysłom udziela. Ponieważ zaś dziecko posiada układ znaków daleko skuteczniejszy, niż zwierzę i ponieważ oprócz tego ma podwójną przewagę nad zwierzęciem w tem, że z jednej strony odziedziczyło wielką skłonność ku udzielaniu spostrzeżeń swoich innym za pomocą znaków, z drugiej zaś strony otoczonem jest środowiskiem mówiącem, więc nie powinno to nas dziwić, że sądy jego praktyczne (lubo im nie towarzyszy jeszcze samowiedza) częściej, niż u zwierząt wyrażane bywają znakami, niż sądy praktyczne zwierząt. Dla tych samych powodów nie powinno nas dziwić, że używane przez dzieci, w tym wieku będące, frazesy orzekające mają tę wyższość nad takimi frazesami, używanymi przez papugi, że przedmioty i orzecz-

nia nie są więcej zespolone ze sobą w szczególnych frazesach, albo używając porównania już raz zastosowanego, możemy powiedzieć, że orzeczenia dziecka nie są więcej stereotypami, lecz są one raczej czcionkami ruchomymi, z których drogą kombinacyj różnorodnych można formować frazesy najrozmaitsze. Dla ptaka gadającego frazes, pod względem znakowania, niema większego znaczenia od wyrazu pojedynczego, dla dziecka zaś będącego na stopniu rozwoju przez nas teraz rozważanego, jest czemś daleko ważniejszym, jest on bowiem przyrządem specjalnym, służącym do wyrażenia znaczenia szczególnego, które, być może, nigdy przedtem nie było wyrażonem za pomocą tego lub innego jakiegos frazesu. Przypisując jednak należne znaczenie temu postępowi wielkiemu w kierunku zdolności orzeczenia prawdziwego, musimy atoli zaznaczyć, że na tym stopniu rozwoju nie mamy jeszcze przed sobą prawdziwego orzeczenia, będącego wyrażeniem sądu prawdziwego, czyli pojęciowego, z drugiej zaś strony musimy zaznaczyć, że zdolności używania wyrażań jako czcionek ruchomych nie powinniśmy uważać za postęp cudowny lub nieprzewidziany w zdolności znakowania. Prawdziwie ważnym i godnym uwagi punktem jest ten, że pomimo wielkiego *postępu* w kierunku zdolności orzeczenia, *nie dotarliśmy jednak do samej tej zdolności*, zdaniom w tej fazie rozwoju uformowanym nie towarzyszy jeszcze samowiedza; nie są one jeszcze pojęciami lecz przedpojęciami.

Mając danym ten stopień rozwoju umysłowego zapytajmy się, jakie będą jego konsekwencye? Jeszcze raz przypominam, że nie mam zamiaru rozwiązać kwestyi niemożliwej o naturze samowiedzy wewnętrznej,

t. j. nie mam zamiaru zbadać, w jaki sposób taka zdolność jest wogóle możliwą. Przyjmuję raczej jako dane jej istnienie (a raczej jej możliwość) i, opierając się na tym fakcie, postaram się wykazać, w jaki sposób według mojego mniemania, samowiedza może się rozwinąć po tym stopniu rozwoju umysłowego, któryśmy opisali wyżej.

Logika poznań dostarcza dziecku zupełnie tak samo jak i zwierzęciu światu obrazów, będących znakami przedmiotów zewnętrznych; oprócz tego, daje mu jeszcze znajomość efektywną o innych umysłach i tę świadomość o sobie, jako o czynniku działającym i biernym, którą ja, idąc za przykładem Chancey-Wrighta nazwałem *świadomością zewnętrzną*. Lecz dziecko ma tę przewagę nad zwierzęciem, iż dowolnie rozporządza udoskonalonym przyrządem znakowania, który daje mu możność udzielania umysłom innym (efektywnie znanym) zawartości poznaniowej swej wiedzy. Otóż pomiędzy temi zawartościami znajdują się też spostrzeżenia dziecka o stanach umysłowych organizmów innych, stanach wyrażonych za pomocą giestów, dźwięków i wyrazów. Wszystkie te stany otrzymują właściwe sobie nazwy i tym sposobem stają się jasnymi i zupełnie określonymi. Zdanie: „Mama podobała się Dolkowi“ nie miałyby znaczenia w ustach dziecka, gdyby ono z własnych swoich uczuć nie wiedziało, jakim jest stan umysłu, który efektywnie przypisuje umysłowi innemu. Dlatego nie powinno to nas dziwić, jeśli dziecko w tej fazie rozwoju powie: „Dolek podobał się mamie“. Lecz widoczną jest rzeczą, że teraz zbliżamy się do granic samoświadomości prawdziwej. „Dolek“ nie przestaje wprawdzie odnośnie do siebie używać terminologii ob-

jektywnej, lecz tak dalece on już postąpił w interpretacji własnych stanów umysłu, że jest w stanie nazywać je z taką samą jasnością, z jaką nazywa jakiegokolwiek przedmioty zewnętrzne, będące obiektami jego postrzeżeń zmysłowych. Tym sposobem jest w stanie utrwalenia stanów tych przed okiem swego ducha jako przedmioty, mogące być *denotowane* za pomocą znaków słownych, lubo nie jest jeszcze w stanie *denominować* ich.

Przedział pomiędzy stopniem rozwoju, w którym Dolek poznaje siebie jako przedmiot, a tym, w którym uważa się jako podmiot zmian umysłowych, nie jest znowu zbyt wielkim. Prosty akt zastosowywania znaków słownych do wewnętrznych stanów umysłowych pociąga za sobą zogniskowanie uwagi na te stany i gdy takowe stało się nawyknieniem, wtedy staje się zadość jedynemu dalszemu warunkowi, potrzebnemu na to, aby umysł wskutek możności przypominania sobie stanów przeszłych umysłowych, mógł porównywać przeszłość z terażniejszością i tym sposobem dojść do chwytania ciągłości pomiędzy stanami różnemi umysłu własnego, na czem właśnie polega świadomość introspektywna własnego „ja“.

W tym samym duchu powiada Chauncey-Wright: „Dowolna pamięć, czyli przypominanie, znajduje wielką pomoc w mowie. Jest to postępowanie próbne, zupełnie podobne do tego, gdy szukamy przedmiotu zewnętrznego, zgubionego lub ukrytego. Staramy się wskrzesić zapomniany obraz umysłowy lub cały szereg takich obrazów za pomocą wyrazów; z drugiej zaś strony usiłujemy przywołać do życia wyraz zapomniany za pomocą obrazów umysłowych, lub też za pomocą innych wyrazów. Nie jest rzeczą pewną, aby ta zdolność była

wyłącznym udziałem naszej rasy, jak to powszechnie sądzą, z wyjątkiem rozumie się wyższych stopni tej zdolności, do których człowiek doszedł drogą ciągłego używania. Nie jest rzeczą niemożliwą, aby pies inteligentny był w stanie przypomnieć sobie fakt zapomniany, dzięki uwadze skierowanej ku pewnym celom, gdy np. chodzi o miejsce, gdzie ukrył kość¹⁾.

Lecz bez względu na to, czy zwierzęta posiadają jakąś zdolność przypominania, odmienną od pamięci ludzkiej, czy też nie, nie ulega wątpliwości żadnej, że używanie wyrazów jako znaków w wysokim stopniu przyczynia się do rozwoju tej zdolności, a tem samem do dokładnego postrzeżenia ciągłości, zachodzącej pomiędzy stanami wewnętrznymi, czyli umysłowymi, na czem właśnie polega świadomość jednego i tego samego „ja“. Nabytek mowy w wysokim stopniu posuwa naprzód pojęcie własnego „ja“, zarówno jako biernego, czyli czującego czynnika, jakoteż jako przyczynę działającą, gdyż zarówno uczucia jak i czynności tego „ja“, jasno występują przed umysłem za pośrednictwem nazw denotacyjnych, a nawet jakieśmy to widzieli, za pośrednictwem zdań przedpojęciowych. Nie ulega też wątpliwości, że do poznania swego „ja“ w obu tych czynnościach znacznie się przyczyniają wzruszenia. Oznaki

¹⁾ „Philosophical Discussions“ str. 256. Porównaj też „Animal Intelligence“ str. 269, 270, gdzie znajdujemy opis wypadku, kiedy papuga usiłowała przypomnieć sobie oddzielny wyraz pewnego frazesu. W badaniach nad inteligencją pajaków („Journ. Morph. I str. 383—419). Państwo Peckham wykazali, że pamięć o jajkach zabranych samicy trwa u różnych gatunków przez peryod większy niż jedna, lecz mniejszy niż dwie doby.

miłości, sympatyj, pochwały, nagany i t. d. ze strony innych i uczucie współubiegania się, dumy, tryumfu, zniechęcenia i t. d. ze strony własnego „ja“ z konieczności dążą do wpajania w dziecko dorastającym idei osobistości. „Gdy uwaga dziecka skierowaną jest na wewnątrz w akcie zastanawiania się nad czynnościami własnymi, wynikającymi ze złych lub dobrych pobudek, wtedy obudza się w niem dokładniejsza świadomość własnej osobistości¹⁾).

Współdziałanie wszystkich tych czynników prowadzi do stopniowego osiągnięcia samoświadomości. Użyłem wyrażenia „stopniowego“, gdyż cały proces przedstawia się jako rozwój. Pomimo to jednak mamy uzasadnioną przyczynę mniemać, iż gdy ten rozwój doszedł do pewnego punktu, robi on skok nagły, który w takim zostaje stosunku do rozwoju umysłowego, w jakim akt porodu pozostaje do rozwoju ciała. W żadnym z tych dwóch przypadków rozwój w przybliżeniu nawet nie jest skończonym. Pomiędzy wolno się rozwijającymi fazami *in utero* i fazami rozwoju po przyjściu już na świat następuje wielka i nagła zmiana w chwili, kiedy dziecko oddziela się od ciała matki. Niektóre powody skłaniają nas do przypuszczenia, że podobnie ma się rzecz i w przypadku odnoszącym się do umysłu człowieka. Pomiędzy rozwojem stopniowym myślenia poznaniowego a niemniej stopniowym rozwojem myślenia pojęciowego znajduje się chwila krytyczna, kiedy dusza poraz pierwszy się odłącza od karmiącego ją gruntu postrzeżeń rodzicielskich i obudza się w świecie nowym istnienia świadomego i indywidualnego.

1) Sully. Loc. cit. str. 377.

„Procesy końcowe, za pomocą których odbywa się oderwanie „ja“ od świata zewnętrznego, są stopniowe. Jest to praca bardzo powolna kolejna. Sam jednak akt oderwania się następuje nagle. Jest to pojedynczy moment, kiedy „ja“ nagle i z całą świadomością występuje przed duszą; jest to ta sama chwila, od której zaczyna się pamięć samoświadoma. Z tego to powodu bardzo często ten moment błyskawiczny ukazania się samowiedzy do późnego wieku trwa jako wspomnienie“¹⁾).

Oczywiście, że dowody, odnoszące się do tego przedmiotu muszą z konieczności być mniej lub więcej niedokładne, a to dla przyczyn następujących: przede wszystkim zdolność analizy introspektywnej w fazie, w której ona dopiero się wytwarza, musi być bardzo mało kompetentną dla wypowiedzenia czegoś pewnego o okolicznościach towarzyszących początkowi własnemu; następnie, każdy z nas doskonale wie, z jaką niepewnością należy w wieku dojrzałym opierać się na wspomnieniach doświadczeń zrobionych w wieku dziecięcym. Z tego to powodu wspomniałem ubocznie tylko o tym dowodzie, z wyraźnem zastrzeżeniem, że nie przypisuję mu żadnego znaczenia odnośnie do przedmiotu przez nas badanego. Kwestya, czy w życiu każdej istoty po-

¹⁾ Wundt. Loc. cit. str. 289, 290. Uczony ten przytacza przypadki, w których pamięć dokładna o tym momencie przetrwała bardzo długo; w innym znowu miejscu twierdzi, że wypadek taki miał też miejsce z nim samym. Okoliczność towarzysząca nagłemu ukazaniu się samowiedzy polegała na tem, że spadł ze schodów do piwnicy — wypadek, który w każdym razie był bardzo odpowiednim do wpajania w świadomość dziecięcą idei o własnej osobistości.

między drugim a trzecim rokiem następuje chwila szczególna, w której świadomość o własnej indywidualności objawia się w rozwijającej się duszy, czy też takiej chwili wcale niema, nie może mieć wpływu żadnego na wyniki analizy naszej. Jakoż, jeśliby nawet ten przypadek statecznie miał miejsce, to objawy samowiedzy musiałyby koniecznie być w stopniu bardzo małym, odpowiednio do dziecinnego rozwoju wszystkich innych zdolności umysłowych. Nie ulega też wątpliwości, że to objawienie samowiedzy daje się sprowadzić do tego procesu rozwoju poznaniowego, który był przedmiotem badań wyżej przytoczonych i który, trzymając się wyrażen użytej już przez nas analogii, możemy porównać do życia zarodka w łonie matki. Z drugiej zaś strony, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta nowoobjawiająca się świadomość o własnej osobistości musi w następstwie być dopełnianą przez inny przebieg rozwoju umysłowego, należącego do sfery pojęciowej, jeżeli tak uzupełniona zdolność myślenia introspektywnego ma dojść do tego stopnia rozwoju, który oddziela umysł człowieka dorosłego od umysłu niemowlęcia na taki przedział, na jaki w tym samym czasie ciało człowieka dorosłego oddala się od ciała noworodka.

W tym krótkim rozbiorze zasad, które prawdopodobnie służyły za podstawę rozwojowi samowiedzy, chciałbym położyć nacisk szczególny na ten przedmiot, na który, mojem zdaniem, autorowie dawniejsi nie zwracali uwagi dostatecznej—mianowicie, na początek efektywny wiedzy subiektywnej. Logika poznań zaopatruje zarówno dziecko, jak i zwierzę w nadzwyczaj skuteczny zapas informacji efektywnych, które po najwięk-

szej części są pochodzenia dziedzicznego. Dowodem tego są: uśmiech dziecka, wywołany przemówieniem pieśszcziotliwym, płacz jego gdy krzykniemy, nie wspominając już o ciekawszych jeszcze objawach, napotykanych u zwierząt, jak np. o fackie, że tylko co wylęgte pi-skłeta doskonale rozumieją różne głosy kury, że ogarnia je strach paniczny, gdy słyszą głos jastrzębia, że noworodki ssaków rozumieją głos matki. ¹⁾ Co więcej, przekonywamy się, że dziecko na długo jeszcze przed użyciem wyrazów, objawia już silną dążność ku uważaniu wszystkich przedmiotów, zarówno żyjących, jak nieżyjących, jako efekty. Fakt ten jest tak powszechnie znanym, że nie mam potrzeby przytoczyć przykładów specjalnych. Skłonność ta niezupełnie znika nawet i wtedy, kiedy zdolność mowy i razem z nią możność rozróżniania pomiędzy przedmiotami żywymi a martwymi doszła do zupełnego rozwoju. Sully przytacza przykłady tego rodzaju, opowiadając o dziewczynce pięcioletniej, przemawiającej do matki w sposób następujący: „Mamo, zdaje mi się, że ta obręcz żyje, tak jest wrażliwą; wszędzie idzie, dokąd ją posyłam“. ²⁾ Tę samą dążność napotykamy też w psychologii ludów nieucywilizowanych. Całe stronicie możnaby było zapisać przykładami dowodzącymi, że dzicy na całej kuli ziemskiej uosobniają zarówno przedmioty martwe jak i siły natury, nadając im przymioty psychiczne; je-

¹⁾ Patrz „Mental Evolution in Animals“ str. 611—165. Perez przytacza fakty analogiczne odnośnie do niemowląt w czterem nastym miesiącu życia „First Three Years of Childhood“. Tłom. ang. str. 19.

²⁾ „Outlines of Psychology“ str. 378.

dnocześnie w najwyżej nawet rozwiniętych językach napotyamy ślady terminologii efektywnej. I jeżeli prof. Max Müller słusznie twierdzi, że zaimek osobisty *ja* we wszystkich językach daje się sprowadzić do pierwiastków mających znaczenie *ten jeden* w połączeniu z giestem wskazującym, to otrzymamy przez to dodatkowy dowód na to, że idea jaźni początkowo miała charakter efektywny. Co więcej, nie przesadzamy twierząc, że nawet i człowiek ucywilizowany znajduje się pod wpływem skłonności wrodzonej nadawania przedmiotom zewnętrznym, zdolności czucia i woli, które znane mu są z własnej świadomości. Dowód na to mamy z jednej strony w powszechnej przewadze hipotezy psychizmu w przyrodzie, z drugiej znów—nowego na to dowodu dostarcza nam fakt analizy psychicznej, wykazującej, że idea o przyczynie ma początek swój w wysiłku mięśniowym.

Otóż widoczną jest rzeczą, że we wszystkich tych przypadkach dążność umysłu ludzkiego w każdej fazie swego rozwoju do efektywnego rozważania wszystkich fenomenów zewnętrznych, jest wynikiem tego, iż człowiek intuicyjnie, albo za pomocą logiki poznań przekonuje się, że egzystencja jego jest dwojaka: cielesna i duchowa. Znajomość ta już w najwcześniejszym okresie jego życia skłania go do uważania swojego „ja“ jako efektu, podobny do wszystkich innych otaczających go tego samego rodzaju. Lecz jak tylko dochodzi do możliwości przedpojęciowego orzeczenia, dziecko jest już w posiadaniu przyrzędu psychologicznego, za pomocą którego może obserwować swoje własne stany umysłowe. Gdy zaś uwaga jest skierowaną na te stany, wtedy z konieczności następuje to, co każdy taki akt uwagi wywołać musi, mianowicie **[**musi się rozwi-

nać świadomość o własnej osobistości, będącej jednocześnie przedmiotem i podmiotem poznania.

Muszę tu zwrócić uwagę, że analiza powyższa nie jest, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło, przeciwną wnioskowi, do którego dochodzi Wundt, odnośnie do tego samego przedmiotu, wniosku, streszczającego się w słowach następujących: „Dopiero wtedy gdy dziecko za pomocą cech charakterystycznych i dokładnych odróżnia własną swoją istotę od innych, czyni on dalszy postęp, spostrzegając, że te inne są również istotami w sobie i same przez się“. ¹⁾ Innemi słowy, przypisywanie osobistości własnej istocie poprzedza czynność nadawania jej istotom innym. Nie chcę podawać w wątpliwość twierdzenia tego, chociaż nie sądzę, aby wogóle w tym przypadku mogła być mowa o czemś wcześniejszym, lub późniejszym. Główny punkt, na który chciałem zwrócić uwagę, jest ten, że te dwa pojęcia poprzedzają dwa poznania odpowiednie, mianowicie wyobrażenie poznaniowe o swoim „ja“, jako o czynniku, następnie efekt tego wyobrażenia poznaniowego, za pomocą którego uznajemy „ja“ jako czynniki i „inne istoty“. Z tych dwóch poznań rozwijają się następnie pojęcia odpowiednie o osobistości. Porządek rozwoju jest następujący.

A) Przedmiot poznaniowy. a) Efekt poznaniowy

B) Przedmiot pojęciowy. b) Efekt pojęciowy.

Z tego wszystkiego wydaje mi się zupełnie oczywistym, że mowa jest zarówno poprzedniczką, jak i następczynią samowiedzy. Widzieliśmy, że na sa-

¹⁾ Vorlesungen*, tom II, 189.

mym początku jej, czyli wtedy, gdy dziecko nie jest jeszcze w stanie skonstatować faktu jako takiego, wtedy co ja nazwałem orzeczeniem zaczątkowym, czyli przedpojęciowym, ma jedynie do czynienia z egzystencją obiektywną, albo efektywną; wszystkie zdania wypowiedziane przez dzieci, w ciągu dwóch pierwszych lat życia odnoszą się do przedmiotów pod zmysły podpadających, stanów czuciowych i t. p., lecz nigdy nie orzekają o sobie, jako o takich, a zatem i o faktach jako takich. Lecz jak tylko protoplazma orzeczenia albo znakowania, na tym stopniu opracowania będąca zaczyna swobodnie się nięszać z protoplazmą sądu, lub z logiką poznania będącą na tym stopniu rozwoju, wtedy następuje ściśły ruch działania i oddziaływania; sądy stają się jaśniejszemi i wyrazistszemi wskutek tego, że przybierają formę zdań, chociażby bardzo pierwotnych, gdy jednocześnie te ostatnie szybciej się rozwijają pod wpływem rozwoju zdolności sądzenia. Gdy zaś ta postępowa organizacja zdolności doszła do stopnia, przy którym umysł jest w stanie orzekać o własnych swoich stanach, wtedy możemy powiedzieć, że organizm duchowy poraz pierwszy wstępuje w życie samowiedzy prawdziwej. ¹⁾

¹⁾ W szkicu powyższym zasad dotyczących się rozwoju samowiedzy zajmowałem się tylko tą kwestją ze strony psychologicznej i tylko o tyle, o ile to było potrzebnem dla moich celów. Ci, którzyby chcieli mieć informacye dokładniejsze o psychologii tego przedmiotu, mogą się poradzić Wundta, loc. cit., Sully'ego, loc. cit. i „Illusions“ (rozdział X), Taine'a „O Inteligencji“, Chauncey-Wrighta, „Evolution of Self-consciousness“, Waitza, „Lehrbuch der Psychologie“ 58. Jako informacye, dotyczące się fizjologii i patologii tego przedmiotu mogą służyć prace Tai-

ne'a, Maudsleya i Ribota („O inteligencji“, „Patologia ducha“, „Choroby pamięci“), jako też rozprawa Herzena pod tytułem „Les modifications de la Conscience du moi“. Praca P. F. Fitzgeralda „Essay on the Philosophy of Self-consciousness“ traktuje stronę metafizyczną naszego przedmiotu. Szkoła Hegla i Neo-Kantowska orzeka możność początku i rozwoju samowiedzy w czasie. Tak np. Green wyraźnie mówi: „Jeżeliby ktoś postawił pytanie: jeżeli ta samowiedza nie jest pochodzenia naturalnego, to jakież jest jej początek? wówczas należy odpowiedzieć, że niema wcale początku. Ona nigdy nie miała początku, gdyż zawsze istniała. Ona jest warunkiem potrzebnym na to, aby wogóle istniał początek i koniec. To co się zaczyna i kończy ma tylko znaczenie odnośnie do niej“. („Prolegomena to Ethics“ str. 119). Na to mogę tylko odpowiedzieć, że ja z mojej strony przekonany jestem o fakcie, iż moja samowiedza miała początek w czasie i następnie stopniowo się rozwijała. „Das Ich ist ein Entwicklungsprodukt, wie der ganze Mensch ein Entwicklungsprodukt ist“ (Wundt).

ROZDZIAŁ XI.

Przejście w osobniku.

Sądzę, że posiadamy już dość materiału, abyśmy mogli dać odpowiedź zadawalniającą, odpowiedź na pytanie, które było dla nas punktem wyjścia. Jestże rzeczą zrozumiałą, aby umysł ludzki na drodze rozwoju naturalnej genezy mógł się rozwinąć z umysłów małą wyższych? Utrzymuję, że posiadany przez nas materiał w zupełności wystarcza do okazania, iż rozwój taki nie tylko jest zrozumiałym, lecz jest jeszcze koniecznym.

Przedewszystkiem musimy przypomnieć, że nie tylko życie postrzeżeniowe, lecz że i tak nazwane przez nas życie poznaniowe jest wspólnym udziałem człowieka i zwierząt. Pod tym względem nie może być mowy o jakiejś różnicy gatunkowej. Różnica zatem, zarówno gatunkowa, jak i co do stopnia może tylko zachodzić odnośnie do tych elementów dodatkowych psychologii, które tylko człowiekowi są właściwe i które, idąc za śladem innych psychologów, nazwałem pojęciowemi. Z umysłu użyłem wyrazu „elementy“, gdyż wszyscy zgadzają się ze sobą, iż wszystkie różnice, jakie achodzą w życiu pojęciowem, są tylko różnicami co do

stopnia, albo innemi słowy, nie ulega wątpliwości, że łańcuch nieprzerwany łączy procesy myślenia człowieka dzikiego z ideami wylęglami w umyśle takiego gieniusza, jakim był Shakespeare. Pozostaje tylko jedna kwestya otwarta a mianowicie, jaki zachodzi związek pomiędzy najwyższem poznaniem zwierzęcem i najniższem pojęciem człowieka.

Rozpatrując tę kwestyę, musimy przedewszystkiem przypomnieć sobie nadzwyczaj wysoki stopień myślenia przystosowanego, do którego zdolnem jest wznieść się życie czysto poznaniowe zwierząt. Jeżeli porównamy myślenie mojej płaksy, która uczciwie zbadała zasadę mechaniczną jednej śruby i otrzymane tym sposobem rezultaty zastosowała do śrub wogóle—z myśleniem człowieka z epoki kamiennej, który w ciągu wielu tysięcy lat nie zdołał wznieść się wyżej nad możność łupania krzemienia, to przy ocenieniu praktycznej działalności, czyli przystosowania, trudno będzie twierdzić, że taki człowiek znacznie się oddalił od małpy. Jeżeli teraz zauważymy, że taki człowiek nigdy nie wpadł na prosty pomysł przymocowania odłamku krzemienia do rączki, aby tym sposobem dłużej przerobić w siekiere ¹⁾, to trudno nam będzie twierdzić, aby odnośnie do wynalazków mechanicznych zaranie życia pojęciowego miało jakąkolwiek przewagę nad wyższem życiem poznaniowem mojej płaksy. Pomimo to jednak twierdzę i przy tem twierdzeniu obstaję, że bezwzględnie na wysoki stopień

¹⁾ Ze wszystkich ulepszeń epoki neolitycznej najważniejszym był wynalazek siekiery. Za pomocą siekiery człowiek odniósł największe zwycięstwo nad przyrodą (Boyd Dawkins: „Early Man in Britain”, str. 278).

rozwoju poznań i cudowności umożliwionych przez to czynności przystosowywanych, zachodzi jednak kolosalna różnica pomiędzy „wnioskiem praktycznym“, czyli sądem poznaniowym“ a wnioskiem pojęciowym“, czyli sądem prawdziwym, która polega na tem, że pierwszy z nich sam nie może być przedmiotem poznania. Nie ulega kwestyi, że mamy przed sobą fakt nadzwyczaj ciekawy, iż za pomocą samej znajomości poznaniowej małpa jest w stanie odkryć zasadę mechanizmu *jednej śruby* i zastosować ją następnie do *wszystkich śrub*. Lecz nawet i w tym przypadku nie wskazuje nam, aby małpa kiedykolwiek *rozmyślała* nad zasadą śruby *jako taką*. Owszem, możemy być pewni, że małpa nie jest w stanie tego uczynić, gdyż widzimy, że ona nie posiada narządów intelektualnych a zatem i *warunków przedwstępnych*, do tego celu potrzebnych; wszystko co małpa zrobiła, sprowadza się do tego, że poznaniowo spostrzegła pewne analogie, lecz ich nie *pojęła*, to jest, tych analogij jako *takich* nie uczyniła przedmiotem swoich rozmyślań. Małpa zatem nie była w stanie *orzec* o odkryciu, jakie uczyniła, albo innemi słowy, nie była w stanie pozostawić własnemu umysłowi nabytej wiadomości jako wiedzę.

Weźmy teraz inny przykład. Ptak, który na zasadzie tego, że widział trzech ludzi wchodzących do jakiegoś zabudowania a tylko dwóch wychodzących—wnosi, że jeden z nich musiał pozostać, zrobił przeto wniosek swój poznaniowo: wszystkie dane, na których wniosek ten się opiera, otrzymał on z różnicy w postrzeżeniach zmysłowych. Chociaż jednak dane te są wystarczające do wyprowadzenia tego, co Mivart nazywa „wnioskiem praktycznym“, do wyprowadzenia mianowicie wniosku, że jeden

człowiek musiał się zostać w zabudowaniu, to atoli nie są one dość jasne, aby ptak mógł poznać stosunki liczbowe jako takie, to jest, aby on w jakikolwiek sposób mógł orzec, że $3 - 2 = 1$. Dla uczynienia tego, ptak musiałby porzucić dziedzinę znajomości poznaniowej i wznieść się do sfery pojęciowej, musiałby wtedy być w stanie zastępować w jakikolwiek sposób ideje—symbolami. Nasze rozróżnienie w niczem się nie zmieni, jeśli się dowiemy, że w stosunkach handlowych z niektórymi dzikimi plemionami „zapłata za każdą pojedynczą owcę musi być oddzielnie uiszczoną, tak że przy umówionej cenie jednej owcy za dwie wiązki tytoniu, dziki będzie w wielkim kłopotcie, jeżeli zabierzemy mu dwie owce i damy mu za nie cztery wiązki tytoniu“¹⁾.

Podobne fakty dowodzą tylko, że pod pewnym względem wyższe poznaniowe życie zwierząt dosięga prawie tego samego poziomu, co i niższe pojęciowe życie człowieka. I chociaż podobne fakty znacznie osła-

¹⁾ Galton. „Tropical South Africa“ str. 213 opowiada co następuje: „Pewnego razu, gdy obserwowałem damarczyka pocącego się bezskutecznie nad jakimś rachunkiem, spostrzegłem, że i moja wyżlica w podobnym była kłopotcie. Pilnowała półtuzina swoich szczeniąt, które jej dwa lub trzy razy zabrano i była w strachu wielkim, nie wiedząc, czy jej wszystkie zwrócono. Kręciła się biedaczka koło nich, rzucając na nie wejrzenia niespokojne i w żaden sposób nie mogła dojść do zdawalniającego rezultatu. Miała ona wprawdzie jakieś pojęcie mgliste o liczbie, lecz liczba ta była dla niej zbyt wielką. Porównywając ze sobą te dwie istoty żyjące damarczyka i psa, przyznać muszę, że porównanie nie wypadło na korzyść człowieka“. W tem miejscu zwracam uwagę na to, co mówiłem już o szympansie „Sally“, którego nauczyłem podawać 1, 2 do dzieięciu słomek.

biają zarzuty przeciwników moich, dotyczące się twierdzenia o ciągłości gatunkowej obu tych zjawisk, to jednak w niczem się one nie przyczyniają do wyjaśnienia różnicy psychologicznej pomiędzy poznaniem a pojęciem.

Różnica ta, jakieśmy to często już powtarzali, polega na tem, że poznanie jest ideą, która sama przez się nie może być przedmiotem wiedzy, pojęcie przeciwnie, wskutek nadania mu nazwy przez świadomego siebie działacza, jest ideą, która może być przedstawioną umysłowi tego działacza *jako* taką, albo jako stan umysłowy, mogący być introspektywnie rozważanym jako taki. Chociaż zgadzam się z przeciwnikami moimi co do tego, że mamy tu przed sobą największą i jedyną różnicę całej psychologii, to jednak muszę protestować przeciwko sposobowi, w jaki oni różnicę tę badają. Gdyż metoda ich polega na tem, że formę najwyższą pojęcia przeciwstawiają poznaniu zwierząt, co więcej, jakieśmy tu już widzieli, posuwają się oni jeszcze dalej, twierdząc, że „najprostszym elementem myśli“ jest sąd wcielony w zdanie. Z takim samym prawem mógłibyśmy twierdzić, że najprostszym elementem materji jest $H_2 SO_4$, albo że najprostszym elementem muzyki jest ton symfonii C-moll. Oczywiście zatem, wobec twierdzenia, że najprostszym elementem myśli jest sąd, musimy wymagać od najprostszej analizy psychologicznej, aby znaczenie tego wyrazu rozszerzyła od czynności umysłowej, występującej przy orzeczeniu zupełnem do aktu psychicznego, zespolonego z pojęciem najprostszem.

Co więcej, przeciwnicy moi nietylko lekkomyślnie popełnili błąd, uważając sąd orzekający jako najprostszy element myśli, lecz zapomnieli nawet o tem, że i po-

jęcie musi być analizowanem odnośnie do faz poprzedzających je nim ten istotnie najprostszy element myśli będzie mógł być uważanym jako dowód różnicy psychologicznej co do gatunku u jednej znanej nam inteligencji, w której się przejawia. Otóż badania moje nad pojęciem wykazały, że je poprzedza to, co ja przedpojęciami nazwałem, które dają się połączyć w tak nazwane przymiennie sądy rodzące się, niedokładne lub przedpojęciowe. Innemi słowy, widzieliśmy, że życie pojęciowe człowieka dosięga wyższego stopnia rozwoju, niż życie pojęciowe zwierząt, wcześniej jeszcze nim ono wchodzi w prawdziwą fazę pojęciową, odznaczającą się tem, że jej towarzyszy refleksya samowiedzy. Dla odróżnienia tego wyższego pojęciowego życia człowieka, od niższego pojęciowego życia zwierząt, wprowadziłem wyżej przytoczone terminy.

Tyle co do różnych stanów formacyi idei, które aż do znudzenia powtarzam. Zwracając się teraz do mojego rozbioru różnych sposobów ich wyrażania, albo ich tłumaczenia na rozmaite równoważne im układy znaków, widzimy, że wiele niższych zwierząt jest w stanie postrzeżenia swoje zakomunikować innym, za pomocą gestów oznaczających przedmioty, przymioty, czynności, pragnienia i t. d., i że w jedynym przypadku, kiedy są w stanie wydawać dźwięki członkowane udzielają sobie swoje spostrzenia za pomocą wyrazów. Pod pewnym zatem względem możemy twierdzić, że i zwierzęta posługują się mową. Lecz dla odróżnienia tego rodzaju mianowania od drugiego, cechującego myślenie pojęciowe, użyłem terminologii scholastycznej i nazywam pierwszy rodzaj mianowania—aktem denotacyi, jako odmienny od aktu denominacyi. Co więcej, przekonawszy się, że za

pomocą mowy denotacyjnej, jakieśmy to już widzieli, można oznaczać zarówno przymioty jak i czynności, przychodzimy do wniosku, że na wyższym stopniu postrzeżeniowego tworzenia idei (t. j. w fazie przedpojęciowej), mowa denotacyjna jest w stanie uformować to, co ja zdaniem przedpojęciowem nazwałem. Zdania przedpojęciowe różnią się od zdań prawdziwie pojęciowych tem, że mówiący niema przy nich prawdziwej samowiedzy; komunikując zatem innym swoją wiedzę postrzeżeniową, albo orzekając o jakimś fakcie, mówiący nie jest jeszcze w stanie skonstatować faktu jako takiego, ani też poznać swej wiedzy jako takiej. Zdaje się, że tylko pod tym względem zachodzi różnica pomiędzy zdaniem przedpojęciowem a pojęciowem, gdyż jedno z nich zdaje się przechodzić w drugie z chwilą ukazania się samowiedzy u dziecka dorastającego. Jeżeli się rzeczy tak mają, to mamy prawo twierdzić, że analiza wykazała, iż sposób denotacji u zwierząt w sposób ciągły i nieprzerwany przechodzi w orzeczenie człowieka. Goły bowiem fakt, że tylko pierwszą fazę napotykaemy u zwierząt, gdy *u człowieka po przebieżeniu równoległej drogi rozwoju* przechodzi w drugą fazę, nie może w żaden sposób służyć jako dowód twierdzenia, że przejście podobne nigdy nie miało miejsca w historii psychologii naszej rasy. Gdybyśmy chcieli coś podobnego twierdzić, musielibyśmy dowieść, że gdy takie przejście następuje w historii psychologicznej osobnika, to objawia się ono tak nagle i w tak rażący sposób, że przez nie samo jasnym się staje, że umysł człowieka doznaje wtedy zmiany co do gatunku.

Nakreśliwszy szkic mojego sposobu dowodzenia, przystępuję do wypełnienia szczegółów, przebiegając w porządku historycznym różne fazy formacji idei, którym na-

dałem nazwy: postrzeżeniowe, poznaniowe, przedpojęciowe i pojęciowe.

Wiedząc, że tu tkwi jądro kwestyi, chciałbym podać kilka jeszcze dodatkowych przykłałów poznaniowych i przedpojęciowych formacyj idej, wyrażonych przez znaki donotacyjne i konnotacyjne, używane przez dziecko, które dla tego celu podałem obserwacyi ścisłej.

Mając osmnaście miesięcy wieku, córka moja, która późno trochę zaczęła mówić, zachwycała się książkami z obrazkami i, jakiem już wspomniał w jednym z poprzednich rozdziałów, znajdowała prawdziwą przyjemność w nadawaniu nazw zwierzętom w książce narysowanym, nazywając owcę *bee*, krowę *muu*, chrząkając na widok świni, poruszając głowę w górę i na dół, rycząc przytem na widok osła lub konia. Tych różnych tonów i giestów nauczyła się od mamki w formie rzeczowników i zawsze je zastosowywała zupełnie prawidłowo i to bez względu na to, czy książka z obrazkami była jej znaną lub zupełnie nieznaną. W taki sam sposób nazywała też zwierzęta wyrysowane na anonsach, tapetach, dywanach, i t. d., jednym słowem wszędzie, gdzie napotykała rysunki przedmiotów, których nazwy nadane im przez mamkę były jej znane. Nie ulega zatem wątpliwości, że nadługo przedtem, nim dziecko było w stanie uformować zdania, lub przemówić w właściwym znaczeniu tego wyrazu, była już w stanie denotować przedmioty za pomocą giestów i dźwięków. W tym samym czasie dziecko używało już prawidłowo pewnej liczby wyrazów denotacyjnych, oznaczających czynności, t. j. czasowników czynnych. Kilka tygodni później córeczka moja nagle i samodzielnie użyła po raz pierwszy przymiotnika. Młodszego swego braciszka nazwała

„Ilda“ i wkrótce potem nazwę tę zastowała do oznaczenia wszystkich małych dzieci ¹⁾. Nieco później, przeglądając książkę z obrazkami, spostrzegła rysunek owcy z jagniętami i wtedy wskazując na owcę nazwała ją *Mamma-bee*, wskazując zaś na jagnięta nazwała je *Ilda-bee*. Tego samego wyrazu używała dla oznaczenia kaczk i kacząt, kury z kurczętami—i wogóle dla wszystkich zwierząt, którym nadała nazwę. Widoczną jest rzeczą, że w tym przypadku wyraz „Ilda“ używanym był dla oznaczenia idei gatunkowej „młody“. Tym sposobem nazwa, która początkowo służyła dla oznaczenia imienia własnego, czyli denotacyjnego, użytą została dla oznaczenia przymiotnika, czyli imienia konnotacyjnego. Lecz chociaż nazwa ta wyrażała przymiotnik, to takowy był natury tak bardzo zmysłowej, że właściwie oznaczała to samo co i rzeczownik, o ile rzecz dotyczy się zdolności abstrahowania. Wyraz ten, gdy za pomocą konnotacyjnego uogólnienia używanym był jako przy-

¹⁾ Chłopcu było na imię Ernest i tak go nazywali wszyscy członkowie rodziny. Ponieważ nie mogłem odkryć źródła naśladownictwa, które dało początek tak bardzo niepodobnej nazwie, użytej przez dziecko, upatruję w tem przykład samorodnego nadawania nazw przez małe dzieci, o czem wspominałem już w rozdziale „o artykulacji“. Odnosnie do używania przymiotników przez dzieci, przytoczę uwagę następującą prof. Preyera: „Muszę sprostować błędne mniemanie, jakoby wszystkie dzieci zaczynające mówić, używały z początku rzeczowników wyłącznie i dopiero w następstwie przechodziły do przymiotników. W rzeczywistości dzieje się inaczej“. Dla okazania tego Preyer przytacza przykłady, zaczerpnięte z obserwacji codziennej własnego dziecka, jak np. użycie wyrazu „ciepło“, gdy dziecko miało dwadzieścia trzy miesiące.

miotnik w wyrażeniu *dziecko bee* był oczywiście równoważnym słowu *dziecko*.

Prawie jednocześnie z nabytkiem przymiotników *dziecko* nauczyło się używać niektórych czasowników biernych i wyrazów oznaczających pewne stany uczuć; słownik jego wzbogacił się też niektórymi *przymiotnikami* oznaczającymi pewne stosunki w przestrzeni, jako np. *w górę, na dół* i t. d. ¹⁾

Równoległe z tym postępowaniem objawia się jeszcze, i to w sposób daleko wyrazistszy, ogólny rozwój zdolności znakowania w innym kierunku. Ponieważ mowa w znaczeniu orzeczenia formalnego na tym stopniu rozwoju nie istnieje, więc wspomniany wyżej postęp mógł tylko mieć miejsce w sferze giestów. Dziecko w tym wieku (dwa lata) było w stanie wyrazić znaczną liczbę idei prostych za pomocą współdziałania kombinacyjnego giestów, dźwięków i obszernego konnotacyjnego uogólniania znaczenia wyrazów. Giesty jednakże były jeszcze natury bardzo prostej i należały do rzędu najbardziej postrzeżeniowych, jak np. ciągnięcie za ubranie dla wyrażenia życzenia, aby drzwi otworzono, wskazywanie na szklanke dla wyrażenia chęci picia i t. d. Tak więc faza indykacyjna mowy w znacznej części zlewała się, albo nawet zastępowała pierwsze fazy denotacyjne i poznaniowo-konnotacyjne. Wspomniałem już, że ta faza indykacyjna mowy stanowi najwcześniejsze pojawienie się

¹⁾ Zobaczymy później, że w tej fazie rozwoju umysłowego niema dobrze określonej różnicy pomiędzy różnymi częściami mowy. Z tego to powodu w tem i w innych miejscach tego rozdziału słów „rzeczownik”, „przymiotnik”, „czasownik” używam w luźnym i ogólnym znaczeniu.

zdolności znakowania, które zauważyłem u moich dzieci i to w epoce, kiedy jedyne ich życzenia polegały na tem, aby je zaprowadzić do przedmiotu wskazanego. Według moich spostrzeżeń ma to miejsce u wszystkich dzieci. Obecnie chodzi o wykazanie, że gdy logika poznania staje się dokładniejszą, wtedy życzenia wyrażone przez wskazania stają się coraz różnorodniejszymi, aż do wieku 2¹/₂ lat (t. j. gdy się już rozwinęła artykulacja o charakterze znaczącym, czyli prawdziwa mowa) kiedy faza indykacyjna mowy przechodzi w pantominę prawdziwą, jak to widać z przykładu następującego: Kiedy dziecko moje wróciło do domu po pierwszjej kąpeli morskiej, wtedy przybiegło do mnie, chcąc mi opowiedzieć o doznanem wrażeniu. W tym celu przedewszystkiem wskazało na brzeg, następnie udawało, że się rozbiera, rzuca się w morze i w nie się zanurza, wskazało, że woda sięgała mu aż do włosów, które jak mi wskazało, dotychczas jeszcze są mokre. Całą tę historję opowiedziało mi, nie używając ani jednego wyrazu członkowanego.

Z tych przykładów, do których mogłem dodać jeszcze wiele innych, możemy wyprowadzić wniosek ogólny, a mianowicie, że najwcześniejsza faza mowy u małych dzieci jest ta, którą ja indykacyjną nazwałem, w której tony i giesty służą do wyrażenia uczuć, przedmiotów, przymiotów i czynności. Ta faza indykacyjna mowy, czyli giestykulacja u niektórych dzieci trwa dłużej, niż u innych (szczególnie u tych, które późno dopiero zaczynają mówić), a im dłużej trwa ona, tem staje się wyrazistszą, odnośnie do wyrażania idej. W każdym jednak razie w związku z tym faktem należy zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Najprzód, że w pierwszych początkach swoich a nawet i później w ciągu dość

długiego peryodu swej historii, ta faza mowy jest identyczną z odpowiednią fazą znakowania u niższych zwierząt. Prof. Preyer zauważył, że dziecko jego, mając szesnaście miesięcy wieku (które wtedy nie wymawiało jeszcze ani jednego słowa), dla wyrażenia życzenia lub prośby zrobiło ręką giest proszący (Bittbewegung). Prawda, że wybrany przezemnie przykład giestykulacji oznaczającej odnosi się do stosunkowo wysokiego stopnia rozwoju, lecz pomimo to w zupełności odpowiada on przykładowi o psie inteligentnym, który *prosi* przed dzbanem z wodą, gdy mu się pić chce, albo przed innym jakimś przedmiotem będącym w związku z tem o co prosi ¹⁾.

Tak samo rzecz się ma z dziećmi, które ciągną kogoś za ubranie ku drzwiom zamkniętym gdy chcą wyjść, lub płaczą w sposób znaczący, gdy czegoś pragną. W tym przypadku dzieci zachowują się tak samo jak psy i koty w podobnych warunkach ²⁾. I chociaż wiele giestów wykonanych przez dzieci w tym wieku będących (około 18 miesięcy wieku), nie ma odpowiadających im giestów u zwierząt niższych, to atoli łatwo widzieć, że jeśli pod tym względem zachodzi jakaś różnica, to zależną jest ona jedynie od zmienionych kształtów budowy ciała, warunków socyalnych, i t. d. lecz nigdy nie jest wyni-

¹⁾ Widziałem mojego wyźła (który zwykł był używać tego giestu, w sposób używany przez dziecko Preyera a mianowicie jako wyrażenie prośby), natarczywie lubo bezskutecznie *proszącego* opierającą mu się wyźlicę.

²⁾ Niektóre psy szczekają w szczególny sposób, koty miauczą znacząco, gdy czegoś żądają. O znaczącym płaczu dzieci była już mowa na str. 213 (część I).

kiem różnicy, zachodzącej w formowaniu idei. Rodzaj tworzenia idei, wyrażonych za pomocą giestów indykacyjnych, giestów bardzo młodych dzieci, jest więc ten sam co i rodzaj formacji idei, wywołującej gesty podobne u zwierząt. O tem przekonywa nas jeszcze fakt, że nim jeszcze dzieci mogą wymawiać wyrazy członkowane, to już, podobnie jak i zwierzęta, są w stanie zrozumieć znaczenie wielu wyrazów w ich obecności wymawianych i (podobnie jak zwierzęta) odpowiadają na nie za pomocą odpowiednich giestów. Tak np. Preyer przekonał się, że dziecko jego nieumiejące jeszcze mówić było w stanie wskazać pewne kolory, które on wymienił. Choć nikt nie powtórzył jego doświadczenia ze zwierzętami, to wiemy jednak, że psy tresowane odpowiednimi giestami objawiają o wiele dokładniejsze jeszcze zrozumienie słów ¹⁾).

Druga okoliczność odnośnie do tych wczesnych faz indykacyjnych artykulacji, na którą chciałem zwrócić uwagę, polega na tem, że wcześniej, czy później prześcigają one pierwotne stopnie znakowania członkowanego, czyli denotacji słownej. Innemi słowy, znakowanie denotacyjne nigdy nie występuje wcześniej, nim giestykulacja indykacyjna zrobi znaczne już postępy; odtąd począwszy, idzie już z tą ostatnią równolegle; znaczy to,

¹⁾ W związku z tym odnośnie do małpy patrz część I str. 171. Gdy moja córeczka miała lat siedm, demonstrowałem przed nią pojętność małpy „Sally“. Wracając do domu, powiedziałem jej, że zwierzę zdaje się być tak rozumne jak „Jack“, (jej ósm-nastomiesięczny braciszek). Po krótkim namyśle odpowiedziała „Tak, a nawet rozumniejszem“. I ja sądzę, że dziecko miało słuszność.

że oba rodzaje znakowania zaczynają się rozwijać równocześnie. Gdy jednak słownik denotacyjny dzieci stał się dość bogatym, aby się mógł obejść bez mniej skutecznego materiału, dostarczanego przez indykację, wtedy znaki indykacyjne stopniowo ustępują miejsca denotacyjnym; wyrazy zastępują giesty.

Tak więc, o ile rzecz tyczy się najwcześniejszej, czyli indykacyjnej fazy językowej, nie możemy wskazać żadnej różnicy, nawet co do stopnia, pomiędzy dzieckiem a zwierzęciem. Nie możemy też wskazać żadnej różnicy odnośnie do pierwszych objawów faz następných mowy a mianowicie odnośnie do denotacyjnych i poznaniowo-konnotacyjnych. Gdyż, jakieśmy to już widzieli, zwierzęta, które naśladowują dźwięki członkowane, używają tych dźwięków w znaczeniu prawdziwie denotacyjnym. Co więcej, widzieliśmy też, że w pewnych granicach zwierzęta te uogólniają takie znaczenie denotacyjne i stosują je do przedmiotów, które uznały jako należące do tego samego rodzaju lub gatunku i przez to znak, który pierwotkowo był denotacyjny, podnoszą do godności początkująco-konnotacyjnej. I chociaż ta zdolność poznaniowo-konnotacyjna papugi bardzo prędko zostaje prześcigniętą przez zdolności odpowiednie dziecka młodego, to jednak, jakieśmy to już zaznaczyli, jest to tylko wynik szybkiego rozwoju życia poznaniowego dzieci; albo innemi słowy, jeżeliby papuga podobną była do psa pod tym względem, że mogłaby poznawać podobieństwo pomiędzy przedmiotami i ich obrazami i także jeżeliby była w stanie jeszcze lepiej zrozumieć znaczenie wyrazów, to nie ulega wątpliwości, że wtedy ich konnotacyjne uogólnienia nazw sięgałyby znacznie dalej, niż obecnie. Pod tym więc względem zestawienie papugi

z dzieckiem byłoby jeszcze ściślej. Jedyne więc powód, dla którego dziecko stopniowo przewyższa papugę odnośnie do konnotacji jest ten, że życie poznaniowe dziecka stopniowo się wznosi do życia poznaniowego psa. Dowiodłem już tego pokazując, że znaki indykacyjne dziecka, gdy one przewyższają giesty papugi, są psychologicznie jednakowe ze znakami, używanymi przez psa. Co więcej, gdy denotacja późno występuje i wolno się rozwija, jak to miało miejsce z moją córeczką, wtedy te giesty indykacyjne mogą się, jako to już zaznaczyłem, znacznie udoskonalić, tak że w tych warunkach dziecko dwuletnie może wykonać całą pantomimę, chcąc opowiedzieć przygody swoje. Otóż fakt powyższy czyni zbyt rzadkim porównanie imagiacyjne z psami gadającymi, lub z papugą o zmyślności psa, gdyż fakt ten przedstawia przykład przypadku odwrotnego, mianowicie dziecka nieumiejącego mówić we właściwym wieku. Nikt przecież nie będzie chciał twierdzić, że inteligencya dziecka w drugim roku życia jest gatunkowo odmierną od inteligencyi innego dziecka tego samego wieku, które w skutek tego, że zaczęło wcześniej mówić, może być mniej zręcznym przy wykonywaniu giestów ¹⁾. Dziecko

¹⁾ Gdyby jednak moi przeciwnicy byli tego zdania, to mniemanie takie równałoby się zupełnej kapitulacji. Kluczem bowiem całej pozycji, jak wiemy, jest zdolność formowania pojęć, czyli wyłączna zdolność ludzka objaktywowania idei. Powszechnie zgadzają się na to, że zdolność ta jest niemożliwą przy braku samowiedzy. Czyżby więc ktokolwiek chciał twierdzić, że córka moja doszła do samowiedzy i do introspektywnego rozważania swoich idei przed osiągnięciem warunku niezbędnego przy mianowaniu swoich idei? Jeżeliby kto chciał tak twierdzić, to musiałby też przypuścić, że są pojęcia bez nazw, a przez to cała warownia przeciwników moich musiałaby się rozpaść w gruzy.

zatem, które późno zaczyna mówić, może służyć jako wskazówkę psychologiczną rozwoju idej ludzkich w sferze poznaniowej, które przypadkowo dadzą się daleko ściśle porównywać z idejami ssaków wyższych, niż można to uczynić odnośnie do dziecka, zaczynającego mówić w czasie normalnym. Lecz co się tyczy przypadku pierwszego, to już widzieliśmy, że giesty takich dzieci są mniej wyraziste, niż giesty psa, później dopiero coraz więcej się doskonala, stają się z nimi psychologicznie identycznymi i ostatecznie jeszcze więcej się rozwijają w kierunku tej samej ewolucyi. Jeżeli zatem w tym przypadku nie możemy odnaleźć żadnej różnicy gatunkowej przed dojściem do wieku, w którym dziecko zaczyna mówić, to o takiej różnicy nie może też być mowy i po dojściu do tego wieku, chociażby w niektórych razach wiek ten wcześniej niecc nastąpił. Albo posilując się sposobem mówienia wyżej już użytym, możemy powiedzieć, że jeżeliby pies podobnie jak papuga był w stanie używać znaków słownych, lub jeżeliby papuga pod względem inteligencji dorównała psu, to zdolność konnotacyjna dziecka w swym rozwoju psychologicznym szłaby równolegle z odpowiednią zdolnością zwierzęcia, przez ciąg drogi daleko dłuższy, niż to ma miejsce w rzeczywistości.

Biorąc pod uwagę, że zwierzęta tak nisko stojące na szczeblach drabiny psychologicznej, jak ptaki, gadające, dochodzą do zdolności denotacyi przedmiotów, przymiotów, i t. d., biorąc dalej pod uwagę, że niektóre z tych ptaków rozszerzają swoje nazwy denotacyjne do przedmiotów i przymiotów, które oczywiście należą do jednej i tej samej klasy, uwzględniając nakoniec fakt, że dzieci jeszcze przedtem, nim zaczną mówić, już znacznie prze-

wyższą ptaki gadające, pod względem mowy indykacyjnej, a niektóre z nich (te, które późno zaczynają mówić) doprowadzają ten rodzaj mowy do pantominy prawdziwej i przez to wykazują, że formacja poznaniowa idej u dzieci w chwili bezpośrednio poprzedzającej początek mowy jest znacznie wyższą, niż formacja idej u ptaków gadających, a często nawet i u innych zwierząt, otóż uwzględniając to wszystko twierdzę, że byłoby rzeczą zupełnie zrozumiałą, gdyby dzieci po uzyskaniu mowy nie okazały znacznej przewag nad ptakami gadającymi, odnośnie do używania znaków denotacyjnych, a także odnośnie do uogólniania takich znaków w wyrazy konnotacyjne. Widzieliśmy, że każdy rozsądny oponent przyznać musi, że dziecko, nim zacznie mówić, obraca się w sferze poznaniowej formacji idej i że ta sfera (w wieku pomiędzy 2—3 rokiem życia) znacznie już przewyższa sferę podobną u papug. Lecz podobnie jak papuga, dziecko pierwotnie używa znaków dla oznaczenia przedmiotów szczegółowych, następnie dopiero, znów podobnie jak papugi zmyślniejsze, znacznie uogólnia swoje nazwy denotacyjne i stosuje je do przedmiotów, przedstawiających blizkie podobieństwo do tych, którym pierwotnie zostały nadane. Od tej chwili począwszy, dziecko robi znaczne i szybkie postępy w zdolności klasyfikacji konnotacyjnej. Wobec jednak wyżej przytoczonych rozważań, czyż można jeszcze serwo twierdzić, że ten szybki postęp w zdolnościach klasyfikacji konnotacyjnej wykazuje różnicę gatunkową pomiędzy formacją idej u dzieci a taką formacją u ptaków? Jeżeli przeciwnicy moi przyznają mi (i przyznać muszą pod groźbą samobójstwa) że dziecko, nim zacznie mówić, obraca się w sferze poznaniowej formacji idej i że w obrębie tej sfery,

formacya idei dzieci jest już znacznie wyższą, niż u ptaków, to muszą mi też przyznać, że dzieci zwracają uwagę na takie analogie, które są zbyt od siebie dalekie, aby mogły zwracać uwagę ptaków. Dlatego to, gdy papuga uogólnia swoją nazwę denotacyjną z jednej odmiany psa na drugą, to dziecko uogólnianie takie posuwa dalej i stosuje tę samą nazwę do posągu a nawet i do obrazu psa. Byłoby zupełnie niedorzecznem twierdzić, że tutaj na samym początku znakowania członkowego uwydatnia się różnica gatunkowa pomiędzy umysłem człowieka a umysłem tak mizernego nawet przedstawiciela psychologii zwierzęcej, jakim jest papuga. Lecz jeżeli takiej różnicy nie możemy odnaleźć w tem miejscu, to jej nigdzie nie odnajdziemy, chyba jeśli sięgniemy do tej wyższej formacyi idei ludzkiej, w której umysł jest w stanie uznawać tę formację jako taką. Tak więc, (o ile rzecz tyczy się faz, któreśmy dotychczas rozważali t. j. denotacyjnej i poznaniowo-konnotacyjnej), dowodzenia moje uważam za zupełnie przekonywające. Lecz fazy te są też rzeczywiście najważniejsze z tych, jakie wyjaśnić należało. Z powodu bowiem, że fazy te były zupełnie nieznanne stronnikom hipotezy o różnicy gatunkowej pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, to przy wszystkich rozprawach o umysłowości człowieka i zwierząt, pominięto najważniejsze, czyli pierwotne stany przejściowe i porównywano ze sobą najwyższe fazy zdolności myślenia człowieka, z najniższemi zaczątkami myślenia w państwie zwierzęcem, nie zwracając najmniejszej uwagi na prawdopodobną historję ich rozwoju. O ile mi wiadomo, żaden psycholog nie postawił sobie dotychczas jasno pytania bardzo prostego, czy zdolność nadawania nazw jest zawsze i koniecznie rów-

noznaczną ze zdolnością *rozmyślenia nad nazwą* i dlatego to obie te zdolności uważane bywają, jako jedna i ta sama. Lecz jakim tego dowiodł w jednym z rozdziałów poprzednich mojej pracy, używamy w najwyższych nawet formach myślenia ludzkiego nazw mechanicznie, nie rozmyślając poprzednio nad nimi, jako nad nazwami; wypływa ztąd, że nawet w najwyższych sferach formacji idei obie zdolności *niekoniecznie* się ze sobą zlewają ¹⁾. Oprócz tego, wykazałem, że zarówno u człowieka jak u zwierzęcia obie te zdolności są *szczerze* od siebie niezależne, że istnieją konnotacyjne nazwy, nim objawia się denominacyjne myślenie, i że te konnotacyjne nazwy, gdy się poraz pierwszy pojawiają u zwierzęcia lub dziecka, wcale nie świadczą o wyższym stopniu uzdolnienia, niż na tych stopniach mowy mimicznej, jaką one wyprzedzają. Poznania mianowane papugi nie mogą być uważane za prawdziwe pojęcia, zupełnie tak samo jak giestów indykacyjnych dziecka nie można uważać jako gatunkowo odmienne od giestów psa.

Przyjmuję zatem, że ani odnośnie do fazy indykacyjnej, ani też do faz denotacyjnej i konnotacyjnej nie można podać przekonujących dowodów na to, że istnieje jakaś różnica gatunkowa pomiędzy inteligencją

¹⁾ Patrz część I str. 112—117, gdzie wykazałem, że nawet i w tych przypadkach, w których myślenie pojęciowe jest niezbędne do pierwotnego formowania nazwy, to nazwa ta może jednak w następstwie być używaną bez pośrednictwa takiego myślenia, zupełnie w taki sam sposób, w jaki czynności, pierwotkowo zależne od inteligencji, mogą w skutek częstego powtarzania się, stać się automatycznymi. Przy końcu rozdziału bieżącego wykażę, że jest to prawdziwem i dla zupełnego czyli formalnego sądu.

zwierząt a ludzi a przynajmniej dopóty, dopóki objawy umysłowe poruszają się w sferze poznaniowej, bez udziału samowiedzy ze strony człowieka. Rozpatrzmy teraz tę fazę formacyi idej, którą nazwałem fazą przedpojęciową albo ten stopień życia poznaniowego dziecka, który wprawdzie przewyższa życie pojęciowe każdego zwierzęcia, lecz jeszcze nie doszedł do prawdziwego pojęciowego życia człowieka.

Z tego, cośmy dotychczas przytoczyli, musimy, o ile mnie się zdaje, przyznać, że w tem miejscu, gdzie życie poznaniowe dziecka bierze po raz pierwszy przewagę nad życiem poznaniowem innych ssaków, nie możemy wykryć żadnej różnicy gatunkowej. Przypatrzmy się zatem temu życiu przedpojęciowemu, gdy ono dosięgło już znacznej wyżyny rozwoju i zbadajmy rodzaj myślenia, jakie się w niem objawia. Biermy pod uwagę przypadek dziecka, które, mając około dwóch lat wieku, jest w stanie uformować zaczątkowe, komunikacyjne lub przedpojęciowe zdanie, jak np. *Dit ki* (sister cries, siostra płacze). W tym wieku, jak już wiemy, dziecko niema świadomości o swoim *ja*, jako czynniku myślącym a zatem w tym wieku nie może być mowy o konstataowaniu faktu jako takiego. *Dit* jest nazwą denotacyjną dla pewnego poznania, *ki*—nazwą denotacyjną dla drugiego; przedmiot i czynność, jakie oba te poznania odpowiednio reprezentują, przedstawiają się jednocześnie obserwacyi dziecka; dziecko zatem denotuje je jednocześnie, czyli *zestawia je z sobą*. Wykonywa ono to, idąc poprostu za związkami poprzednio już ustanowionym pomiędzy poznaniem przedmiotu znanego, noszącego nazwę *dit*, i poznaniem czynności pospolitej, nazwanej *ki*. Zestawienie w świadomości tych dwóch

poznań z odpowiednimi im denotacjami uskutecznia się dla dziecka za pośrednictwem tego, co *logiką wypadków* nazwać możemy, lecz nie ma to miejsca wskutek *przyniesienia* się do tego dziecka na drodze zamiarowego, albo samowiednego grupowania idei, która to czynność, jak wiemy, stanowi cechę charakterystyczną logiki pojęć.

Jeżeli się rzeczy tak mają, to stawiam oponentom moim następujący dylemat: Albo w powyższym przykładzie dziecko wypowiedziało sąd (czyli zdanie), albo też nie. Jeżeli przyjmiecie, że mamy tu do czynienia z sądem, to musicie też przyznać, że i zwierzęta zdolne są do sądenia, gdyż dostatecznie już dowiedziono, że (zgodnie z moją i waszą doktryną) jedyną różnicą pomiędzy zdolnością sądenia człowieka a taką zdolnością zwierzęcia stanowi obecność lub brak samowiedzy. Jeżeli zaś zechcecie twierdzić, że w przypadku wyżej przytoczonym niema sądu, gdyż niema samoświadomości, to muszę się zapytać, na jakim stopniu rozwoju umysłowego dziecka objawia się, według was, sąd? Jeżeli na moje pytanie odpowiecie, że sąd objawia się tam, gdzie samowiedza poraz pierwszy występuje, to zwrócę waszą uwagę na to, że jest rzeczą dowiedzioną, iż samowiedza jest również procesem stopniowego rozwoju, tak że odpowiednio do waszego teraźniejszego ograniczenia wyrazu „sąd“, jest rzeczą zupełnie niemożliwą odpowiedzieć na pytanie, kiedy mianowicie zdolność ta się objawia. Faktem jest, że zdolność sądenia wzrasta stopniowo i dotrzymuje kroku wzrostowi samowiedzy. Jeżeli zaś rzeczy tak się mają, to i przejście od zdolności skonstatowania faktu obserwowanego do wyższej zdolności skonstatowania faktu jako takiego, przedstawić musi cały

szereg stopniowań nieprzerwanych, łączących obie te zdolności ze sobą. Widzieliśmy, że aż do tego punktu, gdzie to stopniowanie się zaczyna, umysł zwierzęcia i umysł człowieka idą równolegle, albo innemi słowy, widzieliśmy, że aż do tego punktu nie możemy na podstawie jakiegokolwiek zasady psychologicznej wykryć różnicy pomiędzy umysłem człowieka a umysłem zwierzęcia. Czyż więc chcecie twierdzić, że aż do tego punktu oba porządki istnień psychologicznych są gatunkowo identyczne, lecz dopiero podczas wznoszenia się po szczeblach końcowych umysł ludzki staje się gatunkowo odmiennym nie tylko od umysłu zwierząt, lecz *także od swego poprzedniego stanu*? Gdyby taka była argumentacya wasza, to musiałbym się z wami rozstać, gdyż w tym punkcie doszłiscie do sprzeczności oczywistej. Jeżeli twierdzimy, że *A* i *B* są jednakowego pochodzenia lub gatunku i że *B* przechodzi w *C*, które od *A* i *B* różni się tylko co do stopnia, to twierdzenie, że *C* jest gatunkowo odmiennem od *A*, należy uważać za oczywistą sprzeczność. Z tej to przyczyny sędzę, że o ile rzecz tyczy się fazy przedpojęciowej formacyi idei, przeciwnicy moi nie są w stanie przytoczyć argumentów dostatecznych, przemawiających za istnieniem różnicy psychologicznej pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.

O ile więc rzecz się tyczy tej fazy formacyi idei sędzę, że dowiodłem, iż zupełnie tak samo jak istniejj pewien rodzaj mianowania przedpojęciowego, w którym znaczenie początkowo denotacyjnych nazw stopniowo się uogólnia i stosuje do dość wysokich stopni znaczeń konnotacyjnych, tak też istnieje pewien rodzaj orzeczenia przedpojęciowego, w którym wyrazy denotacyjne

i konnotacyjne zestawiają się ze sobą bez wszelkiej znajomości pojęciowej związku, który one zdają się wyrażać. W ostatnim bowiem rozdziale dowiodłem, że dopiero w trzecim roku życia dziecko nabywa prawdziwej czyli pojęciowej samowiedzy, że zatem w tej dopiero epoce życia dziecko posiada warunki niezbędne do tworzenia prawdziwych czyli pojęciowych sądów. Lecz na długo przedtem, jakieśmy tego również dowiedli, dziecko tworzy już tak nazwane przezemnie sądy zaczątkowe, przedpojęciowe, t. j. takie, które nie wymagają *rozmyślenia*. Takie zdania służą do zakomunikowania faktów dla celów praktycznych, lecz nie mogą służyć do skonstatowania faktów jako takich; ściśle zatem rzeczy biorąc, nie możemy ich wcale uważać za sądy. Są one wyrażeniami logiki poznań, a nie logiki pojęć. Gdyż ani fakt w taki sposób skonstatowany, ani idea w ten sposób wyrażona nigdy nie mogą być przedstawiane umysłowi jako przedmiot rozmyślań. Gdyż do tego potrzeba, aby umysł był w stanie oddzielić ten swój utwór od reszty struktury swojej, albo jak wyraża się Mivart, „aby umysł mógł istnieć *obok* sądu, a nie *w nim*”. Koniecznym warunkiem tego stanu jest samowiedza umysłu. Lecz, jakieśmy to już zauważyli, warunkiem tego nie posiada jeszcze dziecko w wieku, o którym mówiliśmy. Ta okoliczność pociąga za sobą wniosek, że nim się rozwinię sąd lub zdanie w znaczeniu użytem przez psychologów (pojęciowem) istnieje już sąd lub zdanie niższego rzędu (przedpojęciowe), za pomocą którego konstatują się pewne fakty, w celu udzielania prostych idei, lecz zdanie takie nigdy nie może stać się przedmiotem rozmyślań. Należy ciągle mieć na uwadze, że takie sądy natury zaczątkowej lub sądy przedpojęciowe formują się przez

proste zestawienie ze sobą znaków denotacyjnych, według zasad ogólnych kojarzenia. Jeżeli *A* jest nazwą denotacyjną przedmiotu *a*, *B* zaś nazwą denotacyjną czynności lub przymiotu *b* i jeżeli *a* i *b* występują jednocześnie w naturze, to związek pomiędzy nimi konstatuje się przedpojęciowo przez prosty akt zestawienia ze sobą odpowiednich denotacyj *A* i *B*, który to akt jest koniecznym następstwem elementarnych praw asocjacji psychologicznej ¹⁾.

Pozostaje nam tym sposobem do zbadania ostatni i trzeci stopień formacyi idej, o których wspomnieliśmy, a mianowicie formacya pojęciowa. Kwestya czy pomiędzy formacyą idej, mogącą się samą stać przedmiotem rozmyślań a formacyą idej, niemogącą się nią stać zachodzi różnica gatunkowa, czy też nie—możemy tylko rozstrzygnąć, badając stosunki zachodzące pomiędzy

¹⁾ W związku z tym możemy zważyć, że brak łącznika w zdaniu jest ciekawym. Pomimo nadzwyczajnej skłonności dzieci do naśladownictwa i pomimo, że dzieci angielskie w każdym zdaniu, do nich zwróconem, spotykają się z łącznikiem, to jednak własne ich zdania w fazie przedpojęciowej łącznika nie mają (Patrz wyżej str. 15). Opierając się na samem zestawieniu, nie wyrażając żadnej oznaki łączności, dziecko mową swoją tłumaczy bezpośrednio akt umysłowy, tyczący się orzeczenia. Jakieś już wyżej zanotowali, z tym faktem spotykamy się też w mowie naturalnej giestów, nawet i wtedy, gdy ta się wzniosła do opracowanego układu pojęciowego indyan lub głuchoniemych. Nakoniec, w jednym z następnych rozdziałów zobaczymy, że to samo da się powiedzieć o wszystkich bardzo pierwotnych formach mowy ustnej, dotychczas jeszcze istniejących u ludów dzikich. Tym sposobem jeszcze raz spotykamy się z dowodem, obalającym mniemanie, jakoby łącznik był niezbędną częścią składową zdania.

niemi u dziecka dorastającego. Lecz badając te stosunki, przekonaliśmy się, że mamy w tym przypadku do czynienia z procesem stopniowego, czyli nieprzerwanego przechodzenia od jednej formacyi do drugiej, przyczem różne odcienia są tak delikatne, że nawet za pomocą badań najściślejszych w obszernych granicach nie możemy rozstrzygnąć, gdzie jedna formacja się zaczyna, a druga kończy. Nie mamy zatem potrzeby obszerniej nad tym przedmiotem się rozwodzić. Wykazawszy już poprzednio, że konieczny warunek pojawienia się formacyi pojęciowej idei (a mianowicie samowiedza) u dorastającego dziecka rozwija się stopniowo, niemam już potrzeby dłużej się rozwodzić nad tem, że rozwój formacyi pojęciowej idei z przedpojęciowej odbywa się również stopniowo. Ten fakt już sam przez się wystarcza, gdy chodzi o obalenie mniemania moich przeciwników o oczywistości istnienia różnicy gatunkowej pomiędzy formacją idej poznaniową a pojęciową. Tylko w przypadku gdyby się dało dowieść, że poznaniowa formacja idej dziecka różni się gatunkowo od takich formacyj idej zwierząt, albo też, że przedpojęciowa formacja idej dziecka różni się gatunkowo od poprzedzającej ją formacyi idej poznaniowej u tegoż dziecka, albo nakoniec, że pomiędzy formacją przedpojęciową idej a następującą za nią formacją pojęciową zachodzi różnica gatunkowa, przeciwnicy moi mogliby uzasadnić mniemanie swoje. Wykazanie prawdziwości jednej z dwóch ostatnich hipotez musiałoby logicznie pociągnąć za sobą zmianę kompletną ich argumentacyi.

Dotychczas bowiem rozumowania ich opierają się na przypuszczeniu, że we wszystkich fazach swojego rozwoju umysł ludzki jest zawsze jeden i ten sam co do

gatunku i że nigdzie nie doznaje zmiany zasadniczej. Jeżeliby jednak jakiś subtelny oponent chciał postawić mi zarzut, że chociaż dowiodłem, iż pierwsza z wyżej przytoczonych hipotez jest niemożliwą i przez to wykazałem, że pomiędzy umysłem dziecka a umysłem zwierzęcia nie zachodzi nawet różnica co do stopnia, to atoli nie uwzględniłem hipotezy, według której umysł ludzki szczególnym jakimś cudem odradza się przy każdym przekształceniu i otrzymuje początek nowy, przez co ulega zmianie gatunkowej, to wtedy uważałbym ostatnie dwie hipotezy jako *logicznie* możliwe. Lecz, jakieśmy tego dowiedli, badanie nad rozumem dziecka we wszystkich fazach jego rozwoju nie dostarcza cienia nawet dowodu dla tych hipotez; przeciwnie badania te wykazały, że przejście od jednego poziomu formacji idei do następnego odbywa się w sposób tak stopniowy i ciągły, że praktycznie nie możemy pomiędzy nimi poprowadzić żadnych linii demarkacyjnych. Wobec takiego stanu rzeczy nie mamy potrzeby długo się rozwodzić nad mniemaniami przeciwników moich, gdyż są one nietylko zupełnie dowolne i na niczem nieoparte, lecz zostają jeszcze w zupełnej sprzeczności z faktami dostarczonemi przez badanie ścisłe. Nie porzucając gruntu czysto psychologicznego, możemy nadto zwrócić uwagę na dwa ogólne i nader ważne rozważania, które są od siebie niezależne i mają charakter dodatkowy. Rozważania te bardzo przemawiają na korzyść moich przypuszczeń i o nich chcę teraz mówić.

Pierwsza uwaga polega na tem, że chociaż postęp od niższych stopni rozwoju umysłowego do samowiedzy jest niezaprzeczenie bardzo wielkim i ważnym, to jednak w porównaniu z tym rozwojem, którego umysł

w przyszłości dosięga, nie jest on tak znacznym, abyśmy oczywiście widzieli, że mamy przed sobą odróżnienie *sui generis*, a nawet jedyną różnicę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Gdyż z jednej strony, jakieśmy to już wyżej wyjaśnili, jak tylko daną jest protoplazma sądu i orzeczenia, jak to ma miejsce u małych dzieci (albo jak to przypuścić można, miało miejsce u naszych przodków pół-ludzkich), wtedy z konieczności musi się wyłonić samowiedza; z drugiej znów strony mamy niezbite dowody, że przy istnieniu samowiedzy, a nawet i wtedy, gdy ona dosięgła już znacznego stopnia rozwoju, władze umysłowe człowieka znajdują się jeszcze w warunkach prawdziwie dziecinnych: Tak np. zauważyłem u własnych moich dzieci, że chociaż od trzeciego roku życia począwszy, zupełnie trafnie i prawidłowo używały one wyrażeń *ja, moje, sam, ja sam*, to jednak w tym wieku ich zdolności rozumowania były tak mało rozwinięte, że różnica pomiędzy nimi a odpowiednimi zdolnościami zwierząt inteligentnych bywa bardzo nieznaczną. Jako ilustracya tego może służyć fakt następujący: Moja mała córeczka, mając cztery i pół roku, a zatem będąc w wieku, w którym już od dwóch lat używała wyrazów świadczących o rozwoju prawdziwej samowiedzy, chciała wiedzieć, jaki pokój znajduje się pod sypialnym pokojem, w którym przebywała od samego urodzenia. Zapytany o to odpowiedziałem jej, aby sama odszukała rozwiązania tej kwestyi. Z początku wskazała na pokój kąpielowy, który nietylko leżał nad sypialnią, lecz znajdował się nadto po drugiej stronie domu; po niejakiem namyśle wskazała na pokój jadalny, który lubo rzeczywiście znajdował się pod sypialnią, ale leżał po stronie przeciwległej gmachu i t. d. Widocznie, że dziecko nie mogło

rozwiązać zadania prostego, które samemu sobie postawiło. Ztąd (i z wielu innych przykładów tego samego rodzaju) wnoszę, że geneza samowiedzy oznacza stosunkowo niski poziom rozwoju umysłu ludzkiego, jak to zresztą z góry można było przewidzieć, jeżeli zauważymy, że geneza ta zależy od warunków, które w poprzednim rozdziale starałem się wyłuszczyć. Czyż więc ztąd nie wynika, że samowiedza, pomimo przyszej swej ważności jako warunku koniecznego dla rozwoju wyższych formacji idei, w pierwszych początkach swoich, albo sama przez się uważana nie tak bardzo znowu odskakuje od tych przedpojęciowych formacji idei, które ją bezpośrednio poprzedzają? Innemi słowy, mamy mniej uzasadniony powód do uważania pojawienia się samowiedzy za punkt wyjścia dla ustanowienia różnicy gatunkowej, niż ma to miejsce odnośnie do tych wyższych zdolności pojęciowej formacji idei, które w następstwie pojawiają się stopniowo w peryodzie pomiędzy najwcześniejszą młodością i wiekiem młodzieńczym. Pomimo to jednak, nikomu jeszcze nie przyszło na myśl twierdzić, że pomiędzy rozumem dziecka a rozumem młodzieńca zachodzi różnica gatunkowa.

Wyrażając się inaczej, możemy jeszcze twierdzić, że przedział psychologiczny pomiędzy moją płaksą a mojem dzieckiem (gdy pierwsza ze skutkiem zbadała zasadę mechaniczną śruby za pomocą swoich, wysoko rozwiniętych zdolności poznaniowych, drugie przeciwnie bezskutecznie siliło się rozwiązać bardzo proste zadanie topograficzne za pomocą swoich, słabo rozwiniętych zdolności pojęciowych) był najniezawodniej mniejszym od tego, który w następstwie oddzielił inteligencję mojego dziecka od tejże inteligencji jego we wcześniejszym

peryodzie życia. Z tego to powodu z zasad czysto psychologicznych wnoszę, że mamy powody lepsze, albo raczej *mniej złe* do twierdzenia, że zachodzi różnica gatunkowa pomiędzy najwyższymi a najniższymi zdolnościami formacji idei poznaniowych, niż je mamy, gdy twierdzimy, że taka różnica zachodzi pomiędzy najniższym poziomem formacji idei pojęciowej a najwyższym poziomem formacji poznaniowej.

Największe rozróżnienie, jakie napotykamy w biologii, gdy ono się pojawia po raz pierwszy, polega raczej na jego przyszłej *możliwości*, niż na jego początku. Prawda, samowiedza stanowi warunek niezbędny dla nadzwyczajnej zmiany, która zachodzi w umyśle, w jakim się pojawia, lecz aby ta zmiana mogła nastąpić, umysł sam musi być uwarunkowanym, musi on ulegać długiemu i stopniowemu rozwojowi, podlegającemu ogólnym prawom ewolucyi naturalnej.

Druga i ostatnia uwaga, nad którą chcę się teraz zastanowić, polega na tem co następuje. Nawet i wtedy gdy inteligencya samowiedzy doszła do zupełnego rozwoju, zarówno poznaniowa jak i przedpojęciowa formacya idei nie przestaje odgrywać ważnej roli. Znaczy to, że nawet na najwyższym szczeblu rozwoju inteligencyi samoświadomej wszystkie trzy rodzaje formacji idei występują tak ściśle i tak stale ze sobą połączone, że analiza umysłu człowieka dorosłego potwierdza fakt, który został już odkryty przez analizę umysłu dziecinnego, a mianowicie, że rozróżnienia pomiędzy zdolnościami umysłowymi, (które dla obalenia twierdzeń przeciwników moich zmuszony byłem wprowadzić) co do istoty swej i treści są sztucznymi. Trzymam się zasady, że umysł wszędzie jest ciągłym i jeżeli

dla celów analizy lub klasyfikacji zmuszeni jesteśmy poprowadzić linie demarkacyjne pomiędzy wyższymi i niższymi jego zdolnościami, to przy tem postępujemy zupełnie tak samo, jak ewolucjonista klasyfikuje swoje gatunki roślin lub zwierząt; wyrazy wyższy lub niższy, nie oznaczają różnic *pochodzenia*, lecz raczej różnice odnoszące się do *rozwoju*. Zupełnie tak samo, jak przyrodnik znajduje ogólne potwierdzenie poglądów swoich w fakcie, że cechy odnoszące się do budowy lub czynności organów przechodzą od form niższych do wyższych i tym sposobem wszystkie razem tworzą łańcuch rozwoju organicznego, tak też i psycholog przekonuje się, że i najwyższe formy rozumu ludzkiego co do istotnych swych cech są oczywiście podobne do form niższych i tym sposobem dostarczają dowodu niezbitego, że wszystkie dają się uporządkować w układ ciągły rozwoju umysłowego.

Jeżeli rzecz tak się ma, to zastanówmy się nad stosunkami zachodzącymi w umyśle człowieka, pomiędzy wysoko chwalonymi zdolnościami sądenia pojęciowego i zdolnościami niższymi, niepojęciowymi. Chociaż zgadzam się z moimi przeciwnikami, że każde orzeczenie (w ścisłym tego słowa znaczeniu) zależnem jest od introspekcyi, to jednakże utrzymuję, że nie każde twierdzenie, wypowiedziane przez człowieka dorosłego jest koniecznie orzeczeniem w tem znaczeniu; większa część naszych zdań słownych ma na celu praktyczne udzielenie wiadomości, przyczem umysł nie potrzebuje rozważać tych zdań, jako takie, w świetle samowiedzy. Gdy mówię „murzyn jest czarnym“ wtedy nie mam wcale potrzeby przebiec w myśli całego ogromnego szeregu rozmaitych własności i rzeczy, o których wspomina Mi-

vart ¹⁾; z drugiej znów strony, gdy wykonywam akt świadomej introspekcji, wtedy niezawsze potrzebuję też wykonywać akt orzeczenia umysłowego. Nie ulega wątpliwości, że w wielu razach, albo przynajmniej w tych przypadkach, które tyczą się wyższych abstrakcyjnych formacyj idei, niezależność tych dwóch zdolności pochodzi ztąd, że każda z nich przy pomocy drugiej została tak bardzo udoskonaloną, że obecnie, jeśli się tak wyrazimy, każda z nich posiada bogaty zasób materiału uorganizowanego, za pomocą którego mogą operować nie potrzebując materiału tego na nowo stwarzać lub go organizować. Tak np. jeżeli mówię „ciepło jest rodzajem ruchu“, to używam tego wyrażenia, jako prosty znak słowny, wyrażający fakt zewnętrzny. Nie mam wcale potrzeby zastanawiać się nad wyrazami abstrakcyjnymi, wchodzącymi w skład stosunku abstrakcyjnego, wyrażonego przez zdania powyższe. Lecz *pierwiastkowe osiągnięcie* tych idei wymagało wielu i to bardzo skoplikowanych wysiłków myśli pojęciowej, bez których nigdy nie bylibyśmy w stanie używać tego znaku słownego z zupełnem zrozumieniem jego znaczenia. Tak więc wszystkie podobne orzeczenia bez względu na to, do jakiego stopnia one mogą się stać mechanicznymi i zwykłymi, musiały kiedyś wymagać od umysłu bliższego zbadania idei, które wyrażają. Podobnież wszystkie inne akty takich badań umysłowych, t. j. wszystkie akty introspekcji, jakkolwiek one mogą nam się obecnie wydawać zbyt prostymi, gdy znając ich rezultat używamy do dalszych aktów badań umysłowych, musiały początkowo wymagać od ducha

¹⁾ Patrz część I str. 23.

zastanawiania się nad nimi i wyrobienia sobie jasnego sprawozdania o ich znaczeniu ¹⁾).

Uważając to, com wyżej przytoczył za tłumaczenie prawdziwe niezależności *pozornej* orzeczenia i introspekyi we wszystkich przypadkach tyczących się wyższego myślenia abstrakcyjnego, jestem zarazem mocno przekonany, że gdy chodzi o niższe formy myślenia, które poznaniowemi i przedpojęciowemi nazwałem, niezależność ta nietylko jest *pozorną* lecz nadto *rzeczywistą*. Dowiodłem już, że tak się rzecz mieć *musi* gdy chodzi o twierdzenie przedpojęciowe bardzo młodego dziecka, gdyż takie zdania wypowiedane bywają przy braku samowiedzy, t. j. przy braku warunku koniecznego na to, aby myślenie w *jakimkolwiek* stopniu było introspekcyjnym. Lecz w tem miejscu kładę nacisk szczególny na to, że nawet dla umysłu człowieka dorosłego, orzeczenia bezpojęciowe nie rzadko się przytrafiają i że w przypadkach tyczących się wyłącznie myślenia poznaniowego, orzeczenia tego rodzaju nigdy nie bywają pojęciowemi. Gdyż jak Mill słusznie zauważył, musimy przyznać, że gdy wypowiadamy jakieś zdanie, mamy na celu udzielenie informacji o fakcie, o którym w danej chwili

¹⁾ Pod tym względem orzeczenie jest zupełnie analogicznym do denominacyi, o której wspomniałem w dopisku str. 46. Tak samo jak instynkty mogą powstać z „inteligencyi poronionej“, tak samo nazwy, które początkowo były pojęciowemi, a nawet zdania pierwotnie pojęciowe mogą przez częste używanie być zdegradowane na formacye idei przedpojęciowe. Musimy jednak zauważyć, że ustępy w tekście odnoszą się do zasady zupełnie innej, wyrażają mianowicie, że mogą być zdania ściśle pojęciowe co do formy, które jednak nie potrzebują koniecznie być pojęciowemi odnośnie do procesu myślenia.

li mówimy (np. że wierzchołek góry Chimborasso jest białym) przyczem o nazwach myślimy tylko o tyle, o ile są one konieczne przy komunikowaniu danej informacji. Znaczenie zatem zdania jest takie, że szczególnie przedmiot *denotowany* za pośrednictwem subjektu, ma własności *konnotowane* przez orzeczenie ¹⁾).

Jeżeli zatem prawdą jest, że nawet w zdaniu zwyczajnem nie mamy potrzeby mieć wiadomości pojęciowej o tem, o czem orzekamy, mając w tym przypadku do czynienia jedynie z zestawieniem imion bezpośrednio wywołanych drogą kojarzenia idei, to potrzebna przytem formacya idej jest tak ściśle spowinowaconą z tą, która się wyraża na niższych poziomach znakowania, że nawet i wtedy, gdyby ogniw brakujących nie odnaleziono w dorastającym dziecku, nie byłibyśmy w prawie, opierając się jedynie na zasadach psychologicznych, twierdzić, że pomiędzy temi poziomami myśli istnieje różnica gatunkowa. Celem wszelkiego znakowania jest przede wszystkim udzielanie pewnych wiadomości, i jak to wiemy z poprzednich naszych badań nad zwierzętami niższymi, udzielanie wiadomości tyczy się poznać wyłącznie, z naszych badań nad dzieckiem dorastającym wiemy, że właśnie znaki używane przy udzielaniu poznać prowadzą do formacyi pojęć. Pojęcia bowiem są przede wszystkim poznaniem mianowaniami, uznaniami jako takie i jakieśmy to w rozdziałach poprzednich widzieli ten rodzaj znajomości (imion jako takie) staje się jedynie możliwym za pomocą introspekcyi, do której z kolei dochodzimy, nadając nazwę własnemu *ja* jako czynnikowi. Lecz nawet i wtedy gdy zdolność introspekcyjna

¹⁾ Logic; Tom I, str. 108.

dosięgła najwyższego stopnia rozwoju, niezawsze się nią posiłkujemy, gdy chodzi o udzielanie wiadomości poznaniowych i z tego powodu nie potrzebujemy się zastanawiać nad każdym zdaniem, nim je uformujemy. Jeżeli z jednej strony daną jest zdolność nazwania denotacyjnego, z drugiej zaś zdolność choćby najmniejsza mianowania konnotacyjnego, to dane też są wszystkie warunki, potrzebne do tworzenia sądów niepojęciowych, które od sądów prawdziwych różnią się tylko tem, że pierwsze nie mogą się stać przedmiotem rozmyślań. Jedyna różnica pomiędzy sądem, utworzonym przez bardzo młode dziecko a sądem, utworzonym przez człowieka dorosłego polega na tem, że pierwszy z nich nawet *potencjalnie* nie może się stać przedmiotem rozmyślań.

Tem zakończyłem rozbiór psychologiczny stanowiska moich przeciwników. W ogólnym rezultacie śmiem twierdzić, że udało mi się wykazać, iż z jakiegokolwiek strony zapatrywać się będziemy na wyłącznie ludzką zdolność sążenia pojęciowego, okazuje się ona być tylko wyższym rozwojem tej zdolności poznaniowego komunikowania się z sobą, której stopnie zstępujące możemy odnajdywać w królestwie zwierzęcem, aż do dwuletniego dziecka; ztąd począwszy, w sposób nieprzerwany wznoszą się one wyżej przez cały łańcuch spotęgowanego życia umysłowego dziecka i nieznacznie przechodzą w rozpoczynające się życie pojęciowe ducha ludzkiego, który jednak w przybliżeniu nawet nie jest tak oddalonym od inteligencyi zwierząt niższych, jak nim jest odnośnie do tych stopni inteligencyi, których w następnym swoim rozwoju dosięga.

ROZDZIAŁ XII.

Językoznawstwo porównawcze.

Widzieliśmy niejednokrotnie, że jeden tylko jest argument przemawiający za poglądem, iż proces rozwoju zarówno umysłowego jak i organicznego, który wszędzie okazał się być ciągłym i nieprzerwanym, doznał nagle przerwy w końcowej swej fazie, i że argument ten opiera się na podstawie psychologicznej. Lecz widzieliśmy, że nawet i na własnym gruncie swoim argument ten może być dokumentalnie odpartym. Dla jaśniejszego wykazania tego, rozumowania moje trzymałem naumyślnie w granicach nauk psychologicznych. Teraz jednak nadszedł już czas, abym obrał sobie nowy punkt wyjścia. Przeciwnicy moi apelują do języka; dojrzel pójdźmy za nimi do ostatniego ich schronienia

W poprzednich rozdziałach niniejszej pracy mojej niejednokrotnie zwracałem uwagę, że psychologia historyczna pozbawiona jest wykopalisk; w przeciwieństwie do organizmów przedhistorycznych, idee przedhistoryczne nie pozostawiły po sobie żadnego śladu swego istnienia. Możemy jednak odnaleźć wyjątek cząstkowy od ogólnego twierdzenia. Nowa bowiem nauka o językoznawstwie porównawczem wykryła fakt bardzo ważny, że jeżeli z jednej strony mowa nadaje *wyrażenie* idejom,

to z drugiej ideje *wyciskają* swoje piętno na mowie i że piętno to ma dziwną trwałość. Wynika stąd, że językoznawstwo stanowi nieświadomie rodzaj kroniki odnośnie do rozwoju i zaniku idej, zupełnie tak samo jak paleontologia stanowi kronikę wzrostu i zaniku gatunków. Zpatrując się z tego punktu, możemy mowę uważać jako osady uwarstwowane, w których tkwią zagrzebane myśli ludzkie, i z kąd mogą być wydobyte pracą ludzi nauki.

Zwracając się teraz do tej ważnej gałęzi pracy mojej, zauważyć muszę *in limine*, że filologia, podobnie jak każda inna nauka, może być tylko uprawianą przez tego, który specjalnie się jej oddaje. Zadanie więc moje musi się z konieczności ograniczyć na zestawieniu faktów głównych z dziedziny badań filologicznych, o ile takowe mają jakiś związek z początkiem zdolności ludzkich. Będąc tym sposobem zmuszony opierać się na powagach, starać się będę ominąć punkty sporne we wszystkich tych przypadkach, gdy zdania powag naukowych są podzielone i sprzeczne ze sobą. Muszę jednak dodać, że takich przypadków jest niewiele. W przypadkach zaś, gdy wszyscy kompetentni badacze są w zgodzie ze sobą, starać się będę nie obciążać mojego wykładu cytatami tautologicznymi, lub też przytoczeniem zdań przeciwników. Pomiędzy badaczami dawniejszymi mowy ludzkiej zachodził ulubiony spór, czy zdolność mowy zawdzięcza swój początek objawieniu boskiemu, czy też mowa jest wynalazkiem ludzkim. Dopóki spór o początku mowy ograniczał się na tych dwóch alternatywach, dopóty zwolennicy kreacyi specjalnej w tym odziale myślenia, znajdowali się w lepszych warunkach, niż ich przeciwnicy, a to dla przyczyn następujących.

Przeciwnicy ich z góry byli już pobici, w skutek wiary powszechnej w specjalną kreację, odnośnie do początku człowieka i także w skutek wiary w pomieszanie języków przy budowie wieży Babel. Ponieważ teoria rozwoju nie była jeszcze jasno sformułowaną, więc hipoteza o początku boskim mowy miała wszystko za sobą, a to tem bardziej, że wydało się zupełnie nieprawdopodobnem, aby Adam i Ewa, mając zupełnie już rozwinięte władze umysłowe nie byli w stanie udzielania sobie myśli swoich. Co więcej, ci nawet badacze, którzy niepozostawali bezpośrednio pod wpływem kosmologii biblijnej, ulegali jednak jej władzy w sposób uwikłany, a to tak dalece, że przyznawali, iż jeśli język nie jest wynikiem natchnienia bezpośredniego, to może być tylko rezultatem wynalazku obmyślanego. Lecz przeciwko temu ostatniemu przypuszczeniu występowali przeciwnicy prawowierni z następującą repliką.—„Codzienne doświadczenia uczy nas, że ludzie, którzy się w dzieciństwie nie nauczyli artykułować, nie mogą się nauczyć mówić, chyba przy użyciu środków dla ludzi dzikich niedostępnych. Ztąd wynika, że jeśli język wogóle został wynalezionym, to wynalazku tego mogli tylko dokonać albo dzieci, niezdolne do wynalazków, albo ludzie dorośli, nieumiejący mówić. Tysiące a nawet miliony dzieci nigdy nie mogły wynaleźć języka. W dzieciństwie bowiem, kiedy narządy głosowe są giętkie i przydatne do wymawiania wszelkich dźwięków, wtedy władze umysłowe nie są dość rozwinięte, aby dziecko było w stanie wymyśleć jakiś język; w epoce znowu, kiedy rozum dojrzewa, wtedy narządy głosowe stają się zbyt sztywnymi, aby za ich pomocą dokonać wynalazku języka. Na tej to zasadzie zwolennicy początku boskiego mowy twierdzą, że zarówno

rozum jak i historia uczą nas, że rodzaj ludzki od najdawniejszych czasów był zwierzęciem mówiącym—młodeż statecznie nabywała sztuki mówienia, naśladowując starszych i możemy śmiało twierdzić, że pierwsi nasi rodzice otrzymali mowę swoją drogą bezpośredniego natchnienia ¹⁾).

Powstała jednak jeszcze jedna alternatywa a mianowicie, może być, że mowa nie jest ani wynikiem natchnienia boskiego, ani rezultatem wynalazku ludzkiego, lecz produktem rozwoju naturalnego. I chociaż tę alternatywę jasno spostrzegli niektórzy z dawniejszych badaczy językowych, atoli prawdziwa jej doniosłość mogła tylko być ocenioną w świetle ogólnej teorii rozwoju ²⁾). Pomimo to musimy zaznaczyć, że teoria rozwoju została

¹⁾ „Encyclopaedia Britannica”, ósme wydanie z 1857 r. art. Język.

²⁾ W starożytności, gdy jeszcze nie było przesądów teologicznych przeciwko teorii rozwoju, alternatywa ta znalazła pełne uznanie, tak np. ma się rzecz z pisarzami rzymskimi: Horacyuszem, Lukrecyuszem i Cynceronem. Jeszcze przedtem filozofowie greccy bardzo się interesowali kwestyą, czy mowa jest darem intuicyjnym (analogiści), czy też wynalazkiem ludzkim (anomalisci). Jeszcze wcześniej u gramatyków indyjskich napotykamy rezultaty zadziwiające odnośnie do analizy prawdziwie naukowej wzrostu języka. W tekście mam na myśli nowsze tylko czasy i tu, o ile mi się zdaje, nie może być żadnej wątpliwości, że do połowy stulecia bieżącego hipoteza, iż język może być produktem rozwoju naturalnego, nie znalazła dostatecznego uznania. Z pomiędzy mężów nauki, którzy prawdę tę uznali, zasługują na wzmiankę wyróżniającą: Herder, Monboddo, sir W. Jones, Schlegel, Bopp, Humboldt, Grimm i Pott. W tym samym roku, w którym ukazało się wielkopomne dzieło „Origin of Species” (1859), pojawił się też pierwszy zeszyt czasopisma Steinthala „Zeitschrift für Völker psychologie und Sprachwissenschaft”.

jasno wyprowadzoną i zastosowaną do badań językowych wcześniej, nim teoria ta była dokładnie wypowiedzianą przez przyrodników. Tak np. dr. Latham w r. 1857, krytykując wyżej przytoczony ustęp, powiada: „W dzisiejszej dziedzinie językowej linie graniczne są mniej wyraźnie przeprowadzone, aniżeli w poprzednim szkicu. W ogólności jednak wszędzie się rzuca w oczy zjawisko rozwoju... Dla wyjaśnienia początku istniejących linii granicznych, które są szerokie i wyraźne, musimy jeszcze zwrócić uwagę na inne zjawisko, a mianowicie, na rozprzestrzenienie się jednego dyalektu kosztem drugiego; fakt ten sprawia, że formy przejściowe znikają, formy zaś krańcowe przychodzą w geograficzne zetknięcie się z sobą ¹⁾. W czasach dzisiejszych, po części wskutek trwałego ustalenia się teorii rozwoju w naukach biologicznych, po części zaś wskutek faktów, zdobytych na polu samej filologii, wazyscy prawie bez wyjątku badacze mowy przyjmują teorię rozwoju. Nawet prof. Max Müller twierdzi, „że prawdziwy badacz językowy musi być ewolucjonistą, gdyż dokądkolwiek się obróci, wszędzie widzi naokoło siebie rozwój“ ²⁾. Schleicher idzie jeszcze dalej, twierdząc, że „rozwój różnych form dawniejszych da się łatwiej i w obszerniejszych rozmiarach zbadać w dziedzinie mowy, niż w królestwie roślin lub zwierząt“ ³⁾.

¹⁾ „Encycl. Brit“ loc. cit. Jeżeli uwzględnimy, że artykuł ten był napisany na dwa lata przed ukazaniem się pracy „Origin of Species“, to jasno wypowiedziana w nim myśl o walce o byt na polu językoznawstwa zasługuje na szczególną uwagę.

²⁾ „Science of Thought“. Przedmowa str. XI.

³⁾ „Die Darwinische Theorie und die Sprachwissenschaft“; 1873.

Musimy jednak rozróżnić pomiędzy: znową a mowami. Filolog może być mocno przekonany, że wszystkie języki drogą wzrostu naturalnego rozwinęły się z tych elementów prostych, albo pierwiastków, o których zaraz będziemy mówili. Lecz pomimo to będzie się wahał twierdzić z równą pewnością, że i te elementy proste same przez się powstały z jeszcze prostszych form zdolności znakowania, i że zatem nie tylko wszystkie języki w szczególności, lecz że i sama zdolność mówienia w ogólności jest wynikiem rozwoju naturalnego. Należy zauważyć, że w tem miejscu znajdujemy się wobec takiego samego rozróżnienia odnośnie do początku języka, jak na początku tej pracy byliśmy odnośnie do początku człowieka. Tam byliśmy wobec jak najbardziej przekonujących dowodów historycznych, że cały postęp cywilizacji podlegał zasadom teorii rozwoju, lecz dowodów bezpośrednich na pochodzenie człowieka z przodków zwierzęcych nie mieliśmy. Zupełnie tak samo i w tym przypadku przekonujemy się, że tak długo jak nam przyświeca pochodnia historii mamy dowody oczywiste, że zasady ewolucji rządziły rozwojem stopniowym języka, zupełnie tak samo jak od nich zależą ciągle wzrastające doskonalenie się i komplikacja organizacji społecznej. Atoli odnośnie do przypadku ostatniego wiemy, że widoczność bezpośrednia rozwoju form wyższych z niższych głośno przemawia za tem, że ta sama metoda daje się zastosować wstecz aż do czasów przedhistorycznych, i że ten rozwój, który tak jednostajnie przechodzi przez cały czas historyczny, upoważnia nas do przypuszczenia, iż i do tego peryodu doszliśmy drogą rozwoju stopniowego zdolności ludzkich. Tak samo ma

się rzecz i z językiem. Jeżeli filologii uda się wysledzić, że każdy ze znanych nam języków rozwinął się z pierwiastków, to wtedy stanie się bardzo prawdopodobną hipoteza, że i te najwcześniejsze i najprostsze elementy, tak samo jak i ich późniejsze i bardziej złożone produkty są rezultatem rozwoju naturalnego.

Pomimo to jednak, należy, jakiem to już zaznaczył, rozróżnić pomiędzy faktem dowiedzionym a wnioskiem spekulacyjnym, chociażby ten posiadał bardzo wysoki stopień prawdopodobieństwa. Z tego to powodu uważam za stosowne przytoczyć w streszczeniu wszystkie stany rozwoju, przez które, według teorii powszechnie przyjętej, języki przechodziły, pomijając na teraz kwestyę trudniejszą, tyzącą się początku pierwiastków. Przypuśćmy, że mamy słowo angielskie „uncostliness“, (niekosztowność, niedrogość). Widocznie, że w niem „un“, „li“ i „ness“ są trzema przyczepkami pochodnemi, elementami demonstracyjnemi, sufiksami i afiksami, albo jak je jeszcze inaczej nazwać możemy *stałemi modyfikującemi*, które mówiący dodają zwykle do swoich wyrazów - *pierwiastków*, w celu zmieniania znaczenia tych wyrazów stosownie do okoliczności. Każda z tych stałych modyfikujących ma swoją przyszłość, którą w wielu razach można odcyfrować. Tak np. wiemy, że w przytoczonym wyżej przykładzie „li“ jest skróceniem wyrazu „like“, końcówka „ness“ jest starszą niż język angielski, nakoniec „un“ jest jeszcze dawniejszego pochodzenia. W naszym przykładzie wyraz „cost“ jest pierwiastkiem, przynajmniej o ile rzecz się tyczy angielszczyzny, gdyż śledząc za tym wyrazem dalej dochodzimy (po przez łacinę *con-sta*) aż do pierwiastku aryjskiego, oznaczającego „stan“.

Te stałe modyfikujące nie redukują się wyłącznie do sufiksów i afiksów przyczepionych do wyrazów tworząc z nimi pojedyncze (lub złożone) wyrazy; mogą one jeszcze występować jako wyrazy oddzielne i przy tworzeniu zdań być użyte jako zaimki, przysłówki, i t. d. W niektórych językach występują też jako czasowniki posiłkowe, gdy w innych służą jaką fleksyę gramatyczną. Tak więc stosownie do ducha języka pierwiastki jego mogą być traktowane w sposób rozmaity, czyli według metod różnych. Lecz pierwiastki te zawsze istnieją i tworzą niejako kość pacierzową języka, demonstracyjne zaś elementy bez względu na formę, w jakiej występują, stanowią jedynie stałe modyfikujące.

Z tego faktu ogólnego możemy wyprowadzić wniosek, że we wszystkich językach pierwiastki stanowią najstarsze elementy językowe, gdy tymczasem te elementy, które służą tylko do bliższego określenia znaczenia pierwiastków w przypadkach szczególnych, dopiero znacznie później się rozwinęły. Ich bowiem funkcya polega na nadawaniu znaczeń specjalnych znaczeniom ogólnym, tkwiącym już w pierwiastkach. Bez pierwiastków elementy demonstracyjne nie miałyby żadnego znaczenia. Wynika stąd, jakieśmy tu już zaznaczyli, że pierwiastki są temi elementami, które we wszystkich językach najwcześniej odkryć można, (choć stąd nie wynika wcale, aby one były najbardziej pierwotnymi). I rzeczywiście rzecz się tak istotnie ma. Gdy śledzimy za drzewem genealogiczem jakiejś rodziny językowej widzimy, że na różnych gałęziach występują różne elementy demonstracyjne, lecz że wszystkie te gałęzie wyrastają z tych samych pierwiastków. Prawda, że te pierwiastki mogą być rozmaicie zmodyfikowane, zarówno co do dźwięków

jak i co do grupy wyrazów, którym dają początek na różnych gałęziach, lecz ten rozchodzący się rozwój jeszcze bardziej nas utrwala w przekonaniu o początku wspólnym wszystkich tu należących gałęzi ¹⁾).

Powiedziałem, że wszyscy filologowie przyjmują obecnie teorię rozwoju w jej zastosowaniu do językoznawstwa; ta zgodność jednak zdań ustaje, gdy chodzi o metodę ścisłą, albo o historię rozwoju języków szczegółowych. Z tego to powodu chcę przedewszystkiem podać krótki zarys głównych faktów, dotyczących się budowy języka i następnie wyłożę różne poglądy odnośnie do rozwoju mowy. Posługując się terminami, zapożyczonymi z innej nauki, chcę przedewszystkiem

¹⁾ Pomiędzy lingwistami zachodzi spór odnośnie do obszaru, w jakim same stałe modyfikacyjne były pierwiastkami. Szkoła Ludwika twierdzi, że elementy demonstracyjne nigdy nie były wyrazami samodzielnymi; lecz przyjmując to przypuszczenie przynajmniej musimy, że one jednakże musiały mieć jakąś egzystencję niezależną, gdyż inaczej trudno zrozumieć w jaki sposób one mogły służyć do modyfikacji ostatecznej różnych pierwiastków w jednakowy sposób. Oprócz tego, jak słusznie zauważył prof. Max Müller, przypuszczenie, iż khana, khain, khanana, khainträ, khatra, i t. d. spadły gotowe z nieba bez żadnego celu syntetycznego i że różnice pomiędzy nimi zachodzące są jedynie wynikiem działalności niekontrolowanej narządów głosowych wydaje mi się nonsensem... Musimy jednak przyznać, że niektóre sufiksy i zakończenia były nieprawidłowo zbadane przez Boppa i jego szkołę i że większość z nich należy uważać jakie, które od początku były demonstracyjne i modyfikujące. (*loc. cit.* str. 224 i 225). Patrz także Farrar. „Origin of Languages” str. 103 i następne, Donaldson „Greek Grammar” str. 67—69 i Hovelacque. „Science of Language” str. 37. Należy zauważyć, że kwestya ta niema wpływu na treść tekstu.

zająć się morfologią głównych klas dziedziny językowej, następnie zaś chcę zbadać kwestyę ich filogenii.

Obecnie istnieje przeszło tysiąc języków *żyjących*, z których żaden nie jest sam przez się zrozumiałym dla mówiących innym językiem. Wszystkie te języki dają się podzielić na rodziny, których członkowie są mniej lub więcej ze sobą spowinowaceni, gdy członkowie różnych rodzin nie wykazują takiego powinowactwa. Cechą powinowactwa rodzinnego jest podobieństwo budowy, gramatyki i pierwiastków. Kierując się tą cechą, prof. Fryderyk Müller wszystkie obecnie istniejące języki ugrupował „w sto w przybliżeniu rodzin“¹⁾. Tak więc znów się posiłkując wyrazami biologicznymi, możemy powiedzieć, że obecnie istnieje tysiąc „gatunków“ językowych, które dają się ugrupować w sto w przybliżeniu „rodzajów“; wszystkie gatunki do jednego rodzaju należące są ze sobą spowinowaczone węzłami rodzinnymi.

Lecz obok tych gatunków i rodzajów językowych są jeszcze poddziały, które możnaby było nazwać „rzędami“, z których każdy składa się z kilku rodzajów. Takie rzędy filologowie nazywają „grupami“; dotychczas kwestya pozostaje nierozstrzygniętą, czy pomiędzy temi rzędami zachodzi jakiś związek genetyczny, czy też nie. Z samego początku istotnych badań językowych rozróżniano trzy takie grupy, które nazwano: 1-szą—odosobniającą, 2-gą—aglutynacyjną (zlepiającą) i 3-cią — fleksyjną.

²⁾ „Grundriss der Sprachwissenschaft“ I, 1, 37. Ocena ta została też przyjęto przez prof. Sayce'a w „Introduction to the Science of Language“, tom II, str. 32.

W grupie *odosobniającej* każdy wyraz stoi oddzielnie, niezdolny do żadnej zmiany fleksyjnej dla celów budowy gramatycznej, nie może też podlegać zmianom popobnym za pomocą elementów demonstracyjnych, albo też stałych modyfikujących. Języki tej grupy nazywają jeszcze *jednosylabowemi*, a to dlatego, że odosobnione wyrazy występują zwykle w formie pojedynczych zgłoszek. Języki tej grupy nazwano też pierwiastkowemi dlatego że ich wyrazy odosobnione i jednosylabowe przedstawiają niejaki podobieństwo do pierwiastków pierwotnych języków innych grup, pierwiastków, które, jakiem już wyżej nadmieniał, zostały odkryte pracą filologów porównawczych. W ogólności język dziecienny może nam dać najlepsze pojęcie o języku odosobniającym, gdyż dzieci nasze, zaczynając mówić, używają wyrazów jednozglaszkowych i odosobnionych.

Ten język dziecienny i pod tym względem podobnym jest do języków odosobniających, że nie rozróżnia pomiędzy tak nazwanemi *częściami mowy*. W językach tych stosunki gramatyczne i zmiany od nich zależne dają się wyrazić tylko za pomocą różnych intonacyj albo też przez zmianę pozycji wyrazów w zdaniu. Wprawdzie sposób ten znajduje też zastosowanie i w językach dwóch ostatnich grup, lecz w grupie języków odosobniających doszedł do tak wysokiego stopnia rozwoju odnośnie do delikatności cieniowania i różnorodności używania, że w zupełności zastępuje stałe modyfikujące, jako też i zmiany fleksyjne. Pomimo to jednak, chociaż w tych językach zachodzi zupełny brak zmian fleksyjnych, to atoli nie możemy tego powiedzieć o elementach demonstracyjnych, gdyż takowe napotykają się w formie wyrazów posłkowych. Tak np. w języku

chińskim znajdują się wyrazy przez gramatyków tubylczych nazwane *wyrazami pełnemi* i *wyrazami pustemi*. Wyrazami pełnemi są te wyrazy jednozgłoskowe, które odosobnione mają znaczenie bardzo nieokreślone; tak np. je ten i ten sam wyraz może oznaczyć *piłkę, okrągły, zaokrąglić, naokoło*, itd.; t. j., że wyrazy pełne, będąc odosobnione nie należą do określonej części mowy. Co więcej, takie słowo stosownie do okoliczności może mieć znaczenia najrozmaitsze. Tak np. jeden i ten sam wyraz może oznaczać: *być, rzeczywiście, on, litera, tak*, i t. d. Otóż dla wyrażenia, znaczenia prawdziwego, jakie wyraz pełny ma oznaczyć, posługują się wyrazami pustemi jako dopełnieniami w celach intonacyi lub składni. Prawdopodobnie wyrazy puste były kiedyś pełnemi, których znaczenie stopniowo ulegało zapomnieniu, aż zeszły do tego, że ich zupełnie dowolnie zaczęto używać dla bliższego określenia innych wyrazów; zupełnie tak samo jak angielski wyraz *like* w swojej dziś zwyrodniałej formie *ly* używa się dla nadania przymiotnikowi znaczenia przysłówka; różnica w obu razach polega jedynie na tem, że w językach odosobniających wyrazy puste, albo określające nie zlewają się z pełnemi, lecz pozostają odosobnionemi. Według mniemania wielu filologów użycie wyrazów posiłkowych, w celu nadania ściśłości wyrazom głównym—stanowi przejście od języków jednosylabowych do aglutynacyjnych¹⁾.

Języki *aglutynacyjne* stanowią drugą grupę językową. W nich wyrazy, służące jako stałe modyfikujące, albo oznaczające stosunki zlewają się z wyrazami,

1) Hovelacque., „Science of Language“. Tłom angielskie, str. 37.

które określają lub zmieniają, tak że razem tworzą wyrazy złożone wielozgłoskowe, jak w przykładzie podanym wyżej *un-cost-li-ness*. Zwróciłem już uwagę na to, że przez długie używanie wiele z tych stałych modyfikujących do tego stopnia zatraciły swoje znaczenie jako wyrazy samodzielne, że obróciły w niwecz wszelkie poszukiwania filologów. Jeżeliby wszystkie wyrazy angielskie były utworzone według typu *un-cost-li-ness*, angielszczyzna byłaby językiem aglutynacyjnym. Lecz faktem jest, że język angielski, podobnie jak i wszystkie inne, do tej grupy należące, przyjął metodę przekształcania wielu ze swoich wyrazów za pomocą fleksyj (albo raczej odziedzyczył tę metodę od jednego ze swoich poprzedników) i przez to należy do trzeciej grupy językowej, którą nazwałem *fleksyjną*. Języki tego typu nazywają jeszcze *przekładającymi*, gdyż w nich pozycje wyrazów w zdaniu mogą być dowolnie zmieniane bez zmienienia znaczenia zdania. Znaczy to, że stosunki pomiędzy wyrazami mniej są w nich wyrażane za pomocą składni, niż za pomocą zmian indywidualnych wyrazów samych. W językach tej grupy zasada aglutynacyjna została tak bardzo udoskonaloną, że skład pierwotny słów jest mniej lub więcej zaciemnionym i z tego powodu, słowa z takiego połączenia otrzymane mogą z kolei być zmieniane w formy najróżnorodniejsze, służące do delikatniejszego wycieniowania znaczeń i to za pomocą odmian, czasowań, i t. d. Wyrażając się językiem niektórych filologów możemy powiedzieć, że w językach aglutynacyjnych elementy, wchodzące w skład wyrazów, nie złączyły się ze sobą tak ściśle, aby dopuścić do fleksyi; zostają one ze sobą w luźnym związku. Gdy zaś taki związek staje się ściślejszym, wówczas bu-

dowa języków nadaje się do bardziej artystycznego opracowania, *amalgamacja* elementów staje się zupełną i otrzymany aliaz daje się obrabiać w najrozmaitszy sposób bez żadnej obawy rozpadania się na części składowe. Co więcej, zasada fleksyi może być zastosowaną i do pierwiastków samych, nietylko sufiksy i prefiksy, lecz i same wyrazy przez nie zmodyfikowane mogą uleść zmianom fleksyjnym. W ogólności najlepsze pojęcie o tych różnych typach językowych otrzymujemy z następującego wzoru, podanego przez Hovelacque'a ¹⁾.

W językach odosobnionych wzór wyrazu zawiera tylko pojedyncze *P* (pierwiastek), wzorem zdania będzie $P + P + P + \text{i t. d.}$ Jeżeli przez *p* oznaczymy te pierwiastki, których znaczenie zanikło, i które zamieniły się w sufiksy i prefiksy, oznaczające stosunki tylko pomiędzy innymi wyrazami, to będziemy mieli następujące wzory dla aglutynacyi: *Pp, Ppp, pP, pPp*, i t. d. Nakoniec istota języka fleksyjnego polega na zdolności jego pierwiastków wyrażania swojego stosunku do innych pierwiastków za pomocą przekształcania własnej formy. Nie chcemy przez to powiedzieć, że pierwiastki wszystkich wyrazów muszą uleść modyfikacyi, gdyż bardzo często powstają one niezmienione, zupełnie tak samo jak i w językach aglutynujących. Chcieliśmy tylko zaakcentować, że one *mogą* być zmodyfikowane, i języki, w których stosunki mogą być wyrażane nietylko przez sufiksy i prefiksy, lecz jeszcze i przez zmianę kształtu pierwiastków — są językami fleksyjnymi. Jeżeli zatem tę

¹⁾ Tę metodę graficznego przedstawiania przyjął też Schleicher, który ją jeszcze rozwinął i uogólnił.

zdolność pierwiastków ulegania zmianom oznaczmy przez x , to wzór aglutynacyjny Pp przybierze kształt Pp^x . Co więcej modykujące elementy mogą także uleże fleksyi i wtedy wzorami słów będą: Pp^x , Ppp^x , itd. Takimi są trzy główne rzędy, czyli grupy językowe; lecz do nich musimy jeszcze dodać trzy inne grupy, które dość wyraźnie się różnią od pierwszych. Temi grupami są: *polisyntetyczna*, *wcielająca* i *analityczna*.

Grupę języków polisyntetycznych napotykamy u niektórych ludów dzikich, zamieszkujących Amerykę, gdzie, według Duponceau, mniej lub więcej ze sobą spokrewnione dyalekty zajmują obszar od Grenlandyi aż do Chili. Osobliwość tych języków polega na nieskończonym składaniu wyrazów za pomocą ściągania i wyrzutni. Znaczy to, że zdania w tych językach tworzą się za pomocą ustawienia wyrazów nieskończenie długich i proces łączenia polega na takim skróceniu wyrazów składowych, że często są one reprezentowane przez pojedyncze, wstawione litery. Tak np. grenlandzkie zdanie *aulisariartorasuarpok* „on śpieszył się pójść łowić ryby“, [składa się z *aulisar* „łowić ryby“, *peartor* „być czem zajętym“, *pinnesuarpok* „on się śpieszył“. Wyraz chippewayski *totocabo* „wino“ utworzonym jest z *toto* „mleko“ i *chominabo* „pęczek gron“. Tak więc polisynnteza polega na zlaniu się wyrazów i ich skracaniu, przyczem niektóre wyrazy składowe tracą początkowe, inne—końcowe zgłoski. Co więcej wyrazy złożone tego rodzaju różnią się od takichże wyrazów innych typów językowych, (jak np. angielski wyraz przymiotnikowy *never to be forgotten*) tem, że wyrazy składowe może nigdy nie były wyrazami samodzielnymi, które mogłyby istnieć oddzielnie i użyte same przez się

Rząd wcielający jest tylko gałęzią typu aglutynującego, reprezentującą wcześniejszą jego fazę, kiedy mówiący tym językiem nie byli jeszcze w stanie analizować swoich zdań, przez co zatrzymali w nich wyrazy podrzędne w uciążliwej bardzo formie różnaitości, jak np. „dom ja-go-buduję“, „oni-mają-je-swoje-książki“.

Nakoniec *rząd analityczny* jest tylko poddziałem rzędu fleksyjnego i reprezentuje późniejszą jego fazę. „Stopniowo stosunki gramatyczne, zawarte w połączeniu fleksyjnym występują w całej pełni i wyrażają się za pomocą form specjalnych“. Tak np. w angielszczyźnie fleksye dały początek wyrazom „pomocniczym“, za pomocą których zachowano delikatne cieniowania różnic, gdy jednocześnie cały aparat wyrażania się został znacznie uproszczonym.

Tak więc całą dziedzinę językową możemy w następujący sposób klasyfikować:

Rząd I. Języki odosobniające.

Rząd II. Aglutynacyjne (odłamy: języki polisyntheticzne i wcielające).

Rząd III. Fleksyjne (odłamy: języki analityczne).

Według mniemania jednak niektórych filologów typ języków polisyntheticznych nie stanowi odłamu typu aglutynacyjnego, lecz jest typem samodzielnym niezależnym od trzech pozostałych, stanowi więc rząd czwarty. Tak więc z jednej strony powiedzieliśmy, że języki polisyntheticzne „muszą poprostu być umieszczone jako ostatnie w porządku wstępującym szeregu aglutynacyjnego“¹⁾, gdy znów z drugiej strony zwrócono uwagę na to, że „budowa zdań, w dyalektach polisyntheticznych jest

¹⁾ Hovelacque *loc. cit.* str. 180.

wprost odwrotną budowie takichże zdań w językach typu odosobniającego, lub aglutynacyjnego; różne idee, na które można rozłożyć zdanie zamiast być uważane jako równe lub niezależne połączone są ze sobą podobnie jak kawałek mozaiki w jedną całość¹⁾). Te dwie cytaty najlepiej dowodzą, jaką jest wybitna różnica w zapatrywaniach odnośnie do tej grupy szczególnej języków. Jako prosta kwestya klasyfikacyi rzecz ta nie miałaby dla nas żadnego interesu, lecz ponieważ kwestya klasyfikacyi pociąga za sobą kwestyę filogenii, więc rzecz ta odnośnie do naszego przedmiotu staje się bardzo ważną.

Zwracając się teraz od klasyfikacyi typów językowych do ich filogenii, przekonywamy się, że wszyscy przyznają, iż grupa, którąśmy nazwali odłamem wcielaającym jest genetycznie związaną z rzędem aglutynacyjnym; nie ulega też wątpliwości, że podrząd analityczny jest w podobny sposób zespolony z typem flekcyjnym. I w samej rzeczy te dwa podrzędy są tylko gałęziami tych dwóch odpowiednich pniów. Cała więc kwestya redukuje się do związku pomiędzy temi trzema rzędami *inter se*, jako też pomiędzy typem polisyntetycznym i rzędem drugim. Dwa te przypadki rozpatrywać będą oddzielnie.

Z jednej strony twierdzą, że typ językowy, nazwany odosobniającym, jednozgłoskowym lub dzieciennym musi być uważany jako najbardziej pierwotny a to dla tego, że dla obserwacyi teraźniejszej przedstawia obraz

¹⁾ Sayce „Introduction“, i t. d. I, str. 126.

stanu zarodkowego lub pierwiastkowego rozwoju, z którego w następstwie rozwinał się wszelki wzrost językowy. Wykazany znów fakt aglutynacji zdaje się dowodzić istnienia długiego ciągu rozwoju, podczas którego słowa, pierwotnie odosobnione, złączały się w wyrazy złożone, a to w celu wyższego zróżniczkowania wzrostu języka i dojścia do tego, co znamy pod nazwą części mowy. Stan fleksyjny należy uważać jako dalsze opracowanie stanu aglutynacyjnego i to w sposób już wyżej opisany, nakoniec użycie wyrazów posiłkowych w językach analitycznych uważamy jako ostateczne uwieńczenie wzrostu języka.

Teoria, której krótki szkic wyżej podaliśmy, jest powszechnie przyjętą przez znaczną część filologów i rzeczywiście niektóre jej części nie stanowią teorii, lecz są raczej faktami dowiedzionymi. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że zjawisko aglutynacji nie mogło mieć miejsca wcześniej, nim istniał materiał aglutynować się dający; te zatem elementy musiały poprzedzić ów proces zespolenia, na którym polega „duch“ mowy aglutynacyjnej. W taki sam sposób aglutynacja musiała poprzedzić fleksję wyrazów już aglutynowanych; możemy też dowieść, że użycie wyrazów posiłkowych musiało nastąpić po fleksji. Pomimo to jednak niektórzy filolodowie kwestyonują prawo wyprowadzenia takiego wniosku ogólnego odnośnie do wzrostu językowego, opierając się li tylko na faktach wyżej przytoczonych, wniosku, wyrażającego się tem, że każdy język musiał przechodzić przez fazy niższe rozwoju, nim doszedł do swego stanu obecnego.

Prof. Sayce wystąpił z najważniejszym argumentem dla takiego poglądu; zacytujemy go tu: „Skłonnii je-

steśmy przypuścić, że języki fleksyjne są wyżej rozwinięte niż aglutynacyjne i aglutynacyjne znowu zajmują wyższe miejsce niż odosobniające, tak że w szeregu rozwoju te ostatnie stoją na końcu, fleksyjne zaś — na początku. Lecz twierdząc, że jeden język jest bardziej rozwinięty niż drugi, mamy właściwie na myśli, że jeden z nich lepiej się nadaje do wyrażania myśli, niż drugi i że myśl, jaką wyrazić mamy, jest wyższą. Otóż jest jeszcze wielkie pytanie, czy z tego punktu widzenia uważane, rzędy wyżej wspomniane mogą rzeczywiście być sobie przeciwstawiane¹⁾.

Autor dowodzi następnie, że języki odosobniające mają wyższość nad innymi formami językowymi pod względem treściwości i żywości, że „języki aglutynacyjne przewyższają fleksyjne pod jednym, bardzo ważnym względem, a mianowicie pod względem rozłożenia zdań na części składowe i rozróżniania stosunków gramatycznych pomiędzy sobą... W samej rzeczy, jeżeli bliżej się zastanowimy nad zasadą, służącą za podstawę fleksyi, to przekonamy się, że ona wymaga niższej zdolności logicznej, niż ta, która potrzebną jest przy aglutynacji²⁾.

W innym znowu miejscu tenże sam autor powiada: Co się tyczy pierwotnego języka pierwiastków, to nie mamy żadnego dowodu na to, aby takowy kiedykolwiek istniał i przypuszczenie, że on jest identycznym z jakimkolwiek teraźniejszym językiem jest zupełnie błędnem. Niedowiedziona jest również hipoteza, według której języki odosobniające przechodzą w aglutynacyjne, te

¹⁾ Sayce „Introduction“ i t. d. T. I, str. 374.

²⁾ Sayce Tamże I, str. 375, 376.

zaś — we fleksyjne. Nieprzerwane istnienie języków odosobniających np. chińskiego, albo też aglutynujących jak np. tureckiego i węgierskiego — dowodzi, że rozwój wyżej podany nie jest koniecznym ¹⁾).

Mógłbym przytoczyć wiele jeszcze podobnych cytat, lecz sądzę, że to cośmy wyżej podali w zupełności wystarczy dla okazania, że doktryn, o których poprzednio mówiliśmy, nie należy uważać jako zupełnie ustalonych. Fakt wzrostu pojedynczych języków nie ulega najmniejszej wątpliwości, zachodzi tylko wątpliwość odnośnie do rozwoju jednych typów językowych z drugich. W tem miejscu zrobię następującą uwagę:

Jeżeli nam powiadają, że „nieprzerwane istnienie języków odosobniających jak chińskiego, lub aglutynujących jak np. tureckiego i węgierskiego dowodzi, że rozwój językowy nie jest koniecznym“, to prawdziwość tego twierdzenia odrazu staje się nam widoczną. Lecz fakt ten niema żadnego związku z kwestją, o którą nam chodzi właściwie. Nieprzerwane istnienie protozoów najniezawodniej dowodzi, że przekształcenie się ich w metazoa nie jest koniecznym, lecz ta okoliczność w niczem nie sprzeciwia się doktrynie, według której wszystkie metazoa rozwinęły się z protozoów. Podobnie gdy nam powiadają, że prawdziwe znaczenie twierdzenia, iż jeden język jest więcej rozwinięty niż drugi, polega na tem, że jeden język więcej niż drugi przydatnym jest do wyrażania myśli“, to takie powiedzenie oddala nas tylko od badanej kwestyi. Nasza kwestya polega na tem, czy

¹⁾ Sayce. Tamże str. 120. Patrz także tego samego autora „Principles of Comparative Philology“, 2 e wyd. str. 1X.

jeden typ budowy językowej *przechodzi drogą rozwoju* w drugi, lecz wcale nie na tem, czy przez takie rozwinięcie staje się on *bardziej posuniętym* w znaczeniu, że „bardziej się nadaje do wyrażania myśli“. Może to być, lub nie być, lecz w żadnym razie kwestya przydatności języka nie koniecznie zostaje w związku z jego rozwojem. Bardzo łatwo bowiem stać się może, że z jednego pcczątku rozechodzą się dwie lub więcej linii rozwoju w kierunkach różnych. Nie ulega wątpliwości, jak to twierdzi prof. Sayce, że chińszczyzna nowoczesna w kierunku zgęszczania odosobniającego jest wyższym produktem rozwoju niż chińszczyzna starożytna, lecz to wcale nie dowodzi, aby języki aglutynujące nie pochodziły od typu odosobniającego i aby następnie szły po innej linii rozwoju stosownie do ducha lub sposobu rozwoju. Przyrodnicy nie wątpią, że dwa różne typy budowy morfologicznej β i β mogą pochodzić od wspólnego rodzica B , chociaż typ β rozwinął się w jednym kierunku a typ β w drugim i oba z punktu widzenia morfologicznego są jednakowo skuteczne. Nie sądzę więc, aby filolog w przypadku zupełnie analogicznym mógł zaprzeczyć powinowactwa, opierając się jedynie na tem, że według jego mniemania typ β jest pod względem psychologicznym również skutecznym jak i typ β .

Nakoniec, jakim już zaznaczyłem, nie ulega wątpliwości, że odnośnie do każdego języka aglutynującego stosownie do stopnia, w jakim można wykazać, że jest aglutynującym, można też wykazać, iż pochodzi z formy mniej aglutynującej, a zatem więcej odosobniającej. Podobnie w takim samym stopniu, w jakim można wykazać, że język fleksyjny odmienia swoje wyrazy aglutynujące, w takim też stopniu można dowieść, że pochodzi

od języka mniej fleksyjnego, t. j. od takiego, w którym aglutynacja nie tak bardzo uległa zmianom fleksyjnym.

Z drugiej znów strony, ponieważ nie zachodzi konieczna potrzeba, aby język odosobniający przekształcił się w aglutynujący i aby języki tego ostatniego typu rozwinęły się w języki fleksyjne, więc bardzo łatwo stać się może, iż rozwój form wyższych języków odosobniających szedł równoległe z rozwojem języków aglutynujących, gdy podobnie wyższe formy języków aglutynujących rozwinęły się równoległe do języków fleksyjnych. Jeżeliby się rzecz tak miała, obie szkoły filologiczne miałyby jednocześnie słuszność za sobą i obie byłyby też w błędzie, gdyż każda z nich przedstawiałaby jedną tylko stronę faktu rzeczywistego.

Według mojego zatem zadania moglibyśmy, o ile rzecz się dotyczy naszych obecnych poszukiwań, zupełnie pominąć kwestyę filogenezy pomiędzy trzema typami językowymi. Gdyż dopóki powszechnie przyznają, że zasady rozwoju rządzą wzrostem każdego pojedynczego języka zosobna, dopóty dla przyszłych moich argumentów jest rzeczą zupełnie obojętną, czy zasady te rozwinęły się w jednym tylko kierunku, czy też w wielu kierunkach rozwoju. Nie mamy żadnego powodu wątpić o tem, że pomiędzy trzema rzędami języków zachodzi mniejsze lub większe powinowactwo. Zbadanie stopnia powinowactwa najniezawodniej jest kwestyą pierwszorzędnej ważności dla językoznawstwa, lecz dla badań, którymi się teraz zajmujemy, mają tylko podrzędne znaczenie.

Daleko ważniejszym dla nas jest stosunek pomiędzy typem językowym polisyntetycznym i innymi typami, gdyż kwestya ta w ścisłym zostaje związku z kwestyą,

czy mamy do czynienia z najbardziej pierwotną formą językową, czy też nie. Według mniemania niektórych filologów „te języki polisyntetyczne są ciekawymi pozostałościami pierwotnych warunków językowych, które niegdyś były powszechnymi i są dowodem nowym, że Ameryka rzeczywiście jest *nowym światem*; pierwotne formy językowe, które gdzieindziej dawno już wyginęły, tu jeszcze żyją i podobnie jak pancernik świadczą o istnieniu dawno minionej przeszłości“¹⁾. Z drugiej znów strony inni badacze z równą stanowczością twierdzą, że „polisyn-teza nie jest cechą pierwotną, lecz raczej inną formą aglutynacji“²⁾.

Zajmując się tą kwestyą, mogę sobie tylko uważać za dyletanta, niemającego żadnej powagi w rzeczach, dotyczących się językoznawstwa, lecz kwestye, które mam rozpatrywać, są natury tak ogólnej, że nawet i zdanie niefachowca może mieć pewne znaczenie. Z drugiej znów strony sami filologowie tak mało wiedzą o kwestyi języków polisyntetycznych, że w niej mniej niż w każdej innej opinia laika może być uważaną jako mieszanie się w rzeczy nieswoje³⁾.

1) Sayce. „Introduction“ i t. d. I, 125, 126.

2) Hovelague. „Science of Language“ str. 130.

3) Musimy tu zwrócić uwagę na ciasne granice naszej terazniejszej wiedzy. Nawet u sąsiadujących ze sobą plemion jak Algonkinów, Trokoarów i Dakoty, których języki, wykazują jednakową budowę (polisyntetyczną), w połączeniu z podobieństwem rasowem mówiących niemi, nie pozwalają nam uważać ich jako plemiona różne, nie napotyamy żadnego śladu podobieństwa materialnego odnośnie do wyrazów lub zwrotów; w Ameryce napotyamy też wszystkie stopnie polisyn-tezy od najniższego do najwyższego a nawet obserwujemy tam zupełny brak

Z obszernej literatury filologicznej daje się wyciągnąć następujący wniosek.

Przedewszystkiem zdaje mi się, że bardzo dobrą sprawę mają ci uczeni, którzy twierdzą, że języki polysyntetyczne przedstawiają bardzo wysoki stopień pierwotności formy mowy. Jakoż wykazują oni, że ta forma językowa jest tak mało zróżniczkowaną odnośnie do swojej budowy, że zniewolony jestem wraz z innymi uczonymi przyjąć, że ona, bardziej niż którakolwiek inna, przybliża nas do początku mowy. Z drugiej znów strony, uwzględniając rażący kontrast, zachodzący pomiędzy tym typem a typem reprezentowanym przez języki odosobniające, nie mogę przypuścić, aby jeden z nich był genetycznie związany z drugim. Lecz z drugiej strony sądzę, że i uczeni przeciwnego obozu niemniej wyraźnie dowiedli, że języki odosobniające noszą na sobie piętno wysoce pierwotnego pochodzenia, że zatem bez względu na stopień rozwoju i następne zwyrodnienie (zwyrodnienie fonetyczne), któremu faktycznie uległ język chiński, on ciągle pozostawał wiernym typowi odosobniającemu, zupełnie tak samo jak protozoa w ciągu swej długiej historii rozwoju pozostawały wiernymi swojemu typowi „odosobniającemu“, pomimo że niektóre ich gałęzie oddawna już musiały dać początek „aglutynującym“ metazoam. Innemi słowy, zdaje mi

tego typu. Jeżeli rzeczy tak się mają, to oczywiście, że wszystkie usiłowania połączenia wszystkich języków amerykańskich jako całość z językami starego świata należy uważać jako chybione; faktem więc jest, że wszystkie rozprawy na ten temat są w obecnym stanie naszej wiedzy pozbawione wszelkiej wartości naukowej. Prof. Whitney w Encyc. Brit. Artyk. „Filologia“ 1883 r.

się, że zwolennicy tej teorii z takim samem prawem umieszczają języki odosobniające na tak niskim stopniu rozwoju, czyli przypisują im taką datę starożytną, z jakim ich przeciwnicy czynią to dla języków polisyntetycznych. Jeżeli ten mój pogląd jest uzasadnionym, to z konieczności wynika, że co najmniej były dwa początki, z których wszystkie istniejące teraz języki powstały, albo raczej, że były dwa typy formacyi językowej, według których najwcześniejszy materiał mowy się modelował. Najzaciętszy bowiem zwolennik początku polisyntetycznego mowy, nie śmie kwestyonować wysoce pierwotnej natury typu jednosylabowego. Tak np. główny przedstawiciel polisyntezy prof. Sayce twierdzi, że odosobniające formy języków chińskiego i taickiego przedstawiają nam „doskonały przykład tego, co miało miejsce w zaraniu mowy“ ¹⁾ i on przytacza je nam jako „ilustracye, zaczerpnięte z dalekiego Wschodu dla wskazania drogi, po której wyrazy nasze powołane zostały do życia“ ²⁾. Jeżeli zaś to przyznają najgorliwsi obrońcy poglądu polisyntetycznego, to nie mogą zrozumieć, w jaki sposób jeden typ mógł się tak zupełnie przeobrazić w drugi, że w typie odosobniającym nie pozostał żaden ślad pochodzenia polisyntetycznego. Według bowiem poprzedniego przypuszczenia musimy wnosić, że takie przekształcenie w jakiejkolwiek formie koniecznie nastąpiło zaraz po narodzeniu się mowy, pomimo że prof. Sayce wyraźnie zaznacza (w ustępie wyżej przytoczonym), że pomysł zdania, według którego układają się dyalekty polisyntetyczne, jest biegunowo przeciwnym

¹⁾ „Introduction“ i t. d. I, str. 120.

²⁾ Tamże I, str. 116.

temu, według którego układają się języki typu odosobniającego lub aglutynującego“.

Wobec słów samego prof. Sayce'a uważam za zbyt cenne jeszcze lepiej uzasadnić moje mniemanie, według którego należy przyjąć dwa przynajmniej typy formacji językowej, według których pierwotny materiał mowy się modelował. Jest bardzo prawdopodobnem, że oba typy zupełnie od siebie niezależnie powstały w różnych czasach i w różnych punktach naszego globu; jest także możliwem, że powstały jeszcze i inne typy, które jednak albo zupełnie wymarły, albo w następstwie zlały się z niektórymi gałęziami, które się rozwinęły z dwóch typów, jakie się ostały. W każdym jednak razie sędzę, że obie szkoły filologiczne, o których mówiliśmy, dobrze broniły swoich spraw; mylą się jednak w tem, twierdząc, że jedna teoria wyłącza drugą.

Z tego, com powiedział, łatwo wnosić, że jestem zwolennikiem teorii polifilitycznej rozwoju języka. Gdyby nawet za tą teorią nie przemawiały względy czysto filologiczne, które już wyżej przytoczyłem, to i wtedy jeszcze na zasadzie ogólnego rozumowania uważałbym za bardzo prawdopodobne, że takie ważne narzędzie społeczne, jakim jest mowa członkowana musiało się koniecznie wytworzyć ze znaków, tonów i giestów gdziekolwiekbyż zdolności umysłowe człowieka doszły do takiego stopnia rozwoju, że wytworzenie podobne stało się możliwem. Jeżeli zaś rzeczy tak się mają, to jest bardzo prawdopodobnem, że niektóre rasy pierwotne, geograficznie od siebie oddalone, stopniowo i niezależnie od siebie opracowały swoje pierwotne formy wyrażania się, a to tem więcej, że prawdopodobnie rozdzielenie się plemion nastąpiło wtedy, kiedy ludzie mowy jeszcze nie

posiadali, jak o tem póżniej obszernie pomówimy. Z tego powodu uważam jako rzecz bardzo nieprawdopodobną, aby języki, które powstały i rozwinęły się zupełnie od siebie niezależnie, pochodziły wszystkie wyłącznie od typu jednozgłoskowego lub jakiegokolwiek innego. Zresztą wszyscy kompetentni badacze powszechnie teraz przyjmują, że istniejące obecnie języki wywodzą swój początek od więcej niż jednego środka ¹⁾).

Niestety jednak zbyt jeszcze wielu uczonych trzyma się nieuzasadnionego i nieprawdopodobnego, według mnie, mniemania, jakoby wszystkie języki, pomimo różnorodności swego pochodzenia, przedstawiały pewne wrodzone podobieństwo familijne odnośnie do typu, albo ducha. Takie mniemanie nie znajduje żadnego uzasadnienia ani w fizyologii, ani też w psychologii rodu ludzkiego. Przeciwnie, biorąc pod uwagę przypadek analogiczny najbliższy, a mianowicie niemowlę dorastające, znajdujemy liczne i oczywiste dowody, że pierwsze próby artykułowego wyrażania się mogą przyjmować kształty różnych typów, jak tego dowiódł d-r Hale w jednym z rozdziałów poprzednich. Dla zakończenia niniejszego rozdziału przytoczę jeszcze ciekawą i dow-

¹⁾ Liczba różnych rodzin językowych obecnie istniejących, które nie pozostają ze sobą w żadnym związku, wynosi co najmniej siedemdziesiąt pięć i gdy z czasem zbadamy gramatykⁱ i słowniki licznych języków i dyalektów, których dotychczas nie znamy, to liczba powyższa znacznie się powiększy. Jeżeli do tego dodamy jeszcze liczne grupy językowe, które wymarły, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, jak np. etruski starożytnych Włoch, to otrzymamy pojęcie o niezliczonej liczbie centrów lub gmin pierwotnych, w których języki powstały. Sayce. „Introduction“ i t. d. II, 323.

cipną hipotezę, podaną przez d ra Hale'a, opierającą się na faktach wyżej przytoczonych.

Dla należytego oświetenia tej hipotezy, muszę przypomnieć czytelnikowi, że języki, któremi obecnie mówią tubylcze plemiona stałego lądu Ameryki, tak rdzennie pomiędzy sobą się różnią, że odnośnie do wielu z nich filologowie nie są w stanie podać jakiegokolwiek klasyfikacyi. Tak np. powiada prof. Whitney, że „odnośnie do materiału wyrażania się przyznać należy, iż zachodzą pomiędzy nimi różnice, których w żaden sposób pogodzić ze sobą nie można. Są liczne grupy, pomiędzy oznaczającemi znakami, w których nie zachodzą większe podobieństwa, niż pomiędzy językami angielskim, węgierskim i malajskim; znaczy to, że pomiędzy nimi niema żadnego innego podobieństwa oprócz przypadkowego“¹⁾. I rzecz ciekawa, że takie znaczne różnice zachodzą pomiędzy językami szczepów sąsiednich, identycznych, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pod względem etnograficznym, jak np. pomiędzy grupami algonkińską, irokeską i dakoską. Co więcej, różnica w budowie języków w niektórych razach sięga aż do samych pierwiastków początkowych; „budowa polisyntheticzna nie we wszystkich językach amerykańskich przeprowadzona jest w jednakowym stopniu, w niektórych bowiem zatarła się ona, albo nawet nie było jej od samego początku“²⁾. Nawet i typ odosobniający znalazł tu grunt i to w swej właściwej formie jednosylabowej i niefleksyjnej. Wobec tego stanu rzeczy na stałym lądzie Ameryki (a także, lubo w mniejszym stopniu w

1) Whitney. „Życie i wzrost języka“. Tłom. polskie str. 162.

2) Tamże str. 164.

południowej Afryce). Dr Hale podaje hipotezę następującą. Dla mnie hipoteza ta jest bardzo prawdopodobną i jeżeli da ona nam klucz do rozwiązania niezbadanej dotychczas zagadki rozwoju języków w Nowym Świecie, to będzie też w stanie wyjaśnić wielkie różnice językowe zachodzące i w innych miejscowościach naszego globu. Wychodząc z faktów zacytowanych przez nas przy końcu rozdziału o artykulacji. Dr Hale sądzi, że jeżeli dzieci, pomimo iż ich otoczenie mówi językiem kulturowym, są w stanie wynaleźć odmieną, sobie tylko właściwą mowę i to w sposób przez nas opisany, to taki wynalazek będzie dla nich daleko łatwiejszym, jeżeli się przypadkowo znajdą w zupełnem odosobnieniu od innych ludzi i skazane na to, aby pomagały sobie środkami własnymi.

„Jeżeli w takich warunkach, choroby lub inne przypadłości życia myśliwskiego zabiorą im rodziców, to dzieci pozostałe przy życiu będą głównie zależały od natury klimatu i od łatwości wynajdywania pokarmu w ciągu całego roku. W starożytnej Europie po ustaleniu się w niej teraźniejszych warunków klimatycznych, grupa dzieci młodszych niż dziesięć lat najprawdopodobniej nie mogłaby przeżyć jednej nawet zimy. Nie powinno zatem nas dziwić, jeżeli w niej znajdujemy tylko cztery lub pięć szczepów językowych i że je wszystkie, z wyjątkiem języka basków, należy uważać jako niedawnego względnie pochodzenia. Co więcej, niektórzy uczeni z wielkiem prawdopodobieństwem odnajdują źródło języka basków w północnej Afryce. To samo można powiedzieć i o tym obszarze północnej Ameryki, który leży na wschód od gór Skalistych i ku północy od zwrotników. Tameczny klimat i brak poży-

wienia w zimie czyni niemożliwem przypuszczenie, że gromadka dzieci, pozostawionych samym sobie mogła tam przezimować, z wyjątkiem chyba tych, które szczęśliwym trafem dostały się do zakątka zatoki Meksykańskiej, gdzie muszle, jagody i korzonki jadalne znajdują się w obfitości i w miejscach łatwo dostępnych“.

„Lecz jest jedna okolica ziemi, gdzie przyroda okazuje się być dobrą karmicielką i łaskawą macochą dla słabych i opuszczonych. Niema miejscowości na naszym globie, gdzieby gromadka młodych dzieci mogła łatwiej znaleźć środki wyżywienia się niż w Kaliforni. Jej precudny klimat, łagodny i bezprzykładnie jednostajny, jest aż nadto znany. P. Cronise w swoim dziele „O naturalnych bogactwach Kaliforni“ powiada co następuje „Średnia temperatura w St. Francisko podczas najzimniejszego miesiąca t. j. grudnia wynosi 50° F. (10 C.), średnia zaś temperatura najgorętszego miesiąca t. j. września wynosi 61° F. (16 C.)“. Nieco dalej ten sam autor powiada: „Chociaż stan ten dosięga ku północy szerokości zatoki Plymouthskiej, to jednak klimat całego tego obszaru jest tak łagodnym jak w bliskości zwrotników. Przez pół roku niema tam ani deszczu a śnieg i lód są tam zupełnie nieznane, chyba na wysokich górach. W ciągu roku liczą tam 200 dni zupełnie jasnych i bez chmur. Róże kwitną w tym błogosławionym kraju na otwartem powietrzu we wszystkich porach roku. Niemniej cudowną jest różnorodność środków pożywienia, napotykanych na tym półwyspie, które to środki znajdują się w warunkach i dla dziecinnych rąk dostępnych. Jagody wszelkiego rodzaju: poziomki, jeżyna, porzeczki, maliny i t. p. znajdują się w znacznej obfitości. Duże owoce i jadalne orzechy rosną na niskich i zawie-

sistych gałęziach. P. Cronise pomiędzy innemi wylicza dziką wiśnię i śliwkę, które rosną na krzaczkach; berberys (*berberis herbosa*) jest niskim krzaczkiem, dającym owoce jadalne, kalifornijski dziki kasztan (*tesculus californica*) jest niskim rozłożystym drzewem lub krzakiem, dającym obfite owoce, przez indyan bardzo cenione. Oprócz tego napotykały tam jeszcze jadalne korzonki różnego rodzaju, dojrzewające w różnych porach roku. Rzeki obfitują w ryby, które łowić można za pomocą najprostszych środków. Według p. Powersa białoryba na wiosnę w takiej obfitości napełnia zatoki, że indyane literalnie ją czerpią z wody, tamując bieg tej ostatniej krzaczkami, rzuconemi w wodę. Skorupiaki i czerwie znajdują się w znacznej obfitości i stanowią ulubiony pokarm tubylców. Robaki ziemne, które w każdej porze roku znajdują się w znacznej ilości, stanowią wysmienity pokarm. Na zakończenie dr Hale opowiada nam, że na równinach kalifornijskich wszyscy dorośli mężczyźni i wszystkie dzieci bez różnicy płci do wieku 10 lub 12 lat chodzą zupełnie nago; kobiety za całe ubranie noszą wąski pas skórzany.

Nie powinno nas zatem dziwić, że w krainie tak łagodnej i tak płodnej napotykamy liczne plemiona, mówiące językami, które według ścisłych badań specjalistów zaliczyć należy do dziewiętnastu odmiennych szczepów językowych.

Klimat nadbrzeżny Oregonu, lubo chłodniejszy od kalifornijskiego, jest jednak daleko łagodniejszy i bardziej jednostajny niż klimat krajów, leżących na tej samej szerokości lecz bardziej ku wschodowi posuniętych. Okolice te obfitują w owoce jadalne, korzonki, ryby i inne pożywienie. Oczywiście, że gromadka dzieci mo-

głaby doskonale się wyżywić w tym urodzajnym zakątku ziemi, jeżeli pomiędzy niemi znajdowałoby się chociaż jedno, któreby mogło się opiekować pozostałemi. Nie powinno zatem nas dziwić, że liczba szczepów językowych, napotykanych w tym małym obszarze, lub mniejsza niż w Kaliforni, jest jednak dwa razy większą niż w całej Europie. Pamięć o języku rodziców prawdopodobnie zachowaną bywa u starszych dzieci, która z rozwojem władz umysłowych odnawia się i ustala.

Fakt ten tłumaczy zjawisko, które w niemały kłopot wprawilo wszystkich badaczy językowych, a mianowicie, że zupełnie niespodzianie i sporadycznie występują podobieństwa, zarówno gramatyczne, jak i odnośnie do zbioru słów, pomiędzy językami, które rdzennie pomiędzy sobą się różnią...

Rzut oka na inne prowincje językowe przekonywa nas, jak trafnie tłumaczenie powyższe daje się zastosować do wyjaśnienia początku szczepów językowych i w innych miejscowościach. Brazylia zwrotnikowa jest krajem, gdzie panuje wieczne lato i który obfituje w owoce i inne płody jadalne, nieustępujące kalifornijskim odnośnie do różnorodności. W niej zatem więcej niż gdzie indziej powinniśmy wielką napotykać różnorodność języków. Otóż jeden z największych badaczy J. J. von Tschudi w dziele swoim „O języku Keczua“ informuje nas, że rzeczywiście tak jest. Powiada on — „posiadam kolekcję zebraną przez znanego przyrodnika J. Nathera podczas jego kilkoletniego pobytu w Brazylii, wykazującą, że wewnątrz tego kraju mówią przeszło stoma językami, które leksygraficznie są zupełnie różne pomiędzy sobą. Badacz ten dodaje, że liczba tak nazwanych języków cdosobnionych, to jest takich, które odpowied-

nio do terazniejszych naszych wiadomości nie przedstawiają żadnego pomiędzy sobą powinowactwa i które zatem tworzą odmienne szczepy o większem lub mniejszem rozprzestrzenieniu się, jest bardzo wielką w południowej Ameryce i według oceny przybliżonej wynosi kilkaset. Może być, że niektóre z nich dadzą się zczasem ugrupować w większe rodziny, lecz zawsze pozostanie znaczna liczba takich, dla których taka klasyfikacya nie będzie możebną.

Przytoczyłem tę hipotezę, która według poprzedniej mojej uwagi, wydaje mi się być ciekawą pod względem filozoficznym. Jakkolwiek jednak wypadłby sąd specjalistów o tej hipotezie, to przykład poligenetycznego i politypicznego początku języków, który nam daje stały ład południowej Ameryki, w niczem się przez to się nie zmieni. Jeżeli zatem mamy słuszne zasady twierdzić, że w tej części świata języki mają początek poligenetyczny, to zachodzi też wielkie prawdopodobieństwo, że różnice radykalne w budowie języków świata Starego dają się wytłomaczyć przyjmując, że i one pochodzą z podobnych niezależnych źródeł ¹⁾.

¹⁾ Mogę tu dodać, że hipoteza powyższa znajduje potwierdzenie i z innej strony, o której autor jej nie wspomina. Tak np. Farrar w r. 1865 napisał co następuje: „Dzieci zaniebane niektórych kanadyjskich wiosek indyjskich, pozostawione samopas przez czas dłuższy są w stanie wynajdywać i rzeczywiście wymyślają pewien rodzaj mowy *lingua franca*, która po części albo w zupełności jest dla wszystkich innych, oprócz ich samych, niezrozumiałą”. Autor ten powołuje się też na p. B. Moffat, który opowiada o podobnem zjawisku, jakie miało miej-

sce we wsiach południowej Afryki (Mission Travells). Wspomina on też o fakcie, że głuchoniemi mają zdolność instynktową wynajdywania dla siebie mowy znaków, która, jakieśmy to widzieli w jednym z rozdziałów poprzednich, obejmuje też używanie artykulacji dowolnej, chociaż w tym przypadku mówcy nie mogą słyszeć wymawianych przez siebie dźwięków. W ostatnich czasach ukazała się praca dra Hale pod tytułem „The Development of Language“, w której autor przytacza nowe dowody na poparcie powyższej hipotezy.

ROZDZIAŁ XIII.

Pierwiastki językowe.

Ostatni rozdział o klasyfikacji i filologii języków dał czytelnikowi pojęcie o wielkiej różnicy zdań, zachodzącej pomiędzy filologami odnośnie do pewnych podstawowych zasad ich nauki. Z tego powodu rozdział niniejszy rozpocznę przypomnieniem, że dotychczas więcej zajmowałem się kwestyami spornymi, niż tem, w czem wszyscy badacze językowi są zgodni ze sobą. Jeżeli kto zajmie się przeglądem postępu nauk filologicznych, które tylko począwszy od naszego stulecia na nazwę tę zasługują, to zadziwi go więcej ogrom materyałów, odnośnie do których zachodzi zupełna zgodność pomiędzy badaczami, niż pozostała jeszcze do zbadania reszta. Gdy będziemy mieli lepsze wiadomości o budowie i stosunkach wzajemnych języków polisyntetycznych, wtedy bardzo prawdopodobnie poznamy też bliżej stosunek ich typu wspólnego do typu języków odosobniających z jednej i do typu języków aglutynacyjnych z drugiej strony. W każdym jednak razie, nawet i przy dzisiejszym stanie nauki językoznawstwa mamy, mojem zdaniem, więcej powodów podziwiać pewność panującą w dziedzinie badań filologicznych, niż smucić się pewnemi powątpiewaniami przypadkowemi, które wynikają przy zasto-

sowaniu tych zasad, do stosunkowo mało zbadanych gałęzi mowy ludzkiej. Co więcej, bez względu na ważność tych kwestyj spornych z punktu widzenia czysto filologicznego, nie mają one, jakieśmy to już zaznaczyli, zasadniczego znaczenia dla celu, który my mamy na widoku.

Gdyż jak tylko wszyscy przyznają, że wszystkie grupy językowe były produktem stopniowego rozwoju, to już jest rzeczą dość obojętną, czy wszystkie grupy zostają do siebie w stosunku szeregowego pochodzenia, czy też pomiędzy niektórymi z nich zachodzi pokrewieństwo uboczne. Chcę przeto powiedzieć, że ewolucjonista niema potrzeby oświadczyć się ani za monotypową, ani za politypową teorią pochodzenia języków. Dla następnych rozumowań naszych jest rzeczą obojętną, czy czytelnik skłonny jest trzymać się teorii, że wszystkie języki pochodzą od jednozgłoskowych odosobnień, podobnych do napotykanych jeszcze obecnie w języku chińskim, czy też wywodzą swój początek od takich wcieleń, jakie napotykały w dyalektach licznych indyan amerykańskich, albo nakoniec przyjąć teorię, którą ja za bardzo prawdopodobną uważam, że oba te typy a bardzo być może, że i inne typy językowe przedstawiają jednakowy stopień dawności pochodzenia. Jakkolwiekby się rzeczy miały, to rozumowania moje w niczem się przez to nie zmieniają. Wątpliwości bowiem, które pod tym względem zachodzą, tyczą się tylko początków typów językowych istniejących, a mianowicie czy one są od siebie niezależne, czy też zostają ze sobą w związku genetycznym, lecz w niczem okoliczność ta nie wpływa na stopień pewności odnośnie do *rozwoju* późniejszego języków. Filologowie mogą się jak najbardziej różnić po-

między sobą odnośnie do stosunku wzajemnego różnych typów językowych, lecz wszyscy bez wyjątku zgadzają się ze sobą, „że cały rozwój języków od początku ich pierwiastków aż do utworzenia się takich doskonałych języków fleksyjnych, jak sanskrytu, greczyzny lub angielszczyzny, jest nam zupełnie znany... Jak tylko są dane pierwiastki językowe, jako kamienie budowlane mowy, to możemy już krok za krokiem śledzić za wznoszeniem się gmachu językowego“ ¹⁾).

Przytoczywszy więc wszystko, co uważałem za konieczne dla wyjaśnienia kwestyi typów językowych, przystąpię też do rozważania tych wiadomości, jakie mamy odnośnie do pierwiastków językowych. Przedewszystkiem weźmiemy pod uwagę liczbę pierwiastków, z których się język rozwinął, albo raczej liczbę tych elementarnych części składowych, które poszukiwania filologów odkryły we wszystkich, dotychczas bliżej zbadanych językach. Prawdę powiedziawszy, możemy z prawdopodobieństwem wielkiem a nawet z pewnością twierdzić, że liczba rzeczywista pierwiastków jest daleko mniejszą, niż ta, którą filologowie podają. Język chiński posiada około pięciuset różnych słów jednozgłoskowych. Liczbę tę za pomocą różnych intonacyj powiększają obecnie do tysiąca pięciuset; lecz cała budowa tego obecnie żyjącego języka wzniesioną została za pomocą pięciuset słów. Według mniemania niektórych badaczy mowy, język chiński przedstawia przykład języka pierwiastkowego, który się został po dziś dzień; według innych przeciwnie, mamy tu przed sobą resztki rozkła-

¹⁾ Wundt „Vorlesungen“ II, str. 380.

du, czyli zaniku fonetycznego ¹⁾. Ta różnica zdań jednakże niema dla nas żadnego znaczenia i dlatego dłużej nad nią zatrzymywać się nie będziemy i jeżeli przy powoływaniu się na przykłady języka „pierwiastków“ zaczerpnięte posługiwać się będę językiem chińskim, to zawsze trzymać się będę w granicach, w obrębie których zachodzi zupełna zgodność pomiędzy badaczami ²⁾. Język hebrajski zredukowano również do tej liczby pierwiastków co i język chiński. Renan podaje okrągłą liczbę pięciuset pierwiastków ³⁾. Jest rzeczą pewną, że i ta liczba znacznie się zmniejszy, gdy cała rodzina języków semickich zostanie należycie zbadaną.

Według prof. Skeata język angielski zbudowany jest z 461 pierwiastków aryjskich w połączeniu z modyfikującymi stałymi, liczba których wynosi około dwudziestu ⁴⁾. W sanskrycie odnaleziono 850 pierwiastków, albo według Benfeya podwójną tę liczbę ⁵⁾. Z drugiej znów strony Max Müller na zasadzie badań nowszych redukuje liczbę pierwiastków sanskryckich do 121 ⁶⁾.

Przykłady dotychczas przytoczone są zupełnie wystarczające dla wykazania, że gdybyśmy nawet za pomocą analizy filologii porównawczej zdołali rozłożyć

¹⁾ Sayce. „Introduction to Science of Language“ II, 13.

²⁾ Różnice te zdają się mieć swój początek w pewnym przesądzie odnoszącym się do kwestyi, czy prapierwiastki języków były wielozgłoskowemi, czy nie. Mojem zdaniem niema dostatecznego dowodu na to, aby wszystkie języki objawiały „ducha polysyntetyczne“.

³⁾ Renan, „Histoire des Langues Semitiques“ str. 138.

⁴⁾ „Etymological Dictionary“ str. 746.

⁵⁾ Max Müller. „Science of Thought“ str. 332.

⁶⁾ Tamże, str. 404.

wszystkie języki na ich części składowe, to ocena prof. Potta, przyjmującego, że liczba pierwiastków języka wynosi około tysiąca, okaże się zbyt wielką ¹⁾. Przekonawszy się, że język chiński posiada tylko połowę tej liczby i że nowsze badania odszukały w hebrajskim i angielskim około pięciuset pierwiastków, sędzę, że cyfrę, podaną przez prof. Potta możemy śmiało zredukować do połowy a z pewnością nie bardzo się oddalimy od prawdy, przyjmując trzy czwarte tej liczby. W każdym razie możemy śmiało twierdzić, że całkowita liczba pierwiastków w zupełności wystarczająca dla najbogatszego nawet języka, da się wyrazić trzema cyframi i fakt ten zupełnie wystarczy dla wszystkich następnych moich badań.

Przechodząc teraz od kwestyi liczby do kwestyi charakterów pierwiastków musimy przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie. Czem są pierwiastki? Czy są to rzeczywiście „słowa pierwotne“ języków przedhistorycznych, czy są też one, według trafnego porównania prof. Maxa Müllera „fonetycznemi czcionkami“? Otóż i pod tym względem filologowie nie są zgodni ze sobą. Tak np. prof. Whitney utrzymuje, że wszystkie języki indoeuropejskie pochodzą z jednozgłoskowej mowy, że zatem „przodkowie nasi rozmawiali ze sobą zgłoskami oznaczającymi idee pierwszej ważności, którym atoli brakowało znaczenia stosunku jakiegokolwiek“ ²⁾. Przeciwno takiemu mniemaniu wystąpili inni uczeni, twierdząc, że taki

¹⁾ „Ethnologische Forschungen“ str. 73 i następne. Przytacza on zdanie Varro dla wykazania, że pierwiastki łaciny wynoszą około tysiąca.

²⁾ „Language and the Study of Language“, str. 256.

język byłby zupełnie niemożliwym ¹⁾ i „że wszelkie usiłowania porozumiewania się ze sobą za pomocą języka, zredukowanego do takich odosobnionych i ogólnych wyrażań, musiałyby spełznąć na niczem“ ²⁾). Według tych ostatnich poglądów pierwiastki są czcionkami fonetycznymi, odkrytymi przez badania filologiczne i będącymi wspólną częścią składową całej grupy wyrazów spowinowaconych ze sobą ³⁾, że pierwiastki są jądrami grupy wyrazów pokrewnych ⁴⁾, że „pierwiastek jest ogołoconem z powłok jądrem całej rodziny słów“ ⁵⁾). Nakoniec posługując się porównaniem w innym miejscu przezemnie użytym, możemy powiedzieć, że według dzisiejszych poglądów badaczy językowych, pierwiastek jest fotografią złożoną (fonogramem) pewnej liczby wyrazów, należących do tego samego języka przedhistorycznego i spowinowaconych ze sobą, odnośnie do ich znaczenia. Różnica zdań, zachodząca pod tym względem pomiędzy specjalistami, niema dla nas wielkiego znaczenia. Oprócz tego, jak później zobaczymy, różnica ta nie jest tak wielką, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Gdyż nawet i zwolennicy teorii typów fonetycznych nie wątpią, że wszystkie pierwotne i nieznanne wyrazy, ze związku których wyprowadzają obecnie pierwiastki, musiały być genetycznie ze sobą spokrewnione i ścisłość tego pokrewieństwa objawiła się w podobieństwie ści-

¹⁾ Sayce. „Introduction to the Science of Language“ II, str. 4.

²⁾ Geiger. „Ursprung der Sprache“ str. 16.

³⁾ Sayce. Tamże II, str. 6.

⁴⁾ Wedgwood. „Etymol. Diction.“ str. 3.

⁵⁾ Farrar. „Origin of Language“ str. 53.

stem dźwięków. Pod względem praktycznym zatem nie ma różnicy, czy uważamy same pierwiastki jako pierwotne wyrazy, które używane były w taki sam sposób, w jaki chińczycy używają obecnieswoich wyrazów jednozgłoskowych, czy też będziemy je uważali jako wyrażenie uogólnione grupy wyrazów spowinowaconych, zespolonych ze sobą odnośnie do znaczenia. Mniemanie to potwierdza taki nawet zapalony zwolennik teorii fonetycznych typów, jakim jest prof. Max Müller. Powiada on, „choć pierwiastkowi, jako takiemu można odmówić znaczenia wyrazu, to jednak może stać się wyrazem, jeżeli używamy go dla oznaczenia czegoś i to bez względu, czy powierzchownie uległ zmianie, czy też nie“¹⁾. Z tego to względu możemy tę dla nas podrzędną różnicę zdań pomiędzy filologami pominąć. Będę jednak dla krótkości, a nawet dla jasności mówił o pierwiastkach, jako o wyrazach archaicznych, chociaż przez to nie więcej nie wyrażam tylko to, że one są typami fonetycznymi, czyli najbliższymi podobiznami tych wyrazów, z których powstały.

Przejdźmy teraz do znaczenia pierwiastków. Odnośnie do tego punktu wypowiedziano dawniej różne, zupełnie nieodpowiednie przypuszczenia; tak np. twierdzono, że one naśladują naturalne dźwięki, albo że one wyrażają idee konkretne, i t. d. Przekonano się później, że nie są one naturalnymi dźwiękami, lecz że są zupełnie dowolnymi. Nie są one też wyrażeniami idej konkretnych lub szczegółowych, lecz przeciwnie wyrażają idee abstrakcyjne, czyli ogólne. Mamy tu zatem dwa fakty, któ-

¹⁾ „Science of Thought“ str. 439.

re pozornie zdają się być nadzwyczaj ważne. Oba na pierwszy rzut oka zdają się potwierdzać mniemanie, że filologia porównawcza nie jest w stanie wyśledzić naturalnego początku mowy. Lecz musimy głębiej nieco wnikać w istotę rzeczy i w tym celu przytoczę te 121 pierwiastków, na które prof. Max Müller rozkłada język sanskrycki. Jest to język, który pod tym względem najstaranniej zbadano i ze wszystkich uczonych, którzy się nim zajmowali, prof. Max Müller chyba najmniej może być posądzonym o stronność dla „darwinizmu“. Oto jest spis tego, co prof. Max Müller nazywa „121 pojęć oryginalnych“.

1. Kopać.
2. Pleść, tkać, szyć, wiązać.
3. Zgnieść, trzeć, niszczyć, pustoszyć, gładzić.
4. Ostrzeć.
5. Smarować, farbować, mięsić, hartować.
6. Skrobać.
7. Gryźć, jeść.
8. Dzielić, rozdać, jeść.
9. Krajać.
10. Zbierać, uważać.
11. Rozciągąć, rozszerzać.
12. Mięsząć.
13. Rozrzucać, rozsypać.
14. Skraplać, zwilżyć.
- 15a. Trząść, drzeć, drgać, migać.
- 15b. Trząść się (umysłowo), być rozgniewanym
być przybitym, bojaźliwym.
16. Obalić, padać.
17. Rozpaść się na kawałki.
18. Strzelać, rzucać w co.

19. Przedziurawić, łupać.
20. Łączyć, walczyć, powstrzymać.
21. Rozdzierać.
22. Łamać, gruchotać.
23. Mierzyć.
24. Dać.
25. Zapalić.
26. Doić, dostarczać.
27. Lać, wpłynąć, wpaść.
28. Oddzielić, uwolnić, opuścić, cierpieć niedo-
statek.
29. Zbierać.
30. Wybierać.
31. Gotować, smażyć, wrzeć.
32. Oczyszczać.
33. Myć.
34. Ciąć.
35. Obracać, zwijać.
36. Przyciskać, przymocować.
37. Gniesć.
38. Gonić, pchać.
39. Popychać, mieszać, żyć, mieszkać.
40. Pęknąć, wybuchać, śmiać się, poniewierać.
41. Ubierać się.
42. Ozdabiać.
43. Obnażyć, usunąć.
44. Kraść.
45. Zatrzymać się.
46. Napełnić, powodzić się, nabrzmiwać (wez-
brać), stać się silnym.
47. Krzyżować.
48. Osłodzić.

49. Skrócić.
50. Wycieńczyć, cierpieć.
51. Tuczyć, utkwic, kochać.
52. Lizać.
53. Ssać, karmić.
54. Pić, natrzmiewać.
55. Połykać, chlepać.
56. Wymiotować.
57. Żuć, jeść.
58. Otworzyć, rozciągać.
59. Dosięgać, dążyć, rządzić, mieć.
60. Podbić, zabierać gwałtem, walczyć.
61. Dokonać, mieć powodzenie.
62. Napadać, rzucić.
63. Ukrywać, pędzić.
64. Pozbyć, objąć.
65. Nieść, prowadzić.
66. Módz, silnym być.
67. Pokazać.
68. Dotykać.
69. Uderzyć.
70. Pytać.
71. Pilnować, obserwować.
72. Przewodniczyć.
73. Posadzić.
74. Trzymać, władać.
75. Dać, dostarczyć.
76. Kaszlać.
77. Mieć pragnienie, suszyć.
78. Być głodnym.
79. Ziewać.
80. Plwać.

81. Lecieć, uciekać.
82. Spać.
83. Upierać się, odważyć się.
84. Rozgniewać się, być szorstkim.
85. Oddychać.
86. Mówić.
87. Szukać.
88. Słyszeć.
89. Wąchać, sapać.
90. Pocić się.
91. Wrzeć, gotować.
92. Tańczyć.
93. Skakać.
94. Czołgać się.
95. Potknąć się.
96. Utkwić.
97. Spalić.
98. Mieszkać.
99. Stać.
100. Upadać, leżeć, braknąć.
101. Bujać (wisieć).
102. Zawieszać, oprzeć się.
103. Podnieść się, rosnąć.
104. Siedzieć.
105. Pracować.
106. Zmęczyć, pustoszyć, popuścić.
107. Cieszyć się, podołać się.
108. Pragnąć, lubić.
109. Obudzić.
110. Obawiać się.
111. Ochłodzić, odświeżyć.
112. Śmierdzieć.

- 113. Nienawidzić.
- 114. Wiedzieć.
- 115. Myśleć.
- 116. Świecić.
- 117. Biegać.
- 118. Poruszyć się.
- 119. Krzyczeć, wrzeszczeć.
- 120. Robić.
- 121. Być.

„Te 121 pojęć stanowią materyał, z którego według mnie uformowały się wszystkie myśli, które kiedykolwiek bądź powstały w głowach hindusów, o ile myśli te znane nam są z ich literatury. Liczba powyższa z łatwością dałaby się zredukować do mniejszej, gdyż niektóre z pojęć wyżej podanych dadzą się podporządkować pod pojęcia ogólniejsze. Pracę tę jednak zostawiam innym, obecnie zaś zadawałniam się pierwszą próbą, mającą na celu wykazać, z jak z małej liczby nasion rozwinęła się owa wspaniała roślinność intelektualna, która od najdawniejszej epoki, aż do naszych czasów pokryła ziemię indyjską¹⁾. W danym wyżej spisie przedewszystkiem rzuca się nam w oczy fakt, że autor jego miał kompletne prawo wyprowadzić te wnioski, które z niego wyciąga. „Jeżeli bowiem językoznawstwo czegokolwiek dowiodło, to najniezawodniej wyjaśniło, że wyraz użyty do oznaczenia idei szczegółowej lub przedmiotu (z wyjątkiem imion własnych) był już wyrazem ogólnym“. Następnie zwraca uwagę naszą o koliczność, że jakkolwiek krótkim jest spis powyższy,

¹⁾ „Science of Thought“, str. 549.

to jest on jednak zbyt długim, aby w jakimkolwiek zrozumiałem znaczeniu tego słowa można go było uważać za inwentarz pojęć *pierwiastkowych*, chyba że wyraz *pierwiastkowy* ma oznaczać wyniki ostatniej analizy filologicznej. Dwa fakty dowodzą, że wszystkie powyższe pojęcia nie są *pierwiastkowemi* w znaczeniu „jakoby one rzeczywiście reprezentowały ideje ludzi pierwotnych“.

Pierwszy z nich jest ten, że trzecia część tego spisu może być pominiętą bez zrobienia jakiegokolwiek uszczerbku w sposobie porozumiewania się z sobą, lub też odnośnie do możności rozumowania, pomimo, że ów spis jest już nader szczupłym. „Ziewać“, „plwać“, „wymiotować“, „pocić się“, i t. p. nie są formami czynności tak niezbędnych w życiu społeczeństw pierwotnych, aby one wymagały od pierwotnych twórców mowy nadawania nazw tym czynnościom wcześniej niż innym. Co więcej, sam prof. Max Müller w innym miejscu wyraźnie mówi, „że nawet i te 121 pojęć mogą być zredukowane do znacznie mniejszej liczby, gdyby bliżej się tą kwestyą zająć. Badając staranniej spis powyższy widzimy, że pojęcie „kopać“ da się zastąpić pojęciem „ciąć“, lub uderzać; tak samo pojęcie „gryźć“ przez „ciąć“ lub „kruszyć“; „doić“ przez „gnieść“ lub „miętoszyć“; „kraść“ przez „wynieść“ i t. d. Jeśli uwzględnimy „liczbę celów“, do których służy jeden i ten sam pierwiastek jak np. „iść“, to twierdzenie, że tuzin pierwiastków mógłby stanowić całe bogactwo mowy naszej nie będzie się już nam wydawało tak śmiesznem, jak to powszechnie sądzą“. ¹⁾

¹⁾ „Science of Thought“, str. 551, 552.

Z drugiej znów strony znaczna liczba wyrazów spisu powyższego odnosi się do stopnia kultury, znacznie przewyższającej tę, do której doszły dzikie plemiona obecnie żyjące. „Niektóre pojęcia jak np. „gotować“, „piec“, „mierzyć“, „ubierać“, „uwielbiać“, oczywiście odnoszą się do późniejszej fazy życia ucywilizowanego¹⁾. Można też śmiało dodać, że takie pojęcie jak „kopać“, „pleść“, „doić“ i. t. d. zdradzają ślady życia *pasterskiego*, które jak wiemy z licznych dowodów, wykazuje stosunkowo wyższy już poziom rozwoju socjalnego.²⁾ Lecz jeżeli wiele tych pojęć niezaprzeczenie od-

1) Tamże str. 551, 552.

2) Języki wszystkie są językami rasy ucywilizowanej; język pierwotny, z którego możemy je indukcyjnie wyprowadzić używanym był przez rasę, która stała już na wysokim stosunkowo poziomie kultury (Sayce „Introduction“ i t. d., I 56). „Szczep pierwotny, który mówił językiem ojczystym indo europejskiej rodziny, nie składał się wyłącznie z koczowników, lecz był już osiadłym, zamieszkiwał miasta, fortyfikował osady, zajmował się po części hodowlą bydła, po części zaś uprawą roli. Był też już w posiadaniu dzisiejszych naszych zwierząt domowych ważniejszych: koni, owiec, wołów i psów; wilki i niedźwiedzie były jego wrogami, które napadały na jego trzody. Mysz i mucha były plagą domową... hodowano jęczmień a może nawet i pszenicę, z których wyrabiano mąkę. Z miodu przygotowywano napój rozweselający i upajający. Użytek niektórych metali był też znany; czy do tych metali należało też i żelazo—dotychczas pozostaje kwestyą sporną. Tkactwo było już znanem: wełna, konopie a może nawet i len-dostarczały materiału surowego. Broń zaczepna i odporna była ta sama, której używają ludy pierwotne, miecz, włócznia, łuk i tarcza. Używano czółen i wiosel. Umiano liczyć do stu, lecz niema ogólnie europejskiej nazwy dla „tysiąca“. Niektóre gwiazdy zwracały na siebie uwagę i im nadano nazwy, księżyc służył do mierzenia czasu. Religia była ubóstwianiem poli-

nosi się do życia nawpół już ucywilizowanego, to jaką mamy pewność, że pozostałe są wyrazami pierwiastkowemi? Oczywiście, że tej pewności mieć nie możemy; przeciwnie, mamy bardzo ważną, gdyż istotny dowód, że one odnoszą się do mniej lub więcej wysokiego już poziomu kultury, bardzo oddalonego od stanu, w którym pozostawał człowiek pierwotny. Innemi słowy, musimy wnosić, że te 121 pierwiastków są pierwotnemi w tem znaczeniu, iż obecnie nie dadzą się one zredukować do prostszych na zasadzie badań filologicznych, nie są jednak o tyle pierwotnemi, aby zbliżyły nas na oznaczyć się dającą odległość od pierwszych początków mowy członkowanej ¹⁾.

Pomimo to jednak pierwiastki te są nader ważne, one bowiem przenoszą nas w epokę nadzwyczaj ograniczonego myślenia w porównaniu z rozwojem, jakiego dosięgły gałęzie różne indo-europejskiego szczeplu językowego a przynajmniej o tyle, o ile wzrost języka może być uważanym jako wyrażenie rozwoju umysłowego. Są one też niezmiernie ważne i pod tym względem, że pokazują nam w jak krótkim stosunkowo czasie z tak prostego myślenia zarodkowego rozwinęła się taka ogromna i tak

teistycznym sił przyrody". Whitney „Language and the Study of Language" str. 207, 208. Bliższe szczegóły o tem plemieniu ciekawem znajdzie czytelnik w dziele Poeschera „Die Arier".

¹⁾ „Unsere Wurzeln sind die Urwurzeln nich, wir haben vielleicht von keiner einzigen die erste, urspüngliche Lautform mehr vor uns, ebensowenig wohl die Urdeutung. (Geiger „Ursprung der Sprache" str. 65). Inni filozofowie przyjmują mniemanie to jako pewnik.

wielostronna zdolność myślenia ¹⁾). Nakoniec, pierwiastki te wykazują, że chociaż one wszystkie mają charakter ogólny, to jednak owe uogólnienie jest najniższego stopnia. W żadnym z nich prawie nie znajdujemy śladu myślenia refleksyjnego, jako odmiennego od prostego mianowania postrzeżeń zmysłowych, lub takich form czynności, które możemy bezpośrednio poznać jako takie ²⁾). Innemi słowy, bardzo mała tylko liczba tych „pojęć pierwotnych“ wznosi się w skali formacji idei wyżej nad poziom, który poprzednio nazwałem „poznaniem mianowaniami“, albo „przedpojęciami“. Zwierzę nieme albo dziecko jest w stanie zupełnie zrozumieć czynności objęte wyżej podanym spisem, nie powinniśmy się zatem dziwić, że społeczeństwo ludzkie będące w posiadaniu mowy (to jest będące w stanie nazywać swoje poznania) z konieczności musiało denotować najważniejsze poznania tu się odnoszące.

Ciekawym rysem ogólnego rodzaju jest fakt, że wyżej podany spis składa się wyłącznie z czasowników ³⁾). Na tę osobliwość pierwiastków we wszystkich językach

¹⁾ Epoki, w której szczepy aryjskie zamieszkiwały te same okolice i mówiły jednym językiem nie możemy odnieść do czasu, znacznie późniejszego, niż trzecie tysiąclecie przed Chrystusem (Sayce, Tamże t. 2. str. 320).

²⁾ Ten sam fakt dowodzi już bezpodstawowości twierdzenia, według którego tworzenie myśli stanowi pierwszy i naturalny cel mowy „znoszenie się zaś ludzi z sobą, jest celem drugorzędym“ („Science of Thought“ str. 40). Taki cel musiałby koniecznie wymagać przypuszczenia istnienia „myśli“, jako rzeczy gotowej, a zatem pociągnąłby za sobą wniosek, że myśl wyprzedziła warunki własnego istnienia.

³⁾ Używam słowa „czasownik“ jedynie dla krótkości i jasności. Oczywiście, że nie mogły istnieć czasowniki, póki nie było części mowy w ogólności. Dokładniejsze określenie podam później, wskaże nam ono, co należy rozumieć przez „czasownik“.

kładzie prof. Max Müller szczególny nacisk, a to dlatego, że ona dowodzi, iż pierwiastki wyrażały czynności i stany jako odmienne od przedmiotów i własności. Wniosek atoli, który Max Müller ztąd wyprowadza, nie jest uzasadnionym. Wniosek ten sprowadza się do tego, że „każdy pierwiastek wyraża świadomość powtarzania się czynności, jako to drapanie, kopanie, uderzanie, i t. p.“ wskutek czego mianowanie czynności (jako odmienne od przedmiotów) należy uważać „jako pierwszy krok do tworzenia idei“. Przy dalszem rozwijaniu tej idei, która, o ile sobie przypominam, przewija się przez całe jego dzieło prof. Max Müller zapomina o dwóch, bardzo ważnych punktach. Przedewszystkiem, jakieśmy już zauważyli, pierwiastki *najniezawodniej* są bardzo oddalone od tego, aby być materiałem języka pierwiastkowego, wytworzonego przez człowieka pierwotnego; następnie, bezwzględnie na to, jaki był ten materiał pierwiastkowy, to z samego zaraz początku musiała nastąpić walka o byt pomiędzy pierwiastkami istotnie pierwotnymi, w której tylko te się utrzymały, jakie okazały się być najodpowiedniejszemi do ostania się jako pierwiastki, t. j. aby mogły się stać pniami macierzyńskimi dla wyrazów uformować się mających. Otóż wydaje mi się oczywiście, że te wyrazy archaiczne, lubo niekoniecznie pierwotne, wyrażające czynności miały większe widoki utrzymania się jako pierwiastki, niż te, które służyły do wyrażania przedmiotów. Pochodzi to ztąd, że przedewszystkiem były częściej używane, powtóre, że wiele z nich bardziej się nadawały ku ogólnieniom metaforycznym, *szczególniej wobec układu animistycznego myślenia* ¹⁾.

¹⁾ Należy pamiętać, że człowiek pierwotny nie był w stanie rozróżniać pomiędzy zjawiskami i aktami woli i wszystkie

I jeżeli rzeczy tak się miały, to nie powinniśmy się dziwić, że tylko wyrazy wyrażające czynności „ostały się jako pierwiastki ¹⁾).

Okoliczność, że tylko te wyrazy ostały się w walce o byt, które stały się prarodzicami przyszłej mowy

objawy, włączył pod rubrykę czynności a to nietylko mimowolne czynności człowieka jak oddychanie, lecz także i ruchy przedmiotów martwych jak np. wschód i zachód słońca, wiatr, woda płynąca a także takie objawy jak ogień, elektryczność i t. p. jednym słowem, wszystkie przymioty i rzeczy, podległe zmianom człowiek pierwotny uważał jako czynności woli. Sweet. „Words Logic and Grammar“ str. 486.

¹⁾ Jest faktem niezaprzeczonym i jak później zobaczymy, są nawet dowody czysto-filologiczne, że czasowniki rzeczywiście są wytworem daleko późniejszego rozwoju językowego, niż rzeczowniki i zaimki. Jednym z takich dowodów jest ubóstwo względne języków niższego rozwoju odnośnie do czasowników (bywają one zastępowane przez dodatki zaimkowe i t. p.), jakoteż i względna nowość pochodzenia wielu z nich w porównaniu z innymi częściami mowy (patrz Garnetta. „Essays“, Pritcharda „On the Celtic Languages“. Quart. Rev. Septem. 1876; „The Derivation of Words from Prenominal and Prepositional Roots, Proc. Philos. Soc.“. Tom II. „On the Nature and Analysis of the Verb“. Tamże tom III). Później zobaczymy, że na prawdziwie początkowym stopniu wzrostu języka, nie ma wyraźnej różnicy pomiędzy częściami mowy. Farrar słusznie powiada: „Wynalazek czasownika wymaga większego wysiłku abstrakcyi, niż wynalazek rzeczownika“... Nie uważamy za *możliwe*, aby z pierwiastków, wyrażających *świecić, błyszczeć* można było uformować wyrazy dla *słońca, księżycy, gwiazd*, i t. d. W niektórych ustępach Max Müller zdaje się przechylać na stronę jedynie prawdziwego poglądu, według którego pierwiastki początkowo używane były zamiast każdej części mowy, zupełnie tak samo się jak się rzecz ma z mową jednogłoskową dzieci. (Chapters „On the Languages“ str. 196—199; porówn. trafne uwagi o tym przedmiocie Sir Grave Haughton. „Bengali Grammar“ str. 108

a przez to wyłącznie dały początek wyrazom, które przeszły do nas jako pierwiastki, ma ważne znaczenie odnośnie do innych ogólnień prof. Maxa Müllera. Z faktu, że wszystkie 121 pierwiastków sanskryckich wyrażają „ideje ogólne“ (tą nazwą oznacza on to, co idejami rodzajowemi nazwałem) wnosi on, że od samego początku swojego mowa służyła do wyrażania idej ogólnych; innemi słowy, znakomity ten filolog twierdzi, że mowa ludzka nie mogła się zacząć od mianowania szczegółów, lecz że od samego początku zajmowała się mianowaniem *pojęć*. Gdyby można było przytoczyć najlżejsze nawet ślady prawdziwego dowodu na to, że „rzeczywiście tak się rzecz miała“, to wiele z poprzednich rozdziałów pracy mojej byłyby zbytecznymi. Cała bowiem treść tych rozdziałów polegała na tem, aby wykazać, że ze stanowiska psychologicznego jest rzeczą zupełnie zrozumiałą w jaki sposób faza pojęciowa myślenia mogła się wytworzyć stopniowo z fazy poznaniowej, jak zdolność tworzenia ogólnych, czyli prawdziwie pojęciowych idej powstała ze zdolności formowania szczegółowych, czyli idej rodzajowych. Lecz jeżeliby można było dowieść a nawet uczynić w jakimkolwiek stopniu prawdopodobnem, że to czysto ludzka zdolność tworzenia prawdziwie ogólnych idej, powstaje *de novo* z pierwszym braskiem mowy członkowanej, wtedy całe moje rozumowanie poprzednie runęłoby doszczętnie; okazałoby się bowiem, że umysł ludzki odnośnie od początku swego a zatem i odnośnie do gatunku różni się od wszystkich innych inteligencji niższych; prawo ciągłości doznałoby przez to przerwy w końcowej swej fazie, utworzyłaby się przepaść nieprzebyta pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. W rzeczywistości jednak niema nawet śladu

tego dowodu, a nawet brak najmniejszego domysłu, przeciwnie, zobaczymy w dwóch następnych rozdziałach, że na każdym kroku spotykamy stateczne i przekonujące dowody na to, że rzecz się ma wprost przeciwnie; dowody te są tak bardzo przekonujące, że one skłoniły wszystkich innych filologów do przyjęcia tej wprost przeciwnej doktryny jako pewnik w językoznawstwie. Zostawiając jednak sobie przytoczenie tych dowodów na później, chcę w tym miejscu zwrócić uwagę na niedostateczność dowodów, na których prof. Max Müller się opiera. Dowody te polegają jedynie na fakcie, że „121 pierwotnych pojęć“, wcielonych w pierwiastki języka aryjskiego wyrażają ideje ogólne. Otóż argument ten byłby godnym uwagi, jeżelibyśmy mieli najmniejszą zasadę twierdzić, że w tych pierwiastkach aryjskich posiadamy elementy pierwotne mowy, którą się posługiwali ludzie pierwotni. Lecz ponieważ aż nadto dobrze wiemy, że rzecz nawet w przybliżeniu nie tak się miała, więc argument cały sam przez się upada. Prosty fakt, że wiele wyrazów, które doszły do nas jako pierwiastki są wyrazami, wyrażającymi ideje ogólne nie wyraża nic innego, czegoby z góry nie można było się spodziewać. Przypominając sobie, że sprzyjającym warunkiem ostania się wyrazu jako pierwiastek jest ten, aby wyraz taki stał się rodzicem płodnym innych wyrażań, to łatwo dojdziemy do wniosku, że słowa wyrażające ideje o pewnym stopniu ogólności miały najlepsze szanse dojścia do nas od tego stosunkowo wysokiego stopnia kultury, o którym jak widzieliśmy, świadczą owe „121 pierwiastkowych pojęć“. Nie ulega wątpliwości, że rzecz miałaby się zupełnie inaczej, gdybyśmy mogli przyjąć jako prostą nawet możliwość logiczną, że ów

stan kulturalny odpowiadał poziomowi umysłowego rozwoju, na którym stał człowiek pierwotny, gdy on po raz pierwszy zaczął się posługiwać mową członkowaną. Lecz rozumowanie takie stoi po za granicami wszelkiego rozumowania logicznego. Owe 121 pojęć już same przez się dostarczają niezbitego dowodu, że one odnoszą się do epoki *nieskończenie odległej* od tej, w której żył przodek niemy dzisiejszego *Hominis sapientis*, i że w tym ogromnym przedziale *najniezawodniej* rozwijały się i ginęły liczne pokolenia słów ¹⁾.

Uwagi te odnoszą się do stosunkowo mało licznych przykładów pojęć ogólnych, które zawierają się w owej liście „121 pojęć”. Jakieśmy już wyżej nadmienili, znaczna większość tych pojęć nie przedstawia większego stopnia ogólności niż ten, który wymagany jest przez proces nazwany przemie „myśleniem przedpojęciem”, czyli „poznaniem mianowanym”. Lecz właśnie te same uwagi odnoszą się do obu procesów myślenia. Gdyż przypuszczając nawet, że poznanie mianowane było pierwiastkowo wyrazem używanym jedynie do oznaczania idei szczegółowej, jako odmiennej od „rodzajo-

¹⁾ Czy ty byłeś przy tem, kiedy z piersi pierwotnego człowieka wydobył się pierwszy ton mowy? Czyś ty go wtedy zrozumiał? A może też do ciebie doszły owe prapierwiastki tych ludzi pierwotnych, którzy żyli na setki tysięcy lat przed nami? Czy to, co ty nazywasz pierwiastkami i które rzeczywiście mogą nimi być, są też pierwiastkami czasów pierwotnych, niesmionionemi dźwiękami? Czy twoje pierwiastki liżą sobie sześć lub dziesięć tysięcy lat? Jakim zmianom uległy one w ciągu ubiegłych dziesiątków tysięcy lat? Jak się zmieniły ich znaczenia? (Steinthal. „Zeitschr. für Völkerpsych. und Sprachwiss.“ 1876. str. 76.

wej“ musimy przyznać, że ono dopóty miało bardzo małą szansę ostania się jako pierwiastek, dopóki nie zostało dostatecznie uogólnionem, aby mogło się stać tem, co ja współoznaczeniem poznaniowem nazwałem. Tak np. imię własne jako takie nie mogło się stać pierwiastkiem. Dopiero gdy zostało ono rozszerzone na inne osoby, lub rzeczy tej samej klasy, wtedy dopiero mogło mieć jakąś szansę ostania się jako pierwiastek w walce o byt. Jako rzecz bardzo prawdopodobną i to nie tylko na zasadzie ogólnych rozumowań, lecz jeszcze na zasadzie nazw dowolnie utworzonych w języku dzieciennym uważam, że język pierwotny jednocześnie zajmował się mianowaniem zarówno szczegółowych jak i rodzajowych idei, to jest postrzeżeniami indywidualnemi i poznaniem. Przypomnę, że w rozdziale III, zajmując się logiką poznań obszernie się nad tym przedmiotem rozwodziłem. W tem miejscu zatem wystarczy, jeżeli przytoczę wyniki, do których analiza mnie doprowadziła. „Idea rodzajowa jest rodzajową dlatego, że ideje szczegółowe, z których się składa, przedstawiają tyle cech podobieństwa, że one same przez się zlewają się w świadomości, idea zaś ogólna jest ogólną dla przyczyn wprost przeciwnych, upatrzone bowiem w nich punkty podobieństwa nie są dostępne postrzeżeniu bezpośredniemu i dla tego nie mogły się zlać w świadomości bez pomocy abstrakcyi zamiarowej, albo bez zdolności umysłu, umiejącego rozporządzać idejami swojemi, jako takowemi. Innemi słowy, rodzaj klasyfikacyi odnoszący się do poznań jest ten, który najbardziej jest zbliżonym do klasyfikacyi, mającej miejsce przy wszystkich procesach tak nazwanego sądu poznaniowego, jak np. gdy mylimy się, biorąc kulę za koło. Lecz rodzaj klasyfikacyi, wchodzącej

w grę przy pojęciach jest zupełnie odmienny od czysto automatycznego grupowania postrzeżeń. W obu przypadkach najniezawodniej ma miejsce klasyfikacja, lecz w jednym przypadku następuje ona wskutek bliskości podobieństw występujących w akcie postrzeżenia, gdy w drugim przyczyną jej szukać należy w oddaleniu podobieństw¹⁾.

Jest rzeczą widoczną, że ta „bliskość podobieństw w akcie postrzeżenia“ może pochodzić, albo od podobieństwa samych postrzeżeń zmysłowych (gdy np. kolor rubinu wydaje nam się podobnym do koloru „krwi gołębiej“, albo od częstości ich powtarzania się w doświadczeniu (gdy np. ptak wodny wszystkie wrażenia pojedyncze, stanowiące jego postrzeżenie o wodzie grupuje w rodzajową klasyfikację, że woda jest ośrodkiem, w którym śmiało można się zanurzać). Jeżeli to wszystko sobie przypomnimy, to nie będziemy się dziwili, że paleontologia językowa wykryła fakt, iż pierwiastki początkowe wyrażają ideje „rodzajowe“, które z jednej strony odmiennie są od idei „ogólnych“, z drugiej zaś od idei „szczegółowych“. Zapomniawszy o tej różnicy pomiędzy klasyfikacją poznaniową a pojęciową, to jest nie uwzględniając fakt, że zachodzi różnica pomiędzy klasyfikacją, opartą na bezpośrednim akcie postrzeżenia a tą, która została wypracowaną aktem introspektywnego myślenia, prof. Max Müller oparł całe rozumowanie swoje na innym, urojonym rozróżnieniu. On bowiem wszędzie proces nadania nazwy uważa jako dostateczny dowód myślenia pojęciowego i dla tego zarówno zdol-

¹⁾ Tamże, str. 68 i następne.

ność denotacji jak i zdolność denominacji uważa jako sprawdziany obecności samoświadomego ducha. Lecz, jakieśmy to już niejednokrotnie zaznaczali, rzecz ma się inaczej. Czynności i procesy, które są tak powszechne, lub też tak bezpośrednio dostępne dla postrzeżeń jak te, które się odnoszą do „121 pojęć“ nie wykazują zdolności myślenia wyższe nad myślenie przedpojęciowe, za pomocą którego dziecko małe, zdolne jest wyrazić swoje wyższe życie poznaniowe, przed okazaniem się samowiedzy. Bardzo dobitnie, wyraża się o tem Geiger, mówiąc: „In einzelnen Fällen ist die Entstehung von Gattungsbegriffe aus Mangel an Unterscheidung gleichwohl kaum zu bezweifeln ¹⁾).

Zwracając się do większej jeszcze analogii, dostarczanej przez ludzi dzikich, znajdziemy dalsze potwierdzenie poglądu naszego. Prof. Sayce np. powiada: „że we wszystkich dyalektach dzikich i barbarzyńskich znajdujemy dla przedmiotów indywidualnych, pod zmysły podpadających, nadzwyczajną obfitość nazw, gdy na-

¹⁾ „Ursprung der Sprache“ str. 75. Dla tego samego celu i ze strony psychologicznej mogę przytoczyć Wundta: Oft hat man deshalb in der Sprache einen Uebergang von Abstrakten zum Konkreten zu finden geglaubt, weil dieselbe thatsächlich zuerst umfassendere, dann individuellere Vorstellungen bezeichnet und erst zuletzt wieder die Namen individueeller Objekte zu Gemeinnamen stempelt. Aber was am Anfang dieser Reihe liegt est etwas anderes als was den Schluss derselben bildet: Gemeinnamen sind wirkliche Zeichen für Allgemein—vorstellungen und Begriffe. Jene ersten Vorstellungen, welche das Bewusstsein bildet und die Sprache ausdrückt, sind nicht „Allgemeinvorstellungen sonderer umfassende Vorstellungen. Beides est wesentlich aus einander zu halten“ („Vorlesungen“, i t. d. II, 382). Przechodzi on następnie do rozbioru psychologicznego przedmiotu.

zwy ogólne są bardzo rzadkie“ i na potwierdzenie słów swoich podaje liczne i ciekawe przykłady ¹⁾).

Wobec tych rozważań dziwić się należy, że owe „121 słów pierwiastkowych“ nie przedstawiają *większych* dowodów myślenia pojęciowego. Jużem przytoczył przyczyny, dla których odrzucam przypuszczenie że mamy tu do czynienia z pierwobytnymi twórcami mowy i uwzględniając stosunkowo wysoki poziom kultury, do którego naród w mowie będący doszedł, musi nas zadziwić fakt, że pierwiastki jego mowy w rzadkich tylko wypadkach wzniosły się nad poziom myślenia przedpojęciowego ²⁾: Dowodzi to tylko, jaki mały stopień myślenia samoświadomego potrzebnym jest w życiu człowieka nieucywilizowanego, lecz z tego wcale nie możemy wnosić, aby naród, o którym tu mowa w uderzający sposób pozbawionym był tej zdolności wyłącznej ludzkiej.

Farrar twierdzi, że cały skarbiec słów, za pomocą których porozumiewają się ze sobą pewne klasy rolników angielskich nie przewyższa setki i prawdopodobnie bliższe badania wykażą, że większość ich używaną

1) „Introduction“ i t. d. II, 5 i 6.

2) A nawet i odnośnie do mniejszości (jak np. *być, myśleć, robić*, i t. d. musimy pamiętać o pewnej rzeczy, której Geiger poświęcił wiele ciekawych ustępów. Krótko mówiąc, możemy rzecz tę zredukować do tego, że dowiedziono, iż początki słów stopniowo zmieniały znaczenia swoje: stosując to prawo ogólne do pierwiastków, przekonywamy się, że najdawniejsze znaczenie, którego filologia zdolną była odszukać jako znaczenia wyrażone przez pierwiastki, wcale nie potrzebuje być zbliżonem do tego, które w samierchłej starożytności miało, to ostatnie mogło być daleko mniej pojęciowe.

bywa bez znaczenia pojęciowego. Jeżeliby zatem ci robotnicy sami utworzyli swoje wyrazy, to jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że bez wyjątku język ich byłby pozbawiony wyrazów, oznaczających porządek myślenia, wyższy nad przedpojęciowe. Pomimo to jednak ludzie ci musieli być zdolni do jakiegoś stopnia prawdziwie pojęciowego myślenia. Okoliczność ta dowodzi, jak łatwo pomylić się można, wnosząc z braku prawdziwie pojęciowych wyrazów o nieistnieniu samej zdolności myślenia pojęciowego u narodu, którego pierwiastki językowe do nas doszły; chociaż w tym przypadku najprawdopodobniej znajdujemy się w najbliższym sąsiedztwie tej zdolności.

Punkt, o który nam chodzi, jest ten, że prawdziwie pierwiastkowe a zatem czysto denotacyjne nazwy musiały być zarówno „rodzajowe“ jak i „szczegółowe“, zarówno nazwami poznań jak i postrzeżeń, zarówno nazwami czynności jak przedmiotów i przymiotów. Co więcej, nie ulega wątpliwości, że z pomiędzy tych wyrazów zbioru pierwotnego nazw denotacyjnych, zarówno szczegółowych jak i rodzajowych, tylko te ostatnie miały szanse ostania się jako pierwiastki. Innymi słowy, żadna nazwa pierwiastkowa nie mogła ostać się jako pierwiastek, jeśli nie nabyła większego lub mniejszego stopnia poznaniowej a zatem i konnotacyjnej wartości. Ztąd to pochodzi, że fakt, iż ostateczny rezultat analizy filologicznej każdego języka zawsze go sprowadza do małej liczby pierwiastków i że te pierwiastki wyrażają ogólne, czyli rodzajowe ideje, wcale nie przemawia ani za doktryną, że pierwiastki te są elementami pierwotnymi mowy, a *tem mniej* że mogą służyć do popr-

cia teorii, według której elementy pierwotne języka są wyrażeniami idei ogólnych ¹⁾).

Wniosek ten pociąga za sobą drugi, niemniej ważny. Dużo rozprawiano nad tem, czy wogóle i w jakim

¹⁾ Prof. Max Müller w pewnym miejscu powiada: „Językoznawstwo, szukając początku wyrazów ogólnych, ustaliło dwa fakty ważności pierwszorzędnej a mianowicie: po pierwsze wszystkie wyrazy pierwotne były ogólnemi; powtórze, że one innemi być nie mogły” („Science of Thought” str. 456). W innym znowu miejscu powiada: „choć podczas całego peryodu, w którym wzrost języka stał się już historycznym a zatem bardziej dostępnym dla badań i obserwacji, spostrzegamy dążenie do przejścia od ogółów do szczegółów, to jednak jestem przekonany, że przedtem musiał być czas przedhistoryczny, podczas którego język kroczył w kierunku wprost przeciwnym. Podczas tego ostatniego peryodu pierwiastki, które początkowo miały znaczenie szczegółowe zostały coraz bardziej uogólniane i dopiero do szedłszy do pewnego stopnia uogólnienia znów się rozszczepiły na oddzielne gałęzie” (Tamże. str. 383, 384). W dawniejszej sownu pracy („Science of Language”. I. str. 425 i następne) prof. Max Müller twierdzi, że wyrazy musiały pierwotnie mieć znaczenie ogólne. Widzimy ztąd, że badacz ten nie był stałym w swoich przekonaniach odnośnie do tego przedmiotu. Co się tyczy najprzód zacytowanego mniemania, Geiger słusznie zauważył, że wniosek prof. Max Müllera prowadzi do oczywistego absurdu, gdyż jeżeliby język składał się z samych wyrazów ogólnych, to *eo ipso* byłby niezrozumiałym dla ludzi nim mówiących, gdyż w jaki sposób byłoby możliwem porozumienie się ze sobą, gdyby język zawierał tylko takie wyrazy jak „wiązać”, „dźwięczyć”, itp.? („Ursprung der Sprache” str. 16). Oczywiście, że trudności, które prof. Max Müller odnośnie do tego przedmiotu napotyka, są urojone i oneby i dla niego znikły, gdyby się trzymał alternatywy naturalnej, według której nie mamy powodu twierdzić, że wyrazy pierwotne musiały być, albo wyłącznie szczegółowymi, albo też wyłącznie ogólnymi, to jest rodzajowemi.

stopniu język pierwotny zawdzięcza początek swój zasadzie onomatopoetycznej, czyli naśladowaniu za pomocą członkowanych nazw dźwięków, które oczywiście charakteryzują przedmioty lub czynności niemi oznaczono. Opierając się na zasadach rozwoju, powinniśmy się skłaniać ku hipotezie, że mowie pierwotnej w jej początkach bardzo było pomocnem takie zamiarowe naśladownictwo dźwięków naturalnych a to tembardziej, żeśmy się przekonali, iż ze wszystkich form wyrażeń głosowych one najlepiej dają nam poznać ideę o przedmiocie lub czynności, którym daliśmy nazwy. To samo da się powiedzieć o tak nazwanym elemencie wykrzyknikowym w formacyi wyrazów, albo o zużytkowaniu dźwięków, będących wyrażeniami pewnych stanów uczuć ludzkich. Z drugiej znów strony teorię tę, usiłującą wytłomaczyć nam pierwsze początki mowy członkowanej odrzucono z tego jedynie względu, że ona nie znajduje poparcia ani w historyi ¹⁾, ani też w wynikach badań filologicznych ²⁾. Ci jednak, którzy tak rozumują, zapominają o tem, że nazwy onomatopoetycznego początku muszą przedewszystkiem być szczegółowemi, i że dopóki one zostają szczegółowemi (jak np. w przypadku naszego wyrazu *kuku*) niewielkie tylko mają szanse ostania się jako pierwiastki, i że w miarę powiększania się prawdopodobieństwa ostania się ich jako pierwiastki, muszą, wskutek stawania się bardziej

¹⁾ Bunsen. „Philosophy of Universal History“ II, 131.

²⁾ Prof. Max Müller we wszystkich pracach swoich. Godnym uwagi jest fakt, że jego opozycja przeciwko teorii nazwanej przez niego teorią *boh woh* lub *puh-puh* jest większą w dawniejszych, niż w nowszych pracach tego uczonego.

ogólnemi, nabywać znaczeń bardziej konwencyonalnych. Ztąd wynika, że większość pierwiastków, chociażby one pierwotnie były początku naśladowniczego, to jednak w następstwie początek ten musiał poniekąd być zaciemniony.

Dla wyjaśnienia tych poglądów ogólnych wróćmy się do naszej własnej mowy dziecięcej. Fakt, że w tej mowie wybitną gra rolę element naśladowniczy już sam przez się silnie przemawia za ten, że to co obecnie stanowi tak ważną zasadę w osobniku dziecięcym (pomimo odziedziczonej dążności do mówienia) musiało też być bardzo ważnem w dzieciństwie rasy. Ważną jest ta okoliczność, że jeżeli zwrócimy uwagę na konnotacyjne uogólnienie takiego wyrazu dziecięcego znajdziemy, że w miarę jak on staje się ogólnym, to coraz bardziej zacieśnia się jego początek naśladowniczy. Tak np. Darwin podał mi następujące szczegóły, odnoszące się do wnuka, który żył u niego w domu.

„Dziecko, które tylko zaczęło mówić, nazywało kaczkę „kwak“ i przez specjalne kojarzenie nazywało też wodę „kwak“. Poznawszy podobieństwa pomiędzy własnościami, uogólniło ono następnie ten wyraz „kwak“ w ten sposób, że oznaczało nim wszystkie ptaki i owady z jednej strony i wszystkie cieczki z drugiej strony. Następnie przez subtelniejsze jeszcze ocenienie podobieństw dziecko nazywało też wszystkie monety „kwak“, jedynie dla tego, że raz na odwrotnej stronie monety francuskiej spostrzegło obraz orła. Tak więc dla dziecka znak „kwak“, który początkowo miał znaczenie bardzo specjalne, w następstwie przybierał coraz ogólniejsze znaczenia, tak że służył za nazwę dla przed-

miotów tak różnych pomiędzy sobą jak „mucha“, „wino“, „moneta“.

Otóż gdyby taki proces uogólniania wyrazów, które początkowo były naśladowniczymi, miał też miejsce i wśród społeczeństwa pierwszych twórców mowy ludzkiej, to oczywiście wszelkie usiłowania filologów dla odszukania onomatopoetycznego początku pierwiastków musiałyby się okazać płonnymi. Lecz, jakieśmy poprzednio już zaznaczyli, nie tylko możemy być pewni, że takie uogólnienie początkowo naśladowniczych wyrażań musiało mieć miejsce, jeżeli tylko takie wyrazy kiedykolwiek istniały, (i co do tego nie może być żadnej wątpliwości), lecz jeszcze, że właśnie takie uogólnienie znaczenia było koniecznym warunkiem ostania się naśladowniczych wyrazów jako pierwiastków. Innymi słowy, mamy powody bardzo uzasadnione do twierdzenia, że tylko takie przypadki onomatopei pierwotnej mogły się ostać jako pierwiastki, których naśladowniczy początek eddawna już się zatarł, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Jeżeli gdziekolwiek, to w tym przypadku stosuje się zasada ogólna wszystkich badań filologicznych, która, według wyrażenia się Goethego da się tak wypowiedzieć; początkowe znaczenie wyrazów stopniowo znika, zupełnie tak samo jak się zacierają napisy i figury na monetach ¹⁾.

¹⁾ Zdaje się być zupełnie zbytecznym powoływanie się na liczne przykłady, dowodzące, że znaczenie wyrazów ulegają licznym zmianom metaforycznym nawet i w językach żyjących i to tak bardzo, że Richter mógł powiedzieć, iż wszystkie języki są tylko słownikami metafor zapomnianych. Tak np. jest pojedynczy wyraz hebrajski (*erew*), składający się z trzech liter, który może mieć następujące znaczenia: mięszać, mniemać, zastępować.

Wobec takich rozważań dziwić się należy, że początek ten daje się tak często wysledzić nawet aż do czasów stosunkowo odległych, kiedy naród pasterski utworzył wyrazy, które w następstwie stały się pierwiastkami sanskrytu. *Kas* — kaszleć; *kshu* — kichać; *puh* — parskać; *me* — beczeć i jeszcze niektóre inne, które prof. Max Müller odnosi do niezaprzeczonej naśladowniczych. W związku jednak z tem nie bez interesu należy nam zanotować jak uczony ten zachowuje się wobec faktów podobnych. „Ani jeden z tych wyrazów“ — powiada on — „nie jest dość ważnym“, aby nas zaznajomił z prawdziwymi wyrazami sanskrytu. „Wiele z nich zginęły, nie zostawiając po sobie potomstwa, niektóre zaś chociaż i wydały potomków, to jednak bardzo nielicznych i po największej części bezpłodnych. Historia tych wyrazów jasno nam pokazuje, jak daleko sięgać może onomatopeja i gdy raz tylko poznamy sferę jej właściwą, to nie będziemy skłonni ku rozszerzaniu jej po za pewne granicami“¹⁾.

Otóż z naszego punktu widzenia terażniejszego możemy doskonale pojąć, dla czego te pierwiastki sanskrytu, których charakter naśladowniczy możemy dokładnie wysledzić, zostały bezpłodnymi. One dlatego właśnie

zastawiać, pośredniczyć, być obeznanym, znikać, stawić, robić co wieczorem, być słodkim, mucha lub chrabąszcz, arab, obcy, tkanina, łąka, kruk. (Patrz Farrar. „Chapter on Language“ str. 229). Dodaje on: „Przyjmując, że wszystkie te znaczenia ostatecznie wyprowadzają się z jednego pierwiastku, od razu widzimy, jak obszernym był krąg działania metafory“. Dalsze przykłady znajdziesz w czytelniku, tamże str. 234, 251, 252.

¹⁾ „Science of Thought“ str. 317, 318.

nie mogły być uogólnionemi, że ich źródło naśladownicze nie przestało być widocznem ¹⁾. Lecz dla przykładu przypuśćmy, że jeden z nich został uogólnionym. Cóż się wtedy stanie? Jeżeli np. *me* — beczec zostałaoby metaforycznie zastosowanem dla oznaczenia płaczu dzieci i to ostatecznie znaczenie zaczęłoby się coraz bardziej upowszechniać a dawniejsze zaś coraz bardziej znikać, to ono mogłoby zająć miejsce takich pierwiastków jak *bhi* — bać się; *isz* — lubić, i t. p. W żadnym z potomków — wyrazów, które pierwiastek powyższy, w tem nowem zastosowaniu konwencyonalnem, mógł w następstwie wydać, nie możnaby było odkryć żadnego śladu naśladownictwa, zupełnie tak samo jak podobnego śladu nie możemy odnaleźć w dźwięku *kwah*, użytego przez wyżej wspomniane dziecko dla oznaczenia monety.

Mógłbym przytoczyć wiele innych jeszcze uwag, do tego samego celu dążących. Zadawalniając się jednak ważniejszymi z nich, wspomnę, że Steinthal zwraca uwagę na to, iż wyrażenia naśladownicze różnią się znacznie pomiędzy sobą nawet wśród ras różnych, obecnie

¹⁾ Albo jak się Heyse wyraża: wiele wyrazów onomatopoeicznych nie są starymi płodnymi pierwiastkami, lecz raczej nowoczesnymi wymysłami, które pozostają odosobnionemi w mowie i nie są w stanie stworzyć rodziny słów, gdyż znaczenie ich jest zbyt ograniczonem i zanadto specjalnem, aby mogły znaleźć zastosowanie różnorodne. (System str. 92, przytoczone przez Ferrara „*Chapters on Language*“ str. 152), autor ten pokazuje, że słowa początku onomatopoeicznego niezawsze pozostają bezpłodnymi. Jeżeli taki początek nie jest zbyt oddalonym, a zatem nie został jeszcze zaciemnionym przez uogólnienia konnotacyjne, to wtedy możemy odszukać ślady jego potomstwa wśród dzieł o mniejszych rozmiarach).

żyjących ludzi, tak, że wyrazy onomatopetyczne jednej rasy nie wzbudzają żadnego przedstawienia naśladowniczego w umyśle drugiej rasy ¹⁾. Prof. Sayce twierdzi: „nie jest koniecznem, aby naśladownictwo dźwięków naturalnych było koniecznie dokładnem, gdyż w rzeczywistości nigdy ono takim być nie może; potrzeba tylko, aby takie naśladownictwo było zrozumiałem dla tych, dla których jest przeznaczone. Ten sam dźwięk naturalny, zatem może na słuch różnych osób działać w sposób najrozmaitszy i przeto może w mowie członkowanej być wyrażanym jak najbardziej różnorodnie“ ²⁾. Inny bardzo charakteryczny przykład, ilustrujący traktowaną przez nas rzecz przedstawiają nazwy szarańczy w różnych językach. Przytoczywszy kilka z tych nazw Farrar dodaje, „oczywiście, że one wszystkie są *naśladownicze*, lecz jakże rozmaicie ukształtowały się one pod wpływem wyobraźni naśladowniczej! Jak należy sobie tłumaczyć

¹⁾ „Niemniej przeto pozostaje ważny fakt psychologiczny, że dźwięki mają wartość onomatopetyczną, że wartość tę i po dziś dzień odczuwamy. Lecz uczucie to nie jest dość pewnem, aby mogło służyć jako dowodzenie nankowe, a to tem mniej, że u różnych ras jest ono różnem. Języki mongolskie zaś dla oznaczenia sjawisk przyrody posiadają wiele dźwięków naśladowniczych, które dla nas nie mają żadnego znaczenia. Fakt ten jednak nie powinien nas dziwić i nie może też służyć za dowód przeciwko jedności duchowej rodu ludzkiego. Uczucie wszakże bywa uwarunkowanem przez kojarzenie się wyobrażeń, lecz inne kojarzenie mają miejsce u mongoła, inne u przedstawiciela plebienia kaukaskiego“. „Zeits. für Völkerps und Sprachwiss.“ 1867 str. 67.

²⁾ „Introduction i t. d. I str. 108. Wskazuje on, że *bił-bił*, *glut* i *puls* są to usiłowania dla wyrażenia tego samego dźwięku.

fakt ten? Po prostu za pomocą faktu, do którego często uciekać się należy, według którego słowa nie są prostem naśladownictwem, lecz echami subiektywnymi i reprodukcjami, odbiciami, które się zmieniły zarówno idealnie jak i organicznie i które nadto pod wpływem wieków się zatarty i rozpadły ¹⁾).

Najlepszym jednak ze wszystkich przykładów, które dla objaśnienia tego punktu przytoczono, jest różnorodność słów używana w różnych językach, dla oznaczenia grzmotu. O tym przedmiocie mamy dwie niezależne od siebie prace, jedną napisaną przez Grimma ²⁾, drugą przez Potta ²⁾. Chociaż zasada naśladownictwa we wszystkich językach jest mniej więcej wyraźną, zachodzi atoli wielka różnorodność odnośnie do otrzymanych dźwięków ⁴⁾. W związku z powyższem chciałbym jeszcze przytoczyć jedną uwagę. W swojej pracy „Introduction to the Science of Language“, prof. Sayce, opierając się na rozmaitych przyczynach dowodzi, że na początku powstania artykulacji znaczenie dźwięków członkowanych prawdopodobnie w znacznej części zależało od towa-

1) „Chapters on Language“ str. 154.

2) „Ueber Namen des Donners“, 1855.

3) „Steinthals Zeitschrift i t. d.“

4) Prof. Max Müller dowodzi, że w językach indo europejskich pozornie naśladownicze wyrazy oznaczające grzmot, należy wyprowadzić z pierwiastku *tan* „wyciągać“ a zatem wyrazy te nie mają początku naśladowniczego. Przeciw temu twierdzeniu skutecznie występuje Farrar, dowodząc, że gdyby nawet te wyrazy nie były początkowo onomatopoetycznymi, to musiałyby się one stać niemi; poprostu z poczucia potrzeby takimi były. „Origin on Language“ str. 82. Patrz także „Chapter on Language“ str. 178—132. Heyse, „System“ str. 93 i Wundt „Vorlesungen“ II, str. 396.

rzyszających im giestów. Wynika ztąd, że w pierwiastkach pierwotnych, nawet w przypuszczeniu, że one do nas doszły i że miały początek naśladowniczy, źródło onomatopoetyczne musiało się z konieczności stać mętnem, gdyż ich wartość naśladownicza w znacznej części zależną była od odpowiednich, towarzyszących im giestów. Wobec tych wszystkich rozważań nie mogą się zgodzić na proste odrzucenie teorii o początku onomatopoetycznym dźwięków członkowanych. Gdybyśmy nawet mieli zasadę przypuszczać, że analiza filologiczna jest w posiadaniu prawdziwie pierwotnych początków języków żyjących, to i wtedy nie byłibyśmy w prawie występować przeciwko ich pochodzeniu naśladowniczemu, opierając się jedynie na tem, że w silnie zmienionych warunkach naszego życia i ducha nie jesteśmy teraz w stanie wykryć śladów tej onomatopei.

Materyał jednak dowodowy, który w tej materii posiadamy, nie jest wyłącznie ujemnym. Przeciwnie, mamy bardzo wiele rzeczywistych i niezaprzeczonych faktów, dowodzących początku naśladowniczego wielu bardzo wyrazów we wszystkich językach, szczególnie w językach ludów dzikich, o których to językach wiemy, że odnośnie do swojej budowy znajdują się w stanie mało rozwiniętym. Ponieważ dowody te są zbyt liczne, abym je mógł wszystkie przytoczyć, więc zadowolnię się muszę wyborem i przekonywającym rozumowaniem Farrara, wyłożonem w jego pracach „Origin of Language“ i „Chapters on Language“¹⁾. Wyżej podane przeze mnie uwagi dotyczące się strony ujemnej kwestyi, mają

¹⁾ Patrz także Nodier „Dictionnaire des Onomatopées“, i Wedgwood „Dictionary of English Etymology“.

Jedynie na celu wykazać, że w budowie mowy pierwotnej, element naśladowniczy musiał odegrywać daleko ważniejszą rolę niż tę, którą mu filologowie przyznają, chociaż udało mi się wykazać niezmiernie ważne pod tym względem złączenie i elementu naśladowniczego. Za prawdziwy cud poczytywać należy, że pomimo liczących wpływów, które przyczyniły się do zaciemnienia i zacierania pierwotnego znaczenia wyrazów, daje się ono pomimo to wysledzić we wszystkich językach, nawet w najbardziej rozwiniętych i to w stopniu bardzo znaczącym.

Wrogie usposobienie prof. Maxa Müllera dla teoryi początku naśladowniczego języka jest tem dziwniejszem, że w ostatniej swojej pracy z zapalem przemawia on za gałęzią specjalną tej teoryi, podaną przez M. Noirégo. Teorya ta polega na tem, że znakowanie członkowane wywodzi początek swój z dźwięków wydawanych przez grupę ludzi, zajętych jednocześnie pracą wspólną. Gdy marynarze wiosłują, żołnierze maszerują, murarze ciągną lub podnoszą jakiś ciężar, i t. p., to zawsze objawia się pewne dążenie do wydawania dźwięków, które sam rodzaj pracy rozdziela na peryody rytmiczne. „Te wynurzania się, szmery, gwary, krzyki lub śpiewy—tworzą pewien rodzaj reakcyi naturalnej, wewnętrznej przeciwko zaburzeniom, wywołanym naprężeniami mięśni. Są to jakoby mimowolne drgania głosu, które znajdują się w pewnej zgodności z mniej lub więcej prawidłowemi ruchami ciała naszego. Otóż postawiwszy teoryę, według której takie dźwięki, powstałe w sposób naturalny i zmieniające się ze zmianą zajęcia, prędzej lub później muszą doprowadzić do tego, że zostaną one użyte jako nazwy tych właśnie zajęć. Przez cadzienne uży-

wanie stają się one prawdziwemi wyrazami a to dlatego, że nietylko są zrozumiałe, lecz co ważniejsza, że przez takie zastosowanie konwencyonalne, wznoszą się od spostrzeżenia poznaniowego, którem były początkowo—do prawdziwego aktu przedpojęciowego oznaczenia tego spostrzeżenia.

Otóż łatwo widzieć, że teoria ta, bez względu na jej stopień prawdopodobieństwa, jest niczem innym tylko przypadkiem szczególnym ogólnej teorii onomatopei. Jeżeli nazwy pierwotne zamiarowo naśladują dźwięki naturalne, to dla celów teorii onomatopoetycznej jest rzeczą obojętną, czy dźwięki te wydawane są przez przedmioty naturalne, czy też przez samego człowieka; jest też bez znaczenia, czy naturalne dźwięki ludzkie są wyłącznie „wykrzyknikowemi“, lub też „kooperacyjnemi“ wyłącznie, lub nakoniec jednym i drugim. Jeżeli, idąc za przykładem prof. Maxa Müllera, specjalną gałąź teorii onomatopoetycznej Noirégo nazwiemy *Yeo heho*, to nie widzę żadnej możności odnalezienia jakiegokolwiek różnicy pomiędzy nią a innymi gałęziami tej samej teorii, którą Max Müller oznaczył nazwami *Puh puh* i *Bau-wau*, t. j. wykrzyknikowej i naśladowniczej. Pomimo to jednak uczony ten jest gorliwym rzecznikiem jednej a zaciętym przeciwnikiem drugiej ¹⁾.

¹⁾ Objasnienie tej pozornej niekonsekwencji znajdziemy prawdopodobnie w fakcie, że specjalny pogląd Noirégo na teorię onomatopoetyczną bardzo się zbliża do hipotezy, uświęconej niegdyś przez Maxa Müllera. Hipoteza ta została poraz pierwszy wypowiedziana przez Heysego w dziele „System der Sprachwissenschaft“ i polega na tem, że zupełnie tak samo, jak każda substancja nieorganiczna w przyrodzie przy uderzeniu wydaje wła-

Ja z mej strony uważam jako rzecz bardzo prawdopodobną, że w teorii *Yeo-he-ho* tkwi element prawdy, z drugiej strony atoli nie mogę się zgodzić na to, aby dźwięki naśladownicze tego rodzaju były *jedynem* źródłem mowy pierwotnej. Ta gałąź teorii onomatopoeicznej, mojem zdaniem, wyjaśnia małą zaledwie część tajemnicy wzrostu języka. Pomimo to jednak niemam żadnej wątpliwości co do tego, że zasada naśladownictwa we wszystkich jej rozgałęzieniach, więcej niż którakolwiek inna miała ogromny wpływ na genezę mowy. Tym sposobem odnośnie do tej materji jestem w zu-

ściwy sobia dźwięk, metale np — inny, niż drzewo, tak też i różne zwierzęta mają zdolności wrodzone (lub instynkty) do wydania odmiennych dźwięków. Człowiek pierwotny miał skłonność naturalną do wydawania dźwięków członkowanych. Ja z mojej strony przyznać muszę, że nie widzę, aby teoria taka była w stanie cokolwiek wytłumaczyć i dlatego zgadzam się z Geigerem, który w tym przedmiocie tak się wyraża: „Przypuszczenie o wygasłej obecnie zdolności tworzenia mowy i w związku z niem będące drugie przypuszczenie o zupełnym stanie pierwotnym człowieka jest niczem innym, tylko uciekaniem się do rzeczy niepojętych i niedaleko odbiega od przyznania, że stosownie do natury rzeczy nigdy nie będziemy w stanie poznać prawdziwej istoty pierwiastków a tem samem nie będziemy mogli wyjaśnić sobie początku mowy. Takie przypuszczenie cofnie nas na stanowisko mistyczne, gdyż już Herder zwalczał „marę wyrzowej zdolności“ i wypowiedział: „Nie daję człowiekowi nagle nowych sił, ani też zdolności tworzenia języka w charakterze *qualitas occulta*“. („Ursprung der Sprache“ str. 24). Również Sayce zauważył odnośnie do tej hipotezy. „W rzeczywistości polega ona na przypuszczeniu apriorycznem o początku mowy, nieopartem na żadnych faktach lingwistycznych, ani też jest ona zrozumiałą“. Taka teoria języków jest zupełnie mistyczną. („Introduction to Science of Language“, t. 1, str. 66, 67).

pełnej zgodzie z jednomyślnem prawie mniemaniem po-
wag filologicznych, które tak dobitnie wypowiedział
prof. Whitney.

„Nie ulega wątpliwości, że istniał kiedyś długi pe-
ryod czysto naśladowniczych znaków a jeszcze dłuż-
szy, w którym używano zarówno naśladowniczych
jak i tradycyjnych znaków, te ostatnie stopniowo brały
górną nad pierwszemi, aż nakoniec rzecz doszła do dzi-
siejszego stanu, w którym wytwarzanie znaków no-
wych drogą naśladownictwa jest tylko sporadycznym
i wyjątkowym, wszystkie zaś inne znaki językowe są tra-
dycyjne; wzrost zaś ich wśród danego społeczeństwa
odbywa się jedynie drogą odmian i kombinacyj, jako-
też za pośrednictwem pożyczania u innych społec-
zeństw“¹⁾).

Oświadczywszy się tym sposobem jako zdeklaro-
wany zwolennik teorii onomatopoetycznej, muszę atoli
występować przeciwko niektórym, zbyt gerliwym jej
rzecznikom, którzy twierdzą, że teoria ta jest bezwarun-
kowo jedyną możliwą. Innemi słowy, nie mogę się zgo-
dzić na doktrynę, według której mowa członkowana nie
mogła znać innego źródła, lub źródeł, oprócz tych, któ-
re biorą początek w naśladownictwie głosowem²⁾). Ja-
kiem już nadmieniał, nie mogę znaleźć przyczyny do-
statecznej, dla której możność zupełnie dowolnego wy-
nalazku była wyłączoną. Jeżeli nawet dzieci rodziców
ucywiliżowanych, które nie są zależne od „matki wynalazków“, są w stanie utworzyć własną mowę, w której

¹⁾ „Encyc. Brit“ artykuł „Philology“. Tom 18 str. 769.

²⁾ Patrz np. Farrar „Chapters on Language“ str. 184.

niema śladu nawet onomatopei ¹⁾ i jeżeli głuchoniemi niekształceni wynajdują dźwięki członkowane, które z konieczności pozbawione są wszelkiego początku naśladowniczego ²⁾, to nie widzę, dlaczego z góry mielibyśmy uważać za niemożliwe, aby ludzie pierwotni byli w stanie wynaleźć inne sposoby formowania wyrażeń, odmienne od tych, które nam daje naśladownictwo. Z tego to powodu, chociaż się zupełnie zgadzam z prof. Wundtem, że kwestyę w mowie będącą należy więcej traktować ze strony psychologicznej, niż ze strony filologicznej (wiedząc, że język nie jest w stanie objaśnić nam warunków swego początku i że przyczyny najróżnorodniejsze zacierały powoli onomatopeję początkową), nie mogę jednak zgodzić się z jego twierdzeniem, że z zasad psychologicznych niema miejsca dla innego wniosku oprócz tego, że zasada onomatopei w najobszerniejszym jej znaczeniu stanowiła jedyny początek artykulacji znaczącej ³⁾. Widzieliśmy już, że nawet i te zwierzęta, których głosy są najwybitniej naśladowanymi a mianowicie ptaki wynajdują zupełnie dowolne dźwięki, jako nazwy denotacyjne ⁴⁾ a wszakże byłoby niedorzecznie twierdzić, że ptaki stoją wyżej niż człowiek pierwotny, który wynalazł środki i sposoby dla głosowego wyrażania swoich myśli. Kląskanie hotentotów i buszmenów bez względu na ich pochodzenie, nie mogło powstać na drodze naśladowniczej; niemniej pewnem jest, że takie kląskania zostały się, by nam świadczyć, w jaki sposób

¹⁾ Patrz wyżej.

²⁾ Patrz wyżej.

³⁾ Patrz „Vorlesungen i t. d.“ II, 394, 395.

⁴⁾ Patrz wyżej.

wynurzenia się człowieka pozbawionego mowy, mogły służyć do wcielenia i komunikowania idei¹⁾. Nakoniec, na podstawie ogólnej zasady, że rozwój osobnika daje nam wskazówki odnośnie do rozwoju rasy, musimy uważać za bardzo ważny fakt, że dziecko, które *dotychczas pozbawionem było mowy*, samorzutnie zaczyna używać dźwięków dowolnych (zarówno członkowanych jak i innych), dla oznaczenia znanych mu poznań. Co więcej, nawet już i później, gdy poznało już użytek wyrazów właściwych, nie przestaje ono powiększać swego słownika dodatkami, które urągają wszelkim tłumaczeniom, opartym na onomatopei, nie tylko w przypadku, gdy dzieci pozostawione były samym sobie, lecz nawet i wtedy, gdy one pozostawały w najściślejszym stosunku z mową używaną przez ich rodzinę. Mógłbym przytoczyć wiele bardzo przykładów, dotyczących się tego faktu, lecz zupełnie wystarczy, gdy się powołam na przykład podany w t. I, na str. 195. Gdy te wysiłki uosobnione nie będą kontrolowane wskutek ciągłego obcowania ze starszymi, lecz będą się rozwijać swobodnie przy komunikowaniu się ze sobą dzieci jednego wieku, wtedy następuje to, o czem już poprzednio wspomnieliśmy; wytwarza się nowy język, który w nieznacznym tylko stopniu jest onomatopoetycznym, w skutek czego jest on dla wszystkich, z wyjątkiem samych wynalazców, niezrozumiałym²⁾.

Przytoczyłem wszystkie główne fakty i uwagi, które, mojem zdaniem, godne były uwagi i które przemawiają za i przeciw teorii onomatopoetycznej. Uczyni-

¹⁾ Patrz Sayce „Introduction to the Science of Language“, II, 802.

²⁾ Patrz t. I, str. 188—192.

szy to, chciałem jeszcze wyjaśnić, że materya ta niema poważnego wpływu na teorię rozwoju. Dla filologa bardzo ważną jest kwestya, jak dalece element naśladowniczy wpływał na formacye mowy pierwotnej, tak że słusznie Geiger powiada: „Diess ist die gemeinsame Frage, und die Antwort wird auf der einen Seite von einem inneren Zusammenhang zwischen je einem Laut und dem entsprechenden Begriffe, auf der andern aus Willkür und Uebereinkunft hergeleitet“¹⁾. Lecz dla zwolenników teoryi rozwoju, kwestya ta jest zupełnie obojętną. Bez względu na to, czy wyrazy początkowe były zależnemi od związku wewnętrznego pomiędzy każdym dźwiękiem i ideą przezeń wyrażoną, czy też one były wynikiem wynałazku dowolnego, ewolucyonista może je uważać powołane do życia, jako produkty naturalne psychogeni naturalnej. Tem mniej jeszcze powinien ewolucyonista się troszczyć o kwestyę, tycząca się większego lub mniejszego udziału naśladownictwa i wynałazku przy formacyi mowy pierwotnej.

¹⁾ „Der Ursprung der Sprache“ str. 31. Jego własna odpowiedź na pytanie jest następująca: Czy wyrazy są produktami natury, czy też dowolności? I jedno i drugie, a może ani jedno, ani drugie. Żaden wyraz niema z konieczności naturalnej oznaczonego znaczenia; pod tym względem zatem wyrazy są dowolne; lecz żaden z nich nie otrzymał swego znaczenia aktem woli ludzkiej. Tamże ztr. 113.

ROZDZIAŁ XIV.

Świadectwo filologii.

Jesteśmy teraz w możności rozważania pewnych kwestyj, niezmiernie ważnych dla treści niniejszej pracy. W rozdziałach poprzednich miałem sposobność wskazać, że cały nacisk rozróżniania psychologicznego pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem kłaść należy na zdolność tworzenia sądu, która jest wyłącznie ludzką (i tak też uczynili wszyscy pisarze poważni, którzy wystąpili przeciwko mnie). Co więcej, wykazałem, że wszyscy autorowie zgadzają się na to, iż zdolność ta jest identyczną ze zdolnością orzeczenia. Umysł, który w ściśle psychologicznem znaczeniu tego wyrazu zdolnym jest sądzić, posiada też zdolność orzeczenia i naodwrot. Oprócz tego sędzę, że udało mi się dowieść, iż niektórzy pisarze popełnili dziwną omyłkę przy określeniu orzeczenia. Omyłka ta atoli nie uwalnia mnie od potrzeby wyjaśnienia początku orzeczenia. Zdaje mi się, że się wywiązałem z tego zadania, wykazując, że zdolność ta daną już była w zarodku jak tylko denotacyjna faza znakowania przeszła w konnotacyjną, przez co otrzymano warunki potrzebne do *zestawienia* ze sobą nazw przedmiotów z nazwami przymiotów lub czynności. Dotychczas jednak rozprawy nad tą ważną materią prowadzone były wyłącznie na gruncie psychologicz-

nym. Nastąpiła teraz chwila, w której na przedmiot ten możemy skierować światło niezależne badań językowych. Gdy dotychczas na zasadach wyłącznie psychologicznych tylko zastanawialiśmy się nad tem, *jakim musiał być* początek orzeczenia, w przypuszczeniu, że orzeczenie w ogóle miało początek, musimy teraz się przekonać, czy nasze wnioski znajdują poparcie w indukcyjnych dowodach, dostarczanych przez językoznawstwo, które ma nas informować odnośnie do tego, *jakim rzeczywiście* był ten początek.

Na samym początku musimy zaznaczyć, że wyniki badań filologicznych doprowadzają nas do stanu bardziej pierwotnego, niż którykolwiek z tych, któreśmy dotychczas rozważali. Gdyż dopóki ograniczyłem się na analizie psychologicznej, zmuszony byłem iść za moimi przeciwnikami, którzy zapatrywali się na mowę ze stanowiska, na którym ona obecnie się znajduje. Chcąc się z nimi rozprawić na tem stanowisku, musiałem się zastanawiać nad tem, co oni mówią o filozofii orzeczenia i dla tego musiałem sobie zostawić na później traktowanie niezależne wszystkich tych wyników badań lingwistycznych, które oni pomijają zupełnem milczeniem. Lecz teraz doszliśmy już do tego punktu, gdzie możemy porzucić dalsze psychologiczne poszukiwania i obrać sobie stanowisko na bardziej stałym gruncie, który ja kroniką paleontologiczną rozwoju umysłowego nazwał, rozwoju przechowanego w osadach uwarstwionych mowy ludzkiej. Postępując w taki sposób, przekonamy się, że w naszych poszukiwaniach nad rozwojem myślenia pojęciowego i poznaniowego nie zaszliśmy tak daleko, jak daleko zajść możemy, faktycznie opierając

się na bardzo przekonywających, namacalnych niemal dowodach.

Dotychczas zaatakowałem przeciwników moich na zasadzie ich własnych przypuszczeń a jednym z takich jest to, że język musiał zawsze być takim, jakim go dziś znamy a przynajmniej pod tym względem, że się składał z wyrazów, za pomocą których mówiący mógł wyrażać swoje zamiary zdaniami. Lecz filologowie dziś doskonale wiedzą, że takie przypuszczenie jest fałszywym. Jest bowiem rzeczą dowiedzioną, że początkowo język nie posiadał tego co dziś nazywamy rzeczownikami, czasownikami, przymiotnikami, zaimkami itd.; rozpoczął się on jako protoplazma niezróżniczkowana mowy, z której wszystkie te „części mowy“ dopiero później się rozwinęły w ciągu długiego peryodu stopniowej ewolucyi. „Die Sprache ist nicht stückweise oder atomistisch, sie ist gleich in allen ihren Theilen als Ganzes und demnach organisch entsanden“. (Język nie powstał odłamkami lub atomami, lecz odrazu we wszystkich swoich częściach jako całość, a zatem organicznie)¹⁾.

Ten fakt niezmiernie ważny, o ile mi wiadomo, został po rzz pierwszy wypowiedziany przez antropologa Waitza następującemi słowami: „jednostką językową nie jest wyraz lecz zdanie“²⁾, w porządku zatem historycznym zdanie wyprzedza wyraz. Innemi słowy, wyrażając się jaśniej, każdy wyraz był początkowo zdaniem w tem znaczeniu, że wyrażało sąd. Jakoż, im dokładniej wyraz

¹⁾ Schelling. „Einleitung in die Philosophie d. Mythologie“ str. 51.

²⁾ „Antropologie der Naturvölker“ I, 272. Patrz także Müller „Grundriss der Sprachwissenschaft“ I, 49.

pojedynczy pełni funkcję tego, co obecnie rozdzielonem jest na kilka wyrazów, ugrupowanych w zdanie, tem ogólniejszem, tem mniej określonym musiało być znaczenie tego wyrazu. Teraźniejsze nasze zdanie reprezentuje to, co nazwać możemy podziałem psychologicznym pracy pomiędzy odpowiednimi częściami składowymi: wyrazy przedmiotowe, wyrazy przymiotowe, wyrazy oznaczające czas, miejsce, działanie, czynnik, narząd i t. d., są dziś również organami mowy, które służą do wykonywania różnych czynności językowych. Życie językowe w tej zupełnie rozwiniętej formie jest zatem daleko bardziej skomplikowanem i nadaje się do bardziej wyrafinowanych czynności, niż wtedy, gdy mowa znajdowała się jeszcze w stanie zupełnie niezróżniczkowanym, o którym teraz mówić będziemy.

Dla otrzymania jasnego pojęcia o tym stanie protoplazmowym mowy, lepiej będzie, jeśli na początku podamy przykład dostępny naszej obserwacji aktualnej, tyczącej się niemowlęcia, zaczynającego mówić. Prof. Max Müller zwraca uwagę, że gdy dziecko mówi *up*, to wyraz ten jest dla jego umysłu jednocześnie rzeczownikiem, przymiotnikiem, czasownikiem i przymiotnikiem. Gdy dziecko mówi *dia*, to wyraz ten oznacza rzeczownik (podziękowanie) i czasownik (dziękuję). Co więcej, nawet i wtedy, gdy dziecko nauczyło się już mówić gramatycznie, nie myśli ono jeszcze gramatycznie; zdaje się, że przy mówieniu nosi ono suknie rodziców, które nie odpowiadają jego wzrostowi ¹⁾. W ten sam sposób wyraża się też prof. Fryderyk Müller: „słowa dzieciane *Bo-ba* (sen) nietylko oznacza sen jako

¹⁾ „Science of Language” II, 91, 92.

szczególony rodzaj spoczynku, lecz wszystkie rzeczy i okoliczności, mające *związek* ze snem jak np. łóżko, poduszki, koszula nocna, kołdra i t. d. ¹⁾). Oznacza też cały szereg zdań jak np. *jestem śpiący, chcę pójść spać, on śpi* i t. d.“

Możnaby było przytoczyć bardzo wiele innych przykładów tego rodzaju, lecz te, które wyżej podałem, wystarczą dla wyjaśnienia tego, co ja rozumiem przez słowo zdaniowe. Pozostaje mi teraz wyjaśnić sposób, w jaki małe dziecko swoim słowom zdaniowym nadaje znaczenia szczególne w celu ograniczenia ich wysoce rodzajowego znaczenia *per se*, aby przez to uczynić je odpowiedniami do wyrażania znaczeń szczególnych. Jedy-
nym i wyłącznym środkiem ku temu jest ton i giest. W tym przypadku czynność bezpośrednio następująca po wyrazie jest koniecznym warunkiem znakowania głosowego; bardziej pierwotne formy znakowania są uzupełnieniem koniecznym dla początków form wyższych. Co więcej, są one w znacznej części twórcami tych form wyższych. Wskazując (t. j. cofając się do stanu, który ja nazwałem fazą najwcześniejszą czyli *wskazującą* mowy), dziecko może oznaczyć miejsce, czynność, narzędzie i t. d., do których chce stosować swoje słowa zdaniowe; tym sposobem otrzymujemy pierwsze wskazówki o niezmiernie ważnym fakcie, że pierwsze oznaczenia gramatyczne dane są przez jednoczesne używanie słów zdaniowych i giestów.

Chcę teraz dowieść, że w historyi naszej rasy języki mówione zaczęły się od formy słów zdaniowych, że gramatyka jest wytworem giestów i że wyrażanie się

¹⁾ „Grund. der Sprachwiss.“ I, 43.

głosowe jest tylko dojrzałą formą tej zdolności znakowania, która w początkach swoich była nam znaną jako zdolność (znakowania) wskazywania. Nie mogąc rościć sobie pretensyi do powagi w kwestyach filologicznych, powoływać się będę na zdania zgodne koryfeuszów tej nauki.

Bunsen, o ile mi się zdaje, pierwszy zwrócił uwagę na to, że w języku egipskim niema formalnego rozróżnienia pomiędzy rzeczownikami, przymiotnikami, czasownikami i przysłówkami; słowo takie jak *anh* bez żadnej różnicy oznacza życie, żyć, żyjący, żywotnie i t. d. ¹⁾). Podobnież i w języku chińskim wyraz może bez żadnej różnicy być użytym dla oznaczenia rzeczownika, czasownika, przysłówka lub może dla szczególnego przypadku i tylko miejsce, które zajmuje w zdaniu, wskazuje, w jakim sensie należy go brać. Jest to doskonały przykład, służący do objaśnienia tego, co się działo w zaraniu mowy, kiedy słowa zdaniowe zawierały w sobie wszystkie części mowy razem zespolone — kiedy zawierały one wszystko, co jest potrzebnem dla zdania zupełnego, wtedy jedynie przez zestawienie z innemi takimi słowami zdaniowemi, lub przez przeciwstawienie ich takowym można było ograniczyć ich znaczenie i przez to sprowadzić je do prostych *wyrazów* ²⁾).

W następstwie podam liczne dowody, że taki stan rzeczy ma miejsce w wielu dotychczas istniejących językach, przedstawiających niższy stopień rozwoju, szczególnież w językach ludów dzikich. Lecz być może, że

¹⁾ „Aegypten“ I, 324.

²⁾ Sayce, „Introduction i t. d.“ I, 119, 120.

jest rzeczą ważniejszą jeszcze dowieść, iż i w językach najwyżej nawet rozwiniętych, mianowicie w językach należących do grupy indo-europejskiej natrafiamy na ślady niezatarte przejścia przez tę fazę pierwotną. Twierdzenia tego łatwo dowieść za pomocą licznych cytata, lecz chcę oprzeć je na zeznaniach jednego tylko świadka w osobie prof. Maxa Müllera, którego odnośnie do kwestyi w mowie będącej uważać możemy jako naszego przeciwnika.

„Nie nie może istnieć w języku, oprócz zdania, t. j. oprócz tego, co wyraża jakieś mniemanie; z tego to powodu należało zauważyć, że każdy wyraz musiał pierwotnie być zdaniem. Prosty pierwiastek jako taki, nie może być nazwany zdaniem i w tym sensie rzecz biorąc, musimy takiemu pierwiastkowi odmówić godności słowa. Lecz jak tylko pierwiastek zostaje użytym dla orzeczenia czegoś, staje on się przez to wyrazem, bez względu na to, czy powierzchowność zmieniła swoją formę, czy też nie. To co w języku chińskim skutecznia się za pomocą miejsca lub tonu, t. j. przystosowywania pierwiastków, aby one służyły wymaganiom wyrazów, to w językach aryjskich dokonywa się za pomocą sufiksów lub końcówek, chociaż nierzadko do tego celu służy też i zmiana tonu. Widzieliśmy, że w fazie wcześniejszej i języki aryjskie mogły zamienić pierwiastki w wyrazy bez pomocy sufiksów; tak np. walczyć *yudh* mogło być użytym w pięciorakiem znaczeniu, mianowicie jako akt walczenia, jako czynnik walczący, jako narzędzie do walki, jako miejsce walki i jako jej rezultat. Jak tylko atoli zaszła tego potrzeba, język aryjski dla odróżnienia tych znaczeń wprowadził elementy po-

chodne, po największej części demonstracyjne czyli zaimkows¹⁾.

„Tryb rozkazujący może być uważany jako najbardziej pierwotny i ważną jest rzeczą zaznaczyć, że w wielu językach on bardzo mało się różni od tego, co zwykliśmy uważać za prawdziwą formę pierwiastku. *Va* (tkać), czy jako przypomnienie, czy też jako rozkaz może z jednakowem prawem być uważanem za zdanie, jak i wtedy, gdy mówimy „pracować“, t. j. „*pracujmy*“. Od używania pierwiastku w formie trybu rozkazującego, albo w ogólnej formie twierdzenia, łatwo bardzo przejść do używania go w innych znaczeniach, lub do innych celów. Pan, zapędzając swoich niewolników do pracy, nie potrzebuje używać innych wyrazów jak *kopać, jeść*, które będą tak samo zrozumiałe, jak gdyby powiedział *kopcie i będziecie mieli pożywienie*, albo jeżeli będziecie kopali, to będziecie mieli pożywienie“²⁾.

Tak więc możemy to uważać jako doktrynę ogólną, lub jako twierdzenie dobrze uzasadnione w lingwistyce, że „język zaczyna się od zdań a nie od wyrazów pojedynczych“²⁾, albo, że pierwiastkowo każdy wyraz sam przez się wyrażał zdanie jak to i obecnie ma miejsce w szczebiocie dzieci. „Zdanie jest wyłączną jednostką, którą język znać może, i stanowi ostateczny punkt wyjścia dla wszystkich naszych badań filologicznych. Jeżeli zdanie jest jednostką mowy znaczącej, to jest rzeczą widoczną, że wszystkie nasze wyrazy indywidualne musiały kiedyś być zdaniami; to się znaczy, że przy pier-

¹⁾ „Science of Thought“ 423—440.

²⁾ Bryce „Introduction i t. d“ 1, 111.

wotnem użyciu one wyrażały lub reprezentowały zdania¹⁾. „Przerabianie wyrazów w coś, co jest odmiennem od zdań było procesem długim i pracowitym i istnieje dużo języków, jak np. u ludów Ameryki północnej, w których proces ten zaledwie się rozpoczął. Dykcyonarz jest rezultatem zastanawiania się i wieki musiały upłynąć, nim język mógł wejść w fazę refleksyjną“²⁾. Możemy przytoczyć jeszcze jedną cytataę, zaczerpniętą z prac prof. Maxa Müllera: „jest nam trudno myśleć po chińsku lub w jakimkolwiek innym języku pierwiastkowym, bez wprowadzenia naszych kategorii myślenia. Gdy jednak obserwujemy język bardzo małego dziecka, który jest prawdziwą chińszczyzną mówioną po angielsku, widzimy, że mamy przed sobą formy myślenia i języka zupełnie racjonalne i zupełnie zrozumiałe dla tych, którzy je badali, w których jednak nie rozwinęła się jeszcze różnica pomiędzy rzeczownikiem a czasownikiem a nawet pomiędzy przedmiotem a orzeczeniem³⁾. Wychodząc z tych niezróżnikowanych jeszcze stanów języka zbadajmy przedewszystkiem, w jaki sposób rozwinęły się części mowy.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że najprzód jako część mowy oddzielił się zaimek. Wszystkie zaimki (lub elementy zaimkowe) po ich zróżniczkowaniu początkowem nie różniły się od tego co my dziś przysłówkami nazywamy i wszystkie one służyły do oznaczania stosunków miejsc⁴⁾. Od tego twierdzenia ogólnego nie

¹⁾ Tamże. I, 113, 114.

²⁾ Tamże. I, 121.

³⁾ „Science of Thought“, str. 242.

⁴⁾ Garnet, „Philol Essays“, str. 87.

można nawet robić wyjątku dla zaimków osobistych. „*Hic, iste, ille* stanowią oczywiście pewien rodzaj korelacji do *ego, tu, sui*, które, jeżeliby duch języka na to pozwolił, mogłyby się wszędzie wzajemnie zastępować¹⁾). Otóż mamy bardzo uzasadnione powody do sądzenia, że te przysłówki zaimkowe lub zaimki przysłówkowe były przedewszystkiem tem, co możemy nazwać tłumaczeniem artykułowanem giestów, t. j. wskazywały stosunki przestrzenne. *Ja* było równoważnem z *oto ten, on, ona, ono* — z *oto tamten*, przez co oczywiście bardzo łatwo zrozumieć, jak te wyrazy denotacyjne zastępowały giesty, z których powstały. Chociaż nie jesteśmy w stanie wykryć obecnie źródła fonetycznego tych wysoce starożytnych „zaimkowych“, albo „demonstracyjnych elementów“, możemy jednak łatwo sobie wyobrazić, że one powstały w ten sam oczywiście sposób mimowolny, w jaki dziś jeszcze bardzo małe dzieci wynajdują dowolne dźwięki, zarówno dla oznaczenia imion własnych jak i przysłówków, oznaczających miejsce. Że przy tem porównaniu pierwszych twórców mowy odnośnie do stopnia ich rozwoju umysłowego z dziećmi młodemimi nie błądzimy, dowodzi ciekawy i dodatkowy fakt, że człowiek pierwotny podobnie jak i dziecko małe zaczyna mówić o swoim *ja* w trzeciej osobie, tak samo miała się też rzecz z człowiekiem pierwotnym. Ludzie, nim się nauczyli uważać siebie jako podmiot, uważali się jako przedmiot i ztąd to pochodzi, że przypadki obiektywne osobistych, jakoteż i innych zaimków są dawniejsze, niż subiektywne i sanskryckie *mām, mā*

¹⁾ Tamże. 77, 78.

(greckie i łacińskie *me*) jest wcześniejsze niż *aham* (*egon* i *ega*)¹⁾.

Aby jednak czytelnik nie sądził, że twierdzenie moje o początku elementów zaimkowych posuwam zbyt daleko, to znów powołam się na prof. Maxa Müllera, którego mniej niż któregośkolwiek z innych filologów można podejrzewać o stronność dla mnie. Gdy on mówi „o tych

¹⁾ Farrar, „Origin of Language“, str. 99. Ustęp odnośny brzmi: „Można to było wywnioskować z faktu, że dzieci uczą się mówić o sobie w trzeciej osobie, t. j. uważać siebie jako przedmioty na długo przedtem, nim nabędą zdolności reprezentowania swej materialnej osobistości jako narzędzie abstrakcyjnej istności“. Tenże autor powołuje się na „ciekawe uwagi do tego przedmiotu się odnoszące w znakomitej pracy F. Whalley Harpera pod tytułem „Power of Greek Tenses“ i na własne prace, pomieszczone w „Chapters on Language“ str. 62. Mogłbym przytoczyć i innych autorów, którzy zajmowali się badaniem tej osobliwości zaimków wczesnych, lecz ograniczę się jedną tylko cytata, wykazującą jak osobliwość w mowie będąca, dotychczas jeszcze istnieje w językach żyjących. Malajski wyraz *ulun*, „Ja“ oznacza dotychczas „człowieka“ w Lampong wyraz kawijski *ugwang*, „ja“ nie może być oddzielonym od *nrang* „człowiek“ (Sayce, „Introduction“, II). Nakoniec Wundt wykazał, że ta forma nieosobista mowy jest charakterystyczną nie tylko dla wczesnych elementów zaimkowych, ale także i dla wczesnych form wyrażania swoich myśli. Tak np. powiada on: „Pierwsze sądy, które wdzierają się w świadomość, są *bezpodmiotowemi* sądami i ich orzeczenia wyrażają wyobrażenia *«mysłowe*. *Świeci się, błyszczy, rozlega się głos*, takimi są sądy, o których człowiek najprzód myśli i wypowiada. To orzeczenie, które się natychmiast przedstawia przy postrzeżeniu jakiegoś przedmiotu, staje się też określeniem jego. *Świecące, błyszczące, brzące* takiego rodzaju są wyrazy, które najprzód się ukazują w języku. (loc. cit. II, 377).

częściach demonstracyjnych mowy, które wskazują na przedmiot w przestrzeni i czasie i wyrażają to, co my obecnie wyrażamy przez *wówczas, ten* (=ja), *to* (=tam, on, ona i t. d.), *blisko, daleko, nad, pod* i t. d., to on się wyraża w taki sposób: „w pierwszej swej formie i według początkowego zamiaru więcej się zwracały one ku zmysłom, niż ku rozumowi; były one zmysłowemi a nie pojęciowemi“¹⁾. W innym znowu miejscu on dodaje: „Nie widzę przyczyny, dla której nie mielibyśmy uważać ich jako prawdziwe pozostałości z epoki mowy, w której pantomina, giesty, wskazanie palcem na przedmioty rzeczywiste były dodatkami niezbędnymi dla każdej rozmowy“²⁾. Dalej powiada: „jednym z rysów charakterystycznych sanskrytu i innych języków aryjskich było to, że one starały się rozróżniać pomiędzy zastosowaniami rozmaitemi pierwiastków za pomocą elementów, które ja nazywam pierwiastkami demonstracyjnymi lub elementami. Jeżeli chciano rozróżnić matę jako produkt rękodzielniczy od samego rękodzielnictwa powiedziano *pleść tu*, jeżeli chciano zachęcić do pracy powiedziano *pleść oni, ty lub my*. Widzieliśmy, że to, co nazywamy elementami demonstracyjnymi, należy uważać jako pozostałości z faz językowych najdawniejszych, albo pantomimicznych, kiedy język nie był jeszcze tem, co my teraz pod tą nazwą rozumiemy, t. j. nie był *logosem* skupiającym, lecz raczej wskazującym³⁾.

Według mniemania niektórych filologów atoli, te elementy demonstracyjne były niegdyś elementami peł-

1) „Science of Thought“, str. 221.

2) Tamże 554.

3) Tamże 241.

nemi, czyli orzekającymi i gdybyśmy mogli dotrzeć do epoki językowej jeszcze wcześniejszej, tobyśmy się spotkali z formami początkowymi, których okaleczonemi lub nawpół zatartemi przedstawicielami są te elementy ¹⁾).

Lecz ponieważ i ci nawet filologowie nie wątpią, że wartość orzekająca „wyrazów orzekających“ da się oznaczyć za pomocą giestów, jeżeli tylko nam się uda dotrzeć do dość wczesnego stopnia rozwoju językowego, to kwestya, czy takie do nas doszłe elementy wskazujące miały początkowo wartość orzekającą, czy też nie, nie mogą mieć znaczenia istotnego dla badań naszych. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że elementy zaimkowe, które pierwotnie były takimi istotnie, zależały od towarzyszących im giestów, mających na celu wyjaśnienie ich znaczenia orzekającego. Chociaż więc w przypadkach szczególnych, jak to zresztą można było przewidzieć, daje się dowieść, czy rzeczywiście elementy

¹⁾ Sayce, „Introduction“ II, 25. Patrz także Bleek, „Ursprung der Sprache“ 70 — 72, F. Müller, „Grundriss der Sprachwissenschaft“ T. I, str. 40 i Noiré, „Logos“ str. 186. Główną przyczyną sceptycyzmu jest trudność zrozumienia, w jaki sposób wyraz mógł się kiedykolwiek utrwalić, nie posiadając od samego początku jakiegokolwiek znaczenia orzekającego. Ten zarzut jednak, mojem zdaniem, traci na znaczeniu, jeżeli przypomnimy sobie dźwięki, wynajdywane przez dzieci, przez nieedukowanych głuchoniemych, zamilczając już o dźwiękach nieartykułowanych buszmenów. Co więcej, nie widzę nic wrogiego dla teorii zaimkowej w przypuszczeniu, że elementy zaimkowe, najwcześniejszego nawet pochodzenia, są pozostałościami jeszcze bardziej pierwotnych słów zdaniowych, przypuszczenie, któreby odrazu usunęło trudność powyższą. Wykażemy jednak w tekście, że gdyby nawet trudność ta nie dała się usunąć, to niema ona żadnego wpływu na moje rozumowanie.

te doszły do nas w prawdziwej swej formie pierwotnej, czy też są one zatartymi resztkami wyrazów niezależnych, orzekających, to jednak takie wątpliwości filologiczne nie mogą mieć żadnego wpływu na nasze ogólne rozumowanie. Gdyż nawet wyżej przytoczony potentat naukowy, który wątpi, czy mamy dowody dostateczne, aby można było twierdzić, że doszły do nas elementy demonstracyjne nigdy nie były wyrazami orzekającymi, powiada o orzekającym wyrażaniu się wogóle co następuje. „Jest rzeczą pewną, że był czas w historyi mowy, kiedy dźwięki członkowane lub nawpół członkowane, wydawane przez człowieka pierwotnego zastosowano do wyrażania myśli, posiłkując się giestami im towarzyszącymi; to połączenie dźwięku i giestu, w którym, o czem należy dobrze pamiętać, dźwięk oddzielony od giestu nie miał żadnego znaczenia, tworzyło zdanie najbardziej pierwotne“ ¹⁾. Przytoczywszy przykłady, zaczerpnięte z historyi języków Indyj przedgangesowych tenże autor dodaje: „Lecz w języku fleksyjnym nie możemy z taką dokładnością śledzić za procesem tworzenia wyrazów, jak to ma miejsce w gwarach plemion dzikich, w których kilka dźwięków, jak np. w języku grebskim *ni ne* oznacza „ja to robię“, albo „wy tego nie robicie“, stosownie do biegu myśli i giestów mówiącego. Stopniowo z rozwojem świadomości i analizy myśli, giesty zewnętrzne zastępowano pewnymi dźwiękami, które dla bardzo wielu różnych przypadków były jednakowemi i tym to sposobem powstały słowa, wyrażające stosunki gramatyczne. Podobny proces miał też miejsce przy

¹⁾ „Introduction“ I, 117.

tworzeniu tych końcówek analogicznych, za pomocą których nasze języki indo-europejskie stosują wyraz dla wyrażenia nowego stosunku gramatycznego“.

Opuszczając dalsze cytaty, możemy uważać jako dobrze ustaloną doktrynę filologiczną, według której nawet zgodnie z wyrażeniem owego sceptycznego badacza, gramatyka powstała z giestów i giestykulacyj ¹⁾. Później pokażę, w jaki ciekawy sposób pierwotne formy wystowień członkowanych w budowie swojej zbliżały się do języka giestów, o którym mówiliśmy już w jednym z rozdziałów poprzednich.

W celu właśnie wyjaśnienia tego podobieństwa tyle miejsca poświęciłem składni języka giestów; zajmę się teraz nakreśleniem podobieństwa familijnego pomiędzy konstrukcjami sposobów pierwotnych wystawiania się i temi konstrukcjami giestów, z których się rozwinęły. Lecz chcąc to snadniej przeprowadzić, musimy przedewszystkiem zająć się filologią wyrazów orzekających. Części mowy, które głównie zajmują się orzeczeniem i które z tego powodu mogą być nazwane wyrazami orzekającymi *par excellence* są rzeczowniki, przymiotniki i czasowniki. Z tego to powodu w krótkości przytoczę to, co my wiemy o rozwoju tych części mowy.

Mamy liczne dowody na to, że początkowo nie rozróżniano pomiędzy rzeczownikami a przymiotnikami, albo pomiędzy wyrazami, oznaczającymi przedmioty, a wyrazami, oznaczającymi przymioty. Nie powinno to

²⁾ „Introduction“ II, 301. Albo według wyrażenia Wundta: Demonstracyjny pierwiastek jest pantomimą demonstracyjną, przeobrażoną w dźwięk („Vorlesungen“ II, 392).

nas dziwić, jeśli sobie przypomnimy, że nawet i w zupełnie rozwiniętych formach mowy, jeden i ten sam wyraz stosownie do związku może oznaczyć już to rzeczownik, już to przymiotnik. Wyraz „cannon“ (armata) w „cannon-bal“ (kula armatnia) i „pocket“ (kieszonka) w „pocket book“ (książka kieszonkowa) są przymiotnikami wskutek ich pozycji, t. j. wskutek zestawienia z rzeczownikami, które one bliżej określają. Tak samo ma się rzecz z dopełniaczem. I on ma własność atrybucyjną i dla tego początkowo nie miał niezależnego bytu, zupełnie tak samo jak go nie miał niezależny dziś przymiotnik. Gdy trzeba było użyć dopełniacza uciekano się do zestawiania. Tego też sposobu używano, gdy szło o orzeczenie. Te ważne fakty podajemy ze słów prof. Sayce'a. „Nawet dopełniacz, pomimo, że obecnie wydaje nam się niezbędnym, początkowo nie istniał, zupełnie tak samo jak i dziś jeszcze niema go w grupie języków taickich, czyli malajskich. Zamiast dopełniacza mamy dwa rzeczowniki zestawione ze sobą, dwa tak powiedzieć osobniki stojące obok siebie, o których związku wzajemnym ustalono nie więcej nad to, że jeden poprzedza drugi, a więc musiał też być pierwaj pomyślany... Otóż to zestawienie dwóch rzeczowników, które i teraz jeszcze w wielu językach zastępuje dopełniacza, należy uważać albo jako atrybucyjne, albo też jako orzekające. Jeżeli ten przypadek ostatni ma miejsce, to dwa przeciwstawiane sobie rzeczowniki tworzą zdanie kompletne. Tak np. „czara złota“ oznacza to samo co „czara jest złotą“. W znaczeniu zaś atrybucyjnem jeden z zestawionych ze sobą rzeczowników zajmuje miejsce przymiotnika, „złota czara“ oznacza nie innego tylko „czara

złota“¹⁾. Przytoczywszy jeszcze przykłady z różnych języków wykazujące jak z biegiem czasu rozwinęły się te trzy zróżniczkowania gramatyczne (a mianowicie przez zmianę konwencyonalną położenia zestawianych wyrazów jak np. *AB* dla oznaczenia orzeczenia, *BA* dla oznaczenia atrybutu lub posiadania, gdy w innych językach rzecz ma się odwrotnie), Sayce powiada dalej: „Te pierwotne sposoby rozróżniania pomiędzy orzeczeniem, atrybutem a dopełniaczem, w miarę tego jak te trzy idee z biegiem czasu rozwinęły się w umyśle mówiącego, dały początek późniejszej i bardziej wyrobionej maszyneryi sufiksów, słów posiłkowych i innych podobnych środków“²⁾.

Dla usunięcia pod tym względem wszelkich wątpliwości przytoczę słowa innego jeszcze badacza.

„Jest faktem ciekawym, na który nie zwrócili uwagi, ani gramatycy, ani logicy, że określenie rzeczownika, ściśle mówiąc, da się tylko zastosować do mianownika. Wszystkie przypadki pozostałe są w rzeczywistości wyrazami oznaczającymi przymioty i przypadkowanie jest niczem innym, jak tylko sposobem przekształcania rzeczowników w przymiotnik, lub przysłówki. Jest to oczywistem dla dopełniacza i mamy rzeczywiście dowody historyczne na to, że dopełniacz w językach asyryjskich był początkowo identycznym z zakończeniem przymiotnikowym, „życie człowieka“ i „życie ludzkie“ wyrażono w sposób jednakowy. Nie mniej oczywistem jest, że

¹⁾ Sayce, „Introduction“ I, 415. Patrz także F. Müller, loc. cit. I, 1, 2 odnośnie do konstatowania tych samych faktów przytoczonych przez Sayce'a.

²⁾ Sayce, „Introduction“ I, 416.

wyraz „noctem“ w „flet noctem“ jest czystym przysłówkiem czasowym. Nie mniej widocznym jest, że biernik w zdaniu „on bił chłopca“ jest również przysłówkiem, gdyż związek pomiędzy czasownikiem i przedmiotem jest tak ścisły, że tworzą jedną ideję, tak samo jak w rzeczowniku złożonym. Lecz jeśli wyraz chłopiec w wyrazie złożonym „bicie chłopca“ jest wyrazem atrybucyjnym, to może on nim być i w tym przypadku gdy wyrazowi „uderzenie“ bez zmiany znaczenia nadamy formę czasownika¹⁾.

O tym samym przedmiocie w rzeczy o przymiotnikach aryjskich prof. Max Müller tak się wyraża: „Początkowo nie używano ich gdy mówiono „słońce jest świecącym“, lecz wtedy tylko gdy orzeczono przymiot świecenia, albo czynność rzucania promieni światła i to w formie „blask-tu“. W samej rzeczy przymiotniki początkowo tworzone tak samo zupełnie jak rzeczowniki i wielu z nich nazywano w dwojakim tym charakterze. Są języki, w których rzeczowniki nie różnią się od przymiotników. Chociaż jednak powierzchownie są do siebie podobne, atoli z chwilą, gdy użyte zostaną w zdaniu dla celów orzeczenia lub bliższego określenia, uważane bywają jako różne“²⁾.

Tyle o rzeczownikach i przymiotnikach; nie możemy twierdzić, że mamy dowody historyczne pierwszeństwa jednych względem drugich, możemy raczej powiedzieć, że jak tylko znaczenie denotacyjne rzeczowników zostało ustalone, to można było nadać im znaczenie

¹⁾ Sweet, „Words, Logic and Grammar in Trans. Philol. Soc.“ 1867, str. 493.

²⁾ „Science of Thought“ str. 442.

przymiotników, dopełniaczy i orzeczeń za pomocą prostego zestawienia, sposobu, który, jakieśmy to widzieli poprzednio, stał się nieuniknionym, na zasadzie praw kojarzenia i „logiki wypadków“; jest to sposób, który musiał się przedstawić *umysłowi* a zatem nigdy nie mógł być zamiarowo *przezeń* wynalezionym. Przejdźmy teraz do czasowników, t. j. do tej klasy wyrazów, którym specjalnie przypisują czynności orzeczenia. Niektórzy filologowie twierdzą, że czasowniki powstały z zestawienia rzeczowników z dopełniaczami zaimków¹⁾. Nie ulega wątpliwości wprawdzie, że w wielu dotychczas jeszcze istniejących językach czynności orzeczenia w ten sposób się wyrażają, z pominięciem wszelkich czasowników, których w tych językach wcale niema, jak to później zobaczymy. Lecz z drugiej strony jest rzeczą pewną, że wielka liczba rzeczowników aryjskich tworzy się z połączenia elementów zaimkowych, z poprzednio już istniejącymi pierwiastkami czasownikowymi, to połączenie zaś skutecznia się w sposób tak bardzo zdradzający obecność przy tem giestów wskazujących, że nie może być żadnej wątpliwości, odnośnie do wysokiej starożytności źródła tej konstrukcyi. Tak np. „kopiać — on“ = robotnik, „kopiać — tu“ = rydel, „kopiać — to“ = robota, „kopiać — tam“ = dół²⁾. Zdanie „dół jest ciemny“ wyrażało się w pierwotnym języku aryjskim, „kopiać tam“, „chowając tu“, albo „chowając gdzieś“. „Chowając tu“ mogłoby być później użytem dla oznaczenia kryjówki. Lecz gdyby ono zostało uży-

¹⁾ Patrz głównie: Garnett, „On the Nature and Analysis of the Verb“.

²⁾ „Science of Thought“ str. 223.

tem prosto jako orzeczenie kwalifikujące w zdaniu, gdzie jest tylko jeden podmiot, od razu przyjęłoby ono charakter przymiotnika ¹⁾).

Według moich zapamiętań oba te poglądy są prawdziwe; wcale się one wzajemnie nie wyłączają. Mamy dowody, że są rzeczowniki późniejszego pochodzenia, niż czasowniki i na odwrót, lecz fakt ten wcale nam nie wyjaśnia, która z tych dwóch części mowy, jako całość, poprzedziła drugą. Wątpię nawet, czy kiedykolwiek uda się nam otrzymać pewność odnośnie do tego punktu. Kierując się przyczynami psychologicznymi i analogią dostarczaną przez małe dzieci, można było sądzić, że prawdopodobnie rzeczowniki są starsze od czasowników; przypuszczenie takie znajduje potwierdzenie i w fakcie, że gwary niektórych plemion dzikich są bardzo ubogie w czasowniki, szczególnie gdy gwary te są niskiego rozwoju. Lecz ze stanowiska czysto filologicznego „nie możemy wyprowadzić czasowników z rzeczowników, ani też odwrotnie rzeczowników z czasowników“ ²⁾. Tenże sam autor powiada dalej, „są one kreacjami współistniejącymi, należącymi do tej samej epoki i impulsu językowego“. Bez względu na to, czy wniosek ten jest uzasadnionym, czy też nie, niema on dla nas znaczenia ważnego. Bez względu na to, czy byli, czy też nie byli w posiadaniu czasowników, ludzie pierwotni zawsze byli w możności wypowiedzenia myśli swoich. W przypadku pierwszym postępowali tak jak dzieci, które tylko co nauczyły się używać czasowników—w drugim zaś znajdowali się w położeniu tych ludów dzikich, które,

¹⁾ Tamże, str. 442.

²⁾ Sayce, „Introduction“

jakieśmy to już wyżej wspomnieli, funkcyje czasowników powierzają rzeczownikom w połączeniu z zaimkami.

Wiedząc, że moi oponenci psychologiczni kładą nacisk szczególny na *verbum substantivum* (czasownik „być“ w znaczeniu samodzielny) używane w językach romańskich przy orzeczeniu formalnem, muszę temu przedmiotowi poświęcić ustęp oddzielny, mający na celu wyjaśnienie kwestyi z punktu widzenia filologicznego. Musimy sobie przypomnieć, że poprzednio już zwróciłem uwagę na błąd moich przeciwników, którzy pomięszali ze sobą *verbum substantivum* w ten sposób użytym z łącznikiem a to dlatego, że w językach romańskich oba są przypadkowo identyczne pod względem fonetycznym. Po wykryciu jednak tego błędu, mogą jeszcze szukać ratunku u samego *verbum substantivum*; zmuszeni przyznać, że ono niema nic wspólnego z orzeczeniem, nie przestają jednak twierdzić, że ono w jakikolwiek sposób, albo samo przez się reprezentuje wyższy porządek myślenia pojęciowego. Przyznają to zresztą, i jeżeli prawdą jest, że, jak to moi przeciwnicy twierdzą, czasownik ten należy do bardzo wczesnych a może nawet i do pierwotnych sposobów mowy, to muszę też przyznać, że stawia on przeszkodę nadzwyczajną na równej wszędzie drodze wyjaśnienia historii języka na zasadzie teoryi rozwoju. Lecz faktycznie, pisarze ci zarówno się mylą odnośnie do pierwotności tego czasownika, jak i odnośnie do roli, jaką on odgrywa jako łącznik ¹⁾. Chcąc tego dowieść, t. j. chcąc wykazać, że *verbum substantivum* w rzeczywi-

¹⁾ Odsyłam czytelnika do ustępu, w którym wyłożyłem wszystko co przeciwnicy moi pod obydwojema temi względami mówią o tym czasowniku; patrz Część I, str. 222—225.

stości wcale nie jest pierwotnem, przytoczę niektóre ustępy zaczerpnięte z dzieł poważnych badaczy językowych, temu przedmiotowi poświęconych.

„Jakkolwiek wypadnie nasza ocena aprioryczna o znaczeniu *verbum substantivum*, to przyznać musimy, że filologicznie możemy początek jego wyprowadzić z bardzo nieznacznych materialnych źródeł. Hebrajskie czasowniki *houa*, lub *haja*, bardzo prawdopodobnie dają się wyprowadzić z naśladowania oddychania. Czasownik *kama*, (stać), który ma to samo znaczenie co „przetrwać“, czasownik znów *koun* (stać) przyjmujei znaczenie bytu. W języku sanskryckim *asmi* (z którego wyrazu wyprowadzają się wszystkie verba substantiva w językach indo-europejskich jak *aimi*, *sum*, jestem, zendskie *ahmi*, litewskie *esmi*, islandzkie *em*, i. t. d.), właściwie mówiąc nie jest pierwiastkiem czasownikowym, lecz tylko formacją, utworzoną z zaimka wskazującego, który wyraża ideę prostą obecności przestrzennej. Co się zaś dwóch drugich pierwiastków, używanych w tym samym celu a mianowicie: *bhu*, grec. *fyo*, łacin. *fui*, i t. d. i *stbā* (*stare*, i t. d), to pierwsze prawdopodobnie jest naśladowaniem oddychania, drugie zaś jest notorycznie czasownikiem fizycznym, wyrażającym wstawać“. Czyż więc nie możemy wraz z Bunsenem zapytać się: „Czem jest „być“ we wszystkich językach więcej, niż uduchowieniem *chodzenia*, *stania*, lub *jedzenia*?¹⁾).

Przytoczmy jeszcze słowa innego uczonego:

„Zamykając teraz dyskusję nad tym obszernym

¹⁾ Farrar. „Origin of Language“, str. 105, 106.

przedmiotem, muszę zrobić jeszcze kilka uwag nad tak nazwanem *verbum substantivum*, o czynności i naturze, którego daleko więcej zachodzi nieporozumień, niż odnośnie do którejkolwiek innej części mowy. Wiadomo powszechnie, że niektórzy gramatycy przedstawiają zwykle ten element, jako podstawę każdego wyrażania się słownego i jako niezbędną część składową każdego zdania logicznego. Ztąd wynika, że te narody, które na swoje nieszczęście nie posiadają tej części mowy, nie mogą słownie wyrażać swoich myśli, ani też tworzyć zdań prawdziwych. Przekonamy się później, jak dalece wniosek taki zgodnym jest z rzeczywistością; obecnie ograniczymy się jedynie krótkimi uwagami nad tym czasownikiem i nad jego *zastępcami*, używanymi w n rzeczach, w których formalnie tego czasownika nie ma. Do tego celu wystarczy kilka przykładów, gdyż zbyt liczne przykłady z najrozmaitszych języków zaczerpnięte byłyby tylko powtarzaniem jednego ogólnego zjawiska“.

„Odnosnie do języka koptyjskiego zauważyłem co następuje. To co nazywamy czasownikiem i rzeczownikami posiłkowymi jest w języku koptyjskim jeszcze więcej oddalonym od wszelkiego istotnie czasownikowego charakteru, niż tak nazwane pierwiastki czasownikowe. Gdy je bliżej badamy, przekonujemy się, że są to przedimki, zaimki, partykuły lub rzeczowniki oderwane i że one wyprowadzają swoje funkcje czasownikowe ze swoich dodatków i z tego co zawierają“. W samej rzeczy, badając dobrą gramatykę koptyjską, lub słownik wyczerpujący tego języka, przekonujemy się, że w nich nie ma takiego, co by odpowiadało naszym wyrazom: *jestem, jesteś, jest, byłem*, i t. d, chociaż napotykaemy w nich wy-

razy, odpowiadające słowom łacińskim *feri* (*sthopi*) i *poni* (*chłodŕche*); oba wyrazy przypadkowo zastępują czasownik *być*, które to znaczenie nie stanowi właściwej ich treści. Egipcyanie jednak odnośnie do tego nie byli pozbawieni wszelkich środków, gdyż mieli z pół tuzina metod dla wyrażania greckiego *verbum substantivum*, gdy zachodziła tego potrzeba. Najpowszechniej używane były elementy wskazujące *pe*, *te*, *ne*, które używane też były w formie nieco zmodyfikowanej, jako przedimki oznaczone, *pe* = jest odnosi się do podmiotu w liczbie pojedynczej i rodzaju męskiego; *te* = do podmiotu w liczbie pojedynczej rodzaju żeńskiego; *ne* = są — do obu rodzajów w liczbie mnogiej. Czas przeszły wyraża się przez dodanie partykuły, wyrażającej *oddalenie*. W tym więc przypadku spotykamy się z przeciwieństwem zupełnym czasownika rzeczownego; znajdujemy element niemający nic wspólnego z tem co rozumiemy pod ideą czasownika i zamiast powiedzieć, jak to nam się wydaje koniecznym, *Petrus est, Maria est, homines sunt*, zupełnie wystarcza i jest zrozumiałe, jeżeli powiemy, *Petrus hic, Maria haec, homines hi*. Formy powyższe, według Champoliona i innych badaczy hieroglifów starożytnych, napotyka się na najdawniejszych napisach pomnikowych i dowodzą, że ideje egipcyan starożytnych odnośnie do metody wyrażania kategorii *być*, niezupełnie odpowiadają metodzie używanej, przez niektórych gramatyków nowszych... Każdy znawca języków semickich wie, że we wszystkich tych narzeczach zaimki osobiste służą do wyrażania czasownika rzeczownego, zupełnie tak samo, jak ma to miejsce w języku koptyjskim, lubo z mniejszą różnorodnością. W większości tych dialektów można dowolnie powiedzieć *ego-ego nos-nos, za-*

miast *ego sum, nos sumus*, lub *ego ille, nos-illi*. Frazes „wy jesteście solą ziemi“ wyraża się w języku syryjskim literalnie: „Wy, oni, (t. j. osoby, o których mowa) sól ziemi“. Użycie zaimków osobistych w tej formie nie ogranicza się na wymienionych wyżej dyalektach, lecz napotykamy je też w językach basków, gallasów, w rzeczach turko-tatarskich i amerykańskich... Wprawdzie gramatycy języków malajskiego, jawańskiego i malagaskiego mówią o wyrazach, oznaczających *być*, lecz ważne badania tych elementów jasno wykazują, że one wcale nie są czasownikami, lecz po prostu zaimkami, lub partykułami, wyrażającymi czas, miejsce, lub nakoniec sposób, w jaki odbywa się wyszczególniona czynność, lub stosunek. Niełatwo zatem zrozumieć, w jaki sposób mieszkaniec wysp Filipińskich mógłby wyrazić słowo zupełnie mu nieznanie i o którym niema śladu, nawet dowodu, aby on o niem kiedykolwiek myślał. Czasownik rzeczowny, tak jak go zwykle rozumiemy, ożywiający każdą mowę ciągłą i łączący ze sobą wyrazy każdego zdania logicznego, stoi na jednym stopniu z flogistonem chemików zeszłego stulecia, t. j. *vox i paeterea nihil...* Jeżeli danym przedmiotem jest *ja, ty, on, ten, to, jeden*, lub też *tu, tam, tak, w, na, do, przez*, albo *siedzi, stoi, pozostaje, wydaje się*, to nie potrzebujemy do tego jakiegoś ducha, któryby nam powiedział, że ten przedmiot rzeczywiście jest; nie potrzebuje też gramatyka, lub metafizyka, któryby ten fakt ukryty wyraził w wyrazach formalnych¹⁾.

Wyraziwszy tym sposobem filologię słów orzeka-

¹⁾ Garnett, „On the Nature and Analysis of the Verb. Proo. Philol. Soc.“; Tom III.

jących, musimy teraz przystąpić do niemniej ważnej filologii samego orzeczenia. Przekonamy się, że odnośnie do tego punktu mamy dowody zupełnie wystarczające. Widzieliśmy już, że mamy powody uzasadnione do wniosku, że to co Grimm nazwał „przedpołowami“ zaimkowymi pierwiastkami, są równoważnikami fonetycznymi giestów, albo raczej, że tym pierwiastkom musiały towarzyszyć pewne giesty, aby wyrażone przez nie znaczenia były zrozumiałe. Otóż obecnie wszyscy zgadzają się na to, że pierwiastki zaimkowe lub elementy wskazujące zostały w następstwie przyłączone do rzeczowników i czasowników, jako afiksy lub sufiksy i tym sposobem w językach dawniejszych tworzyły maszyneryę przypadkowania i czasowania. Tym sposobem, cofając się wstecz krok za krokiem, możemy wysledzić formy orzeczenia słownego od stanu, w jakim je napotykamy w najbardziej rozwiniętych, czyli fleksyjnych językach, aż do tej fazy mowy w ogólności, którą ja nazwałem wskazującą. W celu bardziej szczegółowego wykazania tego faktu, nakreślę przedewszystkiem obraz wszystkich tych stanów i następnie wyjaśnię najdawniejsze z nich, które doszły aż do nas, przytaczając te sposoby wyrażania się, które obecnie w nich napotykamy.

Cofając się w historii mowy, przekonujemy się, że budowa jej ulega następującym uproszczeniom. Przedewszystkiem, czasowniki posiłkowe, sufiksy, afiksy, przyimki, łączniki i partykuły, jednym słowem wszystkie fleksye, aglutynacje i inne części mowy, wyrażające stosunek wzajemny różnych części zdania do siebie zacierają się i znikają. Gdy te, jeśli je tak nazwiemy, wyrazy stosunkowe, zostają odrzucone, to językowi pozostaje

staje tylko to, co możemy nazwać wyrazami przedmiotowymi (z włączeniem zaimków), wyrazami przymiotowymi i wyrazami czynnościowymi, jako też i wyrazy, wyrażające stany duszy lub ciała, które zatem nazwać możemy wyrazami stanu. Wyrażając się ogólnikowo możemy powiedzieć, że ta klasyfikacya odpowiada gramatycznym rzeczownikom, przymiotnikom, czasownikom czynnym i biernym; lecz ponieważ nasz ruch wsteczny w historii wymaga odrzucenia wszelkich form gramatycznych, przeto przykład nasz zyska na jasności, jeżeli wcale nie będziemy używali tych nazw. Następnie musimy zauważyć, że różnica pomiędzy wyrazami rzeczownikami a przymiotnikami coraz bardziej się zaciera i nakoniec zupełnie znika, rzeczowniki i przymiotniki zlewają się ze sobą; czy dany wyraz oznacza podmiot, lub przedmiot, t. j., czy wyraża nazwę przedmiotu lub przymiotu, zależy jedynie od miejsca, które zajmuje w zdaniu, od tonu, w jakim się go wymawia, albo nakoniec, jak to miało miejsce w bardzo wczesnych fazach mowy, od towarzyszących mu giestów. Tak powiada prof. Sayce: „zestawienie dwóch rzeczowników (a tem bardziej dwóch częściowo, lub wcale nieodróżnikowanych wyrazów, które teraz badamy) było zarodkiem, z którego się rozwinięły aż trzy pojęcia gramatyczne, mianowicie pojęcie dopełniacza, orzeczenia i przymiotnika“¹⁾.

Podczas gdy odbywa się ten proces zlewania się ze sobą rzeczowników i przymiotników, określenie czasowników coraz bardziej się zaciera, aż nakoniec staje się bardzo trudnem, a nawet niemożliwem rozróżnianie czasownika, jako oddzielnej części mowy.

¹⁾ Sayce. „Introduction“, I, 415.

Cofając się ciągle wstecz, albo przechodząc kolejno do coraz prostszych konstrukcyj gramatycznych, dojdziemy nakoniec do takiego stanu rzeczy, w którym wyrazy reprezentują to, co przyrodnik mógłby nazwać typem, tak bardzo uogólnionym, że on sam zawiera w sobie wszystkie te czynności, jakie później staną się udziałem oddzielnych części mowy. Podobnie jak owe zwierzątka, które jednocześnie są prostymi tylko komórkami i całymi organizmami, tak też i te wyrazy są wyrazami pojedynczymi i zdaniami niezależnymi. Co więcej, tak samo, jak w pierwszym przypadku mamy przed sobą życie, tak też i w drugim jest znaczenie, lecz to znaczenie, podobnie jak i owe życie jest nieoznaczonem i nierozwiniętem; zdanie jest organizmem bez narządów i jest ogólnem, w tem tylko znaczeniu, że jest protoplazmicznem. Wobec tych faktów, zaczerpniętych zarówno z języków jeszcze żyjących, jako też z kronik filologicznych języków dawno wygasłych, trudno nie zgodzić się na doktrynę powszechnie przyjętą przez filologów, według której, „im dalej się cofamy w czasie, tem języki coraz bardziej się upraszczają i to w sposób taki, że narzuca się wniosek konieczny, iż był czas, kiedy języki wcale nie istniały“¹⁾).

Wszystkie dowody przemawiające za tem, że wyrazy pierwiastkowe były zdaniami, wykazują, iż pierwotnie nie mogła istnieć żadna różnica pomiędzy wyrazami a zdaniami. Pomimo jednak, że taki wniosek wypływa dedukcyjnie z ogólnej, tylko co wyłuszczonej prawdy, jest atoli bardzo pożądanem, abyśmy szczegółowo

¹⁾ Geiger. „Die Entwicklungsgeschichte der Menschheit“, str; 20.

zbadali zastosowanie specjalne tej zasady do przypadku orzeczenia formalnego, gdyż jakieśmy to już nieraz zaznaczali, przy niem przeciwnicy nasi obrali sobie stanowisko. Widzieliśmy już, jakieśmy się załatwili z ich twierdzeniem odnośnie do łącznika. Zadaniem naszym będzie teraz wykazać, że analiza ich jest również błędną i odnośnie do dwóch pozostałych elementów zdania formalnego. Nie zadawszy sobie trudu zaznajomienia się z wynikami badań filologicznych i opierając się jedynie na tem, co możemy nazwać elementem przypadkowym, napotykanym w gałęzi aryjskiej wielkiego drzewa językowego, przeciwnicy moi twierdzą, że zdanie musiało zawsze i wszędzie występować w tej formie skończonej, w jakiej je przedstawił Arystoteles. Wiemy jednak teraz doskonale, że tak nie jest, że zdanie, które obecnie napotykamy w językach europejskich jest wynikiem długiego rozwoju; że w najbardziej pierwotnej swej fazie, albo w najdawniejszym stanie, który się zachował w paleontologii językowej, orzeczenie bardzo mało się różniło od tego, co ja wskazaniem nazwałem. W celu usunięcia wszelkiej wątpliwości, odnośnie do tego ważnego faktu, przytoczę zdanie powagi naukowej w dziedzinie językoznawstwa.

„Człowiek pierwotny nie bardzo się zajmował takimi zdaniami, jak np. człowiek jest śmiertelny, złoto jest ciężkiem, które to zdania stanowią niewyczerpane źródło rozkoszy dla logików formalnych, lecz gdy uważał za konieczne używać stałych słów przymiotnych, to odrazu nadał im kształt formy przymiotnej, umieszczając je w najbliższem sąsiedztwie rzeczownika, do którego fleksyjne w następstwie były użyte. Przez co czasowniki stopniowo przyjmowały na siebie kształt czysto formalny

orzeczenia. Używanie czasowników oznaczających czynność wywołało formację czasowników oznaczających *trwanie* (spokój), *ciągłości stanu* i jeżeli z biegiem czasu stało się niekiedy potrzebnem, orzekać o stałych lub zmiennych przymiotach, to wyrazy te zostały naturalnie do tego celu użyte i takie zdanie jak „słońce pozostaje świecącym“ wyrażało się prosto w formie „świecące słońce“. Stopniowo czasowniki te traciły swoje znaczenie, stając się znakami prostemi bytu, aż nakoniec utraciły wszelkie ślady znaczenia i stały się prostemi znakami orzeczenia. Takie są dzieje czasownika „być“, który w języku pospolitym utracił wszelki ślad istnienia. W jeszcze bardziej rozwiniętej fazie językowej zachodziła potrzeba mówić nie tylko o przedmiotach, lecz i o przymiotach. Tak np. zdanie „białość jest atrybutem śniegu, ma identycznie to samo znaczenie co „śnieg jest białym, lub biały śnieg“; zamiana „biały“ w „białość“ jest: czysto środkiem formalnym, za pomocą którego jesteśmy w stanie wyraz przymiotny uczynić podmiotem zdania“ ¹⁾.

„Przechodzimy teraz do bardzo ciekawego rozważania, że nie tylko porządek podmiotu i orzeczenia jest w znacznym stopniu konwencyonalnym, lecz że i sama idea o podmiocie i orzeczeniu jest czysto lingwistyczną i niema żadnej podstawy w samym umyśle. Przedewszystkiem podmiot jest zupełnie niepotrzebnym. W zdaniu „It rains“ (deszcz pada) niema wcale podmiotu, *it* i końcówka *s* są raczej znakami formalnemi orzeczenia. „It rains, therefore I will take my umbrella“ (deszcz pada,

¹⁾ Sweet, „Words, Logic and Grammar in Trans. Philol. Soc.“, 1876, str. 486, 487.

dlatego wezmę mój parasol) jest zupełnie legalnym ciągiem rozumowania a jednak sprawia ono niemało kłopotów najrzęczniejszemu nawet logikowi, któryby chciał je sprowadzić do jednej ze znanych form składni. Dalej należy zauważyć, że zdanie umysłowe nie powstaje w ten sposób, że najprzód myślimy o podmiocie, następnie o łączniku i w końcu o orzeczeniu, lecz ono powstaje gdy myślimy o wszystkich tych częściach jednocześnie. Gdy w umyśle naszym formułujemy zdanie „wszyscy ludzie są dwunożni“, mamy dwie idee, „wszyscy ludzie“ i „równa liczba dwunożnych“, albo jeszcze dobitniej, „ilu ludzi tylu dwunożnych“ i o tych dwóch idejach myślimy jednocześnie (t. j. w zestawieniu) a nie kolejno, jak to czynimy, gdy zmuszeni jesteśmy wyrazić je mową. Współczesność pomyślenia jest tem, co się w logice wyraża przez łącznik a przez różne formy zdania w mowie. Nie idzie za tem, aby logika nie miała żadnej wartości, lecz dopóty nie otrzymamy podścieliska istotnego prawdy, dopóki nie wyrugujemy tej jej części, która w rzeczywistości jest niczem innym, tylko analizą niedokładną mowy“ ¹⁾).

Jako wynik długich badań nad najbardziej pierwotnymi gwarami, dotychczas jeszcze istniejącymi wśród buszmenów południowej Afryki, dr. Bleek otrzymał, że w nich jeden i ten sam wyraz, bez żadnego przekształcenia mógł być używanym jako rzeczownik, przymiotnik, przysłówki, i t. d. ²⁾. To się znaczy, że wyrazy pierwotne są wyrazami zdaniowymi i jako takie były używane

¹⁾ Sweet, „Loc. cit“ str. 489, 490.

²⁾ Bleek, „Ursprung der Sprache“ str. 69, 70.

przez ludzi pierwotnych, w taki sam sposób, w jaki bardzo małe dzieci używają swoich, dotychczas niezróżniczkowanych znaków słownych. *Bejbej* oznacza *sen*, *spać*, *śpiący*, *śpiąc*, *śpiąco*, i t. d. i wskutek uogólnienia konotacyjnego oznacza też *łóżko*, *poduszkę*, *poszewkę*. Na koniec, jakieśmy to już nadmienili, nie jesteśmy skazani na same tylko domysły odnośnie do sposobu pierwotnego wyrażania słownego myśli. Gdyż w wielu dotychczas jeszcze istniejących językach znajdujemy formy orzeczenia na tak niskim stopniu rozwoju będące, że one zbliżają nas bardzo do tej epoki, w której tych form wcale jeszcze nie było. Nawet prof. Max Müller przyznaje, że i obecnie jeszcze istnieją języki, „w których niema zewnętrznej różnicy pomiędzy tem, co nazywamy pierwiastkiem a rzeczownikiem, lub czasownikiem. Ślady tej fazy wzrostu języka, możemy odnaleźć jeszcze w tak wysoko rozwiniętym języku, jakim jest sanskryt“. W innym miejscu powiada on: „Dziecko mówi, „ja jestem głodnym“, bez żadnego o tem pojęcia, że „ja“ jest odmianem od „głodny“, i że oba te wyrazy połączone są ze sobą czasownikiem posiłkowym... Dziecko chińskie wyraża tę samą ideę jednym wyrazem „*Szi*“ *jeść* lub „*po-karm*“ i t. d. Jedyna pomiędzy nimi różnica jest ta, że dziecko chińskie mówi językiem dziecinnym, nasze zaś dziecko mówi językiem ludzi dorosłych“¹⁾.

Jest wprawdzie godnym uwagi fakt, że chińczycy tak długo zachowali tę bardzo pierwotną formę mowy; wiemy atoli, że w tym języku czynności orzeczenia w wysokim stopniu pomagają różnesztuczki składni w po-

¹⁾ „Science of Thought“, str. 241.

łączeniu z intonacjami konwencyonalnemi określonego znaczenia, w skutek czego, chińszczyzna jest językiem bardzo wysoko rozwiniętym, lubo typu szczególnego. U ludów zaś stojących na daleko niższym stopniu rozwoju umysłowego, napotykamy jeszcze bardziej szczerkowane formy orzeczenia, gdyż języki ich nie mają chińskich sposobów składni i intonacyi. Jakieśmy już wyżej nadmienili, najbardziej pierwotną ze wszystkich dotychczas istniejących form orzeczenia, o ile rzecz się dotyczy mowy członkowanej jest ta, w której czynności czasownika zastąpione bywają przez zestawienie rzeczownika z tem, co odpowiada dopełniaczowi zaimka. Tak np. jeżeli w języku dayakskim chce się powiedzieć „twój ojciec jest stary“, „twój ojciec staro wygląda“ i t. d., to dla braku czasownika należy zdanie uformować przez proste zestawienie, „ojciec twój, wiek jego“. Albo dla większej ścisłości, ponieważ składnia tej mowy podobną jest do składni języka giestów, w którym orzeczenie poprzedza przedmiot, więc chcąc zdanie powyższe dokładniej wypowiedzieć, należy się wyrazić: „jego wiek, twój ojciec“. Podobnie, jeżeli chce się powiedzieć „on nosi kurtkę białą“ należy to wyrazić tak „on z białą, z kurtką“ ¹⁾).

W języku znoufidżyjskim funkcye czasownika pełni rzeczownik w konstrukcyi z ukośnym sufiksem zaimkowym, np. wyrazowi *loma—qu* odpowiada dosłownie znaczenie *serce moje* (odemnie) i wyraża *ja chcę* ²⁾).

Podobnie, prawie wszyscy badacze językowi, któ-

¹⁾ Steintal, „Charakteristik i t. d.“ str. 165, 173.

²⁾ Garnet, „Philological Essays“, str. 310.

rzy zajmowali się językami Polinezyi zgadzają się na to, że podział na części mowy, przyjęty przez gramatyków europejskich, o ile rzecz tyczy się formy zewnętrznej, prawie nie daje się zastosować do tej grupy języków. Jeden i ten sam bowiem element może zarówno być rzeczownikiem, jak i przymiotnikiem, czasownikiem lub partykulą³⁾. „Ja będę jadł ryż“ może być wyrażone przez „jedzenie moje (odemnie) ryżu“, albo przez „jedzenie moje będzie jedzeniem ryżu“. Przypuszczalny czasownik jest w istocie rzeczownikiem oderwanym, który wtedy tylko wyraża pojęcie czasu przyszłego, jeśli wchodzi do konstrukcyi z przypadkiem ukośnym sufiksu zaimkowego i przedmiot działania nie jest wyrażony przez biernik, lecz za pomocą zestawienia. Zdaje mi się, że nie potrzebuję się dłużej rozwodzić nad tem, jak dalece ten fakt nie jest zgodnym ze zwykłym określeniem gramatycznym czasownika czynnego i to w konstrukcyi, w której z pewnością należało się spodziewać użycie czasownika prawdziwego, jeżeli w ogóle takowy istnieje w językach, o których mówimy⁴⁾. Nie chcąc przeciążać rozumowania naszego przykładami zbytlicznymi, przytoczymy jednak słowa tego samego autora, które powinny być zupełnie wystarczającymi. „Niema żadnej wątpliwości, że rzeczowniki w połączeniu z przypadkiem ukośnym zaimków, mogą i były używane jako czasowniki. Niektóre z wyżej przytoczonych konstrukcyj nie dopuszczają żadnego tłumaczenia; one zaś nie są zjawiskami cząstkowymi, przypadkowymi, lecz przeciwnie, li-

³⁾ Tamże str. 312.

⁴⁾ Tamże, str. 314.

czą się na tysiące“¹⁾). Moglibyśmy w tej samej materji przytoczyć cytaty z innych autorów, lecz sądzę, że to, com dotychczas przytoczył, w zupełności wystarcza do wykazania, jak filologia wyrażania słownego myśli obala filozofię tegoż wyrażania wyłożoną, przez moich przeciwników. Nietylko dali się oni w prowadzić w błąd przez przytoczony już wyżej fakt, że w wielu językach łącznik jest identyczny ze słowem *być*, (które, jak wyżej powiedzieliśmy, w wielu językach wcale nie istnieje), lecz jeszcze, jak się to teraz przekonywamy, i analiza ich odnośnie do podmiotu i orzeczenia jest również błędną. Taka zupełnie wykończona forma zdania, jak „murzyn jest czarny“ nietylko jest daleko od tego, aby być „najprostszym elementem myśli“, lecz jest ona widocznym wynikiem niezmiernie długiego rozwoju umysłowego. Nieznam smutniejszego przypadku źle zastosowanej gienialności, jak ten, który się nam przedstawia w wyżej przytoczonych argumentach zacytowanych autorów, którzy zupełnie nieświadomi tego, co obecnie wiemy o historii mowy, starali się dowieść, że każdy akt wyrażania słownego myśli, jest zarazem „najprostszym elementem myśli“ i jednocześnie tak doskonale opracowanym procesem, jakim oni usiłowali go przedstawić. Płytkość takiego rozumowania da się tylko porównać z rozumowaniem morfologa, któryby był dość naiwnym i twierdził, że zwierzęta kręgowie nigdy nie mogły powstać z pierwotniaków i tezę swoją podtrzymywał, będąc zupełnie nieświadomym odkryć odnośnie do wszystkich form poprzednich, o których teraz doskonale wiemy, że istniały i istnieją.

¹⁾ Garnet, „Philological Essays“, str. 314.

Weźmy przykład z pomiędzy tych, któreśmy wyżej przytoczyli. Przypominamy sobie, że opierając się na gruncie logiki i psychologii przeciwnicy nasi żądali od nas, abyśmy im przedstawili choć jedno zwierzę, któreby było w stanie wypowiedzieć prostą formę sądu, wyrażoną przez „jest“ w zdaniu „A jest B“¹⁾). Przyznaję, że nie jestem w stanie tego uczynić, ale za to w tym celu uczyniłem więcej niż to. Odnalazłem całe narody, dotychczas jeszcze istniejące, których członkowie na równi ze zwierzętami nie są w stanie wypowiedzieć tej formuły prostej. Gdzie znajduje się „jest“ w orzeczeniu „wiek jego, ojciec twój“ = „twój ojciec jest starym“? Albo, jeżeli cofniemy się jeszcze bardziej wstecz, do wcześniejszej fazy ludzkiej mowy, to w jaki sposób wyciągniemy czystą formę zdania „z wyrzutu zdaniowego“, w którym nietylko brak łącznika, ale nawet niema żadnej różnicy pomiędzy podmiotem a orzeczeniem? Jest więc rzeczą dowiedzioną, jakieśmy to już niejednokrotnie nadmieniali, że nietylko zwierzę, ale i dziecko, nietylko dziecko, ale i człowiek pierwotny, nietylko człowiek pierwotny, ale i po dziś dzień istniejący człowiek dziki nie są w stanie wypowiadać prostej formy zdania, gdyż ta została dopiero opracowaną w najwyższych rozgałęzieniach umysłu ludzkiego. W istocie, wszystkie płytkie (bo błędne) rozumowania przeciwników moich opierają się na analizie zdania w formie, w jakiej je podaje Arystoteles w swojej logice, który to rozbiór zależy znowu od gramatyki języka greckiego. Otóż nie mam potrzeby dowodzić, że cały ten system jest przestarza-

¹⁾ Patrz Część I, rozdział „Mówienie“, str. 224.

łym, o ile on się tyczy kwestyi *początku* zarówno myśli, jak i mowy. Nie chcę zmniejszyć znaczenia takich badań gramatycznych, ani też logiki na niej opartej, jeżeli tylko wnioski z nich wyprowadzone nie przekraczają sfery uprawnionej. Lecz uważać w naszych czasach za pierwotny, ten sposób słownego wyrażania myśli, który napotykamy w tak wysoko rozwiniętym języku, jakim jest język grecki, albo też twierdzić, że „kategorie“ systemu logiki Arystotelesa wyrażają najprostsze elementy myśli ludzkiej wydaje mi się tak niedorzecznem, że się dziwię, w jaki sposób ludzie inteligentni mogli wypowiedzieć takie nonsensa ¹⁾.

¹⁾ Zwrócę tu uwagę, że Arystoteles był pierwszym, który popełnił błąd identyfikowania łącznika z czasownikiem *być*, za pomocą którego łącznik ten wyraża się w języku greckim. W ciągu długich wieków błąd ten był obfitą źródłem nieskończonych zamieszkań, lecz ciekawą jest rzeczą, że nowe zupełnie wynikiem nieporozumienia z tego, przy końcu dziewiętnastego wieku. Rzecz naturalna, że odnośnie do podmiotu i orzeczenia Arystoteles nie mógł znaleźć stosunków bardziej pierwotnych niż te, które znalazł w formach języka znanego mu. Odnośnie do jego kategorii zasługują na uwagę słowa prof. Maxa Müllera, „Kategorie te, które okazały się tak użytecznymi dla gramatyków dawniejszych mają ważniejsze jeszcze znaczenie dla badaczy mowy i myśli. Gdy Arystoteles uważał je za dane formy wypowiedzenia myśli w języku greckim w epoce, kiedy język ten był już w posiadaniu całej skarbnicy słów swoich, to my musimy je uważać jako przedstawicieli różnych procesów, za pomocą których te wyrazy greckie a z niemi i wszystkie nasze wyrazy i myśli poraz pierwszy przyjęły formę ustaloną. Podczas gdy Arystoteles wszystkie swoje słowa i zdania bierze jako rzeczy gotowe i poprostu je rozbiera w celu wykrycia, ile form wypowiedzenia myśli one w sobie zawierają, to szukamy obecnie źródła takich wyrazów jak: *koń, biały, wiele, większy, tu, te-*

Porzucając te stare błędy, które są prostym wynikiem nieznojmności rzeczy, musimy przyjąć tę analizę słownego wypowiedzania myśli, która jest wynikiem nowego postępu wiedzy. Analiza zaś ta dowiodła w sposób niewątpliwy, „że podział zdania na dwie części, na podmiot i orzeczenie jest przypadkowym; podział ten jest zupełnie nieznanym w językach polisyntetycznych Ameryki, w których się odzwierciadlają warunki mowy pierwotnej... Odnosnie do tego aktu myślenia, podmiot i orzeczenie są identyczne i jest wiele języków, w których one też jako takie się traktują”¹⁾. Zdaje mi się, że gdyby przeciwnicy moi byli konsekwentni, to powinni by byli rozumować w sposób następujący:

Przypuśćmy nawet, że musimy się cofnąć od sposobu wypowiedzania myśli przez greków do tego, który napotykaemy w językach ludów dzikich, stojących na stopniu niskim rozwoju, atoli w każdym razie stoimy wobec sposobu wypowiedzania myśli. I jeżeli nas cofaciecie nawet do

raz, sfoję, boję się, kraję, jestem krajany. Też, kto jest w posiadaniu takich wyrazów, może z łatwością wypowiadać myśli swoje, lecz mamy teraz wykazać, że początkowo każdy wyraz był sam przez się zdaniem zupełnym i wyrażał jakąś myśl. Istotną więc kwestyą naszą jest rozwiązanie pytania, w jaki sposób powstały zdania pierwotne, które w następstwie zeszyły na wyrazy zwyczajne. W rzeczywistości zatem, kategoriami prawdziwemi nie są te, których nas uczy gramatyka, lecz te, które wytworzyły gramatykę i temi właśnie kategoriami chcę się teraz zająć („Science of Thought” str. 439).

¹⁾ Sayce, „Introduction”, II, 229. Dodaje on „Gdyby Arystoteles był meksykaninem, to jego układ logiki przyjąłby inną postać”.

formy mowy najbardziej pierwotnej, w której brak części mowy a zatem i samo wyrażanie myśli z konieczności musi być niedokładnem bardzo, to jednak *ma miejsce* akt wypowiedania myśli, gdyż jedynie dla jego urzeczywistnienia mowa została powołaną do życia.

Dla zaatakowania tej ostatniej pozycyi przeciwników moich, muszę przypomnieć czytelnikowi niektóre prawdy, ustalone już w rozdziałach poprzednich. Przede wszystkim, gdyśmy starali się określić, co rozumieć należy przez „najprostszy element myśli“, dowiodłem, że elementu tego nie należy szukać w zdaniu zupełnie rozwiniętem, lecz w pojęciu kompletnie uformowanem i że tylko z dwóch takich pojęć, jako z elementów możemy utworzyć zdanie pełne lub pojęciowe, jako ich związek. Albo, jakieśmy to ustalili w rozdziale „O mówieniu“ nazwy pojęciowe są ingredencyami, z których formuje się budowa zdań i aby taka formacya była możliwą, to już w jego częściach składowych musi tkwić ten element myślenia pojęciowego, który towarzyszy każdemu wyrazowi denominacyjnemu“. Albo jeszcze inaczej, postępując się słowami prof. Sayce'a, możemy powiedzieć, „jest truizmem psychologicznym, że członki zdania po bliższem zbadaniu, okazują się być niczem innem tylko sądami skróconemi“¹⁾). Określiwszy tym sposobem najprostszy element myśli jako pojęcie, postaram się teraz dowieść, opierając się na psychogenezie dziecka, że nim objawia się jakkolwiek zdolność formacyi pojęć a zatem używania nazw w formie wyrazów denotacyjnych,

¹⁾ „Introduction“ I, 15.

a *tem bardziej* nim się wykluwa zdolność kombinowania wyrazów takich w zdania pojęciowe—istnieje już zdolność formowania poznań, albo też zdolność nazywania takich poznań wyrazami denotacyjnymi a nawet zdolność zestawiania takich wyrazów, w celu wypowiedania orzeczeń, natary przedpojęciowej. Zdania przedpojęciowe, szcążtkowe, bez udziału myśli uformowane, napotyamy już w najwcześniejszym wieku dziecinnym, przed ukazaniem się samowiedzy a zatem przed *pojawieniem się warunku prawdziwego, niezbędnego do jakiegokolwiek bądź procesu myślenia pojęciowego*. Co więcej, wykazałem, że ten rodzaj wypowiedania orzeczeń jest wytworem rozwoju stopniowego. Ponieważ bierze swój początek na gruncie giestykulacyi, kiedy ta po raz pierwszy przechodzi w mowę członkowaną, więc w tym sposobie orzeczenia nie możemy absolutnie rozróżnić „części mowy“. Każdy wyraz jest tem, co obecnie znamy pod wyrazem słowa-zdaniowego, którego zastosowanie szczegółowe może tylko być bliżej określone za pomocą giestykulacyi. W następstwie te wyrazy zdaniowe, albo też inne, które później zostają nabyte, zaczynają się niedokładnie różniczkować, stając się nazwami przedmiotów, przymiotów, czynności i stanów i im szersze jest znaczenie, które im nadaje się jako częściom mowy, tem ściślej przechodzą one wszystkie przez ten proces uogólnienia konnotacyjnego, odnośnie do swego, znaczenia który zawsze jest wskaźnikiem zdolności wzrastającej rozpoznawania analogij. Nakoniec, słowa przedmiotowe i słowa przymiotne (t. j. nazwy denotacyjne przedmiotów i nazwy denotacyjne przymiotów lub czynności) używane bywają w zestawieniu. Lecz forma orzeczenia szcążtkowa lub bezmyślna, która ztąd wypływa, za-

wdzięcza swój początek kojarzeniom zmysłowym i zewnętrznej „logice wypadków“; podobnie jak i elementy, z których się składa, nie jest ona pojęciową lecz przedpojęciową. Ze świtaniem samowiedzy, orzeczenie zaczyna być prawdziwie pojęciowe i tym sposobem w ciągu odbywającego się bezustannie rozwoju stopniowego wkracza w dziedzinę myślenia introspekcyjnego. Należy pamiętać, że wszystkie te fakty ogólne były wyłącznie ustalone na zasadzie obserwacji psychologicznych. Nigdzie w tym celu nie powoływałem się na świadectwo niezależne językoznawstwa. Lecz obecnie uważam za stosowne korzystać z tego świadectwa dodatkowego, którego współdziałanie kwestyę w mowie będącą ostatecznie rozstrzyga. Gdyż wykazuje ono, że rozwój orzeczenia był wszędzie ten sam w rasie, jakim jest w osobniku. Wobec tego pytam się, czy którykolwiek z przeciwników moich zechce twierdzić, że w obu tych razach myślenie przedpojęciowe jest oznaką sądu? Albo, co na jedno wychodzi, czy ktokolwiek ośmieli się zaprzeczyć, że pomiędzy orzeczeniem poznaniowym a orzeczeniem pojęciowym zachodzi ważna różnica. A może zechcę moi przeciwnicy schronić się do jedynej pozycji, która im została i twierdzić, jakieśmy to już przypuścili, że nie tylko w zestawieniu dziecinnych nazw denotacyjnych, lecz że nawet we wcześniejszej, nieodróżnionkowej jeszcze protoplazmie słowa zdaniowego tkwi ta zdolność orzeczenia, na której oni opierają właśnie różnicę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem? Jasną jest rzeczą, że gdy tego nie uczynią, to całe ich rozumowanie na tem kończyć się musi, gdyż widzieliśmy, że jest rzeczą pewną, iż zarówno w rasie jak i w osobniku zachodzi ciągłość nieprzerwana pomiędzy zarodkiem orzeczenia i do-

kładnie rozwiniętem zdaniem formalnem. Jeżeliby zaś z drugiej strony chcieli rozumować w sposób powyższy, to następujące rozważania wypędzą ich z ostatniej pozycji. Jeśli wyraz „orzeczenie“ zechcą uogólnić i przenieść go od zdania pojęciowego do słowa-zdaniowego, to pozbawią go zarazem tego znaczenia wyróżniającego, na którym wyłącznie się opiera ich rozumowanie zasadnicze. Gdyż słowa zdaniowe, używane przez małe dzieci (lub człowieka pierwotnego) muszą być uzupełnione przez giesty, jeżeli idzie o wyszczególnienie ich znaczenie, albo też o uzupełnienie „orzeczenia“. Atoli, jeśli rzeczy tak się mają, to wszelka różnica psychologiczna pomiędzy *mówieniem* a *wskazywaniem* z konieczności ustać musi; jeżeli taki sposób znoszenia się ze sobą nazywać będziemy „orzeczeniem“ to „kategoria języka“ orzekająca staje się identyczną ze wskazującą: ludzie i zwierzęta stają się „braćmi“.

Weźmy jakiś przykład. Wyobraźmy sobie, że mamy przed sobą dziecko, które nie jest jeszcze w stanie wymawiać żadnego wyrazu członkowanego. Dziecko to, zaczynając chodzić, w jakikolwiek sposób się uderzyło i przez to doznało bólu oraz o tem zawiadomić chce otoczenie swoje za pomocą giestów. Dziś np. uderzyło główką o stół i w swoim nieszczęściu szuka u nas współczucia. Na zapytanie nasze, gdzie się uderzyło, natychmiast dotknie się rączką tej części główki, gdzie się uderzyło, t. j. *wskazuje* nam miejsce cierpiące. Otóż, pytam się, czy dziecko, tak postępując, *orzeka* o miejscu cierpienia? Jeżeli na to pytanie odpowiemy twierdząco, to wszelkie znaczenie wyróżniające nadane wyrazowi „orzeczenie“, albo jedyne znaczenie, na którym przeciwnicy moi się opierali, zostaje przez to zniesione. Gie-

sty, tak często przez zwierzęta niższe używane, trzeba było wtedy uważać jako orzekające, gdyż, jakieśmy to już obszernie wykasali, giesty te w niczem się nie różnią od giestów, używanych przez niemowlęta.

Bez względu więc na to, czy przeciwnicy moi przypisują wyrazom-zdaniowym własność orzeczenia, czy też im tej własności nie przypisują, rozumowanie ich upaść musi. Pozostaje im tylko jedna alternatywa logiczna wyrzec się swego rozumowania i nie upierać się dłużej przy twierdzeniu, że mowa jest Rubikonem ducha, lecz raczej przyznać, że pomiędzy fazą wskazującą mowy, która jest wspólna ludziom i zwierzętom a fazą prawdziwie orzekającą, będącą udziałem wyłącznym człowieka, nie zachodzi różnica gatunkowa. Przekonaliśmy się bowiem, że w psychogenezie osobnika, jako też i rasy wszędzie spotykamy ciągłość oczywistą rozwoju od najniższego aż do najwyższego poziomu zdolności giestykulacji.

ROZDZIAŁ XIII.

Świadectwo językoznawstwa.

(*Ciąg dalszy*).

W rozdziale ostatnim zajmowaliśmy się filologią orzeczenia. W rozdziale zaś bieżącym mam zamiar rozważać filologię pojęcia. Ścisłe rzeczy biorąc nie możemy twierdzić, aby ta różnica dała się dokładnie przeprowadzić, gdyż jakim tego obszernie dowiódł w rozdziale o mowie, każde pojęcie zawiera w sobie sąd (orzeczenie) a zatem każdy wyraz denotacyjny jest zdaniem zgęszczonym. Pomimo to jednak, ponieważ przeciwnicy moi kładą główny nacisk na zdanie pełne, czyli formalne, jako odmienne od pojęcia, przeto uważam za stosowne traktować, o ile to się da, te dwie części naszego przedmiotu oddzielnie od siebie. Z tego to powodu odparłszy wszystkie zarzuty, które można było uformować na zasadzie orzeczenia formalnego, zakończę rzecz moją rzucając promienie bijące od światła językoznawstwa na początek orzeczenia materialnego, czyli na przejście denotacyi poznaniowej w denominację pojęciową, które według świadectw wiarogodnych, miało miejsce w rozwoju przedhistorycznym rasy naszej.

Czytelnik przypomni sobie, że w mojej analizie o wzroście orzeczenia, przedstawionej w rozdziale osta-

tnim, kładłem nacisk szczególnie na to, co protoplazmą orzeczenia nazwałem i którą to protoplazmę napotykamy w słowie-zdaniowem, jeszcze nieodróżniczowanym. Badając psychologię orzeczenia w rozdziale „O mowie“, nie poszedłem w rozbiórze moim dalej, niż do wykazania, w jaki sposób rodzące się, czyli „zdania przedpojęciowe“ bardzo małych dzieci tworzą się przez zestawienie proste wyrazów denotacyjnych, które, jakieśmy to wykazali, jest wynikiem kojarzeń idei zmysłowych pod wpływem logiki wypadków. Gdy jednak przychodzimy do filologii orzeczenia, to staje się jasnym, że istnieje jeszcze wcześniejsza faza tej zdolności, niż ta, która polega na zestawieniu wyrazów denotacyjnych pod wpływem zmysłowym skojarzeń idei. Gdyż widzieliśmy, że językoznawcy dowiedli, iż nim jeszcze były jakiegokolwiek wyrazy denotacyjne, oznaczające przedmioty, przymioty, czynności i stosunki—istniały już słowa-zdaniowe, które w postaci masy nieokreślonej łączyły w sobie znaczenia, jakie w następstwie poruczono rzeczownikom, przymiotnikom, czasownikom, zaimkom, i t. d., co pociągnęło za sobą ten wynik, że jedyny rodzaj zestawienia, którego użyto w celu nadawania takim wyrazom znaczeń szczególnych były dodatki mimiczne w postaci gestów. Otóż miałem dwie przyczyny, dla których zostawiłem sobie na później badania nad tem, co najniezawodniej stanowi najwcześniejszą fazę giestykulacji członkowanej. Przedewszystkiem zdawało mi się, że dam czytelnikowi pojęcie jaśniejsze o traktowanym przedmiocie, zaczynając od fazy orzeczenia, którą łatwiej może zrozumieć, niż wtedy, gdybym go nagle postawił wobec początku zarodkowego, który nie jest tak łatwym do zrozumienia. Lecz oprócz tego względu, polegające-

go na stopniowym przechodzeniu od rzeczy więcej znanych, do rzeczy mniej znanych, miałem jeszcze inny, bardziej uzasadniony powód, dla którego nie zacząłem rzeczy mojej od zarodka ostatecznego giestykulacji członkowanej, wtedy gdy miałem do czynienia z psychologią przedmiotu naszego wyłącznie. Przyczyna ta polegała na tem, że w rozwoju mowy tak jak go ciągle obserwujemy u dziecka dorastającego (który ostatecznie dostarcza nam jedynie materiału do badań nad tym przedmiotem ze stanowiska psychologicznego), faza początkowa, czyli zarodkowa, o której teraz mówimy, nie wydaje się, ani tak bardzo określoną, ani tak bardzo ważną, albo, wyrażając się porównawczo, ani tak długotrwałą, jak rozwój mowy w rasie. Posiłkując się językiem biologicznym możemy powiedzieć, że ta najważniejsza faza rozwoju mowy została znacznie skróconą w ontogenii rodu ludzkiego, jeżeli ją porównamy z jego filogenią. Wynika ztąd, że jeżelibyśmy chcieli ją ocenić przez prosty rozbiór psychologiczny zjawisk, które obserwujemy w historii życia osobnika, tobyśmy otrzymali słabe tylko pojęcie o jej ważności i znaczeniu.

Bardzo słusznie twierdzi Max Müller, „że gdy dziecko mówi „w górę“ *hop*, to wyraz ten w umyśle jego jest zarazem rzeczownikiem, przymiotnikiem i czasownikiem“. Pomimo to jednak, od najwcześniejszego wieku obserwujemy u dziecka dążenie do rozróżniania części mowy. Wyrazy najwcześniejsze wymawiane przez własne moje dzieci były zawsze rzeczownikami i imionami własnymi jak np. *gwiazda*, *mama*, *papa*, *Ilda*, i t. d. i chociaż później niektóre z tych wyrazów najwcześniejszych przyjęły na siebie rolę przymiotników wskutek

zestawienia ich z innymi rzeczownikami, później nabytymi (jak np. *mama* — *beh* dla oznaczenia owcy, *Ilda* — *beh* dla oznaczenia jagnięcia), to jednak ani rzeczowniki, ani przymiotniki, nigdy nie były używane w znaczeniu czasowników. Poprzednio wspomnieliśmy już, że używanie przymiotników ma miejsce w peryodzie również wczesnym, jak i użycie rzeczowników i chociaż wskutek ubóstwa swego słownika, dzieci częstokroć używają przymiotników zamiast rzeczowników i na odwrót i obie te części mowy nie raz są dla nich zdaniem szczytkowemi, to jednak zachodzi pewna różnica pomiędzy wyrazami oznaczającymi przedmioty a wyrazami oznaczającymi przymioty. Podobnie chociaż wyrazy oznaczające czynność lub warunki bardzo często pełnią funkcję wyrazów przedmiotowych i przymiotowych, to jednak widoczną jest rzeczą, że pierwotne ideje do nich przywiązane są te, które należą się czasownikom. To samo da się powiedzieć o wyrazach oznaczających stosunki jak „na“, „w górę“.

Weźmy np. poprzednio już podane orzeczenie przedpojęciowe przytoczone przez Sully'ego, mianowicie *Bauwau* zamiast „to jest pies“; *ot*, zamiast „to mleko jest ciepłem“ (używam słów podanych w oryginale angielskim, *ot* zakończenie od *hot*, gorący, P. T.); *Dit kec* = „siostra płacze“, *Dow* = „zabawka spadła“; *Dit nau-ghy* = „siostra jest niegrzeczną“. We wszystkich tych przypadkach widocznem jest, że dziecko zdradza postrzeżenie prawdziwe różnych czynności, odpowiadających tym różnym częściom mowy. Ze stanowiska samej tylko analizy psychologicznej nie widzimy żadnej innej przyczyny faktu powierzania jednej części mowy czynności drugiej, który jest tak powszechnym u dzieci, oprócz tej, która wypływa z potrzeby wysłowienia się, wte-

dy gdy istnieje jeszcze bardzo mała liczba wyrazów służących do udzielania sobie wzajemnie myśli swoich. Ze stanowiska zatem samej psychologii nie mamy żadnego prawa wnosić, że dziecko niema pojęcia o różnicy zachodzącej pomiędzy częściami mowy, tak samo, jak nie mamy prawa wyprowadzić wniosku, że i dorosły człowiek niema pojęcia o tej różnicy, gdy widzimy, że rzeczownikom *pocket* = *kieszon* nadaje znaczenie przymiotników, (*pocket-book* = *książka kieszonkowa*), lub czasowników (*he pocketed the red book* = *on włożył do kieszeni czerwoną książkę*). To co w tym przypadku można nazwać nadużyciem gramatycznym wyrazów staje się koniecznością bezwzględną, gdy zbiór słów jest bardzo ubogim, jak to możemy obserwować usiłując mówić obcym językiem, jakim niedokładnie władamy.

I w rzeczy samej, im zbiór słów jest uboższym tem ta potrzeba jest większą, tak że jest ona największą, kiedy dziecko tylko co wychodzi ze stanu niemożliwego. Z tego to powodu, jakim zresztą już zauważył, nie sędzę, aby same tylko przyczyny psychologiczupoważniły nas do wniosku, że dziecko tylko co zaczynające mówić niema pojęcia o tem, co rozumiemy przez części mowy. Z powodu niepewności, zachodzącej co do tego, czy mamy do czynienia z koniecznością, czy też z niemożliwością, zostawiłem sobie badania nad *słowami-zdaniowemi*, aż do chwili gdy mogłem rzucić na nie światło niezależne, wypływające z filologii porównawczej. Otóż badania prowadzone przy takim oświetleniu wykazały, jak to już wiemy, że stan protoplazmowy języka w epoce, która poprzedzała tę, w której nastąpiło zróżniczkowanie się języka na części mowy, daleko dłużej trwała w rasie, aniżeli w osobniku. (rozumie się, że jest tu mowa o trwaniu względnem). Co

więcej, zdaje się, że stan ten był też daleko ważniejszym i dla późniejszego rozwoju językowego. Jak więc należy wytłomaczyć sobie tę różnicę? Sądzę, że tłumaczenie takie jest bardzo prostem. Dziecko naszych czasów przychodzi na świat w środowisku, w którym istnieją już języki mówione i na długo przed tem, nim ono samo jest w stanie naśladować wyrazy, które słyszy, jest już w możności zrozumienia wielu z nich. Wynika ztąd, że gdy dziecko w literalnem znaczeniu tego słowa jest jeszcze *niemowlęciem*, to użycie form gramatycznych wdraża się w jego umyśle. Nie powinniśmy się zatem dziwić, widząc, że gdy dziecko po raz pierwszy zaczyna używać giestów członkowanych, jest ono już w posiadaniu pewnego zasobu wiedzy, tyczącej się ich różnych znaczeń, jako nazw przedmiotów, przymiotów, czynności, stanów lub stosunków. Tym sposobem dziecko już jako takie przyswaja sobie znajomość tych giestów i dlatego jeżeli w tej sprawie jest coś zagadkowego, to chyba jest niem fakt, że dziecko zaczynające mówić, zdradza tak wielką niepewność w kwestyi rozróżnień gramatycznych.

Lecz jakżeż odmiennie miała się rzecz z człowiekiem pierwotnym? Niemowlę naszych czasów znajduje już gotową do użytku gramatykę i taką, której się uczy jednocześnie z nabywaniem wyrazów denotacyjnych. Dorosłe zaś dziecko czasów pierwotnych zmuszonym było opracowywać dla siebie gramatykę, podczas gdy jednocześnie wyrabiało wyrazy denotacyjne. Z tego to powodu gdy nabywanie imion i form językowych przez człowieka dzieciennego musiało przeważnie być zależnem od giestów i pantomin, to ich nabycie przez niemowlę naszych czasów, nietylko nie jest zależnem od giestów, lecz prze-

ciwnie jest ono im wrogiem. Gotowa już gramatyka języka jest równoważnikiem ewolucyjnym giestów, z których ona początkowo się rozwinęła. Z tego to powodu jak tylko dziecko naszych czasów zaczyna mówić, to znaki giestykulacyjne zaczynają wymierać pod wpływem form gramatycznych. Lecz w historii naszej rasy znaki giestykulacyjne były matkami-karmicielkami form gramatycznych i im bardziej ich potomstwo się powiększało, tem bardziej wzrastała różnorodność funkcji, wykonywanych przez rodziców. Innemi słowy, w dzieciństwie naszej rasy wzrost mowy członkowanej nie tylko był zależnym od giestów, lecz jeszcze oddziaływał na nie, powiększając ich liczbę, ich różnorodność i dokładność ich wykonania, i proces ten trwał aż do chwili, kiedy formy gramatyczne były już dostatecznie rozwiniętymi, aby użycie giestów stało się niepotrzebnem. Tym sposobem podobnie jak Saturn, giestykulacja została pozartą przez własne potomstwo; stosunek pomiędzy giestami, przemawiającymi do oka i do ucha został stopniowo odwróconym; obecnie zaś, jak to możemy obserwować u każdego dziecka dorastającego, mowa formalnego wyrażania się podkopała życie jego mniej formalnego rodzica.

Jesteśmy teraz w stanie rozważać ścisły stosunek psychologiczny wyrazów-zdaniowych do wyrazów denotacyjnych i poznaniowo-konnotacyjnych. Należy sobie przypomnieć, że wyrazy-zdaniowe uważałem jako reprezentujące wcześniejszy jeszcze rodzaj myślenia, niż ten, jaki jest reprezentowanym przez wyrazy denotacyjne a tem bardziej przez wyrazy poznaniowo-konnotacyjne. Z drugiej znów strony wykazałem, że oba te rodzaje wyrazów napotykamy u dzieci, gdy zaczynają mó-

wić i że można je nawet odnaleźć na tak niskim stopniu drabiny psychologicznej, na jakim stoją ptaki gadające. Tę sprzeczność pozorną musimy teraz wyjaśnić. Wszakże bardzo słusznie można się zapytać, co może być w języku mówionym wcześniejszem, niż pierwsze wyrazy wymawiane przez dziecko, lub nawet przez papugę? Jeżeli zaś tak jest, to w jaki sposób mogą się zgodzić ze zdaniem tych językoznawców, którzy twierdzą, że wyrazy-zdaniowe stanowią wcześniejszy jeszcze stan rozwoju pojęciowego?

Krótko się wyrażając, sformułuję moją odpowiedź tak, że u dzieci i u ptaków gadających wyrazy denotacyjne, konnotacyjne i zdaniowe są wszystkie jednakowo-pierwotnemi i jeżeli można odnaleźć jakieś pierwszeństwo, to należy ono się pierwszym z trzech wymienionych rodzajów wyrazów. Przyczyna zaś tego faktu, mojem zdaniem, tkwi w tem, że zarówno dzieci jak i papugi żyją w rozwiniętym już środowisku języka mówionego i dlatego, jakieśmy to już wspomnieli, pozostaje im tylko nauczyć się swoich wyrazów denotacyjnych, za pomocą specjalnego kojarzenia idei, wtedy gdy człowiek pierwotny musiał sam sobie uformować swoje nazwy z nieartykułowanych dotychczas materiałów własnej swej psychologii. To atoli, jakieśmy to już widzieli, on mógł urzeczywistnić za pomocą takiego połączenia tonów i giestów, które z samego zaraz początku musiały towarzyszyć znaczeniom, natury orzeczenia przedpojęciowego. Wobec braku jakichkolwiek danych dźwięków, uchodzących jako nazwy denotacyjne, człowiek pierwotny, nie miał żadnej możności dowolnego *nadawania* takich nazw; dlatego to niema żadnego porównania pomiędzy nim a dzieckiem, które nazwy takie *naby-*

wa na drodze poznaniowej. Dla nadawania nazw, człowiek pierwotny musiał mieć okazyje do przed-pojęciowego zdawania sobie sprawy o przedmiotach, przymiotach i t. d., których nazwy w następstwie wyrosły z tych sprawozdań, czyli z wyrazów zdaniowych. Adam nadał wprawdzie nazwy zwierzętom, lecz ten Adam myślał już pojęciowo, był zatem już w tej pozycji psychologicznej, w której mógł ocenić ważność czynności, jaką miał wykonać. Lecz człowiek, którego teraz mamy przed sobą, t. j. *preadamita* nie byłby w stanie wynaleźć nazw jako takich, chyba, że był już w stanie rozmyślać nad nazwami, *jako* nad takimi t. j. obdarzony był myśleniem prawdziwie-pojęciowym, które, jakieśmy to niejednokrotnie zaznaczali, w początkach swoich zależnem jest od nazw. Nawet będąc w posiadaniu zupełnie rozwiniętej naszej zdolności myślenia pojęciowego nie możemy w towarzystwie ludzi, których języka nie znamy *nazwać* przedmiotów, nie orzekając czegoś o nich za pomocą giestów, lub innych jakichś znaków. Ztąd wynika, że jest rzeczą jasną, iż niema żadnego porównania pomiędzy ontogenezą i filogenezą. Wyjaśnia się też kwestya, dlaczego słowa-zdaniowe są ważniejsze dla człowieka pierwotnego, niż dla dziecka naszych czasów. Co więcej, kwestya pierwszeństwa słów-zdaniowych i wyrazów denotacyjnych, dopóty nie będzie jasno postawioną, dopóki nie zaznaczymy, czy ona się odnosi do osobnika, czy też do rasy. O ile rzecz tyczy się osobnika naszych czasów, nie możemy powiedzieć, czy wyrazy zdaniowe mają jakieś pierwszeństwo historyczne, czy psychologiczne nad wyrazami denotacyjnymi a nawet nad poznaniowo-konnotacyjnymi niższego rzędu uogólnienia. Co więcej, widzieliśmy, że główne zasady gramatyczne

dziecko nabywa jednocześnie ze słowami wszelkiego rodzaju i że nawet ptaki gadające są w stanie rozróżniać pomiędzy nazwami przedmiotów, przymiotów, stanów lub czynności.

Przychodzimy tym sposobem do wniosku, że dla tego rodzaju intelegencji, przebywających już w środowisku języka mówionego, zrozumienie a wobec zdolności naśladowniczego wyrażania się, nabywanie nazw denotacyjnych, jako znaków dla odpowiadających im przedmiotów, przymiotów, i t. d., jest aktem wcześniejszym niż używanie słów-zdaniowych; w braku zaś takiego środowiska, słowa-zdaniowe są wcześniejsze, niż nazwy denotacyjne. Pomimo to jednak, godnem jest uwagi, jaki niski stopień poznaniowej formacyi idej wymagany jest przy nauczaniu się nazw denotacyjnych, za pomocą kojarzenia specjalnego, gdyż fakt ten dowodzi, że gdy człowiek wzniósł się do tej fazy, w której poraz pierwszy zaczął tworzyć swoje słowa-zdaniowe, to już znajdował się on znacznie wyżej poziomu psychologicznego, potrzebnego przy nabywaniu wyrazów denotacyjnych, *jeżeli tylko takie wyrazy poprzednio już istniały*. Łatwo więc zrozumieć, jak podobne wyrazy przez ciągłe używanie słów-zdaniowych w związku ze szczególnymi przedmiotami, przymiotami, czynnościami, stanami i t. p., mogły być powołane do życia; wskutek takich kojarzeń specjalnych słowa-zdaniowe z łatwością mogły się wyrodzić w proste symbole głosowe. Trudno dziś ocenić, jak długo trwał ten proces przeradzania się wyrazów początkowo „pełnych“ w wyrazy „puste“. Ważną jednak rzeczą jest dla nas skonstatowanie faktu, że podczas całego tego peryodu, bezwzględnie na czas jego trwania, umysł człowieka pierwotnego stał już znacznie

wyżej nad poziomem psychologicznym, potrzebnym dla zrozumienia słów denotacyjnych ¹⁾).

Na tem kończymy pierwszy szereg rozumowań opartych na badaniach filologicznych irzucających światło niezależne na wyniki naszych poszukiwań psychologicznych. Przejdźmy teraz do drugiej klasy rozważań, które są jeszcze ważniejsze.

Z faktu, że słowa-zdaniowe odgrywają taką ważną niezmiernie rolę w początkach mowy i że uzdolnienie do tej roli zależnem jest od współdziałania giestów, któreim towarzyszyły i to do takiego stopnia, że w wypadkowem „zespoleniu dźwięku i giestu, dźwięk niezależnie od giestu niema znaczenia“, z tego dobrze ustalonego już faktu możemy otrzymać wyjaśnienie dodatkowe kwestyi, poprzednio już badanej, mianowicie, w jakich roz-

¹⁾ Rozumowania powyższe pozwalają nam usunąć sprzeczność pozorną zachodzącą pomiędzy prof. Whitneyem a innymi filologami odnośnie do słów zdaniowych. Idąc za Schleicherem, prof. Whitney twierdzi, że ze stanowiska historycznego wyraz wyprzedził zdanie. Ten pogląd oczywiście jest w sprzeczności z doktryną, według której historycznie zdanie wyprzedziło wyraz, która ta doktryna, jakieśmy to widzieli, w ogólności została przyjętą przez wszystkich filologów. Lecz ta ostatnia doktryna w istocie rzeczy sprowadza się do tego, iż wyrazy były najprzód zdaniami, nim stały się nazwami były one najprzód orzekającami, nim stały się mianującami. O ile ja rzecz tę rozumiem, zarzut Whitneya wyrósł na gruncie psychologicznym. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to na zasadzie wyżej przytoczonego, miał on zupełną słusność. Ze stanowiska swej inteligencyi, ludzie pierwotni byli zupełnie uzdolnieni do używania wyrazów jako nazw i dlatego psychologicznie się na tę rzecz zapatrując, możemy twierdzić, że tylko przypadkowe otoczenie socyalne było przeszkodą w dokonaniu tego.

miarach wyrazy pierwotne były „oderwanymi“ lub „konkretnymi“, „pojęciowymi“. Według prof. Maxa Müllera, językoznawstwo, opierając się na zasadach niezbitych, dowiodło, że myśl ludzka w prawdziwym znaczeniu tego słowa, to jest mowa ludzka nie szła od konkretnego do abstrakcyjnego, lecz naodwrot od abstrakcyjnego do konkretnego. Pierwiastki, t. j. te elementy, z których każdy język się składa, nigdy nie są konkretnymi, lecz zawsze abstrakcyjnymi. Przez wypowiadanie pojęć oderwanych o tem, lub owem, przez lokalizację ich to tu, to tam, jednym słowem przez zastosowanie kategorii *ousia*, czyli substancji do pierwiastku zakładamy podwaliny pierwsze języka naszego i myśli naszej¹⁾.

Otóż twierdzenie to zawiera w sobie sprzeczność na samym zaraz początku. Gdy się twierdzi, że pierwiastki językowe zawierają w sobie pojęcie abstrakcyjne, to się wyraża sprzeczność przez dodanie, „że pierwsze podwaliny języka zostały założone, stosując kategorię substancji do pierwiastków“. Gdyż, jeżeli pierwiastki te reprezentują już abstrakcyjne pojęcia, to one reprezentują też cechy wyróżniające „myślenia“ ludzkiego, którego zatem podwaliny musiały być założone we wcześniejszej epoce historii ludzkości. Lecz pomijając już tę sprzeczność wewnętrzną, spotykamy się jeszcze raz z dwoma błędami zasadniczymi, o których już wyżej wspomnieliśmy i które obniżają wartość filozoficzną pracy prof. Maxa Müllera. Pierwszy z tych błędów polega na przypuszczeniu, że pierwiastki języka aryjskiego są rzeczywiście, pierwotnymi elementami mowy ludz-

¹⁾ „Science of Thought“, str. 432, 433.

kiej. Drugi błąd tkwi w twierdzeniu, że na zasadzie tego przypuszczenia, językoznawstwo niezbicie dowiodło, iż myśl ludzka postępuje od absolutnego do konkretnego, albo innymi słowy, że ona podobnie jak Minerwa powołaną została do życia, uzbrojona już w dar boski rozumu pojęciowego. Otóż stawiając taką teorię, prof. Max Müller nie tylko zostaje w sprzeczności zupełnej ze wszystkimi swoimi braćmi w nauce, lecz, jakieśmy to już wykazali, często bardzo bywa w sprzeczności oczywistej z samym sobą ¹⁾. Co więcej, jakieśmy to już również widzieli, przypuszczenie jego co do pierwotnej natury pierwiastków aryjskich, na którym opiera się jego doktryna transcendentálna, jest nawskroś niedorzecznem i dla jej obalenia niepotrzebną nawet jest powszechna zgodność zdań filologów oficjalnych. Językoznawstwo weale *nie* dowiodło *niezbicie*, aby te pierwiastki gałęzi aryjskiej mowy rzeczywiście były pierwotnymi elementami mowy ludzkiej, lub wskaźnikami warunków pierwotnych myślenia ludzkiego, wykazało ono tylko, że pierwiastki te, będąc pozostałościami nieobliczenie bardziej pierwotnych i bez porównania wcześniejszych faz formacyi wyrazowej przedstawiają się nam jako dojrzałe już wytwory myślenia pojęciowego i że na podstawie samych tylko pierwiastków *językoznawstwo absolutnie nie może dostarczyć dowodu, potwierdzającego doktrynę prof. Maxa Müllera*, którą uczony ten wypowiada w sposób tak dobitny. W konkluzyi niema sposobu unikania wniosku tak ściśle sformułowanego przez Geigera i który obecnie został powszech-

¹⁾ Str. 281, 282, przypisek.

nie przyjętym jako pewnik. Pierwiastki te nie są pierwotnymi¹⁾ może być, że żaden z nich nie daje nam pojęcia ani o pierwotnym dźwięku członkowanym, ani też o ich znaczeniu pierwotnem²⁾.

Lecz chciałbym zwrócić uwagę na jeden jeszcze punkt. Widzieliśmy już, że źródło tych twierdzeń niefortunnych prof. Maxa Müllera zdaje się mieć początek w pewnych przesadach, którym uczony ten hołduje w dziedzinie psychologii. Jest on zdania, że niema wyrazów, któreby przez sam fakt istnienia swego niezawierały już w sobie pojęcia, nie uznaje on dostatecznie zjawiska, że może istnieć zdolność nadawania nazw jako znaków, bez zdolności pomyślenia nad temi znakami jako nad nazwami. Ztąd wynika, że rozróżnianie, które na podstawach psychologii porównawczej wydało mi się tak prostem i koniecznem, t. j. rozróżnianie pomiędzy nazwami jako prostemi znakami denotacyjnymi, zawdzięczającemi swój początek kojarzeniom przedpojęciowym a myśleniem denominacyjnem, będącem wynikiem myśli pojęciowej, zupełnie uszło uwagi tego badacza. Z tego też powodu, Max Müller nie był również w stanie rozróżnić idei „ogólnych“ od tych, które ja nazwałem „rodzajowymi“; czyli wyrażając się nieco odmiennie, uczony ten nie był w stanie rozróżnić idei, będącej ogólną dla tego że się wytworzyła z syntezy zamiarowej wyników analizy poprzedniej, od idei *uogólnionej*²⁾ przez to, że nie zo-

¹⁾ „Ursprung der Sprache“ str. 66.

²⁾ Jużem swrócił uwagę na to, że wyraz ten przedstawia ciękawą dwójśnaczość. W biologii bowiem oznacza ideję *dotychczas niezróżniczkowaną*, w psychologii zaś i wszędzie „uogólnienie“ znaczy *zaciłkowanie syntetyczne*. Ponieważ psychologowie nie mówią

stała jeszcze zróżniczkowaną działaniem analizy zamiarowej i reprezentującej przez to brak myśli pojęciowej. Gdy dziecko moje zaczęło mówić, to miało ono ideję uogólnioną o podobieństwie pomiędzy przedmiotami świecącymi wszelkiego rodzaju i dlatego nazywało wszystkie nazwą denotacyjną „gwiazda“. Astronom ma również ideję ogólną, odpowiadającą nazwie denotacyjnej „gwiazda“, lecz do tej nazwy doszedł on po długim ciągu rozwoju umysłowego, podczas którego analiza pojęciowa pracowała w najrozmaitszych kierunkach. Taka nazwa stanowi antytezę psychologiczną idei uogólnionej, która początek swój zawdzięcza prostym zmysłowym kojarzeniom myśli przedpojęciowej. Ideje zatem ogólne i rodzajowe stoją na prawdziwych antypodach ducha ludzkiego.

Wszystko to wyłożyliśmy już poprzednio. Wróciliśmy jednak do tego przedmiotu jeszcze raz, w celu wykazania, że światło filologii bijące ze słów-zdaniowych w wysokim stopniu przyczynia się do jego wyjaśnienia. Musimy dodać, że i prof. Max Müller na równi z innymi filologami przyznaje doktrynę o słowach zdaniowych.

Pomiędzy autorami, którzy zajmowali się sposobami pierwotnymi mówienia u różnych plemion dzikich, pierwsze miejsce najniezawodniej należy się Bleekowi. Otóż uczony ten przyszedł do wniosku, „ze słowa pierwotne wcale nie mają charakteru oderwanego, czyli ogólnego, lecz widocznie konkretny i indywidualny“. Chce on

o idejach „uogólnionych“, przeto użyłem tu tego wyrazu w znaczeniu biologicznem. Patrz także wyżej „Pierwiastki językowe“.

przez to powiedzieć, że ideje pierwotne były tem co ja nazwałem idejami rodzajowemi. Powiada on bowiem, że gdy wyraz został utworzony przy naśladowaniu np. głosu kukułki, to znaczenie tego wyrazu nie mogło się ograniczyć na samej nazwie ptaka, lecz musiało być uogólnione i rozprzestrzenione w taki sposób, „aby obejmowało całą sytuację, o ile ona doszła do świadomości mówiącego“. Znaczy to, że wyraz ten stał się nazwą rodzajową dla całego poznania ptaka, krzyku jego, lotu, i t. d.; zupełnie tak samo jak nasze własne dzieci używają wyrazu *beh* dla oznaczenia *owcy*, *beczenie*, *pędzenie owiec*, i t. d. Otóż ten proces włączenia pod jedną nazwą denotacyjną postrzeżeń dotychczas niezróżniczkowanych, odnoszących się do „całej sytuacji, o ile ona dochodzi do świadomości mówiącego“, jest wprost przeciwnym procesowi, w którym nazwa denotacyjna służy do połączenia za pomocą aktu „uogólniania“ pojęć, które poprzednio były dokładnie zróżniczkowane i dopiero później odkryliśmy w nich pewne analogie. Z tego to powodu, brak wszelkich części mowy w języku pierwotnym, pochodzi z rodzajowego porządku myślenia, połączenia przeciwnie części mowy w językach, w których te części spotykamy, są wynikiem myślenia uogólnionego. Bleek, mówiąc o stosunkowo niezróżniczkowanych warunkach języków południowo-afrykańskich, wyraża się jak następuje: „różnią się one zupełnie od zasady przeważającej w angielszczyźnie nowożytnej, w której wyrazy, nie ulegając żadnej zmianie formy, mogą jednak wyrazić różne części mowy. W języku bowiem angielskim części mowy, chociaż niezawsze różnią się dźwiękiem, wyróżniają się jednak dokładnie odnośnie do pojęcia. W językach zaś południowo-afrykańskich niema

jeszcze żadnej świadomości o różnicy takiej, gdyż ani forma, ani miejsce nie mogły jeszcze zwrócić jakiegokolwiek na nią uwagi, Formy bowiem nie zostały jeszcze powołane do życia, określone zaś miejsce (t. j. znaczenie, wyrażone za pomocą składni), jak np. w chińszczyźnie mogło się wytworzyć tylko w języku, mającym wysoko rozwiniętą budowę wewnętrzną¹⁾.

Bliżej się nad tym przedmiotem zastanawiając, widzimy, że inaczej być nie mogło. Nikt bowiem nie zechce twierdzić, że słowa-zdaniowe młodych dzieci reprezentują najwyższy produkt myśli pojęciowej i to na tej zasadzie, że one powszechnie reprezentują najwyższy stopień „ogólności“. Lecz jeżeli tego twierdzić nie możemy odnośnie do małych dzieci, to jakż mamy uzasadniony powód do takiego twierdzenia, gdy rzecz tyczy się stanu dzieciństwa rasy naszej? Innemi słowy, czyż mamy w ogóle prawo twierdzić, że mowa pierwotna musiała reprezentować „ogólne“ i „abstrakcyjne“ ideje a to jedynie dlatego, że im dalej cofamy się w historii języka, tem mniej uorganizowaną napotykamy budowę? Rzecz jasna, że ta sprzeczność jest wynikiem pomieszania idei rodzajowych z idejami ogólnemi, albo wskutek nierozróżniania pomiędzy uogólnieniami, zawdzięczającemi początek swój nieokreśloności pierwotnej a takimi, które nabyte zostały pracą, dążącą do coraz większej ściśłości. Ameba jest morfologicznie bardziej „uogólnioną,“ niż zwierzę kręgowę, lecz dla tej właśnie przyczyny, jest ona mniej rozwiniętą, jako organizm. Filologia słów-zdaniowych zatem cofa nas do takiego stanu myślenia,

¹⁾ „Ursprung der Sprache“ str. 69, 79.

w którym władze myślenia pojęciowego były jeszcze w tej fazie, jaką ja przedpojęciową nazwałem; faza ta w stosunkowo skróconym stanie może być obserwowaną u dzieci przed świtaniem samowiedzy.

Niema przyczyny racjonalnej powątpiewać o tem, że w ciągu tej fazy rozwoju umysłowego, słowa-zdaniowe powstawały w życiu rasy zupełnie tak samo, jak się one obecnie rozwijają w życiu osobnika; jedyna zachodząca tu różnica polega na tem, że one musiały być wynalezione, zamiast wyuczone. Różnica ta dała prawdopodobnie większe znaczenie zasadzie naśladownictwa ¹⁾ a z pewnością większe znaczenie współdziałaniu gościów, aniżeli obecnie ma to miejsce w analogicznym zkądinąd przypadku u małych dzieci. Lecz nie ulega wątpliwości, że zarówno w jednym jak i drugim przypadku słowa-zdaniowe zawdzięczają początek swój poznaniowym i przedpojęciowym spostrzeżeniom wszelkiego rodzaju przedmiotów, przymiotów, czynności, stanów, stosunków, lub też dwóch lub więcej „kategoryj“, tak jak one mogły się zespolic w niezróżniczkowanym jeszcze spostrzeżeniu człowieka pierwotnego.

Muszę się teraz jeszcze raz wrócić do wyników naszych badań, dotyczących się „składni mowy gościów“. Gdyż porównanie pokaże nam, że ten oryginalny i bezpośredni sposób komunikowania się ze sobą w głównych swoich rysach jest nadzwyczaj podobny do najwcześniejszych form mowy członkowanej, które nam odsłaniają zarówno badania filologiczne, jak i szczebiot dzie-

¹⁾ Błock niema wątpliwości co do tego.

ci ¹⁾). Jakieśmy widzieli, „język giestów niema gramatyki we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Ten sam znak służy do wyrażania „iść“, „idziesz“, „chód“, „poszedł“, „idący“ i t. d. Głuchoniemi niełatwo rozróżniają przymiotniki i rzeczowniki. Nasz system części mowy małe w istocie znajduje zastosowanie w „języku giestów“. Dla objaśnienia powtórzą jeden tylko z licznych przykładów wyżej przytoczonych, w celu wykazania sposobu pierwotnego zestawiania wyrazów, w celu orzeczenia w języku giestów. Zdanie „byłbym karany, jeśli bym był leniwy i niegrzeczny“ wyraża się tak: „ja leniwy, niegrzeczny, nie leniwy, niegrzeczny, ja karany, tak!“ Pojęcie „robić“ jest zbyt oderwanem dla głuchoniemego; dla wyrażenia, że krawiec *robi* suknię, albo że stolarz *robi* stół, głuchoniemy przedstawia obrazowo jak krawiec szyje suknię, jak stolarz bebluje stół. Takie zdanie jak „deszcz użyznia ziemię“ nie powstaje nigdy w jego umyśle. Obrazowe przedstawienie tego zdania będzie dla niego następujące: „deszcz pada, rośliny rosną“. Zwróciliśmy już uwagę na to, że brak rozróżnienia pomiędzy rzeczownikiem, przymiotnikiem a czasownikiem, która jest tak powszechnem w języku giestów, napotyka się też często w chińszczyźnie i niezupełnie jest obcym nawet językowi angielskiemu. *To butter bread* (nasmarować chleb masłem), *to cudgel a man* (obić kogo kijem, *cudgel*=kij, to *cudgel*=dosłownie: „*kijować*“), *to pepper a dish* (pieprzyć potrawę), *to oil machinery* (oleić maszynę); we wszystkich tych zdaniach jeden i ten sam wyraz oznacza przed-

¹⁾ Porównaj koniec rozdziału VII Cz. I, str. 189—193, gdzie dr Hale opowiada o dzieciach, które dla wynalezionej przez siebie języka przyjęły składnię mowy giestów.

miot i czynność i ten wyraz jest rzeczownikiem traktowanym jako czasownik. Takie wyrażenia są słowami obrazowymi, mimicznymi, zupełnie tak samo jak głuchoniemy ma jeden i ten sam znak dla „masła“ i dla czynności „smarowania masłem“. Tak samo ma się rzecz z rzeczownikami-przymiotnikami w *iron stone* (kamień żelazny), *feather grass* (trawa pierzasta), *chestnut horse* (dziki kasztan) i t. d.; w tych przypadkach proste zestawienie wyrazów sprawia, że jeden z nich staje się atrybutem dla drugiego, zupełnie tak samo jak to ma miejsce w języku giestów. Jakieśmy to już widzieli przy końcu rozdziału ostatniego, ten sposób konstrukcyi jest nie tylko powszechnym w języku chińskim, lecz także w wielu językach i narzeczach plemion dzikich. We wszystkich tych przypadkach różnica pomiędzy częściami mowy może tylko być wyrażoną za pomocą składni, składnia zaś ta jest składnią giestów.

Odsyłam czytelnika do tego, cośmy już wyżej mówili o składni giestów ¹⁾, zwracając szczególną uwagę na to, cośmy teraz powiedzieli, i także na następujące punkty: stały brak łącznika i często nieobecność czasownika (jak np. *jabłko — ojciec — ja* = mój ojciec dał mi jabłko); podobieństwo zdań z typem polisyntetycznym (jak np. *ja — Tomasz — bił — kij* zamiast: Tomasz bił mnie kijem); sposób, za pomocą którego składnia, albo porządek zestawiania służy do rozróżniania pomiędzy znaczeniami orzekającymi, przymiotnymi i dzierżawczymi, ważność mimiki w związku z giestem (gdy np. spojrzanie pytające zamienia twierdzenie w pytanie; sposoby

¹⁾ Rozdział VI, Część I, str. 155—163.

nadzwyczaj pouczające, za pomocą których wyrazy stosunkowe a szczególnie zaimki wyrażane bywają za pomocą giestów, niemniej pouczający sposób, za pomocą którego idea ogólna wyraża się przez wyliczenie idei szczególnych (jak np. „Czy masz zupę?“ „Czy masz rosół?“ i t. d. oznacza: „Cóżes jadł na obiedzie?“; nakoniec poznaniowy czyli zmysłowy początek wszystkich giestów, służących do wyrażania idei abstrakcyjnych dowolnego stopnia (jak np. uderzenie ręką dla wyrażenia „twardy“).

Tym sposobem możemy na każdym kroku odnaleźć podobieństwo zasadnicze pomiędzy stosunkowo nierozwiniętą jeszcze formą myślenia pojęciowego, które występuje w giestykulacji, i tem, które językoznawstwo odnalazło w mowie pierwotnej. Jest rzeczą pewną, że w obu razach mamy do czynienia z myśleniem pojęciowym; tworzenie idei jest ludzkim, chociaż porównawczo się wyrażając, możemy powiedzieć, że ono jest niedojrzałem. Należy jednak przedewszystkiem zanotować fakt podobieństwa ścisłego, zachodzącego pomiędzy formami budowy języka giestów i mowy pierwotnej. Nikt bowiem, jak mi się zdaje, nie może zaprzeczać charakteru idiograficznego (obrazowego) mowy gestów, przez co ona bardziej się zbliża do sposobów czysto poznaniowych komunikowania się ze sobą zwierząt niższych, aniżeli do zupełnie rozwiniętych form orzeczenia ludzkiego. Z tego to powodu wydaje mi się bardzo ważną okoliczność, że najwcześniejsze formy i pomniki języków mówionych, które posiadamy (pomimo, że te są bardzo dalekie od języków pierwotnych), tak bardzo się zbliżają do tego modelu, który i obecnie mamy przed oczyma w giestach idiograficznych naszych głuchoniemych.

Składnia tych języków, t. j. *porządek uszykowania*, wyrażający sposób ugrupowania umysłowego tak bardzo się zbliża do składni języka giestów, że odrazu możemy odkryć wspólne ich źródło psychologiczne. To podobieństwo budowy pomiędzy mową giestów i mową pierwotną ustną było przyczyną, że tyle miejsca poświęciłem pierwszej z nich i dla tego tylko nie zatrzymuję się dłużej nad tą analogią, że ona jest zbyt widoczną, aby wymagała jeszcze bliższych wyjaśnień. Jest jednak jeden punkt w tem podobieństwie, któremu poświęcić muszę kilka słów. Jeśli tkwi jakaś prawda w teorii ewolucyi odnośnie do rozwoju ducha ludzkiego, to z tego, cośmy w rozdziałach poprzednich powiedzieli, wynika bezspornie, że ton, giest i mimika poprzedziły mowę członkowaną jako środki wypowiedania myśli przedpojęciowej. Podobieństwo zatem budowy pomiędzy dotychczas istniejącymi językami giestów i najwcześniejszymi pomnikami mowy członkowanej zawdzięcza początek swój nie tylko podobieństwu warunków psychologicznych, lecz jeszcze ciągłości bezpośredniej pochodzenia. Pułkownik Mallery, mówiąc o początku prawdopodobnym języka mówionego, słusznie twierdzi: „ponieważ czynność była zatem rzeczą istotną i następujący po niej, albo jednocześnie z nią występujący ton był tylko przypadkowym, więc można się było spodziewać, że reprezentacya albo udawana reprodukcya tej czynności używaną była, do wyrażania idej wcześniej, niż dźwięk zespolony z tą czynnością mógł być od niej oddzielonym. Naśladownictwo wzrokowe giestów, które nieznacznie tylko ulepsz mogło zepsuciu sztucznemu, musiało zatem służyć jako klucz do onomatopei słuchowej. Nie można też zaprzeczać, że w czasach pierwot-

nych, gdy dźwięki wyrazów tylko co stworzonych były jeszcze w ścisłym związku z rzeczami i z idejami z nich wyciągniętymi, ludzie daleko częściej znosili się ze sobą za pomocą giestów, niż za pomocą mowy, gdyż oko rozróżnia daleko więcej cech charakterystycznych przedmiotów i bardziej wyraziście, niż zmysł słuchu¹⁾. Wszystkie wyniki ogólne dotychczas otrzymane odnośnie do genezy myślenia pojęciowego z myślenia przedpojęciowego, znajdują potwierdzenie i w innym jeszcze szeregu badań filologicznych. Na podstawie podanych wyżej przyczyn, zwolennik teorii rozwoju przypuszcza, że „pierwsze giesty językowe oznaczały takie czynności fizyczne i przymioty, które mogły być postrzeżone bezpośrednio za pomocą zmysłów, gdyż z jednej strony one tylko dały się bezpośrednio oznaczać, z drugiej zaś tylko z niemi człowiek nieucywilizowany mógł mieć do czynienia i okazywać do ich używania²⁾. Innemi słowy,

¹⁾ „Sign—Language i t. d.” str. 284. Na str. 352 ten sam autor podaje bardzo ciekawe porównanie pomiędzy mową giestów i mową dźwiękową napotykanemi u ludów północnej Ameryki i wykazuje identyczność składni w obu tych językach.

²⁾ Whitney, „Encycl. Brit.”, loc. cit. str. 770. Należy zanotować, że wartość psychologiczna tej zasady była jasno wypowiedzianą przez Locke'a. „Prowadzi to nas nieco bliżej do początku wszystkich naszych pojęć i wiadomości, jeśli uwzględnimy, że nasze wyrazy w wysokim stopniu zależne są od pospolitych idei zmysłowych i że nawet te wyrazy, które służą do oznaczania czynności i pojęć bardzo oddalonych od postrzeżeń zmysłowych wywodzą swój początek od pierwszych i od namacalnych idei zmysłowych zostały przeniesione na pojęcia oderwane i tym sposobem użyte zostały do oznaczania idei, wymykających się z pod spostrzeżenia zmysłowego”. Human Understanding. III, I, 5).

jeżeli, jakieśmy przypuścili, mowa ma początek swój w prostym znakowaniu denotacyjnym, które stopniowo przechodziło w konnotacyjne, to ostatnie zaś coraz bardziej stawało się orzekającym, to rzecz widoczna, że denotacje początkowe musiały się odnosić do przedmiotów (lub czynności, stanów i przymiotów), mających proste znaczenie poznaniowe, t. j. „do takich aktów fizycznych i przymiotów, które mogą być postrzeżone przez zmysły“. Nie mniej jest też oczywiste, że uogólnienie konnotacyjne takich nazw denotacyjnych przez długi bardzo okres czasu musiało się ograniczyć na poznaniu przedpojęciowem najbardziej widocznych analogij, t. j. takich analogij, które z konieczności musiały być dostępne prostym zmysłowym postrzeżeniom na zasadzie bezpośredniego kojarzenia. Otóż jeżeli rzeczy tak się mają, to czego mógł się ewolucjonista spodziewać po obecnie istniejących językach? Oczywiście, że w konstytucyi zasadniczej wszystkich języków powinien był znaleźć mniej lub więcej wyraźne ślady tego co nazwano „metaforą podstawową“; przez to rozumiemy uogólnienie umysłowe wyrazów, które początkowo miały tylko znaczenie zmysłowe. I to w istocie znajdujemy. „Cała historia języka aż do naszych czasów obfituje w przykłady sprowadzania wyrazów fizycznych do wyrażania pojęć niefizycznych i takichże stosunków; nie możemy napisać ani jednego wiersza bez przytoczenia przykładów tego rodzaju wzrostu języka. Fakt ten jest tak powszechnym, że nigdy nie możemy twierdzić, żeśmy przeczytali historję jakiegoś wyrazu o znaczeniu umysłowem lub moralnem, póki nie wysledziliśmy jego początku fizycznego¹⁾).

¹⁾ Whitney, „Encycl. Britan.“ str. 770. Patrz także Nader, „Notions de Linguistique“ str. 89. Garnett, „Essay“ str.

Otóż to jądro poznaniowe wszystkich naszych wyrazów pojęciowych dostarcza nam najlepszemu dowodu nietylko pierwszeństwa historycznego tego jądra, lecz i tego, co według wyrażenia prof. Maxa Müllera stanowi „dire necessity“ wzrostu wyrazów pojęciowych¹⁾. Inniemi słowy wszystkie fakty znane zdają się wskazywać, że konnotacya pojęciowa (denominacya) zawsze miała i mieć musiała jądro poznaniowe (denotacya), około którego się rozwinęła. Psychologiczne badania wykazały już nam pierwszeństwo psychologiczne poznania, teraz zaś poszukiwania filologiczne w sposób dotykalny stwierdzają rezultaty tych badań *odkrywając istnienie aktualne „poznania“* w każdym pojęciu.

89. Grimm, „Geschichte d. d. Sprache“ str. 56 i nast. Pott, „Metaphern. vom Leben itd.“ „Zeitschrift für Vergleich. Sprachfor.“ Rok II, zeszyt 2. Heyse, „System i t. d.“ str. 97. Farrar, „Origin of Language“ str. 130. „Chapters on Language“ str. 67, 133, 204—246. Przytacza on następujące wyciągi z dzieł Emersona i Carlyle'a. „Tak samo jak wapień stałego ładu składa się z nieskończonej wielkiej masy skorupki zwierzętek, tak samo język powstał z obrazów i przenośni, które przy obecnem ich użyciu oddawna już przestały przypominać nam swój początek poetyczny.“ (Essays on the Poets). „Mowa jest powłoką muskularną myśli. Powiadam, że wyobraźnia zużywa tę powłokę i czy tak nie jest? Przenośnie są jej materiałem. Badaj język. Czemuż z małym ohyba wyjątkiem elementów pierwotnych dźwięków naturalnych są wyrazy, jeżeli nie przenośniami, już to dotychczas uznane jako takie, już też zapomniane, już to dotychczas płynne i kwitujące, już też skrzeplę i wypłowiałe? Jeżeli te elementy pierwotne są szkieletem powłoki mięśniowej mowy, to przenośnie są mięśniami, tkankami i samą powłoką. Naprózno byś szukał stylu bez przenośni.“ („Sartor Resartus.“ Rozdział X).

¹⁾ „Science of Thought“ str. 329.

Nie wiem co moi przeciwnicy mogą przeciwstawić temu obszejnemu i ogólnemu faktowi. W żadnym jednak razie nie wystarczy twierdzić wraz z prof. Maxem Müllerem ¹⁾ lub Noirem ²⁾ i innymi, że wzrost myślenia pojęciowego w ten tylko sposób był możliwym, gdyż znaaczyłoby to przenosić wnioski otrzymane *a posteriori* na przyczyny *aprioryczne*. Im jednak wyraźniej występuje pierwszeństwo historyczne denotacyi (z rozumowań *apriorycznych*) jako konieczność *aprioryczna* dla następnego wytworzenia się denominacyi, tem pewniejszym staje się nasz dowód *aposterioryczny* na to, że taki a nie inny musiał być porządek niezmienny następstwa historycznego. Jeżeli zaś myślenie pojęciowe ma się różnić gatunkowo od poznaniowego, to skąd się bierze ta konieczność pierwszeństwa ostatniego? Dlaczego denotacya musi zawsze wyprzedzić denominację lub dlaczego konotacya poznaniowa wyprzedza orzeczenie poznaniowe, jeżeli nie dlatego, że jedna jest dalszym ciągiem drugiej?

I takim samym prawem mógłby botanik ustanowić różnicę specyficzną pomiędzy korzeniem a kwiatem tej samej rośliny, z jakim psycholog, opierając się na wynikach badań filologicznych, chciałby pomimo to ustanowić różnicę gatunkową pomiędzy denotacją poznaniową „elementów pierwiastkowych“ a zupełnie rozwiniętym kwiatem myślenia pojęciowego.

Proste objaśnienie daleko dobitniej wykaże nam siłę tego argumentu, niż jakiegokolwiek rozumowanie teo-

¹⁾ „Science of Language“ str. 123.

²⁾ „Logos“ str. 258 i nast.

retyczne. Lecz wyjaśnienie to zacząć od przykładu analogicznego. Następny, dobrze ustalony fakt przytaczam z prac Geigera...

„Człowiek, wcześniej niż mowę, miał narzędzia... Zastanawiając się nad wyrazem, oznaczającym czynność wykonywaną za pomocą narzędzia, ostatecznie się przekonujemy, że takim jakim jest obecnie jego znaczenie pierwiastkowo on nie miał, lecz że wyraz ten pierwotnie oznaczał czynność podobną do terażniejszej, lecz wykonywanej jedynie za pomocą narzędzi naturalnych. Fakt, że nazwa czynności narzędziowej pochodzi od czynności dawniejszej, podobnej do zwierzęcej, jest tak powszechnym, że nie mogę go sobie inaczej wytłumaczyć jak tylko przyjmując, że nazwa jest dawniejszą, niż czynność narzędziowa, którą obecnie oznacza, że faktycznie nazwa istniała już w okresie, w którym człowiek nie posługiwał się innymi narzędziami, oprócz swoich narządów naturalnych... Ślady najwcześniejszych wyobrażeń, zachowane dotychczas w mowie jasno wykazują, że człowiek znajdował się w stanie, w którym mógł się tylko posługiwać narzędziami naturalnymi, stanu zatem, w którym odnośnie do swoich zwyczajów mało się różnił od zwierząt; odnośnie zaś do przyjemności życia, a nawet odnośnie do zachowania samego życia zależnym był od trafu szczęśliwego“¹⁾).

Otóż o tem wyjaśnieniu specyjałem tej ogólnej zasady przenośni podstawowej, możnaby było powiedzieć, że jest bardzo ciekawą sama przez się; lecz oprócz tego daje ona nam dowód filologiczny na to, że narzę-

¹⁾ Geiger. Odczyt miany na kongresie archeologicznym i historycznym w Bonn, 1868.

dzia są późniejszego pochodzenia, niż nazwy je oznaczające, że ludzie niezawsze byli w posiadaniu narzędzi, że narzędzia wynajdywano stopniowo, że po ich wynalezieniu nadano im nazwy dawniej już w użyciu będące. Jeśli się wszyscy na to twierdzenie zgodzą, to mogę przystąpić do dalszego ciągu mojego wyjaśnienia. Sądząc według obszernej literatury wrogiej teorii rozwoju w zastosowaniu do człowieka, mniemam, że większość pisarzy znajduje się zarówno pod wrażeniem moralnych i religijnych wyglądów psychologii ludzkiej, jak i pod wpływem wyglądów umysłowych. Otóż, jakim już wspomniał w przedmowie, mam zamiar poświęcić tom oddzielny mojej pracy zbadaniu dokładnemu tych zdolności wyłącznie ludzkich. W tomie niniejszym wyłącznie jestem zajęty kwestyą początku tych zdolności myślenia pojęciowego, które według mojego poglądu, należy uważać jako poprzedzające i zarazem niezbędne do wytworzenia się zarówno sumienia, jak i religii. Pomimo to jednak, w celu uzupełnienia wyjaśnienia kwestyi, którą obecnie się zajmujemy, już teraz potrączę o to, o czem później obszerniej mówić będziemy, mianowicie potrączę o genezę sumienia. Celu mojego najskuteczniej dopnę, przytaczając inny ustęp z prac tego samego filologa, którego powaga naukowa jest powszechnie uznaną.

„Badając bliżej wyrazy, tych najdawniejszych świadków historycznych, znajdziemy, że wszystkie pojęcia moralne zawierają w sobie coś, co moralnie jest zupełnie obojętnem“. Znaczy to, że one wszystkie zawierają to, co ja nazwałem „jądrem poznaniowem“ i które wyraża prosty proces fizyczny, lub takiż warunek, które w następstwie za pomocą przenośni podstawow-

wej zostało przeniesionem na „pojęcie moralne“. Opuszczając przykłady zacytowane przez autora, czytamy dalej: „Lecz zkąd to pochodzi, że ani to co jest moralnie dobrem, ani też to co jest moralnie złem, niema oddzielnych nazw w języku? Zkąd to pochodzi, że nazwy te bierzemy z czego innego, które poprzednio już otrzymało swoją nazwę? Widocznie stąd, że język datuje od okresu, w którym znajomość dobrego i złego nie świeciła jeszcze w umyśle ludzkim“¹⁾.

Obecnie nie mam zamiaru zajmować się tym wnioskiem, muszę jednak zwrócić uwagę, że on staje się koniecznym, jeżeli przyjmiemy jako dowiedziony przypadek, dotyczący się nazw narzędzi, który jest zupełnie analogiczny z przypadkiem dotyczącym się nazw etycznych. Innymi słowy, jeżeli się zgodzimy na to, że dowody filologiczne są wystarczające do okazania, że nazwy są wcześniejsze od narzędzi, które one oznaczają; ta sama konsekwencya zniewała też nas do zeznania, że pojęcia zasadnicze moralności są późniejsze, niż nazwy, któremi je ochrzczono, i dzięki którym one w ogóle stały się pojęciami. Nazwy te, podobnie jak i nazwy narzędzi nie miały początkowo innego znaczenia, oprócz przedpojęciowego, gdyż służyły do oznaczania takich namacalnych stanów fizycznych lub czynności, które były bezpośrednio poznawalne za pomocą postrzeżeń zmysłowych bezpośrednich kojarzeń. Następnie, gdy zaczął świecić zmysł moralny i gdy na znaczenie utylitarne postępowania etycznego zaczęto zwracać uwagę, wtedy zaczęto zastosowywać zasadę „przeñośni podstawowej“ do

¹⁾ Odczyt miany w klubie kupieckim w Frankfurcie n. M 1869.

mianowania tych nabytych pojęć; prawdopodobnie miało to miejsce około tego czasu, gdy tę samą zasadę stosowano przy mianowaniu nowo wynalezionych narzędzi.

Otóż jest to jednak jeden tylko przykład z nieskończonej liczby tych, które tem łatwiej byłoby nam przytoczyć, że według Whitneya, „nie możemy napisać ani jednego wiersza bez przytoczenia przykładów tego rodzaju wzrostu językowego“. I cokolwiek (w tym stanie wstępnych badań naszych) można myśleć o stosowaniu ogólnej zasady do przypadku specjalnego sumienia, to wydaje mi się atoli jasnym, że ta wielka zasada „przenośni podstawowej“; odsłania nam fakt wzrostu intelektualnego od fazy, którą nazwałem przedpojęciową do fazy pojęciowej; co więcej, dowodzi ona, że taki wzrost był charakterystyką ogólną zdolności ludzkiej w tych czasach przedhistorycznych, o których pamięć została zachowaną w mowie ¹⁾.

¹⁾ Najciekawszą częścią przenośni podstawowej jest ta, w której ona na podstawie badań filologicznych okazuje się być w związku nie z jakimiś przedmiotami naturalnymi, lub przedmiotami i t. p., lecz z czynnościami i giestami pierwotnymi, wykonanymi przez ludzi w celu bliższego wyjaśnienia informacji, wyrażających ich uczucia i t. d. Ten bowiem rodzaj przenośni zasadniczej przenosi nas w bardzo bliską styczność z epoką, kiedy znaki słuchowe artykulacyi powstały ze znaków werokowych giestów i pantomin. Dla wyjaśnienia tego punktu naszego przedmiotu przytoczę jeden tylko ustęp, lecz czytelnik odrazu spostrzeże, z jaką łatwością można liczbę przykładów dowolnie powiększyć na zasadzie etymologii wyrazów, w powszechnem będących obecnie użyciu.

„Im dalej jakiś język się rozwinął z pierwiastków po-

Pozostaje nam jeszcze do rozważenia jeden dział badań filologicznych, które to badania jeszcze bardziej potwierdzają ogólne wyniki dotychczas otrzymane. Poprzednio zajmowaliśmy się tem, co ja nazwałem paleontologią myśli ludzkiej, która odkrywa nam rodzaj wykopalisk lingwistycznych skamieniałości człowieka przed-

czątkowych, które zostały uwite w formy niezdradzające żadnej przyczyny ich wyboru początkowego i im bardziej znikają znaczenia pierwotne wyrazów, tem mniej punktów zetknięcia ma taki język z giestami. Wyższe języki dlatego są ściślejsze, że świadomość o pochodzeniu większej części ich wyrazów została ztraconą, tak że stały się one liczmanami dla jakiegoś obranego znaczenia, z wyłączeniem wszelkich innych.

„Lecz nawet i w języku angielskim możemy odnaleźć ukryte giesty w wielu wyrazach. Klasa reprezentowana przez wyraz *supercilious* (*hardy*) jest oczywistą dla każdego czytelnika, (wyraz ten ma oczywisty związek z marszczeniem brwi. P. T.), lecz można też przytoczyć jeden lub dwa przykłady, które lubo nie tak rzucają się w oczy, są jednak daleko więcej spowinowacane z giestami indyan amerykańskich. *Imbecile* (nieodolny), wyraz używany zwykle do orzeczenia słabości wieku podeszłego pochodzi od wyrazów łacińskich *in* w znaczeniu *na* i *bacillus* kij, które odrazu przypominają nam mimikę cheyjską dla orzeczenia *człowieka starego* (jakieśmy to już wyżej wspomnieli). Tak też np. wyraz angielski *time* (czas) zdaje się być w ścisłym związku z wyrazem greckim *teino* (rozciągać), gdy chodzi o wyrażenie giestami *czas długi* w języku Kin chess; w tym bowiem celu giestykujący umieszcza palec gruby i wskazujący w takiej pozycji, jak gdyby pomiędzy temi palcami u każdej ręki znajdowała się nitka; obie ręce początkowo stykają się ze sobą, następnie powoli się rozsuwają, tak jak gdyby rozciągano kawałek gumy elastycznej.“ (Mallery, „Sign. Language“ i t. d. str. 350). Tenże sam autor, mówiąc o językach ludów dzikich, które on badał, powiada: „W językach plemion Północnej Ameryki, które nie stały się jeszcze tak dowolnemi, jak języki ludów ucywilizowanych,

historycznego. Lecz językoznawstwo w badaniach swoich nad formami ówczesnymi mowy nie ogranicza się na pozostałościach przypadkowych wieków minionych. Lecz, podobnie, jak anatomia porównawcza posiada jeszcze obfite materiały dotychczas istniejące, któremi się posługuje w swoich badaniach. Materiały te mają naturę organizmów żyjących i przedstawiają tak liczne stopnie rozwoju, że niższe członki szeregu zbliżają nas do tych form pierwotnych, które mogą tylko być badane w stanie wykopalisk.

W dalszej części pracy mojej będę się zajmował psychologią ludów dzikich i wtedy wykażę, że niezawsz zachodzi związek ścisły pomiędzy stopniami rozwoju umysłowego w ogólności i rozwojem języka w szcze-

swiązek pomiędzy ideją i wyrazem ją oznaczającym, jest mniej widocznym, niż nierozzerwany jeszcze związek pomiędzy ideją i gestem. Języki te pozostają jeszcze w ścisłej zależności od pojęć konturów, kształtu, miejsca, położenia i zarysów, na których zasadza się giestykulacja, przedstawiając jednocześnie podobieństwo odwołanie do obfitości kombinacji, które podziwiamy w pierwiastkach. Języki indyjskie składają się z szeregu wyrazów, które są mało różniczkowanymi częściami mowy i które następują po sobie w szyku takim, w jakim je wywołuje umysł mówiącego, bez żadnych absolutnych praw uszykowania, gdyż zdania tego języka nie są jeszcze w zupełności zcałkowane. Zdania wymagają części mowy i części mowy wtedy są tylko możliwe, gdy język doszedł już do tego stopnia rozwoju, przy którym zdania układane bywają logicznie. Wyrazy języka indyjskiego, będąc syntetycznymi, czyli niezróżniczkowanymi częściami mowy, są pod tym względem analogicznymi z elementami giestykulacyjnymi, wchodzącymi w skład mowy mimicznej. Badania nad giestami są zatem ważne, w celu porównywania ich z wyrazami mowy ustnej. Jeden język rzuca światło na drugi i jeden z nich nie może być z korzyścią badany bez znajomości drugiego.

gólności. Pomimo to jednak zachodzi związek ogólny i dlatego to najniższe typy budowy językowej napotykamy u ludów dzikich najniżej stojących ¹⁾).

W tem miejscu o tyle tylko zajmę się rozbiorem tych języków, o ile one rzucają światło na jakość formacyi idei, które wyrażają, albo też o ile one są w związku z zasadami ogólnymi, któremi się poprzednio zajmowaliśmy. Przy takiem nawet ograniczeniu, postaram się rzecz moją wyłożyć jak najkrócej.

Rzecz moją zacznę, przytaczając ustępy z autorów używających wielkiej powagi i którzy się naszym

¹⁾ Są pisarze jak Du Ponceau, Charlevoix, James, Appleyard, Threlkeld, Caldwell i inni, którzy starali się dowieść, że języki ludów dzikich, najniżej nawet stojących, „są wysoce systematycznymi i prawdziwie filozoficznymi”. Lecz opinia ta zasadza się na zupełnie fałszywej ocenie sprawdzianu systemu i filozofii w języku. Znanymi sprawdzianami są dla nich obfitość synonimów, rozmaitość i komplikacya form, i t. d., które jednak w rzeczywistości świadczą o niższym stopniu rozwoju. Fałszywość takiego poglądu jest obecnie uznana przez wszystkich filologów. Nawet Farrar, który pierwotnie popadł w ten sam błąd („Origin of Language” str. 28), pisze w późniejszej swej pracy: „Dalsze poszukiwania w zupełności obaliły ten pogląd. Gdyż to pozorne bogactwo synonimów i form gramatycznych polega głównie na ubóstwie zdolności abstrahowania. To bogactwo nie tylko nie jest użytecznem, lecz przeciwnie stanowi ważną przeszkodę, jeżeli język ma służyć dla celów literackich. Nienormalny charakter tych języków dowodzi jedynie, że one są dziełem umysłów niezdolnych do analizy subtelnej, które trzymają się jednego tylko kierunku cząstkowej linii rozwoju... Jeżeli język czegokolwiek dowodzi, to przedewszystkiem wykazuje, że ludy dzikie musiały ciągle pozostawać w warunkach dzikich” (Farrar „Chapters on Language” str. 53, 54; powołuje się on też na licznych autorów).

przedmiotem zajmowali z punktu widzenia lingwistycznego.

„Gdy chodzi o używanie nazwy, jako znaku dla takiego pojęcia jak np. *słońce*, wtedy potrzebną jest bardzo mała tylko zdolność abstrakcyjna, zdolność, którą nawet i idiota posiada ¹⁾. Wyraz *jasność*, jako oznaczający własność wspólną wszystkim przedmiotom świecącym, wymaga już większego wysiłku umysłowego a jeszcze większego wysiłku wymaga wyraz *świecić*, służący do wyrażania stanu, lub czynności. Jakkolwiek powszechnymi mogą się nam wydawać podobne wysiłki, to jednak mamy liczne na to dowody, że one nie były takimi dla pierwszych twórców języka, gdyż i dziś nawet nie są one tak zwykłymi dla wielu plemion ludzkich, pomimo, że plemiona te istnieją już od wielu tysięcy lat. Przytoczono już wiele przykładów, stwierdzających ten fakt ²⁾. Tak np. mieszkańcy wysp Towaryskich mają oddzielne wyrazy dla ogona psa, ogona ptaka, ogona owcy, lecz brak im nazwy dla ogona w ogólności ³⁾. Mohikanie mają wyrazy dla oznaczenia różnego rodzaju krajania, lecz brak im wyrazu, oznaczającego czasownik „krajać“; mają też formy oddzielne oznaczające „kocham go“, „kocham cię“, i t. d. lecz nie mają wyrazu dla czaso-

¹⁾ Wyraz *pojęcie* w tym przypadku jest równoznaczny z tem, co ja „przedpojęciem“ nazwałem. Gdy moja córka wypowiedziała swój pierwszy wyraz denotacyjny „gwiazda“, to w istocie nadała nazwę, lecz była to nazwa posnaniowa a nie pojęciowa.

²⁾ FARRAR. „*Chapters on Language*“ str. 198, 199.

³⁾ „*Mithridates*“ III, 326, 397. Patrz także Pott. „*Etym. Forsch.*“ II, 167 i Heyse „*System*“. 132.

wnika „kochać“; czoktanie znowu mają nazwy dla różnych odmian dębu, lecz nie mają wyrazu dla gatunku „dąb“¹⁾). Australczycy nie mają wyrazów dla orzeczenia drzewa, ptaka, ryby, i t. d.²⁾ a eskimosi, chociaż mają czasowniki wyrażające *łowić foki*, *łowić wieloryby*, i t. d., to jednak nie mają czasownika dla czynności *łowić ryby*. Du Ponceau powiada: Języki te „bardzo rzadko uciekają się do uogólnień“, wykazuje on też, że nie posiadają nawet czasowników, wyrażających „ja chcę“, lub „życzę sobie“, chociaż posiadają oddzielne formy czasownikowe dla wyrażania: „chcę jeść mięso“, „chcę jeść zupę“, nie mają też rzeczownika oznaczającego „uderzenie“ w ogóle, chociaż mają wiele wyrazów dla oznaczenia uderzenia różnemi narzędziami³⁾. Podobnie i Crawford twierdzi, „że język malajski jest bardzo ubogim w wyrazy oderwane i zwykły bieg myśli narodu, posługującego się tym językiem, nie wymaga częstego używania tej małej nawet liczby wyrazów, jaką posiada. W parze z tem ubóstwem wyrazów abstrakcyjnych idzie nadmiar wyrazów konkretnych“. Autor ten podaje wiele przykładów tego samego rodzaju co i te, któreśmy poprzednio przytoczyli z innych języków⁴⁾.

Opowiadają też, że gwara zulusów obfituje w rzeczowniki, oznaczające różne przedmioty jednego rodzaju, stosownie do ich zabarwienia, braku jakichś członków, lub innych jakichś szczegółów, jak np. „krowa bia-

¹⁾ Latham. „Races of Man“ str. 376

²⁾ Quatrefages, „Rev. des Deux Mondes“. Grudzień 15, 1860, Maury, „La Terre et l'Homme“ str. 433.

³⁾ „Malay Grammar“ I, str. 68 i następ.

⁴⁾ „Journ. Amer. Orient. Soc.“ I nr. 4, str. 402.

ła“, „krowa czerwona“¹⁾, szeszuwanie znowu mają aż dziesięć odmiennych wyrazów oznaczających „bydło rogate“²⁾. Czyrokezi mają aż trzynaście różnych wyrazów dla oznaczenia różnego rodzaju mycia, lecz nie mają ani jednego dla oznaczenia samego aktu mycia³⁾. Miligan powiada, że tasmańscy nie mają wyrazów, wyrażających idei abstrakcyjnych; dla każdej odmiany drzewa gumowego i innych mają oddzielne nazwy, lecz nie mają nazwy dla idei „drzewo“; nie mogą oni też wyrażać przymiotów abstrakcyjnych jak twardy, miękki, ciepły, zimny, krótki, okrągły“⁴⁾.

Nakoniec ażeby dać przykład innego rodzaju, dr. Latham konstatuje, „że kurd z plemienia Zara, który udzielił d-wi Sandwith spisu słów języka kurdyjskiego, nie był w stanie zrozumieć wyrazów, oznaczających rękę, lub ojca, gdy wyrazy te nie odnosiły się do niego samego lub innych, oznaczonych osób; pojęcia jego były tak przeważnie konkretnymi w przeciwstawieniu do abstrakcyjnych, że stale łączył on zaimek z rzeczownikiem, gdy chciał oznaczyć część ciała ludzkiego, lub stopień pokrewieństwa, jak np. *sere-min, moja-głowa, pie min, mój ojciec*.“

Prof. Sayce, przytoczywszy niektóre z wyżej podanych faktów, powiada: „Możemy być pewni, że człowiek pierwotny nie starał się wyrażać „idej pierwszorzędnej wrzności“, lecz te przedmioty indywidualne, które pod-

1) Casalis, „Grammar“ str. 7.

2) Pickering, „Indian Languages“, str. 26.

3) „Vocabulary of the Dialects of some of the Aboriginal Tribes of Tasmania“, str. 34.

4) „Introduction“ i t. d. Tom II, str. 5.

padały pod jego zmysły. Po tem wszyskiem, nie uciekając się do nowych przykładów, z pewnością zgodzimy się na ogólne jego twierdzenie, „że na całym świecie, gdziekolwiek napotykamy plemię dzikie, lub osobnika nietkniętego jeszcze ataczającą go cywilizacją, wszędzie spotykamy się z tą niezdolnością pierwotną oddzielania tego, co jest szczegółowem od tego, co jest ogólnem, za pomocą notowania wyrazu indywidualnego i oderwania go od idej, zwykle z nim połączonych“¹⁾. Albo posługując się moją frazeologią, możemy powiedzieć, że u wszystkich dotychczas jeszcze żyjących ras pierwotnych napotykamy niezdolność wytwarzania pojęcia z pewnej liczby poznań, chociażby te ostatnie były jak najbliżej ze sobą spowinowaczone i za pomocą różnorodnych znaków denotacyjnych mianowane. Pomimo licznych, już utworzonych wyrazów do orzeczenia różnych gatunków drzew, tasmańczycy nie mają wyrazu oznaczającego po prostu „drzewo“. Naturalnie, że musieli oni mieć *poznanie* drzewa, albo obraz rodzajowy, utworzony z niezliczonej liczby postrzeżeń szczegółowych, obraz tak utrwalony, że tasmańczyk, widząc np. drzewo rosnące korzeniami zwróconemi ku górze, byłby mocno faktem tym zdziwionym (choćby nawet drzewo to należało do zupełnie nowego gatunku). Lecz zupełnie w ten sam sposób i pies będzie mocno zdziwionym, widząc człowieka chodzącego na czworakach; na taki widok pies zacznie szczekać, gdyż widok taki będzie w zupełnej sprzeczności z obrazem rodzajowym tego, co on automatycznie wyciągnął z nieskończonej liczby spostrze-

¹⁾ Tamże. Tom I, str. 379.

zeń, odnoszących się do ludzi, chodzących na nogach tylko. Lecz wobec braku nazwy dla drzewa w ogóle, niema żadnej na to wskazówki, aby człowiek dziki miał pojęcie, odpowiadające pojęciu „drzewo“, tak że on znajduje się w tem samym położeniu co i pies, który niema pojęcia odpowiadającego pojęciu „człowiek“. I w rzeczy samej, jeżeli przeciwnicy moi nie chcą porzucić gruntu nominalizmu, na którym przecież opiera się cała ich opozycja, to muszą przyznać, że wobec braku jakiegokolwiek *nazwy dla drzewa, nie może być i pojęcia drzewa.*

Wszystko to potwierdza zdanie Farrara, odnośnie do tak nazwanego przez tegoż autora *ubóstwa beznadsziejnego zdolności abstrahowania* ludów dzikich. Różne ich dyalekty razem wzięte świadczą, że myśl ludzka nie postępuje od abstrakcyj do konkretów, lecz przeciwnie, że zarówno w rasie, jak i w osobniku, formacya poznaniowa idej wyprzedza pojęciową, że denotacya idzie przed denominacją, tak samo jak w jeszcze wcześniejszej fazie rozwoju, giestykulacya poprzedziła denotację. Jeśli rzecz tak się ma z nazwami, to niepowinniśmy się dziwić, jakieśmy to już poprzednio zaznaczyli, że ludy dzikie na niskim stopniu rozwoju stojące, są tak ubogie w formy wypowiedzania swoich myśli.

Tym sposobem paleontologia ludzka zachowana w mowie, niezaprzeczenie wykazuje, że początek i postęp formacyi idej w rasie, były te same co i dziś jeszcze napotykaemy w osobniku. Wszystkie fazy formacyi idej, któreśmy poznali jako cechujące psychologię dziecka okazały się też charakterystycznymi i dla psychogenezy rodu ludzkiego.

Z początku była faza indykacyjna. Dowód na to

mamy dwojaki. Przedewszystkiem wszyscy badacze językowi zgadzają się obecnie na następujące zdanie Geigera: „Lecz to co najwięcej za tem przemawia jest fakt, że im dalej cofamy się wstecz, tem język maleje i to w taki sposób, że nie możemy wstrzymać się od wniosku, że musiał kiedyś być czas, kiedy język wcale nie istniał“ ¹⁾. Z drugiej znów strony, jeżeli zechcemy nadciąć drzewo językowe u pnia, w tem miejscu gdzie z niego wyrastają pierwiastki zaimkowe sanskrytu, to jakiego będzie rodzaju sok idejo-twórczy, który z niego wypłynie? Jest on, jakieśmy to już widzieli, tak ściśle pomieszany z giestami i mimiką, że nawet prof. Max Müller przyznaje, „że mamy przed sobą pozostałości najwcześniejszej prawie mimicznej fazy językowej, kiedy mowa niemal nie była tem, co my dziś rozumiemy przez mowę, mianowicie *logos*, zbieraniem, gdyż była raczej wskazaniem“ ²⁾.

Powtóre, mamy dowody oczywiste istnienia wyrazów zdaniowych, jako też i tego co ja fazą denotacyjną nazwałem, t. j. takiej fazy, kiedy człowiek był w stanie mianowania prostych poznań czynności tylko, albo też, jak śmiało przyjąć możemy, zarówno przedmiotów jak i przymiotów i to w sposób dowolny; albo też, jak to zdaje się być zupełnie prawie pewnem, na drodze naśladowniczej przeważnie. Oba jednak te punkta podrzędne, będące jeszcze bardziej wątpliwymi, wskutek walki o byt pomiędzy wyrazami, wyunik której okazał się przychylniejszym dla wyrazów wyrażających czynność, niż dla wyrazów będących pozostałościami ono-

¹⁾ Odczyt miany w Frankfurcie, 1869 r.

²⁾ „Science of Thought“, str. 245.

matopei, mają dla nas stosunkowo bardzo małe tylko znaczenie. Ważnym dla nas jest fakt dobitnie poświadczony przez językoznawstwo, że w niższych warstwach napotykamy wykopaliska najniższego stopnia rozwoju; znane „121 pojęć“ po największej części zdają się być denotacjami poznać prostych.

Po trzecie, w warstwach wyższych pokładów językowych napotykamy dowody przekonujące, że owe wyrazy denotacyjne uległy uogólnieniu konnotacyjnemu. Takie uogólnienie było koniecznem, aby wyrazy te ostały się jako pierwiastki; z tego to powodu, gdy chodzi o te najniższe warstwy trudno orzec, czy wyraz pozornie denotacyjny nie przechodził przez wcześniejsze fazy konnotacyjnego uogólnienia. Jeśli tak się rzecz ma, to łatwo pojmujemy, dlaczego niektóre wyrazy utraciły ślad wszelkiego naśladowniczego znaczenia, które początkowo miały. Lecz jakkolwiekby było, nie ulega wątpliwości, że mamy cały szereg nieskończony dowodów, wykazujących późniejszy nieprzerwany wzrost uogólnienia konnotacyjnego, w ciągu peryodu rozwoju językowego. Nakoniec, co się tyczy fazy orzekającej, widzieliśmy, że filologia wykazuje, iż zarówno dla rasy jak i dla dziecka miał miejsce ten sam porządek i według tej samej metody. U dziecka dorastającego, jakieśmy to już widzieli, orzeczenie przedpojęciowe jest współczesnem, czyli znajduje się na tym samym poziomie psychologicznym, co i uogólnienie konnotacyjne wyrazów denotacyjnych. Jakoż, akt konnotacji jest sam przez się aktem orzeczenia, mianowicie aktem orzeczenia pojęciowego (denominacji), jeśli proces konnotacji odbywa się w sferze pojęciowej; jest zaś orzeczeniem przedpojęciowem, jeśli konnotacja ma miejsce w sferze przedpojęciowej. W psy-

chogenezie dziecka znowu widzieliśmy jak ważną rolę w rozwoju orzeczenia przedpojęciowego odgrywa zestawienie proste wyrazów konnotacyjnych—które to zestawienie stało się nieuniknionem, wskutek praw kojarzenia. Jeśli A jest nazwą konnotacyjną dla A , B zaś nazwą konnotacyjną dla B i jeżeli małe dziecko widzi jednoczesne ukazanie się A i B , to relacja $A B$ staje się nieuniknioną przez „logikę wypadków“ i relacja taka jest zdaniem przedpojęciowym. Otóż filologia pod temi obydwojma względami dostarcza nam mnóstwa porównań. Cytaty, które przytoczyłem, dowodzą, „że każdy wyraz musiał początkowo być zdaniem“, albo według mojej terminologii, każdy wyraz musiał być zdaniem przedpojęciowym, zupełnie tego samego gatunku, co i te, których używa małe dziecko. Jeżeliby zaś chciano nam zarzucić, że dziecko małe pozbawione jest samoświadomości, człowiek zaś pierwotny miał samowiedzę, to przez takie przepuszczenie odrazuby usunięto całą kwestyę, którą teraz się zajmujemy i to wbrew wszelkiego prawdopodobieństwa i bez wszelkiej analogii, na którą można się powoływać. Jeżeli prawdą jest, i ktoby śmiał o tem wątpić? „że każdy język tem więcej maleje, im dalej wstecz się cofamy w jego historii i to tak dalece, że koniecznym niemal staje się wniosek, iż musiała być epoka, kiedy język wcale nie istniał“, to kto chciałby twierdzić, że ta istota do człowieka podobna, która nie była w stanie za pomocą mowy porozumiewać się ze swoimi towarzyszami obdarzoną była samowiedzą? Jeżeli jednak ośmielono się wypowiedzieć takie twierdzenie niedorzeczne, to ono okazałoby się fatalnem dla argumentów moich przeciwników; twierdzenie bowiem takie z konieczności prowadziłoby do wniosku, że albo pojęcia są mo-

żliwe bez słów, albo też, że samowiedza jest możliwą bez pojęć. Filologia w dziwnie zgodny i dokładny sposób wykazała początek i rozwój w czasie przedewszystkiem porozumiewania się ze sobą przedpojęciowego i następnie samoświadomości, stanowiącej podstawę orzeczenia pojęciowego. Nic więc dziwnego, że według nawnego nieco wyrażenia się prof. Maxa Müllera, można powiedzieć, „że pierwszy krok w kierunku formowania nazw i pojęć jest bardzo niedokładnym“. Tak rzeczywiście jest. „Nazwać czynność dźwigania ciężarów za pomocą pierwiastku, utworzonego z dźwięków, towarzyszących dźwiganiu wielkich ciężarów—jest aktem daleko wcześniejszym, niż akt ustalenia przymiotów za pomocą nazwy, pojęciowo nadanej“. Nominacya tego rodzaju jest w istocie natury tak prostej, że na prawdę nie wiem, *czem* się ona psychologicznie różni od tego, co ja nazwałem denotacyą małego dziecka, albo nawet ptaka gadającego.

Doprowadziwszy rzecz do tego punktu na zasadzie wniosków, wyprowadzonych z badań filologicznych, mogę zakończyć dociekanie moje, wskazując główne punkty, odnośnie do których zachodzi różnica zdań pomiędzy mną a sławnym filologiem wyżej wymienionym a nawet pomiędzy mną a wszystkimi moimi przeciwnikami psychologicznymi. Krótko się wyrażając, widzimy, że cała kwestya polega na tem, iż przeciwnicy moi wypowiedzieli niczem nieuzasadnione przypuszczenie, iż myśl pojęciowa jest przedwstępnym warunkiem *sine qua non* dla każdego aktu nominacyi a tem bardziej dla każdego aktu orzeczenia. Takim jest przypuszczenie zasadnicze, które jawnie lub skrycie wypowiedziane, służy jako podwalina dla całego gmachu argumentów przeci-

wników moich. Otóż zdaje mi się, że dowiodłem, iż takie przypuszczenie nie tylko niewytrzymuje krytyki ze strony teoretycznej, lecz jest jeszcze zupełnie fałszywem ze strony faktycznej. Należy rozróżnić pomiędzy nazwami. Nie każda nadana nazwa świadczy o istnieniu myślenia pojęciowego u osoby, która nazwę tę nadała. Wykazałem też, że w przypadku ptaka gadającego, dziecka małego i człowieka pierwotnego (na ile on zostawił ślady jakiegokolwiek swojej psychologii w budowie języka), fazy denominacji wyprzedziły fazy indykacyj, denotacyj i konotacyjno-poznaniowej. Są to kamienie stopowe psychologiczne, przeprowadzone wskroś „Rubikonu ducha“, który, dla wielu badaczy niewiedzących nic o tych kamieniach, zdawał się być nieprzebytym. Pojęcie (a tem bardziej zdanie) nie jest taką strukturą myśli, która objawiła się nam odrazu bez żadnej historii rozwoju. Chociaż przeciwnicy moi jednomyślnie twierdzą, „że najprostszy element myśli“ mógł nie mieć takiej historii, to jednak przypuszczenie to, jakim tego dowiodł, pozostaje w zupełnej sprzeczności z faktami obserwowanymi. Jeśliby rzecz się miała inaczej, jeśliby pojęcie, jeśli się tak wyrażę, rzeczywiście nie miało ani ojca, ani matki, ani początku, ani końca, to musiałoby ono być czemś, co niema równego sobie wśród innych zdolności umysłowych. Lecz dostatecznie już wykazaliśmy, że niema wyjątku z tego powszechnego prawa jednostajności rozwoju. Fazy rozwoju, które stopniowo doprowadziły nas do myśli pojęciowej, mogą być wykryte z tą samą dokładnością, z jaką wysledzono stopnie rozwoju, prowadzące do każdego innego wytworu, czy to życia, czy też ducha.

Na tem musimy zakończyć krótkie i niedokładne sprawozdanie ze „świadcstwa filologii“. Musimy jednak przyznać, że pomimo tej krótkości i niedokładności, świadectwo to nie mogło wypaść bardziej jednostajnem jako dowód, ani też bardziej różnostronnem odnośnie do faktów, ani nakoniec bardziej stanowczem i przekonywającym. Potwierdza ono w zupełności każdy szczegół naszej analizy psychologicznej. Ukazało się ono jako istota żyjąca, która wyrazami języka bezpośrednio i szczegółowo opowiada nam cały przebieg procesu, którego fazy składowe zkaąd inąd już poznaliśmy. Mówiło ono nam o epoce, w której ród ludzki był jeszcze niemym i z tego powodu członkowie jego musieli się porozumiewać ze sobą za pomocą giestów i miziki. Opisało ono nam pierwsze dźwięki członkowane w formie wyrazów-zdaniowych, które bez towarzyszących im giestów nie miałyby żadnego znaczenia. Wykazało ono, w jaki sposób nastąpiło zróżniczkowanie tej formy protoplazmowej języka na różne „części mowy“ i udowodniło, że te konstrukcyje gramatyczne, pierwotnie były potomkami znaków giestykulacyjnych. Bardziej szczegółowe badania filologiczne wykazały, że w pierwszych fazach wysłowienia członkowanego, elementy zaimkowe a nawet wyrazy orzekające używawane były w sposób nieosobisty, właściwy tylko samowiedzy nierozwiniętej, gdyż człowiek pierwotny podobnie jak i dziecko małe, mówiąc o sobie, używał terminologii przedmiotowej (t. j. przemawiał w osobie trzeciej). Nauczyło ono nas odszukiwać w każdym wyrazie pojęciowym powłokę przedpojęciową, tak że wraz z uczonym i badaczem głębokim Garnettem, możemy powiedzieć „*nihil in oratione quod non prius in sensu* stanowi

pewnik nieomylny“¹⁾. Językoznawstwo opisało nam w drobiazgowy sposób cały proces rozwoju postępowego wystąpienia członkowanego, kroczącego w kilku rozchodzących się kierunkach ewolucyi, dzięki której wszystkie ludy zamieszkujące ziemię w większym lub mniejszym stopniu obdarzone są przymiotami boskimi rozumu i mowy. Słusznie powiada Farrar, „śmieszną prawie wydaje się nieproporcjonalność nikłego początku do ogromu otrzymanych rezultatów“²⁾. Lecz tu jak wszędzie metoda rozwoju rzeka nie łącząca rzeczy wzniosła z najbardziej nikłymi, i jeżeli zechcemy chełpić się z tego, że my wyłącznie jesteśmy w posiadaniu „logosu“, to nie zaszkodzi przypomnieć sobie początku tej naszej przewagi. „So hat auch keine Sprache ein abstractum, zu dem sie nicht durch Ton und Gefühl gelangt wäre“³⁾. (Żaden język nie posiada abstrakcyi, do której nie doszedł za pomocą tonu lub uczucia). Dla mnie jest wprost niepojętem, w jaki sposób możnaby było przytoczyć bardziej przekonujący dowód o rozwoju umysłu, niż ten, który nam dostarcza owa sieć osnów i wątków tysięcy dyalektów rozproszonych po całej powierzchni globu naszego. Nie możemy mówić żadnym językiem, nie wyjaśniając początku przedpojęciowego mowy naszej. Nie możemy rozprawiać „o początku zdolności ludzkich“ nie wyrażając samą mową używaną w tej rozprawie, jaki był początek tej zdolności. Przeciwnicy moi apelowali do języka i język ostatecznie ich potępił.

¹⁾ Essays, str. 89.

²⁾ „Chapters on Language“, str. 133.

³⁾ Herder, „Abhandlung“, str. 122

ROZDZIAŁ XVI.

Przejście w rasie.

W tem miejscu możnaby było spodziewać się pewnego wyjaśnienia odnośnie do przejścia prawdopodobnego od zwierzęcia do istoty ludzkiej. Po tak dokładnem rozważaniu psychologii i filologii formacyi idej, здаwałoby się, że będziemy teraz w możności wskazać, jakie były prawdopodobnie kamienie stopowe, po jakich jakiś gatunek inteligentny małp przekroczył „Rubikon ducha“. Nie uczynię jednak tego a to dla następujących dwóch przyczyn.

Przedewszystkiem, każde usiłowanie w tym kierunku, chociażby nawet dało wyniki zadawalniające, jest zupełnie zbytecznem. Jedyny zarzut, jaki mi stawiano, wyrósł na gruncie psychologicznym. Zarzut ten zwyciężko odparłem i to na własnym jego gruncie. Jeżeli usiłowania moje zostało uwieńczone pomyślnym skutkiem, to nie już więcej nie zostaje mi do powiedzenia. Jeżeli zaś argumenty moje okazały się bezskutecznemi, to sprawy nie poprawię, jeżeli od faktów, tyjących się ducha i które mamy przed sobą, przeniesiemy się do możliwości hypotetycznych, odnośnie do dziedziny ducha w epoce odległej czasów przedhistorycznych.

Z drugiej znów strony, wszystkie uwagi nad tym

przedmiotem z konieczności muszą być natury hypotetycznej, lub takiej, której sprawdzić nie można. Z takim samem prawem mógłby historyk zajmować się komponowaniem opowiadania hypotetycznego wypadków, które, jak wiemy, miały miejsce w czasach przedhistorycznych. Dowody jego na to, że takie a takie wypadki rzeczywiście miały miejsce, mogą być bardzo przekonywające, pomimo to jednak z konieczności będzie on w zupełnej nieświadomości, odnośnie do warunków ścisłych, które wywołały te wypadki, odnośnie do czasu ich trwania i sposobu ich przebiegu. W takich razach często się zdarza, że im większą historyk ma pewność, iż jakiś wypadek rzeczywiście miał miejsce, tem więcej przewiduje on przypadków, w których wypadek ten mógł mieć miejsce. Jedynie dlatego aby wykazać, że tak się rzecz miała i z przypadkiem, który teraz rozpatrujemy, rozdział bieżący poświęcę rozważaniu trzech jednakowo hypotetycznych przypuszczeń o sposobie przejścia ze stanu zwierzęcego do stanu ludzkiego. Lecz z tego, com wyżej powiedział, łatwo zrozumieć, że żadnej z tych hypotez nie nadaję znaczenia twierdzenia absolutnego.

Niektórzy filologowie niemieccy starali się dowieść, że mowa powstała z dźwięków, które nie miały żadnego znaczenia i które początek swój przedewszystkiem zawdzięczały czystem warunkom fizyologicznym. Według nich, prosty mechanizm odruchów, połączony z narządem głosowym, zupełnie wystarczał, nietylko do wytwarzania licznych różnic tonów, pod wpływem różnych stanów duszy, jak: cierpienia, przyjemności, dążeń, i t. d., lecz był zarazem zarodkiem artykulacji, wytwarzając bezznaczeniom dźwięki samogłosek i spółgłosek. Tak np. Lazarus powiada: „Proces wyłącznie

ludzki wytwarzania dźwięków, artykulacja tonów, wymawiania samogłosek i spółgłosek, jest zatem danym na gruncie czysto fizyologicznym, zasada się na naturze początkowej ludzkiego, organizmu fizycznego; proces ten zatem odbywa się bez udziału ducha, lubo spowodowanym jest przez uczucia i wrażenia¹⁾.

Musimy zauważyć, że takie jest możliwie największe uogólnienie teorii wykrzyknikowej o początku mowy. Przypuszcza ona, że nie tylko dźwięki nieczłonkowane, lecz że i artykułowane wydane były przez tak nazwanego „Sprachlosen Urmenschen“ (niemego człowieka pierwotnego) na drodze krzyków instynktowych, niemających na widoku żadnych znaków lub giestów. Lecz wskutek powtarzającego się kojarzenia, one, według teorii tej, automatycznie niejako nabyły znaczenia giestów głosowych. Tak np. powiada Fryderyk Müller: „Początkowo są one wprawdzie bezznaczeniowe, lecz mogą nabrać znaczenia. Wszystko, co zachodzi w naszym wnętrzu, zostaje postrzeżonem przez duszę. Jak tylko za pomocą wpływów zewnętrznych wskutek kombinacyj wielu wrażeń powstaje wyobrażenie, dusza je przyjmuje. Wyobrażeniu temu, wskutek odruchu wywołanego w organach głosowych działaniem wrażeń, towarzyszy dźwięk, który podobnie jak i wyobrażenie, zostaje postrzeżonym przez duszę. Te dwa postrzeżenia, miano wicie wyobrażenia i dźwięku, dzięki ich *jednocześnieści* łączą się ze sobą w świadomości ludzkiej, następuje *kojarzenie się* wyobrażenia dźwięku z wyobrażeniem przedmiotu, elementy wyobrażenia rzeczowe znaj-

¹⁾ „Das Leben der Seele“ II, 47.

dują środek *stały*, za pomocą którego *wyobrażenie* rozwija się w *pojęcie*. Doszliśmy tym sposobem do mowy ludzkiej, która w istocie swojej polega na *podstawieniu* obrazu *tonu* lub *dźwięku*, zamiast obrazu wyobrażenia¹⁾.

Pomimo, że nie wątpię, iż dźwięki, które początkowo były beznaczeniowe, odgrywały ważną rolę, dostarczając materiałów do giestów wokalnych, pomimo że nie zaprzeczam też współdziałania kojarzenia w tej sprawie, nie mogę jednak akceptować powyższej teorii, która ma nam w zupełności wyjaśnić początek mowy. Teoria bowiem ta zupełnie zapomina o jednym problemacie, który z konieczności rozwiązać należy, mianowicie o genezie tych władz umysłowych, które poraz pierwszy tchnęły duszę w dźwięki, niemające początkowo żadnego znaczenia. Wszystkie prawie zwierzęta o ciepłej krwi, narówni z człowiekiem, posiadają zdolność fizyologiczną wydawania głosów różnych, pod wpływem stanów umysłowych najróżnorodniejszych. Jeżeli zatem zgodnie z hipotezą powyższą, wszystkie podobne głosy będziemy uważali jako beznaczeniowe (albo jako powstające na czysto fizyologicznej podstawie, t. j. jako odruchy), to powstaje pytanie: Dlaczego zwierzęta niższe nie rozwinęły mowy? Zgodnie z doktryną powyższą, człowiek pierwotny, pozbawiony z początku mowy, nie miał żadnej wyższości nad zwierzętami, odnośnie do zdolności giestykulacji, był zatem w zupełnie analogicznych warunkach psychologicznych ze zwierzętami niższymi²⁾.

¹⁾ „Grundriss der Sprachwissenschaft“, I, 35, 36.

²⁾ Dla przykładu, patrz F. Müller, loc. cit. I, 36, 37.

Jak więc sobie tłumaczyć należy fakt, że z tych samych warunków pierwotnych rozwinęły się tak kolosalnie odmienne wyniki? Jeżeli u ludzi kojarzenie dźwięków bezznaczeniowych ze stanami szczególnymi, przedmiotami, i t. p. doprowadziło do podstawiania pierwszych na miejsce drugich, to jak mamy sobie tłumaczyć zupełny brak takiego rozwoju u zwierząt? Zdaje mi się, że stoimy tu wobec trudności niedającej się wytłumaczyć; nie więc dziwnego, że tak nazwana teoria wykrzyknikowa początku mowy zdeskretytowała całą filozofię tego przedmiotu. Lecz, jak to się często zdarza z pracami filozoficznymi, ważna prawda narażoną jest na szwank, wskutek wadliwego jej przedstawienia. Wszystkie zasady, wyłożone dla poparcia poprzedniej hipotezy, są same przez się racjonalne, lecz założenie, z którego wychodzą, jest urojonem. Założenie to polega na przypuszczeniu, że człowiek pierwotny nie posiadał zaczątkowych nawet zdolności znakowania i że zdolność ta musiała powstać *de novo*, przez skojarzenie przypadkowe dźwięków z przedmiotami. Lecz, jak to dokładnie wiemy z przykładów wyżej przytoczonych, nawet i niższe zwierzęta posiadają zdolność giestykulacyi i to w niemałym stopniu rozwoju; jest zatem rzeczą pewną, że i *Urmenschen* w epoce, gdy byli jeszcze *sprachlos*, nie byłiby też jednocześnie *zeichenlos*. Zarodek psychologiczny komunikowania się z sobą, który prawdopodobnie nie mógł się wytworzyć wskutek kojarzeń przypadkowych dźwięków z przedmiotami, musiał już tkwić w tych warunkach psychologicznych formacyi poznaniowej idei, która jest wspólną wszystkim zwierzętom inteligentnym.

Nie wątpię, że niezależnie od tego bardzo ważnego zarodka, grunt tych kojarzeń, których teoria wykrzy-

knikowa wymaga, musiał mieć niepoślednie znaczenie; gdyż nie mało on się przyczynił do wzrostu jego natury giestykulacyjnej. Przyczynę zaś, dla której zarodek podobny znakowania napotykały i w kreacyi zwierzęcej, nie została tu również wyhodowany, wyłożyłem już w rozdz. VIII. Nie mam bowiem potrzeby dodawać, że pod żadnym względem nie zgadzam się z ustępem poprzednio przytoczonym, według którego dźwięki członkowane były pierwotnie wydawane przez „Urmenschen“ jako krzyki instynktowe, bez żadnych znaczeń giestykulacyjnych.

Przechodzę teraz do rozważania dwóch drugich hipotez i jako wstęp do nich muszę przypomnieć, że materiał nasz odnośnie do badań nad małpami jest bardzo ograniczonym. Przez to nie chcę jedynie powiedzieć, że żaden z przedstawicieli małp antropoidalnych nie był przedmiotem takich obserwacji, odnośnie do jego zdolności umysłowych, jakim poddałem moją płuskę (Cebus). Chociaż punkt ten jest bardzo ważnym, gdyż wiemy, że ze wszystkich zwierząt czworonogich a zatem ze wszystkich istniejących zwierząt małpy antropoidalne są najinteligentniejsze, odpowiednio więc tresowane zdradzałyby prawdopodobnie większą zdolność giestykulacyjną, niż wszystkie inne zwierzęta. Nie kładę jednak na ten punkt nacisku. W tem miejscu zwracam głównie uwagę na fakt, że wszystkie obecnie istniejące małpy antropoidalne są na drodze zupełnego wymarcia. Nie mniej pewnem jest, że żaden z istniejących gatunków nie mógł być praszczurem człowieka; nakoniec, nie mniej jest też pewnem, że gatunki wyginione małp, które dały początek człowiekowi, musiały się pod wieloma ważnymi względami różnić od wszystkich, obecnie żyjących gatunków. Przedewszystkiem

musiały one być bardziej towarzyskie odnośnie do swoich zwyczajów, następnie musiały posiadać dar głosu w wyższym stopniu, niż orangutan, goryl lub szympanś. Że takie przypuszczenie ma za sobą pewne prawdopodobieństwo, wypada już ztąd, że znajduje ono poparcie w analogiach, obserwowanych w spowinowaconych z nimi i dotychczas jeszcze żyjących gatunkach. Dla przedstawienia tych rozważań przedwstępnych w formie odwrotnej zauważymy, że jeżeli niektórzy przypuszczają¹⁾, iż ponieważ dotychczas jeszcze żyjące i wymierające gatunki małp antropoidalnych są nietowarzystkie i stosunkowo milczące, przeto i praszczury małpiego rodzaju ludzkiego musiały również być takimi, to dla obalenia podobnego wniosku dostatecznym będzie wskazać na zmienność tych dwóch przyzwyczajzeń u spowinowaconych z nimi gatunków małp, aby tym sposobem można było wypowiedzieć przypuszczenie i zarazem wskazać przyczyny prawdopodobne zjawiska, mocą którego jeden gatunek małp rozwinął się w *homo*, inne zaś gatunki pokrewne albo już wymarły, albo znajdują się w fazie wymierania.

Musimy oprócz tego, w tych rozważaniach przedwstępnych, mieć na uwadze, że analogia z dzieckiem dorastającym, lubo do pewnego punktu ważna, nie może bez zastrzeżenia być zastosowana, gdy chodzi o genezę mowy. Gdyż, jakieśmy to już wyżej zaznaczyli osobnikowi w wieku dziecięcym mowa podaną bywa z zewnątrz i potrzebuje tylko być wyuczoną, w dzieciństwie zaś rasy mowa musi być stworzoną, gdyż jej jesz-

¹⁾ Np. u Warda „*Dynamical Sociology*”.

szcze niema. Z tego powodu, niezależnie nawet od kwestyi dziedziczności, zachodzi ogromna różnica co do warunków psychologicznych, tyjących się dziecka dorastającego i człowieka pierwotnego. Jedyne tylko co do dążności dziecka ku ogólnieniu samodzielnemu znaczeń wyrazów denotacyjnych, albo też ku używaniu samodzielnemu takich wyrazów w zestawieniu ze sobą w celu orzeczenia przedpojęciowego (o czem już wyżej mówiliśmy), możemy znaleźć prawdziwą analogię pomiędzy osobnikami i rasą odnośnie do tych *przejsć* od formacyi poznaniowej do formacyi pojęciowej idej, któremi obecnie się zajmujemy ¹⁾. Jeszcze jedna uwaga przedwstępna, o której wspomnieć muszę. Badania filologiczne skłoniły Geigera do postawienia doktryny następującej:

Przedewszystkiem zwraca on uwagę na to, że człowiek więcej, niż każde inne zwierzę, posługuje się zmysłem wzroku dla celów życia postrzeżeniowego. Nie chce on przez to twierdzić, że człowiek ma wzrok bystrzejszy, niż inne zwierzęta, lecz tylko, że ze wszystkich innych zmysłów specjalnych człowiek najczęściej posilkuje się wzrokiem, gdy chodzi o poznanie świata zewnętrznego. Na taką doktrynę, należy mojem zdaniem

¹⁾ Pomiedzy filologami niema zgody co do znaczenia mowy dziecinnej, jako wskazówki o fazach prawdopodobnych wzrostu języka u ludzi pierwotnych. Nie wdając się w bliższy rozbiór argumentów, przytoczonych przez strony spór wiodące, zdaje mi się, że jeżeli analogię ograniczymy do tego cośmy wyżej mówili, to wtedy i najwięksi sceptycy nie będą mogli występować przeciwko ważności filologicznej mowy dziecinnej. W tych tylko granicach posługują się tą analogią.

się zgodzić. Nawet dziecko nie umiejące jeszcze mówić obserwuje przedmioty dalekie, starannie bada rzeczy, których się dotyka i wogóle posługuje się swojemi oczyma daleko skuteczniej, niż zwierzęta wyższe w odpowiedniej fazie rozwoju. Opierając się na wyższości zmysłu wzrokowego u człowieka, Geiger wyprowadza wniosek, że przed początkiem mowy członkowanej, człowiek, więcej niż którekolwiek inne zwierzę, był przyzwyczajonym znosić się ze swoimi towarzyszami za pomocą znaków, które przemawiały do tego zmysłu, t. j. za pomocą giestów i mimiki. Przyjmując tę hipotezę musimy się też zgodzić i na to, że z chwilą gdy pewien gatunek rzędu prymatów, zaczął używać zmysłu wzroku częściej i skuteczniej, niż gatunki pokrewne, to wytworzony też został warunek sprzyjający następnemu i stopniowemu rozwojowi istoty giestykulującej, do małpy podobnej. W tym przypadku mimika musiała odgrywać ważną rolę i tam, gdzie uwaga była szczególnie zwróconą na ruchy ust w celach znakowania, dźwięki członkowane zaczęły nabywać znaczeń mniej lub więcej konwencyonalnych, Geiger sądzi, że tą drogą dane były warunki potrzebne do wytwarzania się znaków członkowanych i dodaje, że to zwierzę, które najwięcej posługiwało się zmysłem wzroku, zrobiło też postępy zadziwiające w zdolności znakowania. W tem spotęgowanem posługiwaniu się zmysłem wzroku, mamy prawdopodobnie jeszcze jeden pośród wielu innych skomplikowanych warunków, które stworzyły różnicę pomiędzy zdolnościami giestykulacyi dalekich przodków człowieka a ich najbliższych krewnych zoologicznych, różnicę, która naturalnie coraz więcej się potęgowała, w miarę jak wzrok i giestykulacya coraz silniej na siebie oddziaływały.

Zdaje mi się, że doktryna Geigera znajduje silne poparcie w niektórych faktach, obserwowanych u głuchoniemych. Nawet zupełnie niewykształcony głuchoniemy od urodzenia wynajduje, jakieśmy to już wyżej widzieli, dźwięki członkowane, które są jego nazwami przedmiotów. Naturalnie, że tych dźwięków głuchoniemy nie słyszy i, jakim to już nadmieniał, przypisać je należy dziedzicznej transmisji nabytych skłonności. Otóż zasługuje na uwagę, że chociaż większość tych dźwięków jest zupełnie dowolną (jak np. *ga* zamiast *jeden*, *szupa-ter* zamiast *dwa*, *rike* zamiast *ja nie chcę*, i t. d.), to jednak pewna ich część daje się wyraźnie sprowadzić do wokalizacyi, towarzyszących ruchom ust przy wykonywaniu czynności, które te dźwięki oznaczają, (np. *mumm* oznacza *jęść*, *szip* oznacza *pić*)¹⁾. Podobnie obserwacja pyska psa szczekającego naprowadza głuchoniemego na czynność naśladowczą, jako nazwę dla psa i taki gest może znowu z kolei doprowadzić do takiego dźwięku jak *bi jer*, którego głuchoniemy używa później, jako nazwy dla psa²⁾. Otóż jeżeli wyrazy mogą nawet być wytwarzane przez głuchoniemych, gdy oni obserwują ruchy ust, to taki wynik mógł tem łatwiej mieć miejsce wśród ludzi pierwotnych, którzy nie tylko mogli widzieć ruchy, lecz jeszcze słyszeć dźwięki.

Chcę teraz przytoczyć dwie wspomniane wyżej hipotezy, odnoszące się do sposobów przemiany. Wyobraźmy sobie przedewszystkiem człowieka-małpę, towarzyskiego i używającego głosu swojego nieco obszernie, ja-

¹⁾ Heinicke, „Beobachtungen über Stumme“, str. 137 i następne.

²⁾ Tamże str. 73.

ko narzędzia giestykulacyjnego na podobieństwo innych gatunków towarzyskich czworonogich i będącego prawdopodobnie inteligentniejszym, niż orangutang, o którym wspomniałem w poprzednim mojem dziele ¹⁾, lub niż szympan, znajdujący się obecnie w ogrodzie zoologicznym, który ze względu na swoją inteligencję, jako też brak włosów i skłonności ku pokarmom mięsnym, zdaje się być zwierzęciem najbardziej ze wszystkich dotychczas znanych, do człowieka zbliżonem ²⁾.

Nie wydaje mi się też trudnem wyobrazić sobie, jak takie zwierzę uogólnia swoje znaki głosowe, których zwykle używa dla wyrażania wzruszeń i logiki poznań, łącząc je z giestami, by tym sposobem utworzyć wyrazy-zdaniowe, wyrażające proste i często powtarzające się idee, jak np. zawiadomienie o grożącym niebezpieczeństwie, o odkryciu pokarmu, i t. p.

¹⁾ „Mental Evolution in Animals“, str. 238.

²⁾ Skłonność do pokarmów mięsnych tego zwierzęcia jest bardzo ciekawą. Przypuszczają, że w dzikim stanie żywił się przeważnie ptakami, w ogrodzie zoologicznym sradza wyraźną predylekcyę do mięsa gotowanego. Żywi się cielęciną gotowaną, kości której porywa palcami i zębami, po jedzeniu starannie obciera ręce. Jako jarynkę dodaje do mięsa nieco słomy, na deser używa owoców. Daleko ważniejszym jest fakt, że zwierzę dozorcę swojemu odpowiada tonami samogłoskowemi, albo raczej chrząkaniem, gdy ten do niego przemawia i dźwięki te są zrozumiałe dla dozorczy, jako wskazujące różne stany duszy zwierzęcia. Obserwowałem to zwierzę przez bardzo długi czas, lecz rozmaite okoliczności stały na przeszkodzie wszelkim doświadczeniom nad niem i jego kształceniu. Odnośnie dopróby uczenia je liczyć patrz Część I str. 82; odnośnie do rozumienia wyrazów patrz Część I str. 171.

Co więcej, nie sądzę, abyśmy dopuścić się przesady przypuszczając, że takie zwierzę może wytworzyć dźwięki, oznaczające niektóre najwięcej mu znane przedmioty, jak np. pokarm, dziecko, nieprzyjaciel, i t. d. a także często powtarzające się czynności. Gdyż to w niczem nie przewyższa tych zdolności, jakie obecnie obserwujemy u zwierząt na niższym stopniu rozwoju umysłowego będących i chociaż te ostatnie zwierzęta nie posługują się dźwiękami członkowanymi (z wyjątkiem ptaków gadających, przypadku małoważnego, pod względem psychologicznym), to różnica ta, jakieśmy to już widzieli, niema ważnego znaczenia pod względem psychologicznym. Obojętną prawie jest tu okoliczność, czy faza denotacyjna mowy u małpy była naprzód osiągnięta na drodze artykulacji, albo też (co ja uważam za bardzo prawdopodobne) za pomocą dźwięków głosowych innego rodzaju, którym towarzyszyły giesty i mimika. W obu razach postęp osiągnięty tym sposobem odnośnie do rozwoju inteligencji, musiał oddziaływać na zdolność giestykulacji i tym sposobem wzbogacić skarbiec wyrazów, składający się z dźwięków i giestów. Prędzej lub później, znaki głosowe mogące się już obejść bez giestykulacji i prowadzące do postępu umysłowego, stały się mniej lub więcej konwencyonalnymi i wobec odpowiednich warunków anatomicznych i społecznych — artykułowanymi. Przeciwno rozumowaniu powyższemu nie da się nic powiedzieć, jeśli uwzględnimy wszystko to, cośmy mówili o znakach umówionych naszych inteligentniejszych zwierząt domowych a nawet ptaków gadających ¹⁾.

¹⁾ Jeśli kiedykolwiek istniały istoty pośrednie pomiędzy człowiekiem i małpą, które zostały wytępione przez człowieka

Taka jest hipoteza podana przez Darwina w jego dziele „O pochodzeniu człowieka“. Powiada on: Nie wątpię, że mowa zawdzięcza swój początek naśladownictwu i modyfikacji różnych naturalnych dźwięków, głosów innych zwierząt i własnych instynktowych krzyków człowieka, którym towarzyszyły giesty i mimiki... Ponieważ małpy najniezawodniej rozumieją wiele z tego, co człowiek do nich mówi i ponieważ one, znajdując się w stanie dzikim, wydają krzyki ostrzegające towarzyszy o grożącym niebezpieczeństwie, ponieważ kury krzykami ostrzegają o niebezpieczeństwie grożącym na ziemi lub w powietrzu od jastrzębia (oba te znaki, jako też i jeszcze jeden zrozumiałe są dla psa)¹⁾, więc, czy nie mogło się zdarzyć, aby zwierzę odznaczające się szczególną inteligencją i do małpy podobne, mogło naśladować warczenie zwierzęcia i tym sposobem zwrócić uwagę towarzyszy na grożące im niebezpieczeństwo? Byłby to już pierwszy krok ku wytworzeniu mowy²⁾. Do tego Darwin podaje co następuje:

„Gdy mówić będziemy o doborze płciowym to zobaczymy, że ludzie pierwotni, albo raczej jakiś pradawny rodzic człowieka, pierwszy raz użył swojego głosu

pierwotnego, będącego ich głównym rywalem w walce o byt, lub które w jakikolwiek inny sposób wyginęły, to nietrudno będzie przypuścić, że one posiadały formy mowy bardziej pierwotne, bardziej szczątkowe i bardziej niedokładne niż nasze. (Prof. Whitney. Art. „Filologia“ w „Encyc. Brit.“ T. 18 str. 769.

¹⁾ Houzeau podaje ciekawe sprawozdanie ze swoich obserwacji nad tym przedmiotem w „Facultés Mentales des Animaux“, t. 2 str. 348.

²⁾ „Descent of Man“, str. 87.

w celu wytworzenia prawdziwego rytmu muzycznego, t. j. w celu śpiewania, jak to i po dziś dzień obserwujemy u niektórych małp gibbonów. Według bardzo rozpowszechnionej analogii, możemy też wnosić, że zdolność ta używaną była szczególnie podczas umizgania się do siebie płci dla wyrażania różnych wzruszeń, jak miłość, zazdrość, tryumf a także jako wyzwanie, rzucane rywalowi. Jest więc prawdopodobnem, że naśladowanie krzyków muzycznych za pomocą dźwięków członkowanych, dało początek wyrazom, wyrażającym różne skomplikowane stany wzruszeń¹⁾.

Oto taką jest jedna z dróg, na której, według mnie, zdolność giestykulacyi za pomocą dźwięków członkowanych mogła uczynić krok pierwszy ku wytwarzaniu mowy. Lecz nie wdając się w dalszy rozbiór tej kwestyi, widzę jeszcze jedną możność osiągnięcia tego celu i to taką, która mojem zdaniem jest jeszcze bardziej prawdopodobną. Niektórzy bardzo poważni antropologowie są zdania, że mowa prawdopodobnie pojawiła się w stosunkowo późnym peryodzie historii, tak że nasi przodkowie, u których ona po raz pierwszy się ukazała, byli już więcej do człowieka, niż do małp podobni i jako tacy, zasługiwali na miano *Homo alalus* (człowiek niemy)²⁾.

¹⁾ Tamże, str. 87.

²⁾ Nazwa ta została po raz pierwszy użyta przez Haeckla, jako równoznaczna z wyrazem *Pithecanthropoi*, co znaczy *człowiek do małpy podobny*, o którym mniemają, że był bezpośrednim przodkiem *Homo Sapiens* (*Schöpfungsgeschichte*). W następnym tomie pracy mojej mam zamiar zastanawiać się nad nad tem co da się powiedzieć na korzyść takiego poglądu ze stanowiska

Otóż, jeżeli rzecz tak się ma, to bieg naszej historii hypotetycznej da się nawet łatwiej wyobrazić, niż w przypuszczeniu poprzednim. Gdyż przyjmując ostatnią hipotezę mamy już przed sobą istotę do człowieka podobną, mającą postawę prostą, bardziej inteligentną, niż każde inne zwierzę, wyrabiającą z krzemienia broń i narzędzia, żyjącą gromadnie i w niemałym stopniu uzdolnioną do wyrażenia logiki swoich poznań za pomocą giestykulacyj, wyrazu twarzy i dźwięków głosowych. Rzecz jasna, że wobec takiego początku, następny rozwój giestykulacyi w kierunku dźwięków członkowanych, jest łatwiejszy do zrozumienia, niż to miało miejsce przy hipotezie poprzedniej. Wyobraźmy sobie gminę złożoną

mojej antropologii. Tymczasem wystarczy, jeśli spamiętamy, że jakkolwiek wielką jest różnica psychologiczna, wytworzona przez zdolność mowy, to jednak dla osiągnięcia tej zdolności wystarczają zmiany anatomiczne, niedostrzegalne prawie. „Argument, że ponieważ zachodzi różnica kolosalna pomiędzy rozumem człowieka a rozumem małpy, przeto musi też zachodzić bardzo wielka różnica pomiędzy ich mózgami, wydaje mi się tak samo nzasadnionym jak rozumowanie, mające na celu dowieść, że ponieważ zachodzi „różnica wielka“ pomiędzy zegarem dokładnie czas wskazującym a takim, który wcale nie idzie, przeto musi też zachodzić różnica znaczna w ich budowie. Włos w balansierze, nieco rzy na sztyfciku, zgięcie zębka, kółeczka, tak mało widoczne, że tylko wprawne oko zegarmistrza jest w stanie je wykryć, w zupełności wystarczają dla wytłomaczenia źródła tych różnic. I przyjmując wraz z Cuvierem, że posiadanie mowy członkowanej jest cechą charakterystyczną człowieka, widzę, że łatwo zrozumieć, w jaki sposób nieznaczne różnice w budowie organizmów mogły się stać pierwszą przyczyną niezmierną a nawet nieskończoną różnicy pomiędzy człowiekiem a małpą (Huxley, „Maus Place in Nature“, str. 10).

z *ludzi niemych* (*homines alali*), obdarzonych wyższą znacznie inteligencją, niż mały obecnie żyjące, lecz znacznie niżej stojących pod względem rozwoju umysłowego, niż dzieci obecnie zamieszkujący ziemię. Jest rzeczą pewną, że w takiej gminie naturalne znaki głosowe, giesty i mimika będą w częstym użyciu ¹⁾. W miarę tego jak ich liczba wzrastała (a zatem wskutek doboru naturalnego, który zapewniał coraz większe korzyści współdziałaniu rozumnemu, jak to ma miejsce u zwierząt, żyjących towarzysko ²⁾), musiały one stawać się coraz więcej konwencyonalnymi, albo przybierać charakter wyrazów zdaniowych i słów denotacyjnych ³⁾. Otóż gdy giestykulacja była głosową, to jedyną możliwością rozwinięcia tych znaków w taki sposób, aby one uczy-

¹⁾ W tem miejscu muszę prosić czytelnika, aby zechciał przypomnieć sobie rozważanie, zaczerpnięte z pracy Geigera odnośnie do zachęty, którą otrzymało użycie głosu jako giestu wskutek nawyknienia zwracania uwagi na ruchy ust przy mimice znaczącej. Oczywiście, że taka uwaga musiała się jeszcze potęgować u tej inteligentnej istoty, o której teraz mówimy i stać się większą, niż u któregośkolwiek z przedstawicieli obecnie żyjących czwororękich.

²⁾ Odnośnie do giestykulacji u owadów towarzyskich patrz część I, str. 122, 131.

³⁾ Musimy zauważyć, że tu dołącza się ten element prawdy, który właściwy jest pierwszej z trzech hypotes. *Hommo alalus*, chociaż nie jest jeszcze myślicielem pojęciowym, jest jednak obdarzony zdolnością formacji idei poznaniowej i to w stopniu, do którego żadne ze zwierząt nie doszło i odpowiednio do tego jest bardziej uzdolnionym do używania jako znaków dźwięków wykrzyknikowych lub innych, wpływających „z czysto fizyologicznych przyczyn” własnej jego organizacyi.

niły zadość potrzebom, zawierała się: 1-sze) w modulowaniu umówionem natężeniu głosu, 2-gie) w wysokości tonu, 3-cie) w przerwach w czasie. Lecz jest rzeczą jasną, że ani modulacja natężenia, ani też wysokość tonu nie mogły wywołać ulepszeń znacznych w mowie, gdyż, jak wiemy, głos ludzki nie posiada wielkiego pod tym względem obszaru. Wynika stąd, że jeżeli jekielkolwiek ulepszenie było w ogóle możliwem (które to ulepszenie było zależnem od doboru naturalnego) to ono mogło tylko nastąpić na drodze modulacji w przerwach czasowych. Lecz taka modulacja jest właśnie początkiem *artykulacji*.

Oznacza to, że początek artykulacji polegał jedynie na znaczącem przerywaniu tonów wokalnych w sposób podobny do tego, jaki ma miejsce przy tak nazwanem *chrząkaniu* małą, będącą mową naturalną, za pomocą której wyrażają stan duszy. Wielka zachodząca tu różnica polega jedynie na tem, że znaczenie giestykulacyjne początkowej artykulacji więcej zależało od inteligencji a mniej od prostego stanu emocjonalnego; giestykulacja taka bardziej ma charakter nazwy, niż krzyku. Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie krzyki naturalne powstają w gardle i krtani, z małym udziałem warg i języka (a może nawet zupełnie bez ich udziału), przeto pierwsze próby artykulacji musiały się ograniczyć na dźwiękach samogłoskowych, z bardzo skąpym dodatkiem spółgłosek gardlanych i wargowych. Taki stan rzeczy mógł trwać bardzo długo, aż do chwili ukazania się w mowie spółgłosek płynnych a następnie językowych. W takim porządku musiały się pojawić spółgłoski, jeżeli uwzględnimy, że spółgłoski gardlane i wargowe dla człowie-

ka prawie niemego były łatwiejsze do wymawiania, niż spółgłoski językowe ¹⁾. Począwszy od tego stanu, dalszy rozwój artykulacji był kwestyą czasu i rozwoju umysłowego; sądzą jednak, że jest rzeczą wysoce prawdopodobną, iż początkowe stany, któreśmy wyżej naszkicowali, trwały przez przeciąg czasu, długość którego znacznie przewyższa czas trwania okresu potrzebnego dla wyższych stopni rozwoju. Co więcej, w związku z powyższym należy mieć na uwadze tak nazwane *kląskanie* (clicks) buszmenów i hotentotów, jakie, jak się zdaje, dostarcza nam dowodu bezpośredniego przetrwania u tych ras wyższych pierwotnego, nieczłonko-

¹⁾ Porównaj Preyer, który w cytowanej wyżej pracy podaje szczegółowe sprawozdanie o porządku, w jakim spółgłoski rozwijają się u dzieci. Porównaj też pracę prof. Holdena. „On the Vocabularies of Children in Proc. Amer. Philolog. Ass.” 1887. („Rozwój mowy u dziecka“, d-ra Wład. Oltuszeńskiego, zawiera niektóre ciekawe szczegóły odnośnie do tego punktu. P. T.) Niema wątpliwości, że dźwięki samogłoskowe wcześniej się rozwinęły w rasie, wątpliwym jednak jest porządek, w jakim po nich nastąpiły spółgłoski. Różne bowiem rasy i dziś jeszcze wykazują wielkie różnice, odnośnie do używania a nawet zdolności używania spółgłosek; tak np. chińczycy zmieniają *r* w *l*, japończycy przeciwnie *l* w *r*. Ostatecznie można nawet powiedzieć, że cała nauka filologii porównawczej zasada się na badaniu zmian fonetycznych. Oczywiście jednak jest rzeczą małej wagi w jakim porządku szczególnym, różne dźwięki członkowanej najprzód się rozwinęły. Według księcia Lucyana Bonapartego, który pierwszy kwestyę tę badał dokładnie, całkowita liczba takich dźwięków, mogących być wytworzonemi organami głosowemi człowieka wynosi 386. Porównaj także Ellis. „On Early English Pronunciation“. Co się zaś tyczy spółgłosek w różnych językach obecnie istniejących, patrz Hovelaeque, „Science of Language“, Tom. ang. str. 49, 61, 81.

wanego układu giestykulacyi wokalnej ¹⁾. Nikt nie badał języków tych ludów z taką starannością i z takim rezultatem, z jakim to uczynił dr. Bleek, jeden z najgłębszych myślicieli. Powiada on, że kląskanie napotykanę u większości słów tych ludów, „należy uczynić przedmiotem specjalnej uwagi, jeżeli chcemy otrzymać przybliżone nawet pojęcie o początkowych elementach głosowych, z których rozwinęła się mowa ludzka“ ²⁾.

Takich kląskan jest cztery a według Bleeka „co najmniej sześć“. Nazywają je „zębowem“, „podniebieniem“, „mózgowem“ i „bocznem“. Kląskanie boczne jest to ten sam dźwięk, który wydają nasi masztelarza, chcąc popędzić konia. Kląskanie zębowe również jest w użyciu u europejskich, jako dźwięk wyrażający niezadowolenie, wysoki stopień pogardy, i t. d. W druku dźwięk ten wyrażają przez „tut, tut“, co dowodzi jak bezskuteczne są wszelkie usiłowania wyrażenia kląskania, przez równoważne dźwięki członkowane. Dwa pozostałe kląskania wytworzone bywają, uderzając językiem o podniebienie. Przybliżone pojęcie o trudności wyrażania mowy tego rodzaju w formie alfabetycznej, otrzymamy starając się wymawiać wyrazy, które drukujemy w naszych dziełach europejskich o tych językach. Tak np. wyraz hotentocki oznaczający księżyc, drukuje się w ten

¹⁾ Jeżeli sobie przypomnimy nieartykułowane kląskania, które dotychczas jeszcze wchodziły w skład języka buszmenów, to przyjdziemy do przekonania, że nie można przeprowadzić linii demarkacyjnej pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, nawet wtedy, gdy jako cechę rozróżniającą obierzemy mowę. (Sayce „Introduction i t. d“ II, str. 302).

²⁾ „Ursprung der Sprache“ str. 62.

sposób *khap*, gdzie znak wyraża kląskanie boczne, *khu* zastępuje spółgłoskę gardlaną i ∞ wyraża dźwięk nosowy.

W związku z tym nieczłonkowanym sposobem znakowania, który jest tak powszechnym w językach ras niższych w których występuje w związku organicznym z dźwiękami członkowanymi, godną jest uwagi obserwacja, zakomunikowana d-rowsi Bleek, przez prof. Haeckla i podana przez pierwszego w pracy wyżej już cytowanej. „Dotychczas zoologowie nie zwrócili należytej uwagi na język małp i dlatego nie podali opisu dokładnego dźwięków przez nie wydawanych. Nazywają je niekiedy „wyciem“, niekiedy „krzykiem“, „kląskaniem“ „rykiem“, i t. p. Otóż sam słyszałem nieraz już małpy należące do najróżnorodniejszych gatunków, hodowane w ogrodach zoologicznych, jak wydawały godne uwagi tony, które były wyraźnem kląskaniem, wytworzonym wargami a także, chociaż rzadziej, językiem lecz pomimo to nigdzie nie znalazłem żadnej o nich wzmianki“.

Według tego wydaje mi się bardzo prawdopodobnem, że te kląskania napotymane w językach mało rozwiniętych, są pozostałościami poprzedniego, nieartykułowanego stanu mowy ludzkiej, albo jak to prof. Sayce z filologicznego punktu się wyraża, „kląskania buszmenów utrzymały się aż do naszych czasów, aby nam wskazać, w jaki sposób wynurzenia człowieka niemego mogły służyć do wyrażania myśli“¹⁾.

W głównych swoich zarysach szkic hypotetyczny

¹⁾ „Introduction i t. d.“, II, 302. Przez *myśl* rozumie autor to, co my oznaczamy przez *poznanie*.

przezemnie podany, ułożony jest według tego, co Darwin nam nakreślił w swoim dziele „Descent of Man“. Lecz, jakieśmy to już zauważyli, zachodzi pomiędzy nami bardzo ważna różnica. Darwin przyjmuje jedynie drugą z trzech hipotez, którąśmy tu przedstawili czytelnikowi, t. j. tę, według której zaczątki mowy członkowanej napotykamy już u małpy-człowieka, t. j. u najdawniejszego praszczura człowieka. Zdaje mi się, że on odrzucił ideę o *człowieku niemym*, jako o ogniwie pośrednim, łączącym tego najdawniejszego prarodzica człowieka z *Homo sapiens*. W tem miejscu podam w streszczeniu powody, dla których hipoteza o istnieniu tego ogniwka pośredniego, stała się bardzo prawdopodobną ¹⁾. Przedewszystkiem zwróćmy uwagę na to, że właściwie nie ma antagonizmu pomiędzy dwiema hipotezami, o których teraz mowa, gdyż ostatnia jest tylko uogólnieniem pierwszej. Ostatnia bowiem przyjmuje wszystkie poglądy Darwina odnośnie do ważności krzyków instyktowych, sygnałów o grożącym niebezpieczeństwie i t. d., w procesie wyższego rozwoju zdolności sygnalizowania u tego zwierzęcia do małpy podobnego, które było przodkiem zwierzęcia, znanego pod nazwą *Homo alalus*. Co więcej, nasza hipoteza upoważnia do przyjęcia wraz z Darwinem, że ta małpa antropoidalna nie tylko była inteligentniejszą od którejkolwiek z małej liczby gatunków, które dotychczas się ostały, lecz je-

¹⁾ Należy także w tem miejscu uwzględnić pierwszą z trzech hipotez, której elementy będące niezaprzeczoną prawdą weszły, jakieśmy to widzieli, w skład hipotezy Darwina a tem samem stanowią też część składową i tej, którą teraz rozpa-
trujemy.

szcze, że była ona bardziej towarzyską. Jest to fakt ważny, na który kłaść należy nacisk szczególny, gdyż widoczną jest rzeczą, że warunki życia towarzyskiego są zarazem pierwszemi warunkami, potrzebnemi do jakiegokolwiek znaczniejszego rozwoju zdolności znakowania, niż ta, którą napotykamy u małp obecnie żyjących. Jedyny punkt zatem, odnośnie do którego obie te hipotezy różnią się pomiędzy sobą, jest ten, że jedna z nich przypuszcza, iż zdolność znakowania artykułowanego jest produktem rozwoju daleko późniejszego, niż to przypuszcza druga hipoteza. Chcemy przez to powiedzieć, że hipoteza Darwina uważa początek artykulacji jako konieczny warunek znaczniejszego rozwoju inteligencji poznaniowej naszych przodków, druga hipoteza przeciwnie przyjmuje, że jest bardzo prawdopodobnem, iż ta inteligencya poznaniowa została znacznie rozwiniętą za pomocą giestów i znaków wokalnych, nim jeszcze te ostatnie zdołały przekształcić się w artykulację prawdziwą. Wynikiem tego było, że się rozwinęła istota bardziej do człowieka, niż do małpy podobna, która pomimo to jednak mogła się znosić ze swojemi rówieśniczkami, li tylko za pomocą giestów i tonów wokalnych, (nieartykułowanych):

Hypotezę tę uważam za prawdopodobniejszą, niż inne dla przyczyn następujących.

Przedewszystkiem, z zasad psychologicznych wychodząc, nie widzę przyczyny, dla której poznaniowe życie umysłowe inteligentnego i wysoce towarzyskiego zwierzęcia nie mogłoby się wznieść wyżej, niż wszystkie inne, dotychczas żyjące gatunki małp, nawet bez pomocy mowy członkowanej, wszakże zwyczaje socyalne są jedynie miarodajne, odnośnie do rozwoju zdolności zna-

kowania i następnego oddziaływania tego znakowania na rozwój umysłowy. Dalej nie widzę wcale, w jaki sposób w tych wczesnych fazach rozwoju, artykułowane znakowanie mogło mieć przewagę nad dalszym rozwojem znakowań, bardziej naturalnych. Gdyż dopóki potrzebne współdziałanie odnosi się do stosunkowo prostych czynności, dopóty język tonów i giestów dałby się dostatecznie rozwinąć, aby mógł podołać wszystkim wymaganiom. Nakoniec, jeżeli dorastające dziecko zechcemy uważać jako wskaźnik psychogenezy rasy, to niema żadnej wąpliwości, że ono wskazuje na stosunkowo późniejszy początek zdolności artykulacji. Jeśli sobie przypomnimy ogólne dążenie ontogenezy skracania historii filogenezy, to musi się nam wydać bardzo pouczającym fakt, że pomimo skłonności dziecka do naśladownictwa, pomimo, że otaczające je środowisko używa języka mówionego, nie zaczyna ono jednak wcześniej artykułować, aż dopiero wtedy, gdy jest już w stanie wyrażać większość swoich idei poznaniowych za pomocą tonów i giestów. Przypominam w tem miejscu, że kładłem nacisk szczególny na stopień zadziwiający opracowania tej formy języka w przypadku, gdy dziecko późno zaczyna mówić (patrz str. 37). Chociaż wątpię, aby ten przypadek można było uważać jako możliwego przedstawiciela mowy znaków *Hominis alali* (uwzględniając, że dziecko naszych czasów odziedziczyło mózg *Hominis sapientis*) to uważam jednak jako pewne, że popełnimy błąd w kierunku wprost przeciwnym, przyjmując przypadek, gdy dziecko wcześniej zaczyna mówić, jako wskaźnik stopnia umysłowego rozwoju w epoce, kiedy artykulacja poraz pierwszy pojawiła się wśród rasy ludzkiej (widząc, że historia rasy prawdopodobnie została skrócona w histo-

ryi osobnika). Lecz gdybyśmy to nawet uczynili, to wy-
nik nie omieszka nas przekonać, że na długo nim nasi
prastarzy przodkowie byli w stanie używać mowy czło-
kowanej, już odnośnie do używania tonów i giestów
w celach znakowania mieli nieskończenie wielką przewagę
nad wszystkimi innymi zwierzętami. Gdyż nawet wcze-
śnie rozwinięte dziecko nie robi obszernego użytku z wy-
razów jako znaków znakowania przed drugim rokiem
życia, dzieci zaś przeciętne nie osiągają tej fazy przed
trzecim rokiem życia. W jakimkolwiek zaś wieku faza
ta następuje, inteligencja ogólna dziecka nie tylko jest
wyższą od inteligencji wszystkich innych zwierząt, lecz
kierunek, w którym ten postęp najbardziej się uwyda-
tnia jest ten, który dla badania naszego ma największe
znaczenie a mianowicie objawia się w kierunku znako-
wania naturalnego, za pomocą tonów i giestów. Mając na
uwadze wszystkie rozważania powyższe, skłonny jestem
przyjąć, że postęp rozwoju umysłowego od zwierzęcia
do człowieka najprawdopodobniej szedł etapami nastę-
pującymi:

Przyjmując za punkt wyjścia wysoce inteligentny
i towarzyski gatunek małp antropoidalnych, opisanych
przez Darwina, możemy sobie wyobrazić, że zwierzę to
zwykłym było swobodnie używać swego głosu dla wy-
rażania swoich wzruszeń, dla sygnalizowania grożącego
niebezpieczeństwa i dla śpiewu¹⁾. Jest też dość praw-

¹⁾ O śpiewie gibona wspomnieliśmy już wyżej. Możemy tu
dodać, że szympanś „Sully” nierazko się wprawiał w „śpie-
wie”. Śpiew jednak ten nie był muzykalnym. Był on wykona-
nym bez żadnego względu na następstwo tonów, polegał na sz-
eregu szybko następujących krzyków i pisków z akompaniamentem

dopodobnem, że było ono już dość inteligentnem, aby, jak to przyjmuje Darwin, mogło używać niektórych tonów naśladowczych. Przy takim przypuszczeniu jest dość prawdopodobnem, że życie poznaniowe tego zwierzęcia musiało się wcześniej lub później tak wysoce rozwijać, że dało się porównać z życiem poznaniowem dziecka dwuletniego. Chcę przez to powiedzieć, że zwierzę to, pomimo iż nie zaczęło jeszcze używać mowy członkowanej, musiało już być tak daleko posuniętem w konwencyonalnem używaniu znaków naturalnych (lub znaków dźwiękowych i giestykulacyjnych o początku naturalnym, czy to dowolnych tylko, czy też zamiarowo naśladowczych), że za ich pomocą mogło zupełnie swobodnie wyrażać swoje ideje poznaniowe o tyle, o ile takowe wchodzą w zakres potrzeb zwierzęcych a może nawet, o ile one są potrzebne przy najprostszyc formach działalności kooperacyjnej ¹⁾. Uważam dalej, że prawdopodobnie ten rozwój inteligencyi poznaniowej, który wywołany został postępcm znakowania, z kolei wpłynął na dalszy rozwój tego ostatniego. Takie wzajemne na siebie oddziaływanie musiało koniecznie doprowadzić do tego, że język tonów i giestów musiał stopniowo wznieść się do poziomu pantominy niedokładnej, napotykaney u niemowląt bezpośrednio przed chwilą, kiedy one zaczynają używać wyrazów. W tej fazie jednakże, albo nawet jeszcze wcześniej dźwięki sa-

tupania nogą o podłogę. Małpa wtedy tylko „wybuchła śpiewem”, gdy ją dozorca przedtem dość długo do tego pobudzał; najczęściej jednak wszelkie usiłowania dozorczy, w celu skłonienia jej do śpiewu pozostawały bez skutku.

¹⁾ Porównaj cytaty z filologów niemieckich, na poparcie pierwszej hipotezy Początek rozdziału XVI.

mogłoskowe były najprawdopodobniej używane w mowie tonów a może niektóre także spółgłoski. Do takiego wniosku skłania mnie nie tylko analogia, którą nam dostarcza niemowle, lecz także fakt, że w przypadku zwierzęcia śpiewającego, które jest dość inteligentnem, aby mogło statecznie używać głosu swojego dla celów znakowania, a zatem używającego mniej lub więcej konwencyjonalnych tonów z włączeniem kłaskania, używanie niektórych samogłosek a nawet spółgłosek zdaje się być rzeczą konieczną. Lecz jakkolwiekby było, działanie i oddziaływanie na siebie inteligencji poznaniowej i znakowania konwencyjonalnego musiało się skończyć tak znacznym rozwojem pierwszej, że przy niej stało się możliwem przerywanie (artykulacya) dźwięków wokalnych, które stanowi jedyny kierunek umożliwiający dalsze udoskonalenie znakowania wokalnego. Bardzo też być może, że tej tak ważnej fazie rozwoju mowy, bardzo dopomogło istniejące już nawyknienie artykułowania tonów muzycznych, jeśli przyjmiemy, że pod tym względem nasi przodkowie podobni byli do gibona i szympansa. Lecz na długo jeszcze po tym zaczątkowym początku mowy członkowanej, język tonów i giestów nie przestawał być najważniejszym środkiem porozumienia się ze sobą. Ta nawpółludzka istota, która stoi teraz przed wyobraźnią naszą, najniezawodniej zadziwiałaby nas jako sztukmistrz, wykonywujący najrozmaitsze i najdziwniejsze produkeye wokalnej i ruchowej, mające pewne określone znaczenia; lecz najprawdopodobniej nie bylibyśmy w stanie zauważyć rozwijającego się już w nich zarodka artykulacyi. Nie sądzę też, że gdybyśmy mogli posunąć wskazówki na zegarze historycznym nawet o tysiące lat, czybyśmy wtedy znaleźli, że mowa zupełnie już wyparła pantominę.

Przeciwnie, mniemam, że wtedy przekonalibyśmy się, że chociaż pantomina tak dalece już postąpiła, iż istota przed nami będąca zasługuje już na nazwę *homo*, to jednak czulibyśmy, że istota ta musi jeszcze być odróżnioną przez dodatek *alalus*. Nakoniec sędzę, że ta bardzo ciekawa istota najprawdopodobniej żyła jeszcze przez niezmierny przeciąg czasu, nim jego zdolność znakowania członkowanego dostatecznie się rozwinęła, aby mogła wyprzeć bardziej pierwotne i bardziej naturalne układy znakowania. Jestem też zdania, że nawet po rozpoczęciu się tego procesu eliminacyjnego, musiał jeszcze upłynąć niezmierny okres czasu, nim postęp ten w istocie przekształcił *Homo alalus* w *Homo sapiens*.

W tem miejscu należy nam się zastanowić nad pewnym odłamem hipotezy powyższej, który zawdzięczamy lingwiście prof. Noiré, o czem już wyżej wspomnieliśmy ¹⁾.

Nim jeszcze Darwin podał do wiadomości poglądy swoje, już prof. Noiré opracował teorię początku mowy, która co do istoty swej jest równoznaczną z tą, jaką przytoczyłem z dzieła „*Descent of Man*“ ²⁾. Jedyną różnicą pomiędzy nimi polega na tem, że gdy Darwin początek mowy wyprowadza z krzyków instynktowych i t. d. małp antropoidalnych, Noiré szuka tego początku u istoty, będącej już ludzką. Innemi słowy, Noiré przyjmuje hipotezę, którą ja nazwałem trzecią, we-

¹⁾ Patrz str. 133—136.

²⁾ „*Welt als Entwicklung des Geistes*“, str. 255. Książka ta jednak ukazała się dopiero w r. 1874 a zatem w kilka lat po wydaniu „*Descent of Man*“.

dług której istniała kiedyś forma rodu ludzkiego, pozbawiona mowy, która poprzedziła formę dziś istniejącą¹⁾. Lecz jako wynik dalszych badań, Noiré przyszedł do wniosku, „że przedmioty wywołujące obawę, strach i przerażenie, obecnie nawet są najmniej odpowiednie do tego, aby weszły w sferę myśli, jasną, czystą i spokojną potrzebną do mowy, lub też dostarczały pierwsze jej zarodki“. Odpowiednio do tego, Noiré odrzuca hipotezę szukającą zarodków mowy w krzykach instynktowych i w ostrzeżeniach przed grożącym niebezpieczeństwem; przyjmuje zaś, że artykulacja miała swój początek w głosach, wydawanych przez grupę ludzi zajętych pracą wspólną. Ponieważ poprzednio już wytłomaczyłem elementy tej *yo-he-ho* teorii, przeto wystarczy, jeśli zaznaczę w tem miejscu, że w tej hipotezie tkwi pewna cząstka prawdy, chociaż z drugiej strony jest widocznem, że taki początek nie mógł być jedynem źródłem mowy pierwotnej. Nie mamy obecnie żadnej możności wykazania, w jakim stosunku ta gałąź onomatopei brała udział w genezie wyrazów pierwotnych, jeżeli w ogóle miała ona jakiś wpływ na tę genezę. Widząc jednakże, że jest tak wiele innych źródeł onomatopei w naturze i że te inne źródła są tak widoczne we wszystkich żyjących językach, gdy przeciwnie onomatopeja przez Noirého wyróżniona, nie zostawiła śladu swego istnienia w żadnym ze znanych języków, musimy przyjść do wniosku, że w najlepszym razie zasada *yo-he-ho* mogła tylko

¹⁾ Ten sam pogląd wypowiedział też Geiger na zasadzie badań filologicznych. „Ursprung der Sprache“ 1869 i Haeckel na zasadzie rozumowań ogólnych, „Schöpfungsgeschichte“.

mieć bardzo nieznaczny udział w genezie języków pierwotnych ¹⁾. Z tego to powodu odnośnie do tej hipotezy mogę tylko zrobić trzy następujące uwagi. 1-mo) że ona widocznie jest tylko specjalną gałęzią ogólnej teorii naśladownictwa, 2-do) jako taka zawiera pewną cząstkę prawdy, 3-cio) że zatem należy ją uważać jako jeden z wielu sposobów, za pomocą których w ciągu wielu wieków pewne grupy istot, obdarzonych głosem, lecz pozbawionych mowy, stopniowo rozwinęły sztukę wydawania dźwięków członkowanych; nigdy zaś nie należy hipotezy tej uważać jako jedynie możliwą, jak to czyni autor jej Noiré i zwolennik gorący prof. Max Müller.

Prawdopodobnie odnośnie do trzeciej hipotezy we wszystkich jej odłamach zarzuca mi *petitio principii*. Powiedzą, że *Homo alalus* jest *Homo postulatus*. Lecz w rzeczywistości tak nie jest. Postawiona kwestya miała wyraźnie i wyłącznie na celu zdolność mowy pojęciowej, powszechnie zaś przyznają, że zdolność ta nie mogła mieć fazy wcześniejszej, niż faza artykulacji. Jeśli więc przeciwnicy moi utrzymują, że przed ukazaniem się tej fazy nie mogła istnieć istota, pozbawiona mowy, istota prosto się trzymająca, dość inteligentna, by mogła łupać krzemień, lub znacznie przewyższająca wszystkie inne zwierzęta odnośnie

¹⁾ Trudno powiedzieć, ile pierwiastków językowych zostało na tej drodze uformowanych, lecz biorąc pod uwagę, że niema wyrażu nowoczesnego, któryby się dał wyprowadzić z głosów, jakie wydaje żeglarz, gdy ciągnie linę, lub masztelars, gdy czyści konia, musimy wnosić, że liczba takich wyrazów nie może być wielka. Sayce, „Introduction”, str. 110.

do zdolności znakowania wskazującego, której towarzy-
szyły tony wokalne, to oni to właśnie starają się zadana
kwestję przesądzić. Oni bowiem w sposób niczem nie-
uzasadniony twierdzą, że zdolność myślenia pojęciowe-
go jest konieczną na to, aby nawpół pionowo trzyma-
jące się zwierzę przybrało postawę bardziej pionową,
aby zwierzę będące dość inteligentnem mogło uży-
wać kamieni do rozłupywania orzechów i otwierania
skorup mięczaków i nietylko wyszukiwało najbardziej ku
temu odpowiednich kamieni, lecz nadawało im jeszcze
najbardziej odpowiednią ku temu formę; według nich
potrzebne jest tu myślenie pojęciowe, aby zwierzę, ma-
jące już przewagę nad innymi, odnośnie do używania gie-
stów i znaków wokalnych, mogło jeszcze bardziej się roz-
winąć w kierunku tej samej linii psychologicznego udo-
skonalenia ¹⁾). Hypoteza, według której taki znaczny po-
stęp mógł się odbywać stopniowo, aż nakoniec doszedł

¹⁾ Odnośnie do postawy pionowej musimy przypomnieć, że chociaż szympanś i orangutang nie trzymają się pionowo, to jednak inne małpy antropoidalne jak gibbon i goryl przybierają tę postawę, ilekroć posuwają się po płaszczyźnie. Chociaż u goryla przednie kończyny nie dotykają ziemi i chodzenie odbywa się na dwóch nogach, to jednak ciało jego nigdy nie przybiera postawy pionowej; postawę gibona możemy jednak uważać jako zupełnie pionową. (Huxley. „Mans Place in Nature“, str. 36—49). Odnośnie do wyboru kamieni dla narzędzi, Alfred Carpenter opisuje sposób postępowania małp birmańskich. „Skały podczas odpływu morza pokryte są ostrygami. Małpy wybierają kamienie płaskie, które najlepiej odpowiadają celowi i przenoszą je na sam koniec linii najniższego stanu wody, tam właśnie gdzie ostrzygi żyją, na odległość od brzegu, wynoszącą około 80 jardów. Małpy używają najlepszego sposobu otwierania skorup, starają się bowiem rozluźnić obie połowki, uderzając przy osadzie górnej i łamiąc skorupę powyżej miejsca przytwierdzenia mięśni. „Nature“, tom 36, str. 53. Patrz także „Animal Intelligence“ str. 481.

do danego poziomu psychicznego, może być prawdziwą lub fałszywą, ale w żadnym razie nie przesądza kwestyi. Kwestya bowiem nasza polega na tem, czy wyróżniająca zdolność ludzka myślenia pojęciowego różni się od niższej zdolności myślenia pojęciowego gatunkowo, czy też tylko co do stopnia, moja zaś teraźniejsza analiza ma jedynie na celu przypuszczenie, że myślenie poznaniowe mogło się rozwinąć w państwie zwierzęcem do takiego poziomu, jakiego dosięga niemowlę, zaczynające późno mówić¹⁾. Jeśli przeciwnicy moi zechcą wystąpić z zarzutem, że rozumowanie moje odracza tylko kwestyę, to będą oni musieli przypomnieć sobie, że kwestya ta, zgodnie z własnym ich argumentem, wynikła w tem miejscu, gdzie zdolność znakowania wstępuje do służby myśli introspektywnej. Kwestya, jak dalece niższe zdolności umysłowe mogą się rozwinąć oddzielnie (albo jak ja twierdzę: przed) od myślenia introspektywnego jest oczywiście kwestyą zupełnie oddzielną, mogącą tylko być rozwiązana na podstawie obserwacji. Otóż wykazałem już, że w przypadku zwierząt inteligentnych i jeszcze więcej w przypadku dziecka dorastającego, zdolność myślenia poznaniowego może dojść do zadziwiającego stopnia czynności przystosowywanej, bez żadnego udziału zdolności wyłącznie ludzkiej myślenia pojęciowego.

W ogólności zatem, wydaje mi się bardzo prawdopodobnem na zasadzie podstaw psychologicznych wyłącznie, że historia rozwoju inteligencyi w naszej rasie tak dalece podobną jest do historii rozwoju inteligencyi u dziecka dorastającego, że myślenie poznaniowe, jesz-

1) Patrz wyżej część II, str. 180—182.

cze przed ukazaniem się mowy dosięgło wyższego stopnia udoskonalenia, niż u jakiegokolwiek innego zwierzęcia, t. j. doszło do takiego poziomu rozwoju, że istota dorosła, u której rozwój ten się objawia, w zupełności zasługuje na nazwę *Homo alalus*. W następnym tomie wykazę, że wnioski zaczerpnięte z zasad psychologicznych znajdują potwierdzenie w innych wnioskach, wyciągniętych z innego rodzaju faktów. Chciałbym na teraz porzucić tę kwestyę, która jak jeszcze raz powtarzam, niema nic wspólnego z głównym moim argumentem. Gdyż dla mojej teoryi jest rzeczą zupełnie obojętną, czy mowa rozwinęła się wcześniej, czy też później. Przy jakimkolwiek przypuszczeniu, przodkowie nasi, jak tylko doszli do denotacyjnej fazy artykulacyi na drodze, której stronę psychologiczną już wyżej opisaliśmy, dosięgli natychmiast następnej fazy, uogólniając znaki denotacyjne w znaki konnotacyjne. Cały szereg dowodzeń przez nas przytoczonych wykazał nam, że takie uogólnienie stało się nieuniknionem na zasadzie kojarzeń zmysłowych. Innemi słowy, na zasadzie nadmiaru nawet dowodów wykazałem, że dziecko zaczynające mówić a nawet papuga, samodzielnie uogólniają nazwy przedmiotów, które pierwotnie były denotacyjne, stosując je do innych przedmiotów, jeśli za pomocą zmysłów wykryją jakieś podobieństwo pomiędzy niemi. Nie mniej obfite były też dowody, że ten proces uogólniania konnotacyjnego jest wcześniejszym, niż ukazanie się myślenia pojęciowego, t. j. niż proces denominacyi prawdziwej. Granice, do których ta czysta konnotacya poznaniowa może być rozszerzoną, zależne są, jakim to już wykazał, od stopnia rozwoju, do którego doszły zdolności pojmowania czysto poznaniowego. U papugi ten

stopień rozwoju jest bardzo niskim, u psa i małpy jest on znacznie wyższym, (choć na nieszczęście zwierzęta te nie są w stanie artykułacyjnie wykazać swoich pojęć poznaniowych), u dziecka dwuletniego stopień ten jest jeszcze wyższym. Lecz, jakim tego już dowiódł, żaden z moich przeciwników nie jest w stanie w którymkolwiek z tych przypadków odkryć różnicy gatunkowej pomiędzy zdolnościami umysłowymi, tym przypadkom odpowiadającymi. Gdyż wszystkie ich argumenty, zaczerpnięte z psychologii, mogą tylko opierać się na gruncie pojęciowego rozumowania, które ze swojej strony musi stać na gruncie samowiedzy; ta zaś, jak dobrze nam wiadomo, nie istnieje u dzieci, aż dopiero po upływie znacznego czasu od chwili, gdy dziecko samo za pomocą rozumowania poznaniowego rozszerzyło nazwy denotacyjne na konnotacyjne. Ztąd wynika, że racjonalnie nie możemy zakwestyonować, czy ze stanowiska psychologicznego *Homoc sapiens* mógł mieć przodka, który, czy to po części już ludzki, czy też jeszcze małpi, był już w stanie wnieść się z fazy denotacyjnej na wyższy szczebel konnotacji, pomimo, że jeszcze pozbawionym był inteligencji pojęciowej. Ze stanowiska psychologicznego jest rzeczą prawie obojętną, czy znakowanie odbywało się wtedy za pomocą tonów i giestów jedynie, czy też za pomocą dźwięków członkowanych. W każdym razie konnotacja musiała nastąpić po denotacji, aż do punktu, w którym wyższa poznaniowa (przed-pojęciowa) inteligencja takiego przodka była w stanie poznawać proste analogie. Ta możliwość psychologiczna staje się dla innych przyczyn wysoce prawdopodobną, gdy posiadamy świadectwo niezależne,

tyczące się rozwoju cielesnego człowieka z przodków małpich.

Otóż widzieliśmy już, że konnotacya przedpojęciowa dosięga tego, co ja sądem przed-pojęciowym nazwałem. Przymioty lub stosunki tym sposobem konnotowane nie są wprawdzie wyobrażane *jako* przymioty lub *jako* stosunki, lecz przez sam akt takiej klasyfikacyi konnotacyjnej, wyższa poznaniowa inteligencya rzeczywiście orzeka ten sąd. Z tego powodu uważam za prawdopodobne, że wcześniejsze formy takiego orzeczenia faktycznego były te, jakie wyrażały się przez wyrazy pojedyncze. W poprzednim rozdziale napotkaliśmy liczne i zupełnie od siebie niezależne dowody na to, że ta forma tworzącego się orzeczenia, przez długi bardzo czas odgrywała ważną nader rolę w historyi naszej rasy, tak że zostawiła trwałą ślad swego istnienia w budowie wszystkich dotychczas istniejących języków.

Epoka, w której przeważały te wyrazy-zdaniowe, była prawdopodobnie niezmiernie długą i jakieśmy to widzieli nietylko nie była ono wrogą giestykulacyi, lecz w wysokim stopniu musiała przyczynić się do jej rozwoju, podnosząc fazę wskazującą mowy do poziomu pantominy opracowanej. Z tego zespolenia wyrazów-zdaniowych z giestami, powoli zaczęły się rozwijać formy gramatyczne, jak to wiemy ze świadectwa filologii. Lecz na długo przedtem, nim się rozwinęły jakiegokolwiek formy gramatyczne, musiały już objawiać się nieokreślone różniczkowania w materiale protoplazmowym mowy w ten sposób, że niektóre wyrazy-zdaniowe dążyły do tego, aby specjalnie oznaczały przedmioty szczególne, inne zaś do tego, aby oznaczały czynności specjalne, lub też przymioty, stany i stosunki. Ta, jeśli się tak wyrazimy, „struna

pierwotna“, która w następstwie przeznaczoną była stać się kolumną pacierzową mowy członkowanej, składającej się z niezależnych, lecz pomimo to ustosunkowanych „części mowy“, w znacznej części zawdzięcza swój rozwój giestom. Tymczasem jednak sama giestykulacja musiała już otrzymać pewien rodzaj składni początkowej, taką np. która właściwą jest giestykulacyjnym ruchom dziecka, późno mówić zaczynającego ¹⁾). Ten rodzaj składni początkowej musiał koniecznie przejść do rozwijającej się budowy językowej lub wywierać na nią pewien wpływ, przynajmniej o tyle, o ile rzecz tyczy się zasad i porządku zestawiania wyrazów. Co więcej ta wartość sygnalizacyjna zestawiania musiała się potęgować w samej sferze znaków członkowanych. Gdyż jakieśmy widzieli poprzednio, jak tylko wyrazy w jakimkolwiek stopniu stają się denotacyjnymi, to one natychmiast ulegają uogólnieniu konnotacyjnemu ²⁾) i wraz z tem uogólnieniem znaczeń muszą coraz częściej być używane w zestawianiu. Zupełnie niezależnie (jednakże) od wszelkiej dotychczas nieistniejącej jeszcze myśli introspekcyjnej, zewnętrzna „logika wypadków“ musiała stale uwarunkowywać takie zestawianie wyrazów poznaniowo-konnotacyjnych, któreśmy mieli sposobność tak dokładnie obserwować u dorastającego dziecka. Tym sposobem wytworzyły się warunki do trojakiego podziału: na dopełniacza, przymiotnika i czasownika. Podział ten w całej ogólności nastąpił dopiero po upływie długiego szeregu wieków. Podczas tego peryodu, który te-

¹⁾ Patrz Rozdz. XI.

²⁾ Patrz Część I, str. 241—243.

raz rozpatrujemy, nie mogło być mowy o różnicy pomiędzy dopełniaczem a przymiotnikiem, nie mogły też istnieć jakieś czasowniki, jako oddzielne części mowy. Pomimo to jednak już wtedy niektóre znaki denotacyjne używane były jako nazwy szczególnych przedmiotów, inne jako nazwy przymiotów szczególnych i jeszcze inne jako nazwy szczególnych czynności, stanów i stosunków. Te wyrazy-przedmiotowe, wyrazy-przymiotowe, i t. d., których nie możemy jeszcze uważać jako zupełnie zróżniczkowane części mowy, podobne są do wyrazów, znanych nam ze szczebiotu dzieci i które dotychczas jeszcze utrzymują się w obszernych rozmiarach w wielu gwarach niższego rozwoju. Otóż, jak tylko te nazwy denotacyjne otrzymały stałe znaczenia w granicach pewnej gminy, to te z nich, które oznaczały przedmioty, przymioty, czynności, stany i stosunki, musiały z konieczności być zestawiane ze sobą i jak tylko to miało miejsce, utworzyły początkowe lub przed-pojęciowe zdania.

Prawdopodobnie przejście przez te niższe stopnie rozwoju umysłowego wymagało niezmiernie długich peryodów czasu, lecz jeśli sobie przypomnimy nadwyzajną wagność tego rodzaju ewolucyi dla gatunków, które zaczęły działać w tym kierunku, to nie powinniśmy się dziwić, że przeżycie „najzdolniejszego“ naznaczyło wysoką nagrodę na środek prowadzący do tego celu, albo innymi słowy, że zdolność znakowania raz w ruch wprawiona pędziła ku coraz wyższym stopniom udoskonalenia się, tak że wrzędzie ssaków zajęła takie same stanowisko wyłączne, jakie zajmuje zdolność latania nietoperzy. Bez względu jednak na długość czasu, który potrzebnym był prarodnikom naszym dla przechodzenia

z jednej fazy znakowania do drugiej, pewną jest rzeczą, że jak tylko nazwa denotacyjna przedmiotu została zestawioną z taką nazwą przymiotu lub czynności, natychmiast wypowiedzianem zostało zdanie, chociaż umysł był dalekim od tego, aby mógł myśleć o sądzie jako takim, lub też konnotować prawdę jako taką.

Tym sposobem musimy przyjąć, że przy genezie tego, co ja zdaniem przedpojęciowem nazwałem, czynne były dwie zasady odmienne. Pierwsza polegała na naturalnem i nieuniknionem rozszerzaniu wyrazów denotacyjnych na wyrazy konnotacyjne pod wpływem czysto poznaniowego kojarzenia. Druga zasada polegała na niemniej naturalnem i koniecznem zestawianiu samych wyrazów denotacyjnych, przez co stosunek poznaniowo spostrzeżony, został faktycznie, lubo nie pojęciowo orzeczony, jako zachodzący pomiędzy pewnymi przedmiotami, przymiotami, stanami lub stosunkami. Zresztą te sposoby rozwijania musiały się w każdym razie wzajemnie wspierać. Im większemu uogólnieniu konnotacyjnemu ulegały znaki denotacyjne, tem większą musiała też być i ich orzekająca wartość, gdy użyte zostały w zestawieniu; z drugiej znów strony, im częściej znaki denotacyjne używane były w zestawieniu, tem większemu uogólnieniu ulegała ich wartość konnotacyjna.

Nakoniec, wśród tych wszystkich rozumowań hypotetycznych, nie należy zapominać, że filologia dostarcza nam dowodu widocznego, odnośnie do dwóch ważnych punktów. Pierwszy z nich polega na tem, że w pierwotnych słowach-zdaniowych nie było różniczkowania, czyli nie zachodziła żadna różnica pomiędzy podmiotem a orzeczeniem; również przez długi bardzo czas nie było a nawet i teraz jeszcze niema w wielu językach

łącznika; co więcej, nawet czasownik rzeczowny, który wielu z moich oponentów pomieszało z łącznikiem pojawiło się w rozwoju języka bardzo późno.

Drugi punkt polega na tem, że chociaż elementy zaimkowe, czyli równoważniki słowne dla znaków giestowych, wyrażających stosunki przestrzenne należały do najwcześniejszych różniczkowań wyrazowych, to jednak upłynęły długie wieki, nim poraz pierwszy użyto zaimka oznaczającego specjalnie osobę pierwszą ¹⁾. Otóż punkt ten ma, według mnie, znaczenie pierwszorzędnej ważności. Dostarcza on nam bowiem dowodu bezpośredniego na to, że jeszcze długo po tem, kiedy człowiek zaczął już mówić a nawet długo po tem, kiedy już nabył wprawy znacznej w sztuce giestykulacyi, nie przestawał jednak mówić o sobie w formie frazeologii obiektywnej, tak jak dziecko mówi o sobie przed ukazaniem się samowiedzy. Faktu tego należało się spodziewać na zasadzie wyżej wyłożonej analizy teoretycznej; lecz jest jednak rzeczą ważną, że nasze wnioski teoretyczne odnośnie do tego punktu, znalazły takie zupełne i niezależne potwierdzenie w badaniach filologicznych. Jakieśmy to już często zaznaczali, różnica pomiędzy idejami poznaniowemi a pojęciowemi obraca się około braku, lub obecności samowiedzy w zupełnem, czyli introspektywnem znaczeniu tego wyrazu. Widzieliśmy również, że zewnętrzna i widoczna cecha tego wewnętrznego i duchowego uzdolnienia polega na subiektywnem używaniu wyrazów zaimkowych. Jeżeli odnośnie do osobnika nie ulega najmniejszej wątpliwości, że się rzecz

¹⁾ Patrz wyżej Roz. XIV.

tak ma i jeżeli pojawienie się u dziecka dorastającego samowiedzy jest koniecznym warunkiem myślenia pojęciowego, to na zasadzie jakiej logiki możemy twierdzić, że w rozwoju psychologicznym rasy myślenie pojęciowe mogło wyprzedzić samowiedzę prawdziwą? Oczywiście że takie przypuszczenie wtedy tylko jest możliwym, gdy zechcemy odrzucić te zasady psychologii, na których właśnie przeciwnicy moi się opierają. Czy rzeczywiście można twierdzić, że sprawdzian samowiedzy prawdziwej w zastosowaniu do dziecka traci na wartości, gdy chodzi o rasę? Czyż można przypuścić, że jeżeli u dziecka pojawienie się samowiedzy charakteryzuje przejście od frazeologii obiektywnej do subiektywnej, to jednak u rasy przejście analogiczne niema tego znaczenia co u dziecka? Takie przypuszczenie nie tylko byłoby zupełnie dowolnem, lecz stanowiłoby jeszcze zupełną sprzeczność z całą analogią, która wszędzie postępuje równolegle. Musimy zatem uznać jako fakt, że nie możemy uniknąć wniosku, iż w rasie zupełnie tak samo jak i w osobniku rozwój prawdziwej, czyli wewnętrznej samowiedzy z poznaniowej, czyli zewnętrznej, musiał być procesem stopniowym, że przypuszczenie o jej początku poznaniowym nie jest spekulacją rozumowania logicznego, lecz raczej faktem aktualnym, zapisanym i zachowanym w archiwach samej mowy. Tym sposobem kwestya główna, stanowiąca oś niniejszej pracy mojej nie może być dłużej uważaną jako kwestya otwarta. Z dowodami zaczerpniętymi z językoznawstwa, sprawdzaliśmy krok za krokiem wyniki naszej analizy psychologicznej, aż nakoniec dotarliśmy do samego jądra kwestyi i przekonaliśmy się o fakcie decydującym, że zarówno w dzieciństwie świata jak i w dzieciństwie

człowieka pojedynczego odbywało się przejście od zmysłów do umysłu; zarówno w pierwszym jak i w drugim widzimy, że

„As he grows he gathers much
And learns the use of „I“ and „me“
And finds „I am not what I see
And other than the things I touch“.

„So rounds he to a seperate mind
From whence clear memory may begin
As thro' the frame that binds him in
His isolation grows defined.“

(W miarę, jak człowiek rósł, nabywał doświadczenia i nauczył się użycia „ja“ i „mnie“, że nie jest tym, jakim się wydaje i odmiennym od przedmiotów, których się dotyka. Tym sposobem wyrobił się w umysł oddzielny, w którym wyraźna pamięć mogła wziąć początek; dzięki otaczającym go ramkom, odosobnienie jego wyraźnie wystąpiło.)

ROZDZIAŁ XVII.

Ogólne streszczenie i uwagi zakończone.

W pracy ninieszej uważamy jako pewnik teorię rozwoju w takiej formie, w jakiej ją obecnie większość przyrodników przyjmuje. To się znaczy, że przyjmują doktrynę pochodzenia w zastosowaniu jej do całej natury organicznej, morfologicznej i psychologicznej z jedynym wyłączeniem człowieka. Co więcej, akceptują nawet tę doktrynę odnośnie i do człowieka, o ile rzecz dotyczy się jego organizacyi cielesnej; jeśli bowiem zachodzi jakiś wyjątek, to on może się tylko odnosić do ducha ludzkiego. Wyjątek ten zatrzymują jedynie przez wzgląd na to nader szczupłe grono ewolucjonistów, którzy twierdzą, że pomimo, iż godzą się na teorię pochodzenia w zastosowaniu do organizacyi cielesnej, to jednak mają bardzo uzasadnione powody przypuszczać, że nie daje się ona zastosować do ducha ludzkiego.

Wychodząc z takiego założenia jako z podstawy całego rozumowania, rozpatrzmy rzecz ze stanowiska apriorycznego. Jeżeli zgodnie z naszym założeniem przyjmiemy, że proces rozwoju, organicznego i umysłowego był nieprzerwanym w całej dziedzinie życia i ducha, z jednym wyjątkiem ducha ludzkiego, to na zasadzie nadzwyczaj obszernej analogii musi się nam z góry

wydać nieprawdopodobnem, aby proces rozwoju, który wszędzie był tak jeduścainym i powszechnym, doznał nagle przerwy w swojej fazie końcowej. Ta wątpliwość aprioryczna znajduje silne poparcie w fakcie niewątpliwym, tyzącym się indywidualności osobnika ludzkiego a mianowicie w fakcie, że duch ludzki przedstawia się obserwacyi rzeczywistej, jako proces rozwoju stopniowego, ciągnącego się nieprzerwanie od dzieciństwa do dojrzałości zupełnej. Przekonałiśmy się bowiem, że na drodze doświadczałnej doszliśmy do wniosku, iż bez względu na możliwy początek lub historję rozumu ludzkiego w przeszłości, rozum ten, tak jak on się nam dziś przedstawia, albo raczej tak, jak go obserwujemy w każdym osobniku, nie wykazuje wyjątku żadnego od ogólnego prawa rozwoju. Niezaprzeczenie przedstawia on nam stopniowy wzrost, począwszy od poziomu zera i gdyby tego wzrostu nie było, nie mielibyśmy żadnego dowodu o jego stawaniu się. Co więcej, podczas przechodzenia przez niższe fazy rozwoju, umysł ludzki wznosi się po szczeblach zdolności, które idą równolegle ze zdolnościami stale obserwowanymi w tak nazwanych przezemnie gatunkach psychologicznych królestwa zwierzęcego. Ten fakt powszechny, który silnie przemawia za tem, że w każdym razie do chwili ukazania się wyłącznie ludzkich zdolności myślenia, nie można odnaleść różnicy gatunkowej pomiędzy psychologią ludzką a zwierzęcą. Nakoniec nietylko w osobniku, lecz jeszcze i w rasie rozwój umysłowy jest widoczny a przynajmniej tak daleko, jak daleko sięgają dzieje rasy naszej. Zarówno historia jak i podania, zarówno pozostałości starożytne, jak i narzędzia krzemienne dostarczają nam dowodu wzrostu wstępującego, który jest

charakterystycznym zarówno dla tych przymiotów dodatkowych, któremi duch ludzki przewyższa wszystkie inne gatunki zwierzęce, jak też i dla tych przymiotów, które są wspólne zwierzętom i człowiekowi. Wypada ztąd, że jeżeli proces rozwoju umysłowego doznał przerwy u istot pośrednich pomiędzy małpami antropoidalnymi i człowiekiem pierwotnym, to takowy musiał na nowo się pojawić z ukazaniem się człowieka pierwotnego, poczem proces ten u ludzi musiał się odbywać z tą samą ciągłością, z jaką się odbywał u zwierząt. Lecz przypuszczenie takie jest co najmniej nieprawdopodobnem. Prawo ciągłości znajduje zastosowanie po obu stronach przedziału psychologicznego, o którym z konieczności brak nam wskazówek historycznych. Pomimo to jednak każą nam wierzyć, że właśnie w tym przedziale miało miejsce pogwałcenie owego prawa, pomimo, że taki wypadek nigdy nie miał miejsca w przypadku ducha człowieka pojedynczego.

Dla usunięcia tego ważnego zarzutu przeciwko twierdzeniu przeciwników moich, opartemu jedynie na rozważaniach apriorycznych, mojem zdaniem, trzeba przytoczyć jakieś ważne i dodatkowe zasady aposterioryczne, któreby wykazały, że w konstytucyi ducha ludzkiego tkwi coś, co czyni niemożliwem przypuszczenie, aby taki rodzaj egzystencji umysłowej mógł się rozwinąć z umysłów rzędu niższego drogą pochodzenia genetycznego. W tym celu przystępuję do rozważania argumentów, które przytaczano na potwierdzenie tej ostatniej tezy. W celu jaśniejszego wyświetlenia różnic, na których te argumenty się opierają, zrobiłem krótki przegląd podobieństwa, zachodzącego pomiędzy duchem człowieka i duchami niższego rzędu. Widzieliśmy przy-

tem, że o ile rzecz tyczy się wzruszeń, nie może być mowy o różnicy gatunkowej. Okazało się, że cały szereg wzruszeń ludzkich napotyka się też i u zwierząt, z wyjątkiem tych, które zależne są od wyższych zdolności umysłowych człowieka, t. j. z wyjątkiem tych, które odnoszą się do religii i postrzeżenia rzeczy wzniosłych. Wszystkie zaś inne, których w spisie moim figuruje przeszło dwadzieścia napotykają się też i u zwierząt a chociaż wiele z nich nie jest tak wysoko rozwinięte, jak u człowieka, to ta różnica niema głębszego znaczenia, gdy chodzi o różnicę gatunkową. Podobieństwo ogólne pomiędzy życiem wzruszeniowym w obu razach, szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę niemowlęta i ludzi dzikich, jest tak zadziwiająco wielkiem, że możemy je śmiało uważać, jako dowód bezpośredni genetycznej pomiędzy nimi ciągłości. Tak samo rzecz się ma z instynktem. Chociaż bowiem instynkt w wyższym stopniu napotyka się u zwierząt, niż u ludzi, to jednak nikt nie zechce kwestyonować tożsamości instynktów, wspólnych ludziom i zwierzętom. I oto właśnie nam chodziło. Co się znowu tyczy woli, to nie można znaleźć żadnego argumentu przeciwko tożsamości zwierzęcej i ludzkiej woli, aż do chwili, gdy ta ostatnia nabywa przymiotu wolności, która atoli pod każdym względem zależną jest od zdolności umysłowej myślenia introspektywnego. Pozostają zatem tylko te zdolności myślenia introspektywnego z dodatkiem moralności i religii. Otóż jest rzeczą widoczną, że bez względu na znaczenie, jakie przypisujemy tym dwom czynnikom, musimy przyznać, że konieczny warunek ich pojawienia się tkwi w zdolności myślenia introspektywnego. Bez zdolności umysłowych, mogących wytwarzać pojęcia abstrakcyjne religii i mo-

ralności, pojęcia te są niemożliwe. Postąpimy sobie zatem logicznie, rozpoczynając rozważania nasze od tych zdolności. W następnych tomach pracy naszej obszerniej się zastanowię nad moralnością i religią; w bieżącej zaś części zajmę się wyłącznie intelektem.

W nim, jakim to już zaznaczył, tkwi wszelka różnica psychologiczna. Lecz i tu nawet przyznać musimy, że pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem do pewnego stopnia zachodzi nie tylko podobieństwo gatunkowe, lecz nawet odpowiedniość identyczna.

Tak więc niema wątpliwości, że tak samo jak wzruszenia, instynkt i wola, duch ludzki postępuje równolegle do ducha zwierzęcego aż do punktu, w którym występują na scenę dodatkowe zdolności rozumu. Wobec tego widzimy, że fakty psychologii porównawczej upoważniają nas do twierdzenia, że i te zdolności dodatkowe zawdzięczają swój początek procesowi rozwoju ciągłego.

Tyle o zgodności pomiędzy psychologią ludzką i zwierzęcą. Jeśli zaś teraz zwrócimy się do punktów, odnośnie do których obie fizyologie się różnią, to spotykamy się z twierdzeniami, które są albo wprost błędne, albo też nie wytrzymują głębszej krytyki. Z tego to powodu musimy *in toto* odrzucić następujące różróżniania: że zwierzęta są machinami mówiącymi, że nie zdradzają najmniejszego śladu rozumu, gdy chodzi o postrzeganie podobieństw i wyprowadzanie z nich wniosków, że nie znają zasady nieśmiertelności, że nie wykazują żadnego postępu w ciągu pokoleń po sobie następujących, że zwierzęta nigdy nie trudniły się handlem zamiennym,

że nigdy nie wzniecały ognia, nigdy nie nosiły odzieży, nigdy nie używały narzędzi rolniczych, i t. p.

Z wyżej podanych rozróżnień, te z nich, które nie są błędami faktycznymi, są conajmniej fałszywe pod względem logicznym. Czy zwierzęta mają, czy też nie mają zasady nieśmiertelności duszy i czy zasada ta jest powszechnie znaną, tego nauka psychologii porównawczej z pewnością powiedzieć nie może, z tego to powodu wszystkie dalsze rozumowania do tego przedmiotu się odnoszące, nie mają dla nas żadnej wartości. Fakt znowu, że zwierzęta nie noszą sukien, nie wydobywają ognia, i t. d. jest wynikiem braku u zwierząt tych zdolności tworzenia idei wyższych, które jedynie są w stanie dojść do takich rezultatów na drodze czynności umysłowej.

Takie różnice faktycznie są szczególnymi przypadkami kwestyi ogólnej o naturze różnicy pomiędzy dwoma rodzajami formacyi idei. Musimy się zatem przedewszystkiem zająć tą kwestyą. Odnośnie do tej kwestyi dowiodłem *in limine*, że trzej znakomici przyrodnicy, którzy twierdzą, iż zachodzi różnica gatunkowa pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, pomimo, że wszyscy trzej zgodni są w zdaniu, iż różnica ta da się wykryć tylko na zasadach psychologicznych, są jednak w sprzeczności ze sobą odnośnie do tych zasad. Gdy bowiem Mivart twierdzi, że istnieje różnica gatunkowa dlatego, iż przedział psychologiczny pomiędzy najwyższą małpą a najniższym człowiekiem jest tak bardzo znacznym, wyprowadza Wallace ten sam wniosek z argumentu, że powyższy przedział nie jest tak wielkim, jak tego można się było spodziewać według teoryi rozwoju naturalnego; uczony ten twierdzi, że mózg człowieka dzi-

kiego jest narzędziem zbyt skutecznem dla umysłu, który nim kieruje, tak że obecność jego da się tylko wytłumaczyć tem, iż stanowi on przygotowanie dla wyższych czynności życia, które w następstwie przejawiają się u człowieka ucywilizowanego. Następnie prof. Quatrefages występuje przeciwko obu przyrodnikom angielskim, dowodząc, że odnośnie do zdolności umysłowych zachodzi oczywista tożsamość pomiędzy inteligencją zwierzęcą i ludzką, zarówno w stanie dzikim, jak i w stanie ucywilizowanym; prawdziwa różnica, według niego, występuje tylko w dziedzinie moralności i religii.

Wypada ztąd, że jeżelibym opinię moją miał wydać na zasadzie twierdzeń powag naukowych, to sądy moich najpoważniejszych przeciwników musiałbym uważać jako wzajemnie się zroszące a tem samem, jako niemające żadnej wartości wobec nadzwyczajnej wagi zupełnie ze sobą zgodnych mniemań powag strony przeciwnej.

Lecz odrzucając wszelką powagę, przystępuję do zbadania tej kwestyi *de novo*, opierając się wyłącznie na podstawie jej własnej wartości. W tym celu musiałem rozpocząć rzecz moją od nudnego nieco rozbioru idei i doszedłem do następującej klasyfikacyi ich:

1. Prosta pamięć postrzeżeń, czyli ślad obrazów umysłowych wrażeń zmysłowych przeszłych. Są to idee, które według terminologii Locke'a możemy nazwać prostemi, szczegółowemi lub konkretnemi. Nikt obecnie nie wątpi, że takie idee wspólne są ludziom i zwierzętom.

2. Wyższa klasa idei, które według mniemania powszechnego są także wspólne ludziom i zwierzętom a mia-

nowicie te, które Locke nazwał złożonemi, zespolonemi, lub mieszanemi. Są one czemś więcej, niż prostemi wspomnieniami postrzeżeń szczegółowych; powstały one ze słączenia się ze sobą wspomnień prostych a zatem stanowią połączenie, którego elementami, czyli częściami składowemi są owe „ideje szczegółowe“. Na zasadzie prawa kojarzenia, ideje szczegółowe, które są do siebie podobne same przez się, albo też te, które często w doświadczeniach występują razem, dają do zlania się ze sobą w jedną całość; zupełnie tak samo jak w „fotografii złożonej“ płyta czuła zdolną jest połączyć w jeden obraz wszystkie obrazy pojedyncze, mniej lub więcej do siebie podobne, tak też czuła tabliczka umysłu jest w stanie z pojedynczych lub szczegółowych idej utworzyć związek, który ja *ideją rodzajową* nazwałem. Otóż taka idea rodzajowa różni się od innej idei, którą zwykle nazywają ogólną (tę ideę rozpatrywać będziemy w innym rozdziale) tem, że chociaż obie powstały z prostszych elementów składowych, to jednak pierwsza z nich powstaje niejako samorzutnie, automatycznie, prosto na zasadzie kojarzeń zmysłowych, gdy druga może tylko powstać pod wpływem świadomie zamierowej czynności ducha, skierowanej ku własnemu myśleniu, poznaniem jako takie. Czynność tę psychologowie nazywają pojmowaniem a wytwór tej czynności nazywają pojęciem. Widzimy ztąd, że pomiędzy dziedziną postrzeżeń i pojęć, rozciąga się obszerna terytoryum pośrednie, należące do rodzaju myślenia, które obejmuje nazywane przezemnie ideje rodzajowe, czyli *poznania*. Poznanie zatem różni się od postrzeżenia tem, że ono jest związkiem wyobrażeń umysłowych, wymagających ugrupowania porządkowego obrazów prostszych na zasa-

dzie doświadczeń przeszłych; różni się zaś ono od pojęcia tem, że ugrupowanie w niem należy jedynie od niezamiarowej, automatycznej czynności umysłu postrzegającego. Poznanie, czyli idea rodzajowa *udzieloną* zostaje umysłowi zewnętrzną *logiką wypadków*, idea zaś ogólna, czyli pojęcie *utworzoną* zostaje przez umysł świadomie, gdy ten dąży ku opracowaniu wyższemu swoich idei. Krótko się wyrażając, możemy powiedzieć, że poznanie się *otrzymuje* (poznaje biernie), gdy pojęcie *pojmujemy* (czynnie).

3. Najwyższą klasę idei stanowią te, które psychologowie jednomyślnie odmawiają zwierzętom, te idee zatem należy uważać jako stanowiące wyłączną własność człowieka. Są to idee ogólne, abstrakcyjne Locke'a, albo też pojęcia, o których wyżej wspomnieliśmy. Jakieśmy widzieli, różnią się one od poznań a tem bardziej od postrzeżeń tem, że one same są przedmiotem rozmyślań. Innemi słowy, umysł ludzki ma tę osobliwość, że może romysłać nad własnem idejami, jako takiemi, może je świadomie kombinować i opracowywać, w celu zamiarowego wytworzenia wyższych produktów z mniej rozwiniętych części składowych. To ciekawe uzdolnienie według powszechnego mniemania psychologów, zależnem jest od zdolności samowiedzy, mocą której umysł jest w stanie wyobrazić siebie, jako stojącego niejako zewnątrz siebie, uczynić jedne swoje stany obiektywnemi dla innych i tym sposobem rozmyślać nad własnemi ideami, jako takiemi. W tem miejscu nie zajmujemy się filozofią tego faktu, lecz jego historią. Zkąd pochodzi możność tej zdolności samowiedzy, czem jest to, co jednocześnie może być przedmiotem i podmiotem myśli, czy w ogóle głębia niezmierna osobistości da się kie-

dyś zgruntować, czy też nie, te i tym podobne pytania są zupełnie obce niniejszej mojej pracy. Teraźniejsze zadanie nasze redukuje się do analizowania warunków, z których powstaje ta osobliwość umysłu, jako fakt dostępny dla obserwacji; możemy się teraz zająć historią tego procesu i rejestrowaniem wyników ztąd wypływających. Otóż widzieliśmy, że odnośnie do tego punktu, zachodzi zupełna zgodność zdań a mianowicie, że możliwość samowiedzy uwarunkowaną jest zdolnością mowy. Bez względu na to, czy przyjmiemy, że te dwie zdolności stanowią jedną całość, że jedno bez drugiej istnieć nie może, że zatem za przykładem greków możemy obie oznaczyć jednym mianem Logos, czy też, że obie są zdolnościami odmiennymi; pewną jest rzeczą, iż według wyników psychologicznych ustalenie osobistości samoświadomej w granicach doświadczenia ludzkiego jest zupełnie niemożliwem bez pomocy mowy.

Jak daleko sięgają nasze wiadomości naukowe pewną jest rzeczą, że tylko za pomocą mowy umysł jest w stanie tak dobrze ustalić i tak dokładnie określić własne swoje ideje, aby w następstwie mógł nad nimi rozmyślać, jako nad takowemi. Tylko w skutek nadawania idejom nazw, staje się możliwą zdolność myślenia pojęciowego, jak to obszernie rozwinęliśmy rzecz tę w rozdziale IV. Taką to jest klasyfikacya idei i nie sądzę, aby ona mogła wywołać spory, gdyż nie jest ona niczem innym, jak systematycznym uporządkowaniem szeregu faktów, odnośnie do których pisarze szkół różnych w głównych punktach są zgodni ze sobą. Otóż jeśli ta klasyfikacya idei będzie przyjętą, to kwestya nasza zredukuje się do zdolności mowy. Z tego to powo-

du zajmowałem się tą zdolnością bardzo obszernie i poświęciłem jej kilka rozdziałów. Przedewszystkiem wykazałem, że w ogólniejszem znaczeniu „mowa“ oznacza zdolność znakowania. Następnie przyjąłem „kategorie językowe“ Mivarta, które z małym dodatkiem dają odrazu dokładną i wyczerpującą klasyfikację każdej czynności cielesnej, lub duchowej, do której wyraz powyższy (mowa) może być zastosowanym. Takich kategorii jest siedm, z których sześć wspólnych jest ludziom i zwierzętom. Siódma jednakże, według twierdzeń moich przeciwników, jest tylko człowiekowi właściwą. Innemi słowy, przyznają powszechnie, że zwierzęta przedstawiają to, co można nazwać zarodkiem zdolności znakowania, lecz jednocześnie zaprzeczają im zdolności wykonywania, w najniższym nawet stopniu znaków natury intelektualnej, t. j. takiego rodzaju, które polegają na nadawaniu nazw, będących znakami dla idei. Przyjmują, że zwierzęta mogą wzajemnie udzielać sobie znaki a także i człowiekowi, w celu wyrażenia swych idei, lecz jednocześnie odmawiają zwierzętom możności nadawania nazw takim idejom za pomocą giestów, tonów, lub wyrazów. W celu sprawdzenia tego przypuszczenia, podałem cały szereg przykładów, mających na celu wykazać, do jakiego poziomu wznosi się zdolność znakowania u zwierząt, następnie rozważałem język tonów i giestów, tak jak się objawia u człowieka, dalej badałem zjawiska artykulacyj, stosunki tonów i giestów do wyrazów, nakoniec wyłożyłem psychologię mowy. Nie chcąc zbyt znacznie przeciążać niniejszego streszczenia, pominię podrzędne wyniki tej analizy. Główny rezultat moich badań był ten, że język naturalny tonów i giestów wszędzie, gdzie występuje, jest identyczny; lecz nawe

i wtedy, gdy staje się konwencyonalnym (jak to do pewnego stopnia może mieć miejsce u zwierząt) jest on mniej skutecznym, niż język członkowany, gdy ma służyć jako środek konstrukcyi idej. Wypada ztąd, że linię demarkacyjną psychologiczną pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem należy przeprowadzić nie przy języku lub znakowaniu w ogóle, lecz przy tym szczególnym rodzaju znakowania, który nazywamy „mówieniem“. Pomimo to jednak różnica prawdziwa tkwi w zdolnościach umysłowych, nie zaś w ich symbolach. Innemi słowy, chociaż starałem się dowieść, że artykulacya w wysokim stopniu musiała się przyczynić do rozwoju tych zdolności umysłowych, to jednak zwróciłem wyraźnie uwagę na to, że jak tylko zdolności odpowiednie umysłowe istnieją, to wtedy już jest rzeczą psychologicznie obojętną, czy one wyrażają się za pomocą giestów, czy też za pomocą mowy. W każdym razie różnica psychologiczna pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem polega na tem, że tylko człowiek jest w stanie *pomyśleć zdanie* i rodzaj aktu umysłowego, który do tego jest potrzebnym, nazywa się technicznie „sądem“. Orzeczenie, czyli wypowiedzenie zdania, za pomocą giestu, tonu, mowy, lub pisma, jest niczem innym, jak wyrażeniem sądu a sąd jest niczem innym, jak zrozumieniem znaczenia, wyrażonego przez zdanie.

Odnosnie do tego wszystkiego, jestem w zupełnej zgodzie z moimi przeciwnikami, którzy rozumieją psychologię tego przedmiotu. Co więcej, przyznają oni, że gdy przepaść, otwierająca się przed nami wobec zdania, zostanie przebyta, to nowych trudności już nie będziemy mieli. Gdyż wszyscy zgadzają się na to, że, poczynając od sądu najprostszego, który uformować

możemy a zatem od zdania najprostszego, umysł ludzki nieprzerwanie wznosi się przez wszystkie stopnie doskonałości, które w następstwie objawia. Musieliśmy więc przedewszystkiem starannie zbadać psychologię orzeczenia. Wynikiem naszej analizy był wniosek, że wyłącza zdolność ludzka, o którą nam tu chodzi, objawia się w rzeczywistości daleko wcześniej, niż wtedy, gdy umysł jest w stanie uformować zdanie formalne „A jest B“. Objawia się ono tam, gdzie umysł jest w stanie nadać nazwę, uznaną jako taką, t. j. nazwać $A - A$ i $B - B$ ze świadomością, że tak czyniąc wykonywa akt klasyfikacji pojęciowej. Jeśli zatem nie chcemy uogólnić znaczenia wyrazu „sąd“ w taki sposób, aby on obejmował ten akt mianowania pojęciowego (który też obejmuje akt wyrażania stosunku pomiędzy rzeczami, pojęciowo mianowanymi), to musimy wnosić, że „najprostszym elementem myśli“ nie jest sąd, lecz pojęcie. Nie mamy potrzeby bliżej się zastanawiać nad dowodami tego twierdzenia, gdyż w ciągu całej naszej pracy wykazałem już dostatecznie, że dowód mój wyłącza wszelkie możliwe zarzuty.

Tym sposobem znowu stajemy wobec naszego różniczenia pierwotnego pomiędzy pojęciem a poznaniem. Lecz teraz jesteśmy w możności wykazać, że tak samo jak odnośnie do wyprowadzania „wniosków“, tak też i odnośnie do znakowania jest rodzaj myślenia, polegający na poznaniach, i rodzaj, opierający się na pojęciach. Bardziej szczegółowo się wyrażając, możemy powiedzieć, że nawet i przy tym rodzaju znakowania, który polega na nadawaniu nazw, może wchodzić w grę myślenie poznaniowe, bez żadnego udziału myślenia pojęciowego. Innymi słowy, że są różnego

rodzaju nazwy. Nie każda nadana nazwa musi koniecz-
nie być wyrażeniem pojęcia, zupełnie tak samo jak
nie każdy sąd musi koniecznie być wynikiem myśli sa-
moświadomej. Nietylko dzieci przed dojściem do fazy
myślenia samoświadomego, lecz nawet ptaki gadające
mianują zwykle przedmioty, przymioty, czynności i sta-
ny. Pomimo to jednak po przytoczeniu licznych przy-
kładów, starałem się wykazać, że z tego faktu nie
można wyprowadzić żadnych wniosków poważniejszego
znaczenia. Fakt, że młode dzieci i ptaki gadające są
w stanie nauczyć się nazw przedmiotów, przymiotów
i t. d. przez naśladownictwo, a nawet wynajdywać na-
zwy pomysłu własnego, niema ze stanowiska psycholo-
gicznego znaczenia większego, niż fakt, że zarówno
dzieci, jak i ptaki gadające używają giestów lub tonów
wokalnych dla wyrażania prostej logiki swoich poznań.
Pomimo to jednak należało koniecznie w jakikolwiek
sposób odróżnić ten niepojęciowy rodzaj mianowania
od tego rodzaju, który właściwy jest człowiekowi po
jego dojściu do samowiedzy, kiedy człowiek nietylko
jest w stanie mianować, lecz jeszcze *wiedzieć*, że *mia-
nuje*, nietylko jest w stanie nazwać $A - A$, lecz jeszcze
pomyśleć, że A jest jego symbolem dla A . Dla ustano-
wienia tego rozróżnienia wprowadziłem wyraz *denotacya*
dla zdolności nadawania nazw rodzaju *poznaniowego*;
wyrazu zaś *denominacya* używam dla zdolności miano-
wania natury pojęciowej. Gdy papuga nazywa psa *Bau-
wau* (czego może się ona tak samo nauczyć jak i dziec-
ko), to możemy wtedy powiedzieć, że pod pewnym
względem ona nadaje nazwę psu. Lecz widocznie, że przy
tem mianowaniu nie ona nie *orzeka* o własnościach i ce-
chach psa, ani też nie wykonywa żadnego aktu *sądzenia*

odnośnie do psa, jak to czyni np. przyrodnik, gdy nazwą *Canis* oznacza pojęciowo, że zwierzę należy do pewnego gatunku zoologicznego. Chociaż papuga wyraz *Bauwan* wymawia tylko wtedy, kiedy widzi psa, to jednak fakt ten przypisują prawom kojarzenia, działającym wyłącznie w sferze poznaniowej, nie przedstawia on żadnego śladu nawet powodu do przypuszczenia, aby ptak kiedykolwiek myślał o psie, jako o takim, albo żeby przedstawiał umysłowi swojemu pojęcie „pies“, jako oddzielny przedmiot myśli. Wynika ztąd, że żaden z moich przeciwników nie będzie w stanie zaprzeczać, że w pewnym znaczeniu mogą być nazwy bez pojęć. Już to jako giesty, już też jako wyrazy (giesty wokalne) mogą one być znakami dla rzeczy, nie przedstawiającemi najmniejszego śladu wartości orzekającej. Nie chcąc przesądzać sprawy moich przeciwników i chcąc wyraźnie określić pole dyskusyi, ja właśnie wprowadziłem rozróżnienie pomiędzy nazwami poznaniowymi a pojęciowymi, czyli pomiędzy nazwami denotacyjnymi a denominacyjnymi. Wprowadziwszy to rozróżnienie wykazałem dalej, że oba rodzaje nazw mogą być uogólnione konnotacyjnie, a mianowicie nazwy denotacyjne w sferze poznaniowej i denominacyjne w sferze pojęciowej. Znaczy to, że gdy jakąś nazwę zastosowano do jednej rzeczy, to z czasem nazwa ta może być uogólnioną dla innej rzeczy, którą uznano jaką należącą do tej samej klasy lub rodzaju. Stopień, którego dosięgnąć może takie konnotacyjne uogólnienie nazw zależy ostatecznie od stopnia, w jakim umysł może rozpoznawać podobieństwa lub analogie. Więc proces ten może dalej sięgać w sferze pojęciowej, niż w sferze poznaniowej. Atoli ważną jest okoliczność, że takie uogólnienie w pewnych grani-

cach ma niewątpliwie miejsce w sferze ostatniej. Można było zresztą tego się spodziewać. Z długiego bowiem szeregu faktów o poznaniowej inteligencji zwierząt, przytoczonych przezemnie, aż nadto widać, że na długo przedtem, nim maszyna rozróżniająca pojęcia przyszła w pomoc umysłowi, ten ostatni był już w stanie wznieść się do wysokiego poziomu rozróżniania pomiędzy podobieństwami lub analogiami, posiłkując się jedynie zdolnością poznaniowego rozróżniania. Jest zatem koniecznem, aby nazwy niepojęciowe, czyli denotacyjne ulegały uogólnieniu konnotacyjnemu, rozumie się w granicach wskazanych przez samą zdolność rozróżniania pozaaniowego. Fakty wykazały nam, że rzeczywiście tak się dzieje. Ptak gadający uogólnia swoją nazwę denotacyjną od psa szczegółowego do jakiegokolwiek innego psa, którego przypadkowo zobaczy; młode dziecko jeszcze dalej się posuwa w tem uogólnieniu nazw denotacyjnych, tak że tą nazwą obejmie obrazy a nawet rysunki psów. Gdyby inteligencya poznaniowa papugi była nieco więcej rozwiniętą, niż nią jest w rzeczywistości, to nie ulega kwestyi, że onaby to samo uczyniła. Jedynej przyczyny, dla której papuga pod tym względem odstaje od dziecka, szukać należy w tem, że jego inteligencya poznaniowa nie jest dostatecznie rozwiniętą, aby mogła dopatrzeć się podobieństwa pomiędzy obrazami, rysunkami i przedmiotami, które te obrazy lub rysunki przedstawiają. Lecz inteligencya poznaniowa psa jest wyższą, niż inteligencya papugi i dla tego niektóre psy są w stanie rozpoznawać takie podobieństwa. Jeżeliby zatem psy, podobnie jak papugi, były przypadkowo w stanie używać mowy członkowanej a tem samem posługiwać się nazwami denotacyjnymi, to nie

ulega najmniejszej wątpliwości, że one odnośnie do konnotacyjnego wyrażania dotrzymałyby kroku dziecku dorastającemu na odległość większą, niż to czynią te zwierzęta, które przedstawiają tylko warunki anatomiczne, potrzebne do naśladowania dźwięków członkowanych. Lecz psy i małpy w wysokim stopniu są uzdolnione do *erozumienia* tych dźwięków, znaczy to, że one są w stanie nauczyć się znaczenia bardzo znacznej liczby tych nazw denotacyjnych, jako też i ich uogólnień konnotacyjnych. Wynika ztąd, że gdyby tylko były w stanie *naśladować* te dźwięki w sposób właściwy papugom, to jest rzeczą pewną, że oneby znacznie wyprzedziły papugę odnośnie do konnotacji poznaniowej.

Nie trzeba jednak sądzić, abyśmy byli skazani na ten przypadek hypotetyczny. Dorastające dziecko bowiem rozjaśnia nam tę kwestyę i to w sposób nie mniej przekonujący, niż przypadek tyżący się małpy lub psa gadającego. Bez popełnienia samobójstwa, żaden z moich przeciwników nie może twierdzić, że jeszcze przed wiekiem, kiedy samowiedza zaczyna świtać, dziecko już jest zdolnem do konnotacji pojęciowej, lecz z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że jeszcze przed tym wiekiem ma miejsce ciągły wzrost konnotacji, która, zaczynając się od poziomu wspólnego z małpami, dochodzi do fazy, w której możliwa jest konstrukcja tego, co ja zdaniami poznaniowemi nazwałem, prawdziwą naturę których wyjaśnię w późniejszym ustępie. Dowody, które przytoczyłem na to uogólnienie konnotacyjne nazw denotacyjnych przez dzieci, będących w wieku, nim się jakakolwiek świadomość objawia, a zatem przed *ukazaniem się prawdziwego warunku, koniecznego przy myśleniu pojęciowem*, są, według mnie, aż nader przeko-

nywające. Nie widzę, w jaki sposób przeciwnicy moi mogliby obalić moje argumenty, chyba, że nie zechcą uwzględnić rozróżnienia pomiędzy konnotacją poznaniową a pojęciową. Lecz tak czyniąc, dają oni całej sprawie za wygraną. Gdyż albo jest takie rozróżnienie pomiędzy konnotacjami, albo go niema. Jeżeli niema różnicy, to cała argumentacja się kończy, zwierzę i człowiek należą do jednego gatunku. Lecz przypuszczam, że taka różnica istnieje i że tkwi ona tam, gdzie ją umieścili moi przeciwnicy, mianowicie różnica ta zależy od obecności lub braku samowiedzy w umyśle, który nadaje nazwę. Albo, wracając się do mojej terminologii, możemy powiedzieć, że chodzi o rozróżnienie pomiędzy denotacją a denominacją. W celu zbadania tego rozróżnienia należało koniecznie rozróżnić pomiędzy najwyższym poziomem myślenia poznaniowego, którego dosięga którekolwiek z żyjących obecnie zwierząt a temi dalszemi stopniami rozwoju myślenia poznaniowego, jakie obserwujemy u dziecka dorastającego, gdy ono odłącza się od wszystkich zwierząt, lecz nim jeszcze dosięga najniższego nawet stopnia myślenia pojęciowego, t. j. jeszcze przed ukazaniem się samowiedzy. Te podporządkowe rozróżnienia oznaczyłem wyrazami „poznania niższe“ i „poznania wyższe“. Wprowadziłem też rozróżnienie pomiędzy „pojęciami niższymi“ a „pojęciami wyższymi“, rozumiejąc przez pierwsze mianowanie pojęciowe poznań a przez ostatnie mianowanie podobne innych pojęć. Stosownie do tego otrzymaliśmy cztery obszernie po sobie idące dziedziny: 1) Dziedzina poznań niższych obejmująca psychologię zwierząt obecnie żyjących i bardzo młodych dzieci. 2) Dziedzina poznań wyższych, obejmująca obszar psychologiczny

między poznaniem zwierząt i pierwszym światem samowiedzy u człowieka. 3) Dziedzina pojęć niższych, która zajmuje się tylko samoświadomością mianowaniem poznaniowem. 4) Dziedzina pojęć wyższych, która zajmuje się klasyfikacją świadomą innych pojęć znanych jako takie, jakoteż mianowaniem świadomością zespołu idei, które się ztąd otrzymują.

Jeżeli to jest prawdą odnośnie do mianowania, to musi też być prawdą, odnośnie do czynności sądenia. Jeżeli istnieje faza przedpojęciowego mianowania (denotacya), to musi też być faza przedpojęciowego sądu, którego wyrażeniem jest właśnie takie mianowanie. Pojmuję, że ściśle rzeczy biorąc, należałoby wyraz „sąd“ zachować dla myślenia pojęciowego (denominacyi), lecz dla uniknięcia niewłaściwego powiększenia liczby wyrazów, zdecydowałem się zachować istniejący już wyraz „sąd“. Tak przecież i dotychczas robili psychologowie, mówiąc o sądach intuicyjnych, mających miejsce nawet przy aktach postrzeżeń. Cała moja inowacya redukuje się do wprowadzenia dwóch nowych klas niepojęciowego sądenia, a mianowicie niższego i wyższego poznaniowego sądenia, albo krócej sądenia poznaniowego i sądenia przedpojęciowego. Jeżeli można mówić o sądzie intuicyjnym „nieświadomym“ lub „postrzeżeniowym“, (gdy np. przez pomyłkę bierzemy kulę za koło), to tembardziej można mówić o sądzie poznaniowym, (gdy np. ptak wodny śmiało opuszcza się ze znacznej wysokości na wodę, nie robi zaś tego na lądzie), lub o sądzie przedpojęciowym (gdy np. młode dziecko uogólnia nazwę denotacyjną bez wszelkiej denominacyi pojęciowej). Wszystkiego zatem razem mamy cztery fazy myślenia, do których wyraz „sąd“ może być zasto-

sowanym literalnie lub metaforycznie, mianowicie fazy: postrzeżeniową, poznaniową, przedpojęciową i pojęciową. Ta ostatnia jest sądem we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Nie twierdzę, że zwierzę rzeczywiście sądzi, gdy ono bez wszelkiej myśli samoświadomej zestawia razem niektóre reminiscencye w formie poznań i tłomaczy nam rezultat swego myślenia, wykonywając to, co Mivart nazywa *wnioskiem praktycznym*. Nie powiem też, że zwierzę rzeczywiście sądzi, gdy ono bez myśli samoświadomej używa prawidłowo nazw denotacyjnych. Co więcej, zaprzeczam nawet, aby zwierzę sądziło, gdy ono jest już w stanie denotować oddzielnie dwa różne poznanie (jak to ma miejsce u ptaka gadającego) i nazywać te dwa poznanie jednocześnie złączone w akcie „wnioskowania praktycznego”. Chociaż mamy tu przed sobą wszelkie powierzchowne oznaki zdania, nie jesteśmy jednak w prawie nazywać takie zestawienie zdaniem. Prawda, mamy tu przed sobą *skonstatowanie faktu spostrzeżonego*, lecz nie jest to skonstatowaniem faktu *spostrzeżonego jako taki*.

Jeżeli ze stanowiska zdolności prawdziwego, czyli pojęciowego sądzenia przyjmujemy, że to wszystko jest prawdziwym dla zwierząt, to musimy też oczywiście przyjąć, że tak samo ma się też rzecz i dla dziecka dorastającego. Innemi słowy, jeżeli można będzie dowieść, że dziecko jest w stanie skonstatować fakt jako taki, to tem samym będzie dowiedzionem, że w historii psychologicznej każdej istoty żyjącej występuje najprzód ten rodzaj orzeczenia, który ma do czynienia z wiadomościami poznaniowymi, czyli z konstatowaniem faktów postrzeżonych, następnie dopiero objawia się sąd dopełniający, mający do czynienia z wiadomościami poję-

ciowemi, albo z konstataowaniem faktów spostrzeżonych jako takie. W rzeczy samej potrzebnym warunkiem dla wzniesienia się tego niższego szczebla sądu i tego niższego rodzaju zdania (dla dogodności używamy tych terminów) do wyższego, czyli jedynie prawdziwego sądu i zdania, stanowi pojawienie się samowiedzy. Innemi słowy, miejsce, w którym proste skonstatowanie faktów po raz pierwszy przechodzi w orzeczenie prawdziwe o fakcie, dane jest tam, gdzie po raz pierwszy objawia się zdolność introspektywnego myślenia. Cała zatem rzecz redukuje się do analizy samowiedzy. Do tej więc analizy musimy się przedewszystkiem wrócić.

Widząc, że zdolność, o której mowa, objawia się tylko u człowieka, wnosimy, że materiału do takiej analizy tylko człowiek może nam dostarczyć. Co więcej, jakieśmy już wyżej nadmienili, o ile rzecz tyczy się analizy naszej, mamy tylko do czynienia z psychologią, a nie z filozofią samowiedzy. Otóż ze stanowiska psychologicznego nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zdolność, o której teraz mówimy, przedstawia rozwój stopniowy. Nikt nie będzie zaprzeczał, że w ciągu pierwszych dwóch, lub trzech lat wzrostu inteligencji ludzkiej niema żadnego śladu tej zdolności, że w chwili, gdy zdolność ta świtać zaczyna, umysł ludzki znacznie już wyprzedził umysły wszystkich zwierząt, że pomimo tego znacznego rozwoju jest on mniej rozwiniętym, aniżeli w późniejszych fazach swego rozwoju i że ta sama uwaga stosuje się też i do samowiedzy. Jest też rzeczą pewną, że samowiedza polega na tem, iż zwracamy taką samą uwagę na procesy wewnętrzne, czyli psychiczne, jaką zwykle zwracamy na procesy zewnętrzne, czyli fizyczne, przyczem jeduak stopnie tej uwagi mogą tu

być tak samo różnorodne jak i tam. Nakoniec, uważa się też jako pewnik, że w umysłach zwierząt zarówno jak i w umysłach ludzi istnieje cały świat obrazów, czyli poznań; że jedyna przyczyna, dla której w pierwszych obrazu te mogą jedynie być wywołane za pomocą kojarzeń zmysłowych przedmiotów im odpowiadających, tkwi w tem, że umysł z zwierząt nie jest w stanie opuścić gruntu tych czysto zmysłowych assocyacji, by się wznieść do wyższych i wznioślejszych dziedzin myśli introspektywnej. Pomimo to jednak dowiodłem, że ten świat obrazów nawet i u zwierząt objawia pewną czynność wewnętrzną, niezupełnie zależną od asocyacji zmysłowych, dostarczanych z zewnątrz. Gdyż zjawiska „nostalgi”⁴, żalu za utraconym przyjacielem, sennych marzeń, halucynacji i t. p. dowodzą aż nadto, że u naszych, bardziej inteligentnych, zwierząt domowych może zachodzić wewnętrzna (lubo bezzamiarowa) gra formacji idei, w której jeden obraz wywołuje drugi, ten znowu — inny i t. d., bez pomocy jakichkolwiek bezpośrednich asocyacji, wywołanych obecnością przedmiotów zmysłowych. Co więcej, zwróciłem uwagę na to, że tworzenie poznaniowe idei tego rodzaju nie ogranicza się na obrazach zmysłowych postrzeżeń, lecz w wysokim stopniu zajmuje się też stanem umysłowym innych zwierząt. Znaczy to, że logika poznań nawet u zwierząt jest wystarczającą, aby umysł był w stanie ustanowić analogie pomiędzy własnem stanami subiektywnem i stanami odpowiedniemi innych inteligencyj. Zwierzęta zwykle bardzo dokładnie interpretują stany umysłowe innych zwierząt, gdy jednocześnie doskonale wiedzą o tem, że inne zwierzęta podobnie mogą sobie wyłomaczyć i ich stany umysłowe. Należy zatem się zgodzić i na to, że inteli-

gentne zwierzęta poznają świat ejektów, tak samo jak i świat obiektów. Istnienie umysłowe znane im jest eiektywnie, chociaż przyznają, że zwierzęta nigdy nie są w stanie myśleć o nich subiektywnie. W tym stanie umysłowego rozwoju osobnik, czy to zwierzęcy, czy dziecinny na tyle ma pojęcie o swojej własnej indywidualności, o ile logika pozdań uczy go, że jest jednostką w swoim rodzaju, chociaż ostatecznie nie jest w stanie rozpoznawać ani swej własnej ani też cudzej indywidualności jako takiej. Pomimo to jednak mamy tu już przed sobą szczałkową albo rodzącą się formę samowiedzy, którą aż do stopnia rozwoju, jakiego dosięga u zwierzęcia lub u niemowląt możemy nazwać „samowiedzą poznaniową”. Bardziej rozwiniętą formę tej zdolności, jaką napotyamy u młodych dzieci, możemy nazwać „samowiedzą przedpojęciową”. Tę ostatnią formę samowiedzy napotyamy u dzieci zaraz po tem, kiedy zaczęły mówić, lecz przedtem, nim zaczynają mówić o sobie w osobie pierwszej, albo innymi słowy, nim wykazały jakikolwiek ślad rozumienia własnego bytu jako taki. Później, kiedy pojawia się samowiedza, dziecko jest w stanie zrozumieć własny byt jako taki i wtedy otrzymujemy *warunek konieczny*, potrzebny do zastanawiania się nad własnymi ideami, a zatem do zrozumienia nazw jako takie i dla skonstatowania faktów jako takie. Lecz na długo przed dojściem do tego stanu prawdziwej, czyli pojęciowej samowiedzy, za pomocą której jedynie możliwym jest prawdziwe, czyli pojęciowe orzeczenie, dziecko, dzięki swej samowiedzy przedpojęciowej, może zawiadomić nas o swoich potrzebach, albo udzielać nam swoje idee za pomocą orzeczenia przedpojęciowego. Przytoczyłem liczne przykłady tego

orzeczenia przedpojęciowego, które aż nadto dowodzą, że świadomość przedpojęciowa, której jest wyrażeniem, nie sięga dalej, aż do poznania praktycznego swojej osobistości, jako czynnika czującego i działającego, bez żadnego poznania introspekcyjnego tej samowiedzy jako przedmiotu wiedzy.

Co z tego wynika? Dziecko, podobnie jak i zwierzę, dzięki swej logice poznać, ma do swego rozporządzenia cały świat obrazów, zastępujących przedmioty zewnętrzne, dalej posiada ono znajomość efektywną innych umysłów i nakoniec zdolnem jest poznać swoją osobowość, jako działacza czynnego i biernego, o którym już wyżej wspomnieliśmy. Lecz w porównaniu ze zwierzęciem dziecko ma teraz do swego rozporządzenia daleko bardziej udoskonalony aparat znakowania, który, jakieśmy to już widzieli, początek swój zawdzięcza wyższemu rozwojowi myślenia pojęciowego. Otóż do tego udoskonalonego myślenia należy zaliczyć lepsze zrozumienie stanu umysłowego innych istot ludzkich w połączeniu ze znacznie spotęgowaną zdolnością denotacyjnego wyrażania się, za pomocą którego dziecko jest w stanie mianować poznaniowo te stany efektywne, które poznaniowo spostrzeżga. Te stany efektywne otrzymują zatem właściwe swoje denotacje i przez to zyskują na jasności i ściśłości, jako obrazy efektywne stanów odpowiednich, przez które i same dziecko przechodzi. Zdanie „Mama podoba się Dolkowi“, wymówione przez dziecko, nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby dziecko z własnych uczuć nie widziało, jaki jest stan, który efektywnie przypisuje matce. Z tego to powodu w tym samym okresie, dziecko powie też „Dolek podoba się mamie“. Otóż widoczną jest rzeczą, że się teraz zbliżamy do granic właściwych

samowiedzy prawdziwej, czyli pojęciowej. Prawda, dziecko mówi jeszcze o sobie w formie obiektywnej, lecz w tłumaczeniu swoich własnych stanów umysłowych tak daleko się już posunęło, że je wyraźnie mianuje i to w taki sam sposób, w jaki mianuje inne zewnętrzne przedmioty postrzeżenia zmysłowego. Tym sposobem może ono stany te przedstawić swojemu umysłowi jako przedmioty, mogące być oznaczane znakami słownymi, chociaż dotychczas nigdy jeszcze nie rozmyślało nad temi stanami ducha, lub ich nazwami jako nad takimi a zatem nie doszło jeszcze do zdolności denominacji. Przedział pomiędzy denotacją a denominacją w tym okresie rozwoju tak bardzo zmalał, że krok, który uczynić należy, by przejść od uznania „Dolka“ nie tylko jako przedmiotu, lecz jeszcze jako podmiotu zmian umysłowych staje się bardzo łatwym do wykonania a nawet nieuniknionym. Prosty fakt nadawania znaków głosowych stanom umysłowym ma ten skutek, że ogniskuje uwagę na te stany i gdy czynność ta często się powtarza, to staje się wtedy zadość jedynemu dalszemu warunkowi potrzebnemu na to, aby umysł był w stanie za pomocą pamięci przeszłości, porównywać przeszłość z terażniejszą i tym sposobem dojść do zrozumienia ciągłości zachodzącej we własnych jego stanach duchowych, na czem właśnie polega zupełna introspektywna, czyli pojęciowa świadomość własnej osobowości.

We właściwym miejscu opisaliśmy różne rysy pod rządne rozwoju tej świadomości pojęciowej z fazy przedpojęciowej, lecz uważam za zbyt liczne przytaczać je w tem miejscu. To, com powiedział, w zupełności wystarczy do wyprowadzenia wniosków, będących głównym przedmiotem rozdziału X; mianowicie: że język tak

dobrze jest przyczyną jak i wynikiem samowiedzy, że z zdolności tej w sposób naturalny i konieczny rozwijają się te wyższe zdolności orzeczenia pojęciowego i samowiedzy pojęciowej, na których przeciwnicy moi (nie uwzględniając faz pośrednich) starali się oprzeć ulubione swoje rozróżnienie pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.

Tym sposobem jako wynik główny całego naszego badania zostaje, że przez cały szereg zjawisk umysłowych powtarza się jedno i to samo rozróżnienie pomiędzy zdolnościami ducha, jako postrzeżeniowe, poznaniowe i pojęciowe: Postrzeżenia, poznania i pojęcia; sąd postrzeżeniowy, poznaniowy i pojęciowy; wskazanie, denotacya i denominacya; są to wszystkie objawy jednego i tego samego rozróżniania i psychologicznego w różnych dziedzinach badań psychologicznych. Widzieliśmy, że różnica pomiędzy poznaniem a pojęciem, która się objawia we wszystkich działaniach ducha, jest jedyną różnicą, o którą spór toczyć się może. Co więcej wszyscy przyznają, że różnica ta polega na obecności lub braku samowiedzy. Nakoniec przekonaliśmy się, że nawet i na polu samowiedzy, możemy przeprowadzić to rozróżnienie; jest bowiem forma samowiedzy, którą nazywać można poznaniową, jako też i taką, którą nazywać możemy pojęciową. Cała więc nasza kwestya redukuje się do zbadania stosunku pomiędzy temi dwiema formami samowiedzy, czy da się, czy też się nie da wysledzić, że jedna forma jest wynikiem rozwoju nieprzerwanego z drugiej? Czy w dziecku dorastającym da się zauważyć, aby samowiedza poznaniowa, która wspólną jest człowiekowi i zwierzętom drogą przemian powolnych i naturalnych przechodziła w samowiedzę pojęciową, będącą zdolnością wyłącznie ludzką?

Kwestyę tę badaliśmy szczegółowo w rozdziale XI. Wykazaliśmy, że o ile rzecz tyczy się najwcześniejszej, czyli fazy wskazującej mowy, nie możemy odnaleźć najmniejszego śladu stopniowej nawet różnicy pomiędzy dzieckiem a zwierzęciem. Dowiedliśmy dalej, że takiej różnicy nie możemy też odnaleźć odnośnie do wczesnych stopni dwóch faz następných a mianowicie odnośnie do fazy denotacyjnej i poznaniowo - konnotacyjnej. Co więcej, wyjaśniłem, że nie można uznać istnienia różnicy gatunkowej pomiędzy wyrażaniem się niższem poznaniem, które wspólne jest dziecku i zwierzęciu a tem wyższem poznaniem wyrażaniem się, które u dzieci rozwija się bezpośrednio przed ukazaniem się samowiedzy. Nakoniec wykazałem, że wyższe poznaniowe wyrażanie się daje dziecku narzędzie psychologiczne, za pomocą którego toruje sobie drogę od samowiedzy poznaniowej do początkowo - pojęciowej. Wiedząc, że taki jest istotny stan rzeczy, ustalony mojemu poprzedniemi badaniami, postawiłem moim przeciwnikom następujący dylemat. Zastanawiając się nad dzieckiem dwuletniem, będącem w stanie uformować zdanie szczątkowe, informacyjne, czyli przedpojęciowe „Dit krej“ (sister cries, siostrzyczka płacze), rozumię w sposób następujący: „Dit“ jest nazwą denotacyjną jednego poznania; „krej“ nazwą denotacyjną drugiego; przedmiot i czynność, które oba te poznania reprezentują, jednocześnie są obserwowane przez dziecko, ono zatem denotuje je jednocześnie, t. j. łączy je ono przez *zestawienie*. Zestawienie w świadomości tych dwóch poznań wraz z ich denotacjami zostaje tym sposobem dokonaniem *dla* dziecka na zasadzie logiki wypadków; nie zostało ono dokonaniem *przez* dziecko drogą zamiarowego, czyli samo-

świadomego grupowania swych idei, które to grupowanie, jak widzieliśmy, jest rysem charakterystycznym logiki pojęć. Otóż w tem tkwi dylemat. Gdyż powiadam, albo mamy tu do czynienia z sądem pojęciowym, albo też nie. Jeżeli powiecie, że mamy tu przed sobą sąd pojęciowy, to sami własnymi rękami burzycie podstawę waszego rozróżniania pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, gdyż czyniąc takie przypuszczenie, musicie też przyznać, że i zwierzę sądzi pojęciowo. Jeżeli zaś powiecie, że tu nie ma sądu pojęciowego, albowiem niema jeszcze samowiedzy, to wtedy będę musiał się was pytać, w której fazie następnego rozwoju inteligencji dziecka objawia się według was sąd? Jeżeli na moje pytanie odpowiecie, że on po raz pierwszy objawia się wtedy, kiedy ukazanie się samowiedzy dostarcza potrzebnych do tego warunków, to zmuszony będę odesłać was do dowodu przezemnie przytoczonego, że pojawienie się samowiedzy jest również procesem stopniowym, którego warunki przedwstępne odnajdujemy bardzo daleko w szeregu zwierząt. Jeżeli zaś tak jest, to od zdolności konstataowania faktu postrzeżonego do zdolności wyższej, spostrzegania faktu jako takiego, ciągnie się nieprzerwany łańcuch stopniowań, łączących jedną zdolność z drugą. Od tego miejsca począwszy, nie możemy umysłu dziecka rozróżnić od umysłu zwierzęcia, nie mając ku temu żadnych psychologicznych podstaw, jakim tego jasno dowiodł. Czy więc chcecie twierdzić, że wyżej tego punktu początkowego dwa rzędy istności psychologicznych były gatunkowo identyczne, lecz że dopiero w dalszym ciągu tego szeregu, umysł ludzki stał się gatunkowo odmiennym od umysłu zwierzęcego a tem samem stał się też różnym od swego własnego stanu po-

przedniego? Jeżeli tak jest, argument wasz kończy się oczywistą sprzecznością.

Na potwierdzenie mojego rozumowania ogólnego, dodałem dwa rozumowania pomocnicze. Pierwsze z nich polega na tem, że chociaż postęp od niższych stopni rozwoju umysłowego do samoświadomości prawdziwej bezwątpienia jest faktem ważnym, to jednak nie jest on znowu tak ważnym w porównaniu z następnym rozwojem, aby można go było uważać jako rozróżnienie *sui generis* a nawet jako główną różnicę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Gdyż już po ukazaniu się samowiedzy a nawet potem, kiedy ona już znacznie się rozwinęła. zdolności umysłowe dziecka znajdują się jeszcze niejako w stanie niemowlęcym. Innemi słowy, pierwsze ukazanie się samowiedzy prawdziwej oznacza stosunkowo niski jeszcze poziom rozwoju umysłowego, czego można się było spodziewać, uwzględniając, że jej geneza zależy od tych przedwstępnych warunków psychologii zwierzęcej, które wskazałem wyżej. Lecz jeżeli tak jest, to czyż ztąd nie wynika, że bezwzględnie na ogromną ważność w następstwie samowiedzy dla rozwoju myślenia wyłącznie ludzkiego, ona sama przez się, czyli w pierwszych swoich początkach nie objawia żadnej wybitnej przewagi nad temi zdolnościami myślenia przedpojęciowego, po których bezpośrednio następuje? Pokazuje się więc, że mniejszą mamy podstawę do twierdzenia, iż ukazanie się samowiedzy pojęciowej oznacza pojawienie się różnicy gatunkowej w zdolnościach umysłowych, niż wtedy, kiedy pojawiają się te wyższe zdolności myślenia pojęciowego, jakie w następstwie stopniowo się rozwijają w epoce życia pomiędzy niemowlęctwem i młodością dziecka. Nikt jednak nie ośmielił się twierdzić, że pomiędzy

inteligencyą dziecka młodszego a inteligencyą dziecka starszego zachodzi różnica gatunkowa.

Druga dodatkowa uwaga moja polegała na tem, że nawet przy zupełnie rozwiniętej inteligencyi, myślenie poznaniowe i przedpojęciowe nie przestają odegrywać ważnej roli. Znaczna większość naszych zdań służy dla praktycznych celów porozumiewania się ze sobą ludzi i umysł nie ma przytem potrzeby rozważać ich w świetle samowiedzy. Nie ulega wątpliwości, że w wielu przypadkach a mianowicie w tych, które tyczą się myślenia abstrakcyjnego, ta niezależność dwóch zdolności umysłowych jest więcej pozorną niż rzeczywistą. Pochodzi to stąd, że w skutek pomocy udzielanej sobie wzajemnie, każda z tych zdolności tak się udoskonaliła, iż każda z nich zosobna posiada materiał bogaty, którym w każdej chwili operować mogą, nie potrzebując go wytwarzać *ab initio*. Gdy mówię „ciepło jest rodzajem ruchu“ posługuję się wtedy prostym znakiem słownym, który wyraża pewien fakt zewnętrzny. Nie mam wcale potrzeby zbadania moich własnych idei o stosunku abstrakcyjnym, które zdanie to wyraża, chociaż dla dojścia do tych idei musiałem początkowo wykonać liczne i skomplikowane wysiłki myśli pojęciowej. Chociaż rozumowanie powyższe uważam jako tłumaczenie prawdziwe niezależności pozornej orzeczenia i introspekcyi we wszystkich przypadkach wyższej myśli abstrakcyjnej, to jednak na zasadzie podanych wyżej przyczyna twierdzę, że we wszystkich przypadkach, tyczących się niższych porządków myślenia, oznaczonych nazwami myślenia poznaniowego i przedpojęciowego, ta niezależność nie tylko jest pozorną, lecz nawet rzeczywistą. Otóż jeśli przyczyny, które przytoczyłem, są trafne, przyczyny, któ-

re nawiąsem mówiąc, zostały usankcyonowane przez Milla, to z nich wynika, że rodzaj myślenia czynnego przy zwykłych orzeczeniach, jest tak ściśle zespolonym z myśleniem, wyrażonem przez niższe porządki znakowania, iż gdybyśmy nawet nie mieli ogniw pośrednich, dostarczanych przez dziecko dorastające, nikt nie byłby w prawie ustanowić różnicy gatunkowej pomiędzy różnymi porządkami myślenia, opierając się na dowodach psychologicznych. Przedmiotem każdego znakowania jest znoszenie się ze sobą, i z badań naszych nad zwierzętami niższemi wiemy, że ich znoszenie się ze sobą ma wyłącznie do czynienia z poznaniem; z badań zaś nad dzieckiem dorastającym wiemy, że znaki używane przy komunikowaniu poznań, po raz pierwszy prowadzą do pojęć. Pojęcia bowiem są przedewszystkiem poznaniem mianowaniami, uznaniami jako takie; w rozdziałach zaś poprzednich widzieliśmy, że ten rodzaj znajomości (nazwy jako takie) jest tylko możliwym za pomocą introspekcyi, do której dochodzimy, mianując własne nasze „ja“ jako czynnik.

Lecz nawet po zupełnem dojściu do tej zdolności introspekcyi pojęciowej, niezawsze się nią posługujemy, kiedy chodzi o zakomunikowanie wiadomości natury czysto poznaniowej, i dla tego to nie każde zdanie musi być najprzód introspekcyjnie rozważonem, nim zostanie uformowanem. Gdy z jednej strony dana jest zdolność nominacyi denotacyjnej, z drugiej zaś najniższy nawet stopień denotacyi konnotacyjnej, to zarazem dane są wszystkie warunki potrzebne do uformowania orzeczeń niepojęciowych, różniących się od zdań prawdziwych tem tylko, że one same nie mogą się stać przedmiotem rozmyślań. Jedyna różnica pomiędzy orzeczeniem, wypowied-

dzianem przez dziecko a takimż orzeczeniem, wypowiedzianem przez człowieka dorosłego polega na tem, że w pierwszym przypadku to orzeczenie, uawet *potencjalnie* nie może się stać przedmiotem rozmyślań.

Ukończywszy badania nasze ze strony psychologicznej, starałem się następnie oświetlić ją światłem bijącym z filologii porównawczej. Dotychczas opierając się wyłącznie na zasadach analizy psychologicznej, szukaliśmy zmian, przez które przechodziły różne fazy myślenia ludzkiego, teraz zaś zwracamy się do tej masy dowodów bezpośrednich, których nam dostarcza kronika językowa, będąca jednocześnie sprawozdaniem przypadkowym z postępu przeddziejowego tego myślenia.

Pierwszy wielki tryumf odniesiony przez filologię porównawczą polegał na tem, że nauka ta wykazała, iż język, tak jak on obecnie istnieje, nie został stworzonym w gotowej już formie, ani też nie został powołanym do życia drogą kreacyi zamiarowej. Filologia porównawcza wykazała, że język w obecnym swym kształcie jest wynikiem rozwoju stopniowego. W rozdziale, traktującym o filologii porównawczej podałem krótki zarys zasad, na których wzrost języka się opiera i to tych, które są powszechnie przez filologów przyjęte. Dowiedziono, że tysiąc lub nawet więcej obecnie istniejących języków dają się ugrupować w sto rodzin; członkowie każdej takiej rodziny są mniej lub więcej ze sobą spowinowaceni, gdy członkowie różnych rodzin nie wykazują żadnego śladu pokrewieństwa. Pomimo to jednak wszystkie te rodziny dają się uporządkować w rzędy a to stosownie do niektórych cech budowy lub typu, który przedstawiają. Wszyscy językoznawcy przyjmują trzy typy: odosobniający, aglutynujący i odmianowy (fleksyj-

ny). Niektórzy filologowie upatrują też różnicę pomiędzy temi typami a typem polisyntetycznym; wszyscy zaś badacze jednomyślnie przyjmują, że typ wcielający pochodzi z typu aglutynującego, analityczny zaś z fleksyjnego.

Przechodząc od klasyfikacji do filogenii musimy zbadać powinowactwo genetyczne pomiędzy trzema głównymi typami a także pomiędzy polisyntetycznym i aglutynującym. Różnica zdań, która odnośnie do tej materji zachodzi pomiędzy badaczami, jakieśmy to już widzieli, nie ma innego wpływu na główną naszą kwestyę, niż ten, że kładzie nacisk szczególny na początek polisyntetyczny języka, mamy bowiem przed sobą wielkie prawdopodobieństwo, że zarówno typ odosobniający jak i polisyntetyczny są jednakowo archaicznymi, albo przynajmniej, że oba się rozwinęły zupełnie od siebie niezależnie. W związku z tem przytoczyłem hipotezę dra Hale'a, według której, wiele z niezależnych od siebie języków autochtonów Nowego Świata w znacznej części prawdopodobnie zawdzięcza początek swój wynalazkom, dokonany przez przypadkowo odosobnione dzieci. Ciekawy związek, zachodzący pomiędzy wielością języków niezależnych i naturą okolic Afryki i Ameryki, sprzyjających możliwości utrzymania się dzieci, zostawionych własnemu losowi, zdaje się potwierdzać hipotezę powyższą. Z drugiej znów strony przytoczono dowody ważne, że dzieci pozostawione samym sobie wynajdują mowy, które albo bardzo mało tylko, albo wcale nie są podobne do mowy rodziców.

Nie powtarzając tego wszystkiego, co powiedzianem było o fazach i przyczynach rozwoju języków w ich różnych rozgałęzieniach, chcę tylko zaznaczyć, że rezultaty badań językowych wszędzie są zgodne ze sobą pod tym

względem, że im dalej cofamy się wstecz, tem budowa języków staje się prostszą, aż nakoniec dochodzimy do tak nazwanych „pierwiastków“. Niektórzy uważają pierwiastki te jako tajemnicze zasady pierwotne języków, albo nawet jako *dane* pierwotne, początku których nie możemy wyjaśnić. Faktycznie jednak pierwiastki te są niczem innym, jak tylko ostatecznymi wynikami analizy filologicznej i w żadnym innym znaczeniu nie zasługują na nazwę „pierwotne“. Przekonawszy się, że te pierwiastki reprezentują materiał językowy aż do tego miejsca, po za którym już nie możemy dalej śledzić za rozwojem językowym, przychodzimy do wniosku, że materiał językowy, który je wyprzedził, bezwzględnie na to czem on był, musi leżeć po za granicami dostępnymi dla poszukiwań filologicznych. Tego wniosku zresztą, każdy zwolennik rozwoju *musiał się spodziewać*, jeśli szło o nakreślenie jakiegokolwiek procesu rozwoju. Gdyż im dalej badacz jest w stanie śledzić za rozwojem, tem bliżej musi dojść do punktu, w którym materiał prawdziwy jego badań bierze początek. Ponieważ zaś sam ten materiał stanowił dowód swego rozwoju, więc śledząc coraz dalej za jego rozwojem musimy nakoniec dojść do punktu, gdzie wszelkie badania ustać muszą. Używając zwykłego porównania rozwoju z drzewem możemy powiedzieć, że gdy badacz językowy rozpatruje rozwój liści z gałęzi, gałęzi z konarów, konarów z pnia, pnia z korzenia, to on przez to już dał ewolucyoniście dowód rozwoju możliwego w tym kierunku badań. Zarodek tworzenia idei, z którego rozwinęły się korzenie oczywiście leży po za dziedziną dostępną dla filologa a jeśli ma być rzucone jakieś światło na istotę tego zarodka, albo jeżeli mamy znaleźć jakieś wyjaśnienie od-

nośnie do faz, podczas których z zarodka rozwinęły się korzenie, to musimy tego szukać w innych kierunkach badań, mianowicie tam, gdzie zarodki podobne dały początek produktom podobnym. W naszym przypadku procesy podobne rozwoju znajdujemy tylko u dzieci dorastających, które to procesy badaliśmy już poprzednio.

Tu znajdujemy się wobec różnicy odnośnie do początku mowy, podobnej zupełnie do tej, jaką napotkaliśmy na początku naszej pracy, gdy szło o początek człowieka. Przekonaliśmy się bowiem, że chociaż mamy najbardziej przekonujące dowody historyczne na to, że zasady rozwoju rządziły całym postępem cywilizacji, to jednak takich dowodów bezpośrednich nie mamy, gdy chodzi o pochodzenie zwierzęce człowieka. Tak samo widzimy też, że dopóki przyświeca nam światło filologii, dopóty nie ma żadnej wątpliwości, iż zasady ewolucji kierowały rozwojem stopniowym języka i to w sposób analogiczny, w jaki kierowały doskonalenie się i urozmaiceniem organizacji społecznych. Otóż odnośnie do przypadku ostatniego widzieliśmy, że taki dowód bezpośredni rozwoju wyższych form z niższych czyni bardzo prawdopodobnem przypuszczenie, iż taki sam proces odbywał się i w przeszłości, w peryodzie przedhistorycznym, że ten bezpośredni dowód istnienia rozwoju, przenikającego cały peryod historyczny już *prima facie* skłania nas do tego, abyśmy ten peryod uważali jako wynik podobnego rozwoju stopniowego zdolności ludzkich. Tak samo ma się też rzecz z językiem. Jeżeli językoznawstwo jest w stanie dowieść, że prawa ewolucji dają się zastosować do wszystkich języków aż do pierwiastków początkowych, z których się rozwinęły, to z konieczności nasuwa się przypuszczenie, że i te naj-

wcześniejsze i najprostsze elementy, podobnie jak i ich późniejsze, bardziej złożone wytwory są wynikiem rozwoju naturalnego. Znaczy to, że posiłkując się słowami Geigera możemy powiedzieć, że musiał być czas, kiedy język wcale nie istniał. Pomimo to jednak należy starannie rozróżniać pomiędzy faktami dowiedzionymi a wnioskami spekulacyjnymi, najbardziej nawet uzasadnionymi. Z tego to powodu przytoczyłem stany rozwoju, przez które, o ile teraz wiemy, przechodziły języki, zaczynając od stanu pierwiastkowego i wznosząc się coraz dalej ku górze. Skończywszy tę rzecz, zająłem się rozważaniem samych początków tych pierwiastków.

Przedewszystkiem okazało się, że co się tyczy liczby tych pierwiastków, to według oceny najnowszych badań językowych, ta w żadnym z żyjących języków nie przewyższa tysiąca a nawet i ta liczba może być znacznie zmniejszoną. Jakoż prof. Maks Müller podaje, że w sanskrycie liczba ta redukuje się do 121 i sądzi, że i ona jest zbyt wygórowaną. Odnosnie do natury tych pierwiastków widzieliśmy, że niektórzy językoznawcy uważają je jako wyrazy prawdziwe, używane przez ludy pierwotne, które zatem, według tego „rozmawiały ze sobą zgłoskami pojedynczemi, wyrażającemi ideje pierwszej ważności, lecz w których nie było żadnego znaku o związku pomiędzy niemi zachodzącym“ ¹⁾. Z drugiej znów strony, przyjmują teraz powszechnie, że pierwiastki są fonetycznymi i znaczącymi typami, które, według filologii porównawczej, wspólne są całej grupie wyrazów spowinowaconych ze sobą“ ²⁾, albo nakoniec

¹⁾ Whitney.

²⁾ Sayce.

są one niejako fonogramami złożonemi całych rodzin wyrazów, które oddawna już wyginęły jako osobniki. Widzieliśmy dalej, że ta różnica w poglądach nie może jednakże mieć wpływu na obecne nasze zadanie, gdyż widzieliśmy, że nawet teoria fonetyczna nie zaprzecza, iż wyrazy nieznane, ze związku których wydobyto pierwiastek, musiały być genetycznie ze sobą zespolone i podobieństwo ich dźwięków najlepiej dowodzi ich blizkiego ze sobą pokrewieństwa.

Daleko ważniejszą dla nas kwestyą jest natura tych pierwiastków, odnośnie do ich znaczenia. Według Maxa Müllera, pierwiastki wyrażają to, co on nazywa „ideami ogólnemi“, czyli „pojęciami“. Świadczą one o stosunkowo daleko posuniętej kulturze społecznej, wyrażają one albo stany, albo czynności i nie wykazują najmniejszego śladu początku naśladowniczego. Zastanawiając się nad temi charakterystykami oddzielnie, przekonaliśmy się, że chociaż wszystkie te 121 pierwiastków sanskrytu, wyrażają ideje ogólne, to jednak stopień ich ogólności jest tak niskim, że po największej części ideje te odnoszą się do tak nazwanych przezemnie pojęć niższych, czyli do „poznań mianowanych“. Następnie widzieliśmy, że wszystkie noszą na sobie ślady wyraźne pochodzenia późniejszego i dlatego są „pierwotnemi“ w tem tylko znaczeniu, że reprezentują ostatnie wyniki badań filologicznych, lecz najniezawodniej są bardzo dalekiemi od tego, by być pierwotnemi w znaczeniu pochodzenia. Łatwo też możemy wytłomaczyć, dlaczego wszystkie są natury czasownikowej; nie należy się też dziwić, dlaczego żaden z nich nie wykazuje, iż pochodzi ze źródła naśladowniczego, nawet przyjmując

hypotezę, że onomatopeja odegrała ważną rolę przy powstaniu mowy pierwotnej. Gdyż z jednej strony widzieliśmy, że w walce o byt, pomiędzy wyrazami pierwotnymi i wczesnymi, te tylko miały jakąkolwiek szansę ostania się, t. j. zostawienia po sobie potomstwa, która doszły do pewnego stopnia uogólnienia konnotacyjnego lub „ogólności“; z drugiej znów strony, aby takie wyrazy mogły się ostać, potrzeba, aby wyrazy onomatopoeyczne utraciły swoje znaczenie naśladownicze. Przytoczyliśmy liczne dowody na poparcie teorii naśladownictwa i zupełnie usunęliśmy wszystkie przeciwko niej zarzuty. Później jednakże przekonaliśmy się, że kwestya, w jakich rozmiarach onomatopeja brała udział w budowie języka pierwotnego, jest w rzeczywistości kwestyą dla ewolucjonisty podrzędną. Bez względu na to, czy wyrazy początkowo były wszystkie dowolne, czy też wszystkie naśladownicze, czy nakoniec po części dowolne, po części naśladownicze, dalszy ich rozwój musiał zawsze być jeden i ten sam. Za pomocą uogólnienia konnotacyjnego, idącego w kierunkach rozchodzących się, znaczenia musiały się stopniowo rozmnażać w tych kierunkach dając potomstwo bezustannie mnożących się wyrażań, zupełnie tak samo, jak to ma miejsce w mowie dziecinnej, i jak to według przekonujących dowodzeń językoznawców, miało też miejsce przy wzroście języka wogólności.

Że początkowo mowa miała tylko do czynienia z mianowaniem idei rodzajowych, czyli z poznaniem wyższymi, jakoteż z przedmiotami szczególnymi, pod zmysły podpadającymi, tego mógł się każdy zwolennik rozwoju z góry spodziewać. Należy pamiętać, że ten

rodzaj klasyfikacji, którym zajmuje się poznanie, bardzo blisko sąsiaduje z grupowaniem automatycznym postrzeżeń zmysłowych; zależy on od zupełnego braku zdolności rozróżniania analitycznego pomiędzy mniej widocznymi różnicami, wśród bardziej w oczy się rzucających podobieństw, albo też od braku odnajdywania mniej wyraźnych analogij wśród analogij istotnych, z którymi często występują zespolone w doświadczeniu. Z drugiej znów strony, ten rodzaj kwalifikacji, którym zajmują się pojęcia, leży bardzo daleko od automatycznego grupowania postrzeżeń zmysłowych; zależy on bowiem od zdolności rozróżniania analitycznego pomiędzy istotnymi a nieistotnymi podobieństwami, które w doświadczeniu występują zespolone ze sobą. W obu razach, najniezawodniej mamy do czynienia z klasyfikacją, lecz w jednym przypadku polega ona na oczywistości podobieństw, gdy w drugim — zależy od rozłączania w umyśle podobieństw rzeczywistych od takich, które są tylko pozornymi. Inaczej się wyrażając, możemy powiedzieć, że w jednym przypadku klasyfikacja zależy od stateczności kojarzenia się w doświadczeniu przedmiotów, przymiotów, czynności itd. klasyfikowanych, w drugim zaś razie zależy od pomijania świadomego takich asocjacyj. Gdy to wszystko uwzględnimy, nie będziemy się więcej dziwili, dlaczego paleontologia językowa wykazuje, że pierwiastki wczesne wyrażały „ideje rodzajowe“, odmienne od idei „ogólnych“. Nadawanie nazw czynnościom i procesom tak zwykłym, albo tak dostępnym postrzeżeniu bezpośredniemu jak te, które należą do „121 pojęć“, podanych przez prof. Maxa Müllera, nie wykazują rodzaju myślenia wyższego od myślenia przedpojęciowego, dzięki któremu, dziecko

jest w stanie wywnętrzyć swoje życie poznaniowe wyższe przed ukazaniem się samowiedzy. Uwzględniając tę uwagę, dziwić się należy, dlaczego owe 121 wyrazów pierwiastkowych nie wykazują *dobitniejszej* jeszcze oczywistości myślenia pojęciowego. Pokazuje się ztąd, jak małą stosunkowo rolę musiało odegrać myślenie samoświadome w życiu praktycznym człowieka pierwotnego, chociażby ten tak daleko był odsuniętym od prawdziwego stanu pierwotnego człowieka niemego, jak nim był ten naród pasterski, który powyższe sprawozdanie z formowania swoich idei złożył w pierwiastkach mowy aryjskiej.

Wyjaśniwszy tym sposobem przyczynę braku wyrazów, wyrażających ideje szczegółowe w pierwiastkach języków obecnie istniejących, jako też i charakter rodzajowy tych, które w walce o byt doszły do nas, przeszliśmy do zbadania dowodów pomocniczych, dostarczanych przez filologię. Przedewszystkiem widzieliśmy, że nauka ta dowiodła ostatecznie dwóch ogólnych faktów, dotyczących się rozwoju orzeczenia; mianowicie, że we wszystkich dotychczas jeszcze istniejących językach pierwiastkowych niema żadnej różnicy pomiędzy rzeczownikami, przymiotnikami a czasownikami, i że budowa wszystkich innych języków wykazuje, iż taki był stan pierwotny budowy języka w ogólności: „każdy rzeczownik i każdy czasownik pierwotnie był sam przez się zdaniem zupełnem“, składającym się z podmiotu i orzeczenia, złączonych w jedną całość, albo raczej zdaniem jeszcze niezróżniczkowanym na *dwie* a tem mniej na *trzy* części, stanowiące obecnie części składowe zupełnie rozwiniętego zdania. Otóż ta forma orzeczenia jest „zgęszczoną“ dla tego jedynie, że nie jest

rozwinięta; mamy tu przed sobą niezróżniczkowaną protoplazmę orzeczenia, w którym niema jeszcze „części mowy“. Zupełnie tak samo jak ten najwcześniejszy stan orzeczenia jest charakterystycznym dla fazy przedpojęciowej myślenia dziecka, tak jest on też nim i dla myślenia przedpojęciowego naszej rasy. Podaliśmy liczne przykłady rozwoju stopniowego wywnętrzania się orzekającego, idącego *pari peassu* z rozwojem myśli pojęciowej; dowody na to napotykamy w osnowie i wątku każdego języka, którym ród ludzki obecnie mówi. W szczególności widzieliśmy, że zaimki były pierwotnie wyrazami, oznaczającymi stosunki przestrzenne i którym bardzo prawdopodobnie towarzyszyły czynności wskazywania. „Ja“ było równoważnem z „ten jeden“, „on“ — „tamten jeden“, i t. d. Co więcej, zupełnie tak samo jak małe dziecko zaczyna mówić o sobie obiektywnie, tak też „człowiek uważał siebie jako przedmiot, nim nauczył się mówić o sobie jako o podmiocie“¹⁾; dowodu na to dostarcza nam fakt, „że przypadki obiektywne deklinacji zaimków osobistych i innych są zawsze starsze od przypadków subiektywnych“²⁾. Elementy zaimkowe zostały w następstwie zespolone z rzeczownikami i czasownikami, gdy ostatecznie zaczęły się różniczkować i oddalać od siebie. Zastosowanie tych pierwotnych i wysoce uogólnionych rzeczowników i czasowników stało się możliwem za pomocą tych elementów, które nawet według prof. Maxa Müllera, należy uważać jako pozostałości najdawniejszej, prawie pantominowej fazy językowej, podczas której język nie był

¹⁾ Farrar.

²⁾ Garnett.

jeszcze tem, co teraz rozumiemy przez ten wyraz, mianowicie nie był jeszcze *logosem*, zbieraczem, lecz raczej prostem wskazaniem“. Podobnie wyraża się też prof. Sayce o tym stanie rozwoju wywnętrzania się orzekającego, który, jak zauważyć należy, jest zupełnie analogiczny ze stanem dziecka, którego wyrazy bardziej uogólnione wymagają współdziałania giestów. „Jest rzeczą pewną, że w historii mowy był czas, kiedy członkowane lub nawpół członkowane dźwięki, wydawane przez człowieka pierwotnego stały się przedstawicielami znaczącemi myśli pod wpływem współdziałania giestów im towarzyszących i ten splot dźwięku z giestem, splot, w którym, pamiętać należy, dźwięk bez giestu nie miał żadnego znaczenia, był zdaniem najwcześniejszem“. W ten to sposób gramatyka powstała z giestów. Różne części mowy wraz z następującemi po nich początkami przypadkowania i czasowania i t. d. są potomkami giestykulacyi. Lecz gdy w następstwie rodzic został pożartym przez swoją młodą progeniturę, owe części mowy, jako też czasowanie i przypadkowanie nie przestały rozwijać się niezależnie w kierunkach mniej lub więcej się rozchodzących.

Tak np. mamy liczne dowody wykazujące, że nawet potem, kiedy już mowa członkowana oparła się na podstawach ścisłych nie było jeszcze różnicy pomiędzy mianownikiem a dopełniaczem rzeczowników, ani też pomiędzy rzeczownikami a przymiotnikami, ani też pomiędzy wyrazami oznaczającemi podmiot a wyrazami oznaczającemi przedmiot. Wszystkie te trzy stosunki gramatyczne wyrażano w jednakowy sposób, mianowicie przez proste zestawienie ze sobą samych wyrazów uogólnionych. Z biegiem czasu jednak te trzy różnicz-

kowania gramatyczne zostały przeprowadzone za pomocą zmian umówionych odnośnie do pozycji wyrazów zestawionych; forma orzeczenia w pewnych razach była *AB*, w drugich *BA*, gdy w innych gałęziach rozwoju językowego trzymano się porządku odwrotnego. „Z tych pierwotnych sposobów rozróżniania pomiędzy predykatem, atrybutem a dopełniaczem, gdy z biegiem czasu w umyśle mówiącego rozwinęły się trzy odpowiednie idee, wytworzyła się późniejsza, bardziej udoskonalona maszynerya sufiksów, słów posiłkowych i innych podobnych elementów“ ¹⁾.

Tak samo ma się rzecz ze wszystkimi innymi tak nazwanymi „częściami mowy“ we wszystkich językach, które po wyjściu ze stanu pierwotnego wogóle doszły do wytworzenia takich części mowy. „Oto są najogólniejsze zarysy procesu, za pomocą którego pierwiastki pojęciowe zostały orzeczone, za pomocą którego dostały się pod panowanie kategorii, za pomocą którego stały się rzeczownikami, przymiotnikami, przysłówkami, czasownikami i t. d. Szczegóły tego procesu i rezultaty cudowne na tej drodze otrzymane znaleźć można w gramatyce każdego języka, albo rodziny językowej“ ²⁾. Tym sposobem filologia jest w stanie, cofając się wstecz, śledzić krok za krokiem za wszystkimi formami orzeczenia, poczynając od tych, które napotykaemy w językach najbardziej rozwiniętych, czyli fleksyjnych i dochodząc do najwcześniejszej fazy językowej wogóle, którą nazwałem wskazującą.

¹⁾ Sayce.

²⁾ Max Müller.

Przytoczywszy jeszcze mniemania innych powag na poparcie ogólnych twierdzeń powyższych i także dla nakreślenia obrazu rozwoju wywnętrzania się w szczególach, starałem się podać przykłady różnych faz rozwoju wywnętrzania się w językach ludów dzikich, obecnie żyjących. Otóż tą drogą postępując przekonałem się, że dzicy zarówno jak i człowiek pierwotny nie są w stanie „uformować czystej formy sądu, to jest nie są oni w możności wykazać tego, co moi przeciwnicy uważają jako sprawdzian zdolności ludzkiej. Tym przeciwnikom zatem pozostaje jedna tylko rozumna droga wyjścia, mianowicie porzucić stanowisko arystotelesowskie, t. j. nie zatrzymać się przy orzeczeniu formalnem, takim jak ono się rozwinęło w językach indoeuropejskich, lecz cofnąć się ku orzeczeniu materyalnemu, czyli, jeśli się tak wyrażę, oprzeć się na znaczeniu czyli istocie sądu, będącem odmiennem od jego gramatyki, czyli rzeczy ubocznej.

Innemi słowy, możnaby było rozumować w inny jeszcze sposób a mianowicie: „choć konkluzya została teraz przeniesioną od „czystej formy“ orzeczenia (na którą dotychczas przeciwnicy moi się powoływali), do samego aktu orzeczenia, to jednak ten goły fakt istnieje. Chociaż, jakim tego dowiodł, wobec braku części mowy, orzeczenie musi być niedokładnem, to jednak możemy twierdzić, że orzeczenie *istnieje* i *istnieć* ono *musi*, gdyż dla niego jedynie mowa została powołaną do życia.

Otóż dowiodłem, że jeśli moi przeciwnicy w ten sposób zechcą zmienić swoją pozycję, to ich argumentacja na tem skończyć się musi. Dowiodłem bowiem, że wobec wyżej przytoczonych faktów nie może być za-

dney kwestyi odnośnie do ciągłości rozwoju od zarodka orzekania w wyrazie zdaniowym aż do zupełnie rozwiniętej budowy zdania formalnego. Lecz z drugiej strony wykazałem w dalszym ciągu, że taka zmiana pozycji do niczego nie prowadzi. Gdyż jeśli wyraz „orzeczenie“ zastosujemy do „słowa zdaniowego“, to zostaje on tem samem pozbawionym tego znaczenia wyróżniającego, na którym wyłącznie przeciwnicy moi opierają swoją argumentację. Tak czyniąc, przeciwnicy moi przyznają też, że niema różnicy pomiędzy mową a wskazaniem, faza orzekająca języka zostaje przez to utożsamioną z fazą wskazującą; „braterstwo pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem zostaje proklamowanem“. Znaczy to, że jeśli zechcemy twierdzić, iż znaki wskazujące dziecka lub człowieka pierwotnego są orzekającami, to nie mamy nawet najmniejszego śladu przyczyny, dla której twierdzenie to nie dałoby się też zastosować i do znaków indykacyjnych zwierząt niższych. Jeżeli zaś tego orzeczenia nie przyznamy ani dzieciom, ani zwierzętom, to zastosowanie go do zupełnie rozwiniętych form języków mówionych należy rozumieć w ten sposób, że te ostatnie przedstawiają tylko różnicę co do fazy lub stopnia, gdyż wykazaliśmy w sposób jaknajbardziej przekonujący, że jeden rząd znakowania jest genetycznym i udoskonalonym potomkiem drugiego. Krótko mówiąc, musimy uważać jako prawdę niezbitą, że *istnieje ciągłość pomiędzy wszystkimi stopniami zdclności znakowania*, że zatem wszystkie usiłowania, mające na celu ustanowienie pomiędzy nimi różnicy gatunkowej, należy uważać jako chybione, gdyż takiej różnicy wcale niema.

Wyniki otrzymane na końcu rozdziału XIV odnośnie do filologii orzeczenia znalazły potwierdzenie bezpośrednio w faktach dodatkowych, przytoczonych w rozdziale następnym, w którym była mowa o filologii pojęcia. Rozdział ten miał za zadanie rzucić światło niezależne filologii na kwestyę rozważaną już poprzednio ze strony psychologicznej, mianowicie traktuje on o przejściu denominacji poznaniowej w denominację pojęciową. Kwestyę tę rozważaliśmy już poprzednio w stosunku do crobnika, teraz zaś badamy ją odnośnie do całej rasy naszej. Przedewszystkiem wykazaliśmy, że ponieważ dziecko żyje w środowisku, gdzie istnieje już gotowa gramatyka form orzekających, to fazy pierwotne rozwoju języka zostały znacznie skrócone w ontogenii rodu ludzkiego, jeżeli je porównamy z takimiż fazami, które, według badań filologii, miały miejsce w filogenii rasy naszej. Znaki giestykulacyjne szybko wymierają, gdy dziecko terażniejsze zaczyna mówić i przez to uczyć się używać form gramatycznych. Człowiek pierwotny przeciwnie, zmuszony był wyrabiać sobie gramatykę ze znaków giestykulacyjnych i to miało miejsce w tym samym czasie, kiedy tworzył swoje wyrazy zdaniowe. Gdy zatem nabywanie nazw i form językowych przez człowieka pierwotnego musiało się głównie uskuteczyć za pośrednictwem giestów i mimiki, to u dziecka młodego przeciwnie, takie nabywanie jest wrogiem dla wszelkiego znakowania.

Następnie widzieliśmy, że doktryna filologiczna o wyrazach zdaniowych rzuca jeszcze dodatkowo wiele światła na moje rozróżnianie psychiczne pomiędzy idejami ogólnymi a rodzajowymi. Wyraz zdaniowy bowiem jest wyrażeniem idei dotychczas jeszcze uogól-

nionej, t. j. jeszcze *niezróżniczkowanej*. Taka idea, jak teraz wiemy, znajduje się na antypodach myśli względem idei, zawdzięczającej swój początek temu, co nazywamy *uogólnieniem*, t. j. względem tego, co jest syntezą pojęciową wyników analizy poprzedniej. Doktryna o wyrazach zdaniowych uznaje ogromny przedział historyczny (odpowiadający ogromnemu przedziałowi psychologicznemu) pomiędzy idejami rodzajowymi a idejami ogólnymi.

Przekonaliśmy się w dalszym ciągu, że we wszystkich szczegółach istotnych, konstrukcja dźwiękowa tego najwcześniejszego sposobu znoszenia się za pomocą dźwięków członkowanych, sposobu zachowanego w archeologii języków mówionych, jest ściśle podobnym do tego, który napotykamy w języku naturalnym giestów. Widzieliśmy, „że język giestów niema tak nazwanej gramatyki właściwej“. Wyliczyliśmy następnie bardzo szczegółowo liczne i ściśle analogie pomiędzy formami zdań, odkrytymi w giestykulacji, i temi, które pojawiły się przy urodzinach językowych. Innemi słowy, najdawniejsze sprawozdanie, które język jest w stanie nam przedstawić, wykazuje, że początek języków wyłonił się z jeszcze bardziej pierwotnego języka tonów i giestów. Gdyż fakt ten jest jedynie trafnem wyjaśnieniem podobieństwa rodzinnego języków, odnośnie do ich składni.

Widzieliśmy dalej, że zarówno w języku giestów, jak i w formach mowy pierwotnej, zachowanej nam w pierwiastkach, orzeczenie wyrażaniem bywa za pomocą zestawienia prostego wyrazów denotacyjnych. Uogólniony wyraz tego rodzaju, (który nie jest jeszcze ani rzeczownikiem, ani przymiotnikiem, ani czasownikiem),

zestawiony z innym wyrazem tego samego rodzaju, służy do wyrażenia idei powinowactwa pomiędzy nimi, albo do konstatowania czegoś o jednym za pośrednictwem drugiego. Lecz zestawienie takiego rodzaju nie wymaga myślenia prawdziwie pojęciowego. Jakieśmy to już widzieli, prawa prostych kojarzeń zmysłowych wystarczają, aby przedmioty, przymioty lub czynności zachodzące razem w naturze wywołały konieczne zestawienie w umyśle nazw je oznaczających, logika wypadków kieruje tak wywnętrzeniem się przedpojęciowem, aby ono służyło do skonstatowania faktów, które się spostrzega; fakt zostaje *poznany* przez umysł, lecz nie jest przezeń *pojmany*. Jest też rzeczą widoczną, w jaki sposób wielokrotne skonstatowanie faktów za pomocą myślenia poznaniowego prowadzi do myślenia pojęciowego, czyli do skonstatowania faktu jako taki.

Otóż jeśli tak się rzeczy miały, to jest widocznem, że wyrazy pierwotne mogły się tylko odnosić do rzeczy, mających czysto poznaniowe znaczenie, t. j. „do takich aktów, lub przymiotów fizycznych, które są dostępne dla zmysłów“. Stosownie do tego we wszystkich dawniejszych pierwiastkach wykrytych przez filologię, odnajdujemy dowody niezbite „przenośni zasadniczej“, czyli uogólniania pojęciowego wyrazów, które pierwotnie miały tylko znaczenie poznaniowe. Fakt ten jest tak powszechnym, że według słów Whitneya, „wtedy tylko możemy powiedzieć, że znamy historję jakiegoś wyrazu o znaczeniu inteligentnem, lub moralnem, kiedy dotarliśmy do jego początku fizycznego“. Nie powtarzając więc tego wszystkiego, cośmy o tym przedmiocie mówili, zwrócimy tylko uwagę na ogólny wniosek ztąd wyprowadzon, a mianowicie na to, że analiza psychologi-

czna wykazała już, iż poznanie poprzedziło pojęcie, teraz znowu analiza filologiczna potwierdza to samo w sposób jak najbardziej oczywisty, odkrywając poznanie w każdym pojęciu.

Nakoniec podałem krótki przegląd języków, które mi obecnie mówią szczepy dzikie, mieszkające w znacznym od siebie oddaleniu a to w celu wykazania zupełnego w nich braku myślenia pojęciowego. Przekonałem się, że to co Farrar nazywa „ubóstwem beznadziejnym zdolności abstrakcyjnej“ jest tak zadziwiającem, że najbardziej krańcowy ewolucjonista nie może życzyć sobie bardziej znaczącego ogniwia pośredniego pomiędzy inteligencją przedpojęciową *człowieka niemego* (*Homo alalus*) i inteligencją pojęciową *człowieka inteligentnego* (*Homo sapiens*).

Zakończywszy badania filologiczne nad naszym przedmiotem, przystąpiłem w rozdziale ostatnim do rozważania drogi, po której krocząc myślenie rasy naszej doszło z poznaniowego do pojęciowego. Przedewszystkiem zająłem się poglądem, wypowiedzianym przez niektórych badaczy niemieckich, według którego mowa powstała z dźwięków bezznaczeniowych, które przeważnie zależały od prostych warunków fizyologicznych. Według tego poglądu, dźwięki takie wskutek powtarzanego łączenia się z warunkami, w których powstały, nabrały automatycznie niejako wartości znaków dźwiękowych. Zarzut przeciwko tej hipotezie redukuje się oczywiście do tego, że on pomija zupełnie zadanie, które rozwiązać należy, mianowicie genezę tych władz myślenia, które tchnęły duszę w wyrazy, dotychczas żadnego znaczenia niemające. Hipoteza zatem ta przesuwca całą kwestyę, którą rozwiązać mamy, t. j. nie daje nam żadnego wy-

jaśnienia różnicy, wytworzonej pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Pomimo to jednak bardzo obszernie wyrażone w niej zasady tak nazwanej teorii wykrzyknikowej nie są zupełnie bezpodstawowe, mają one tylko fałszywy punkt wyjścia. Tem przypuszczeniem fałszywym jest hipoteza, że człowiek pierwotny nie posiadał najmniejszego śladu zdolności znakowania i że zatem zdolność ta musiała być stworzoną *de novo* przez zespolenie przypadkowe dźwięków z przedmiotami. Lecz przekonał się dowodnie, że tak nie było. Otóż uznając prawdziwość zasady tej „czysto fizyologicznej“ hipotezy, musieliśmy jednak ją odrzucić, jako niedającą przybliżonego nawet objaśnienia o początku mowy. Przytoczyłem następnie hipotezę, naszkicowaną przez Darwina. Badacz ten, opierając się na uwadze Geigera, że przewaga zmysłu wzroku musiała wpłynąć na to, iż człowiek zwracał szczególną uwagę na ruchy ust przy wydawaniu dźwięków, dowodzi, że okoliczność ta dała przewagę naszym przodkom małpim nad innymi zwierzętami czwororęcznymi w sprawie łączenia dźwięków z idejami poznaniowymi. Starłem się następnie przedstawić małpę antropoidalną, mającą nawyki towarzyskie, umysłowo dość rozwiniętą i przyzwyczajoną do używania swego głosu, jako narządu znakowania na wzór wszystkich małp towarzyskich w ogóle. Zwierzę takie najniezawodniej zostawiło daleko po za sobą wszystkie inne, odnośnie do zdolności giestykulacji a nawet dość daleko postąpiło w używaniu dźwięków połączonych z giestami, jako „wyrazów-zdaniowych“, t. j. wyrazów oznaczających tak bardzo uogólnione pojęcia, jak np. groźące niebezpieczeństwo, i t. p., chociaż nie doszło jeszcze do wytwarzania dźwięków deno-

tacyjnych na podobieństwo ptaków gadających. Co więcej, Darwin zauważył, że zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, iż ten praszczur małpi rodzaju ludzkiego zwykł nawet był używać swego głosu w kadeacych muzycznych, jak to czynią gibony obecnie żyjące; niewyknienie to mogło dać początek tym przerwom znaczącym w dźwiękach głosowych, na których istota artykulacji polega.

Mój pogląd na tę kwestyę jest nieco odmiennym od powyższego. Przyjmując bowiem istotną część hipotezy Darwina, uważam za rzecz prawie pewną, że zdolność znakowania za pomocą artykulacji jest produktem rozwoju daleko późniejszego, tak że istota, w której zdolność ta po raz pierwszy się objawiła, musiała już być bardziej do człowieka, niż do małpy zbliżoną. Ten człowiek niemy (*Homo alalus*) przedstawia się oczom ducha jako istota wprawdzie jeszcze zwierzęca, mająca atoli już postawę prostą, umiejąca szlifować krzemienie, mające jej służyć za narzędzie, lub broń, żyjąca połączona w szczepy lub towarzystwa i w niemałym już stopniu umiejąca wyrażać logikę swoich poznań za pomocą giestów, wyrazu twarzy i tonów wokalnych. Wychoząc z takiego początku możemy łatwiej wytłomaczyć rozwój następny zdolności znakowania za pomocą dźwięków członkowanych, niż przy hipotezie poprzedniej. Nakreśliwszy przebieg prawdopodobny tego rozwoju na zasadzie pewnej analogii, zajmowałem się następnie znaczeniem szczególnem dźwięków nieartykułowanych, które się utrzymały w tak nazwanem „kłąskaniu“ napotykanym w językach niższego rzędu Afryki południowej. Rozwazałem w następstwie okoliczności, przemawiające za długą prawdopodo-

bnie egzystencją tych istot hypotetycznych i nakreśliłem fazy przypuszczalne następnego ich rozwoju, przyczem odparłem zarzuty, na zasadzie których możnaby było człowieka niemego uważać jako *Homo postulatus*.

Nie powtarzając szczegółów do tego przedmiotu się odnoszących, zaznaczę tylko, że mojem zdaniem, rozwój ten rozpoczął się od wyrazów-zdaniowych w zespoleniu ze znakami giestykulacyjnymi, które oddziaływając wzajemnie na siebie przyczyniły się do wspólnego rozwoju obu kategorii znaków. Zaznaczyłem dalej, że nazwy denotacyjne, będące po największej części początku onomatopoetycznego, szybko uległy uogólnieniu konnotacyjnemu, że w skutek częstego i koniecznego zestawiania ze sobą takich nazw, wytworzyły się zdania początkowe, że wyrazy-zdaniowe w połączeniu z giestami w późniejszym peryodzie dały początek różnicy gramatycznej pomiędzy przymiotnikami a dopełniaczami z jednej a wyrazami orzekającymi z drugiej strony, że w podobny sposób znaki giestykulacyjne wpłynęły na wytworzenie się innych form gramatycznych a szczególnie elementów zaimkowych, pewna część których posłużyła w następstwie do wytworzenia się form deklinacyj i konjugacyj, że chociaż zaimki wchodzą w skład najwcześniejszych wyrazów, które zostały zróżniczkowane przez ród ludzki, jako oddzielne części mowy, to jednakże zaimki osobiste znalazły zastosowanie w daleko późniejszym czasie. Znaczenie tego ostatniego faktu okazało się bardzo ważnem. Widzieliśmy, że cała różnica pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem polegała na obecności, lub braku myśli pojęciowej, która atoli z kolei jest wynikiem obecności, lub braku samowiedzy. Ca-

ła więc nasza praca obecna miała na celu zbadanie kwestyi, czy mamy do czynienia z różnicą co do rodzaju, lub też co do stopnia a zatem czy mamy przed sobą początek, czy też rozwój. Poprzednio już wykazałem, że faza rozwoju, o której teraz mowa, oznacza się zmianą frazeologii, wyrazy przedmiotowe zostają zastąpione przez wyrazy podmiotowe, gdy mówiący opowiada o sobie. Pokazałem, że fakt ten stanowi dla nas dowód analogiczny. Zupełnie w taki sam sposób, w jaki psychologia wykazuje nam „przejście w osobniku“, w taki też sposób filologia wykazuje nam „przejście w rasie“.

W poprzednim skróceniu treści dzieła niniejszego nakreśliłem główne tylko zarysy i obawiam się, czy to zbyt znaczne skrócenie nie przyniosło sprawie więcej szkody, niż korzyści. Sądzę jednak, że ztąd wynikają dwa fakty, oczywiste dla każdego bezstronnego czytelnika. Przedewszystkiem, że przeciwnicy teorii rozwoju oczywiście bardzo źle się wywiązali ze swojego *onus probandi*, mianowicie nie przytoczyli żadnego dowodu usprawiedliwiającego ich przypuszczenia, że umysł ludzki stanowi wielki i jedyny wyjątek z praw rozwoju, które wszędzie są jednostajne. Powtóre, że to przypuszczenie nie tylko jest w wysokim stopniu nieprawdopodobnem *à priori* i niedowiedzionem *à posteriori*, lecz jeszcze, że wszystkie świadectwa, któreby można było przytoczyć dla wyjaśnienia kwestyi w mowie będącej, jak najkategoryczniej występują przeciwko niemu. Jedyne pozorny argument, który przemawia za tem, opiera się na różnicy pomiędzy myśleniem pojęciowem a niepojęciowem. Przyznaję, że taka różnica rzeczywiście zachodzi, lecz głośno protestuję przeciwko przypuszczeniu, że różnica ta jest gatunkową. Dowiodłem bowiem

że nieliczni stosunkowo autorowie, którzy dotychczas jeszcze różnicę tu uważają jako gatunkową, opierają argumenty swoje na analizie psychologicznej, która oczywiście jest bardzo niedokładną; żaden z nich bowiem nie zwrócił najmniejszej uwagi na proces rzeczywisty psychogenezy, zachodzący w dziecku dorastającym; tak samo zachowują się ci pisarze, z wyjątkiem prof. Maxa Müllera, i względem „świadczeń filologii“. Badając psychogenezę dziecka wykazałem, że mamy dowody niezbitę, iż tam zachodzi stopniowy i nieprzerwany rozwój z jednego porządku myślenia w drugi, że dopóki umysł dziecka obraca się jedynie w sferze myślenia niepojęciowego, dopóty niczem się nie różni od inteligencji ssaków wyższych, że gdy umysł ten zaczyna przybierać przymioty myślenia pojęciowego, to cały proces zależy od rozwijania się prawdziwej samowiedzy z materiałów, dostarczanych przez tę formę poprzednio już istniejącej samowiedzy poznaniowej, która wspólną jest dziecku i zwierzętom wyższym, że dostateczny warunek dlatego rozwoju umysłu danym jest w widocznym rozwoju postępowym tych zdolności denotacyjnego i konotacyjnego wywnętrzania się, które napotykamy na tych niskich szczeblach drabiny psychologicznej, które zajmują ptaki gadające, że w rozwijającej się inteligencji dziecka mamy tym sposobem dokładną historię „ontogenii“ w stosunku do „filogenii“, zupełnie podobnie do tej, za pośrednictwem której embryolog odczytuje dzieje morfologiczne gatunku w skrócie, dostarczoną przez rozwój osobnika. Niema zatem żadnego tłumaczenia dla tych, którzy przyjmując teorię rozwoju, odrzucają, bez żadnej przyczyny uzasadnionej, oczywistość transmutacji psy-

chologicznej, uwidocznionej w dziejach życia każdego osobnika ludzkiego.

Co się tyczy świadectwa niezależnego językoznawstwa, to jeżeli mamy powoływać się na powagi, sędzę, że opinie chwiejne i nieraz wręcz sobie przeciwne prof. Maxa Müllera zostają aż nadto zrównoważone przez opinie jego kolegów. Lecz nie apelując do powag i biorąc pod uwagę tylko same fakty materialne, powszechnie przez filologów uznane, naumyślnie poświęciłem opiniom Maxa Müllera daleko więcej miejsca, niż innym badaczom, aby w całej obszerności wyłożyć naturę jego zarzutów, i o ile mi się zdaje, zupełnie zadawalniająco na nie odpowiedzieć. Zdaje mi się, że przyczyny nieuznania wniosków, do wyprowadzenia których znakomite dzieło tego uczonego znacznie się przyczyniło, należy szukać w następującem. Przedewszystkiem brak jasności odnośnie do zasad rozwoju wogóle¹⁾; następnie, brak

¹⁾ Patrz „Science of Thought”. Rozdziały II i IV. Następujące cytaty wystarczą na usprawiedliwienie mojego twierdzenia: „Jeżeli rodzaj był raz słusznie uznany jako taki, to wydaje mi się zupełnie niedorzecznem przypuszczenie, że on mógł kiedykolwiek dać początek nowemu rodzajowi. Owca będzie zawsze owcą, małpa—małpą, człowiek—człowiekiem... Dla mnie wydaje się bardzo dziwnem przypuszczenie, że małpa przedpotopowa mogła dać początek człowiekowi przedpotopowemu. W jaki sposób gotowy zupełnie Pithecanthropus stał się ojcem pierwszego człowieka, jeśli wszędzie w przyrodzie istoty zupełnie wykończone pozostają takowemi a jeśli się zmieniają, to w ciasnych bardzo granicach? (str. 212—215)... Jeżeli z zarodka człowieka nigdy nie powstaje małpa, ani też i naodwrot, z zarodka małpy nigdy się nie rozwija człowiek, to w jaki sposób zupełnie rozwinięta małpa mogła się przejść w człowieka? (str. 117)... Obacmy teraz, co sam Darwin przytacza na poparcie swojego twierdzenia,

zrozumienia, że pierwiastki aryjskie są oczywiście bardzo dalekimi od tego, aby być pierwotnymi w znaczeniu pierwobytności; po trzecie, brak rozróżniania pomiędzy idejami ogólnymi a rodzajowymi; po czwarte, zupełnie dowolne i oczywiście fałszywe przypuszczenie, że umysł przy miarowaniu posiada zdolność pojmwania. Z pomiędzy wszystkich przyczyn, które wpłynęły na odszczybieństwo znakomitego filologa, ostatnia jest może najważniejszą, gdyż na niej jak najwyraźniej opiera swoje zarzuty. Lecz jeżeli czegokolwiek dowiodłem, to przedewszystkiem tego, że istnieje zdolność przyczepiania wyrazowych lub innych znaków do prostych kojarzeń poznaniowych, i że zdolność ta *niezmiennie* poprzedza początek wywnętrzania się pojęciowego w tym jedynym przypadku, w którym początek ten może być bezpośrednio obserwowanym, t. j. w psychogenezie dziecka. W przypadku znowu człowieka przedhistorycznego, to o ile poleontologia języka daje nam jakieś wskazówki co do tego przedmiotu, zawsze i wszędzie wskazówki te przemawiają za poglądem, że w rasie, zupełnie tak samo jak w osobniku, donotacya wyprzedziła denominacyę. Co więcej, wątpię nawet, czy sam Max Müller nie zgodzi się ze zda-

że ludzie nie pochodzą a tej epoki, która oznacza początek życia organicznego na ziemi—że on nie miał własnego przodka, tak jak to się rsecs miała a innymi rodzajami wielkimi zwierząt, leos musiał on tak długo czekać, póki ssaki nie dosięgły wysokiego stopnia rozwoju, i że wstąpił w świat jako małpiątko* (str. 160). Te i tym podobne cytaty dowodzą, że prof. Max Müller niedokładnie rozumiał teorię rozwoju, nawet w jej zastosowaniu do roślin i zwierząt. Gdyż mamy tu przed sobą nie krytykę teorii rozwoju, leca raczej brak zupełny zrozumienia jej istoty.

niem treściwem Geigera, dotychczas przezemnie nie cytowanem, wyrażonem przez pytanie. „Zkąd to pochodzi, że im dalej cofamy się wstecz w dziejach wyrazów, tem mniejsze mają one znaczenie? Nie znam innej na to odpowiedzi, jak tylko tę, że im dalej się cofamy wstecz, tem charakter ich staje się mniej pojęciowym“¹⁾. Nie może on też odmówić słuszności innemu twierdzeniu tegoż autora, „że śledząc wstecz za myślą pojęciową, dochodzimy do coraz bardziej zwężającego się koła, które ostatecznie zamienia się w punkt, gdzie niema ani myśli, ani mowy“. Lecz jeśli prof. Max Müller temu twierdzeniu zaprzeczyć nie może, to nie rozumiem, w jaki sposób uczony ten mógł się rozstać ze swoimi kolegami, odnośnie do zdania o początku wyrazów pojęciowych. Znacomity filolog wraz z innymi lingwistami twierdzi, że pojęcia bez wyrazów (mówionych, lub innych) są niemożliwe, wraz z innymi utrzymuje też, że gdy śledzimy wstecz za znaczeniami wyrazów i cofając się tak daleko, jak na to filologia pozwala, widzimy, że one rzeczywiście dążą do owego punktu zerowego, o którym mówi Geiger. Pomimo to jednak, poprostu dlatego, że do punktu zerowego na zasadzie badań filologicznych w rzeczywistości dojść nie możemy, t. j. dlatego, że wyrazy nie mogą nam opowiedzieć historii własnego narodzenia się, prof. Max Müller twierdzi, iż musiało nastąpić zerwanie się ciągłości w punkcie, gdzie wyrazy biorą początek.

Pozycya zajęta przez znakomitego lingwistę, jest tak słabą, że wybór ten mogę tylko wytłomaczyć przypuszczeniem, iż Max Müller nieświadomie popełnił błąd,

¹⁾ „Ursprung der Sprache“, str. 84.

wnosząc, że ponieważ każde *A* jest *B*, więc każde *B* jest *A*. Przekonawszy się, że nie może być pojęcia bez nazwy, wnosi też, że nie może być nazwy bez pojęcia. Na zasadzie takiego wniosku, znajduje on naturalnie niemożliwem do wytłomaczenia, w jaki sposób nazwy, lub pojęcia mogły mieć pierwszeństwo jedno przed drugimi w czasie; bowiem, według niego, musiały one być pochodzenia jednoczesnego i jeżeli rzecz się tak ma, nie może oczywiście być mowy o naturalnej genezie jednych z drugich. Lecz cała rzecz jest urojona. Odrzuciwszy tylko niczem nieusprawiedliwiony wniosek, że ponieważ nazwy są niezbędne dla pojęć, przeto pojęcia są koniecznymi dla nazw, odrazu usuwamy wszelką trudność. Otóż aż do *znudzenia* dowiodłem, że są nazwy a nazwy, są nazwy denotacyjne i nazwy denominacyjne, nazwy poznaniowe i nazwy pojęciowe. Jeżeliby nawet nie istniał przypadek dziecka dorastającego, który stanowi aktualny dowód tego procesu (przypadek, który prof. Max Müller i ieni moi przeciwnicy pomijają milczeniem), to na zasadzie poglądów ogólnych a szczególnie na zasadzie naszych obserwacyj nad niższymi zwierzętami, mielibyśmy prawie pewność, że zdolność znakowania *musiała wyprzedzić zdolność myślenia* o znakach. Uduśnienie do wpływów tych znaków przedpojęciowych na psychogenezę niema żadnej różnicy, czy znaki te polegały na giestach, grymasach, dźwiękach artykułowanych, czy też na wszystkich razem skombinowanych. Faktem jest, że sztuka giestykulacyjna za pomocą artykulacji tonów wokalnych, używanych dla celów denotacyjnych, datuje od epoki tak odległej, że ta przenosi nas na odległość od początku denominacji, lub myślenia pojęciowego, która filologicznie da się oznaczyć—choć, jak widzie-

liśmy, mamy poważne przyczyny do twierdzenia, że przed tą epoką, tony, giesty i mimika, jako sposób znakowania znalazły daleko szersze zastosowanie u człowieka pierwotnego, aniżeli to dziś ma miejsce u któregośkolwiek z niższych zwierząt. Tak więc, jako ogólny wynik możemy przyjąć, że dopóki nie dowiodą mi, iż moje rozróżnienie pomiędzy denotacją a denominacją jest bezpodstawowem, dopóki mi nie wykażą, że dziecko nim się nauczy wymawiać nazwy, musi o nich wysłuchać, jako o takich, dopóty nie napotykamy najmniejszej nawet trudności w zastosowaniu teorii rozwoju do dziedziny filologii. Z drugiej zaś strony, zarówno fakty specjalne, jako też i zasady ogólne wykryte przez tę naukę dowodzą, że denotacja przedpojęciowa wytworzyła warunki psychologiczne niezbędne dla wzrostu następnego denominacji pojęciowej i dlatego możemy wraz z Geigerem twierdzić: „Mowa stworzyła rozum, przed pojawieniem się mowy, ród ludzki pozbawiony był rozumu“¹⁾.

Jeżeli to jest prawdą dla filologii, to jest ono nie mniej prawdziwem i dla psychologii. Gdyż rozwój mowy jest tylko kopia tego procesu, który zaczyna się wraz ze świtaniami samowiedzy (ludzkiej) i ewentualnie kończy się na konstrukcyi idej, najbardziej abstrakcyjnych²⁾. Bez obalenia mojego rozróżnienia pomiędzy ro-

1) „Ursprung der Sprache“ str. 91. Dosłownie ustęp powyższy brzmi: „Die Sprache hat die Vernunft erschaffen, vor ihr war der Mensch vernunftlos“. Nie mam potrzeby dodawać, że w tłumaczeniu polskiem, wyraz rozum użyty został w znaczeniu myśli pojęciowej.

2) Wundt. „Vorlesungen i t. d.“, str. 282.

zumowaniem poznaniowem a pojęciowem nie widzę żadnego wyjścia dla moich przeciwników wobec analizy powyższej. Lecz odrzuciwszy to rozróżnienie, wypadnie im nietylko zbudować na nowo psychologię, lecz znajdują się w dziwnem położeniu odrzucenia rozróżnienia prawdziwego, na którym opiera się cały ich argument. Gdyż wszędzie starałem się jak najusilniej dowieść, że to co ja nazywam myśleniem poznaniowem we wszystkich stopniach i odcieniach, jest identycznym z tem, co przeciwnicy moi uznali jako myślenie niepojęciowe; tak samo jak i oni uznałem, że zachodzi różnica} psychologiczna pomiędzy myśleniem poznaniowem a pojęciowem. Jedyne punktu sporny zatem pomiędzy nami polegał na możliwości lub niemożliwości naturalnego przejścia od jednego porządku myślenia do drugiego. Na przeciwnikach moich ciążył obowiązek wykazania niemożliwości takiego przejścia. Lecz tego dowodu oni nie byli w stanie przytoczyć. Z drugiej znowu strony twierdzą, że dowiodłem możliwości tego przejścia. Wykazałem bowiem, że *prawdopodobieństwo*, iż takie przejście miało poprzednio miejsce w naszej rasie, tak samo jak ono obecnie ma miejsce w każdym osobniku ludzkim, wzrosło potężnie wskutek faktów nagromadzonych przez badania naukowe bieżącego stulecia. Posługując się przenośnią, możemy powiedzieć, że prawdopodobieństwo to podobnym jest do potoku rosnącego w siłę prądu i w objętość, w miarę tego jak się zwiększa liczba wpadających doń faktów i zasad, dostarczanych współdziałaniem innych nauk. Prawda, że nawet wobec największego prawdopodobieństwa można się zachowywać bardzo sceptycznie: „Wiary mojej“, powiedzieć można, „nie można wzbudzić pochlebstwami, musi ona być wynikiem przekonań“. Prawda, nie jeden

chełpi się z surowości swoich zasad³ odnośnie do tego punktu i w książkach popularnych przyjmuje się nawet jako pewnik, że doktryna naukowa wtedy tylko zasługuje na tę nazwę, gdy została ściśle dowiedziona. Lecz zarówno w nauce, jak i w innych rzeczach, wiara musi być proporcjonalną do świadectwa oczywistości i chociaż dlatego samego powinniśmy zawsze dążyć do osiągnięcia najbardziej przekonujących [dowodów, to jednak przezorności tego rodzaju nie należy uważać jako jednoznaczne z bezmyślnem żądaniem dowodów niemożliwych. Żądać dowodu aktualnego przekształcenia się w rasie myślenia niepojęciowego w myślenie pojęciowe, tak jak je codziennie widzimy w osobniku, znaczy żądać rzeczy niemożliwej, gdyż wychodzi ono na to żądanie, aby myślenie pojęciowe obserwowało własny swój początek. Takie żądanie jest nonsensem oczywistym. Lecz jeżeli według słów biskupa Butlera „prawdopodobieństwo jest prawdziwym przewodnikiem w życiu“, to jest ono też nim i w nauce. Odnośnie do badanej kwestyi stoimy, według mnie, wobec tak wielkiego prawdopodobieństwa, że dalsze ociąganie się w przyznaniu mu słuszności nie będzie już naukową przezornością, lecz raczej niemocą. Jeżeli bowiem, jak przypuszczam, uznajemy zastosowalność teryi rozwoju w całym obszarze państwa organicznego, to z większem jeszcze prawem zastosowalność tę należy uznać dla całej dziedziny ducha. Innemi słowy, zastanawiając się głębiej nad tem wszystkim, co dotychczas było powiedzianem, czuję, że dowody przemawiające za przekształceniem psychologicznem zwierzęcia w człowieka są daleko większe, niż te, które przemawiają za morfologicznem przekształceniem jednej formy organicznej w drugą, szczególnie w tych lic-

nych przypadkach, w których ogniwa pośrednie zostały zachowane. Tak np. mojem zdaniem, ten ewolucjonista naszych czasów, któryby chciał umysł ludzki wyłączyć z pod ogólnego prawa ciągłości genetycznej, miałby daleko gorszą sprawę niż wtedy, gdyby chciał dowieść, że taki sam wyjątek należy zrobić odnośnie do budowy istoty, znanej pod nazwą *Balanoglossus*.

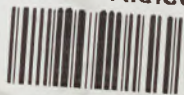
Jeżeliby to porównanie uważano jako przecenienie siły przekonywającej teraźniejszych moich dowodów, to na zakończenie muszę przypomnieć, że zadanie moje nie jest jeszcze skończonem. Dotychczas bowiem nie tknąłem się prawie wcale badań, dotyczących się stanów umysłowych ludów dzikich, tej ważnej bowiem części pracy mojej zamierzam poświęcić specjalne dzieło. Jeżeli jednak porzucimy podstawę zasad psychologicznych, któremi dotychczas się zajmowaliśmy i przeniesiemy się na szersze pole antropologicznych badań w ogólności, to znajdziemy dalsze jeszcze dowody, natury bardziej konkretnej, które w sposób jak najbardziej przekonywający potwierdzają prawdziwość wniosków, wyżej otrzymanych. Sądzę jednak, że potwierdzenie takie jest zupełnie zbytecznem i dlatego je obecnie pomijam. Pomimo to jednak, przy kreśleniu zasad rozwoju umysłowego naszej rasy, poczynając od najniższych szczebli, przekonywamy się, że przez to rzucamy niemałe światło na bardziej jeszcze pierwotną inteligencję człowieka przedhistorycznego. Tak postępując znajdziemy, że cofając się stopniowo wstecz, dochodzimy do stopnia myślenia, które jest wprawdzie jeszcze ludzkim, ale pomimo to znajduje się w bolesnem dla nas prawie zetknięciu ze stopniem myślenia małp wyższych. Jest to jedna strona ogólnej kwestyi, którą przeciwnicy nasi również

lekkomyślnie ignorują, jak i tę, która tyczy się psychogenezy dziecka. Oczywiście, że pomijając zarówno dziecko jak i człowieka dzikiego i porównując zupełnie rozwiniętą psychologię człowieka ucywilizowanego z psychologią zwierząt niższych, przeciwnicy moi naderzwyczaj łatwo wykazują różnicę ogromną pomiędzy nimi. Lecz gdy przechodzimy do pytania, czy różnica ta jest gatunkową, czy też stopniową, to niedorzeczność wpływająca z pominięcia faz pośrednich, obserwacyom bezpośrednim dostępnym, wykazuje się w całej pełni. W każdym razie zapewnić mogę, że jeśli zajmiemy się procesami umysłowymi ludzi dzikich i ztąd przejdziemy do człowieka pierwotnego, to przekonamy się, że wielki przedział, oddzielający te stany rozwoju umysłowego od naszego da się wypełnić i że można przerzucić most nad przepaścią, oddzielającą człowieka ucywilizowanego od goryla.

K O N I C O .



Biblioteka WSP Kielce



0299839